

ARTURO

PÉREZ-REVERTE

MISTRZ POWIEŚCI SZPIEGOWSKIEJ

Eva

Mroczne Maroko, mężczyzna poza prawem
i niebezpieczna femme fatale

znak

ARTURO
PÉREZ-REVERTE

Eva

Przekład Marzena Chrobak

*Dla Jorge Fernandez Díaza,
nożownika w Buenos Aires.
Za braterstwo. Za honor.*

*Gdy zagłębiasz się w serce kobiety,
wyruszasz w niebezpieczną podróż.*

Hans Hellmut Kirst,
Ostatnią kartą gra śmierć

– *Ma pan coś jeszcze?*
– *Ręce [...] ale te, jak śmiem twierdzić,
chyba nie podpadną żadnemu celnikowi.*

William Somerset Maugham,
Ashenden, czyli brytyjski agent,
tłum. J.S. Zaus>

Choć oparta na prawdziwych, udokumentowanych wydarzeniach, powieść *Eva* należy do literatury pięknej, a jej fabuła i postaci są owocem wyobraźni. Autor zmodyfikował niektóre drugoplanowe wydarzenia historyczne zgodnie z wymogami fikcji.

1. NORDDEUTSCHER LLOYD BREMEN

Nie chcę, żeby mnie zabili tej nocy, pomyślał Lorenzo Falcó.

Nie w ten sposób.

A jednak to właśnie miało zaraz nastąpić. Kroki za jego plecami rozbrzmiewały coraz bliżej i szybciej. Bez wątpienia starały się go dogonić. Kilka minut temu usłyszał za sobą krzyk łącznika spadającego w ciemności, z tarasu Santa Luzia, i uderzenie ciała roztrzaskującego się o bruk piętnaście lub dwadzieścia metrów poniżej, w mrocznej uliczce dzielnicy Alfama. A teraz szli po niego, żeby dokończyć robotę. Mokrą.

Pochyłość zbocza umożliwiała mu szybki marsz, lecz zarazem ułatwiała sprawę tamtym. Było ich dwóch, zauważył na górze, podczas gdy łącznik – słabo widział jego twarz w mdłym świetle dalekiej latarni, zaledwie wąsy pod rondem kapelusza – podawał mu kopertę, zgodnie z planem, na moment zanim dostrzegł obcych i wydał ostrzegawczy okrzyk. Rozstali się pośpiesznie, łącznik poszedł wzdłuż balustrady – dlatego dopadli go najpierw – a Falcó uliczką w dół, gdzie rozpościerały się niki światła Lizbony u stóp wzgórza i szeroka, ciemna wstęga Tagu zlewającego się z nocą w oddali, pod niebem bez księżyca upstrzonym gwiazdami.

Była droga ucieczki po lewej, w ciemności. Pamiętał to miejsce, ponieważ zbadał je rankiem, w świetle dnia, szykując się do nocnego spotkania. Chodziło o stary i skuteczny nawyk zawodowy: zanim gdzieś pójdziesz, sprawdź, którądy stamtąd wyjdiesz, kiedy trzeba będzie zrobić to w pośpiechu. Falcó przypomniał sobie nazwę na ceramicznej tabliczce:

Calçadinha da Figueira. Była to wąziutka uliczka, bardzo stroma, do której prowadziły dwa ciągi kamiennych schodów z żelazną barierką. Skręcił więc gwałtownie w lewo i zbiegł po stopniach, przytrzymując się jedną ręką barierki, by się nie potknąć. U wylotu wznosił się łuk, za którym uliczka skręcała pod kątem prostym w prawo. Wąska arkada, gdzie mieściła się naraz tylko jedna osoba.

Kroki było słychać coraz bliżej. Rozbrzmiewały już na pierwszych stopniach schodów. Nie umrę tej nocy, powtórzył sobie Falcó. Mam atrakcyjniejsze plany: kobiety, papierosy, restauracje. I tym podobne. W tej sytuacji lepiej będzie, żeby umarli tamci. Zdjął kapelusz, wsunął dwa palce za taśmę i wyciągnął schowane tam ostrze brzytwy marki Gillette w papierowym opakowaniu. Zbiegając do łuku, rozerwał papiera, z kieszonki marynarki wyjął chusteczkę, owinął nią palce i pochwycił ostrze kciukiem i palcem wskazującym. Za arkadą skręcił w prawo i natychmiast przywarł do ściany, wsłuchując się w coraz bliższe kroki zagłuszane szybkim bębnieniem krwi w skroniach.

Gdy pierwsza sylwetka stanęła w łuku, Falcó rzucił się do przodu i zadał szybki cios w gardło, ciągnąc od prawej do lewej. Na twarzy spowitej mrokiem pojawił się krótki błysk – zęby w ustach otwartych ze zdumienia – a zaraz potem rozległ się okrzyk, który urwał się w połowie, przechodząc w charkot agonii, jakby powietrze z płuc zranionego mężczyzny uszło wraz z krwią przez rozprutą tchawicę. Upadł od razu, jakby ścięto go z nóg, bezwładnie. Zawalił sobą przejście. A cień, który biegł za nim, zatrzymał się i znieruchomiał w bezpiecznej odległości.

– Chodź tu, skurwielu! – zachęcił go Falcó. – Podejź jeszcze kawałek... No dalej.

Trzy sekundy bezruchu. Może pięć. Falcó i ten drugi w uliczce, bez słowa, nieforemny kształt na bruku, strumyk chrapliwego jęku. Po chwili

drugi prześladowca wycofał się pomalu i ostrożnie.

– No chodźże, chłopie – ponaglił Falcó. – Mam na ciebie chrapkę.

Szybkie kroki rozbrzmiały w uliczce i na schodach, oddalały się, wreszcie umilkły. Falcó odetchnął głęboko, nie ruszając się jeszcze z miejsca w oczekiwaniu, aż krew pulsująca w skroniach odzyska normalny rytm. Gdy drzenie dłoni ustało, wytarł ją z lepkiej krwi, jeszcze cieplej, i rzucił ostrze i chusteczkę na ziemię.

Pochylił się, by obszukać bezwładne ciało, które nie wydawało już żadnego odgłosu: nóż w pochwie przytwierdzonej do pasa, tytoń, zapalki, monety luzem. W wewnętrznej kieszeni marynarki portfel, zabrał go. Wstał, rozglądając się dokoła. Okolica była bezludna, a prawie wszystkie pobliskie domy – ciemne. W wielu oknach rysowały się paseczki światła, skądś dobiegała muzyka z radia, kobiecy głos śpiewający fado. W oddali zaszczekał pies. Na czarnym niebie błyszczało tyle gwiazd, że Lizbona zdawała się otulona rojem znieruchomiałych światełek.

Przez moment miał zamiar odszukać ciało łącznika pod tarasem, z którego spadł albo został zrzucony, lecz szybko zrezygnował. Ciekawość to pierwszy stopień do piekła, jak ostrzegało stare przysłowie. Żywy czy martwy – raczej martwy po upadku z piętnastu czy dwudziestu metrów – łącznik nie był już jego problemem. Wiedział tylko, że to Portugalczyk, że pracował dla nacjonalistów z przekonania lub dla pieniędzy i że przekazał mu informację, którą powinien dostarczyć do sztabu głównego frankistów w Salamance. Po co bardziej komplikować sobie życie? Ktoś mógł nadejść: przypadkowy przechodzień, sąsiad, stróż nocny; a może drugi prześladowca zmienił zdanie i uznał, że spróbuje pomścić kolegę. Nigdy nie miało się pewności w tych sprawach. Fachem Lorenza Falcó rządziła nieprzewidywalność, gra w ryzyko i prawdopodobieństwo. A kopertę, powód nocnego spotkania, miał już w kieszeni. Nic więcej nie obchodziło

go w zmarłym anonimowym żołnierzu bez twarzy – zaledwie wąsy pod rondem kapelusza – żołnierzu brudnej wojny, która toczyła się na hiszpańskich polach bitwy, na tyłach, a także w mrocznych, ponurych miejscach poza granicami Hiszpanii takich jak to. Brudne rozgrywki wpisujące się w tę brudną profesję. Szpiedzy bez twarzy, jak ten republikański agent z poderżniętym gardłem leżący pod łukiem czy tamten, który wziął nogi za pas, żeby nie podzielić losu kolegi. Pionki na szachownicy w rękach ważniejszych graczy.

Zszedł do rua de São Pedro, oglądając się za siebie od czasu do czasu, by sprawdzić, czy ktoś go nie śledzi. W prawej skroni łomotał ból z pewnością spowodowany napięciem; machinalnie sięgnął do kieszeni, gdzie nosił fiolkę z kopiryną; to był jego słaby punkt, migreny, które powodowały nieraz ośpienie, paraliż, konieczność łapania powietrza otwartymi ustami jak ryba wyciągnięta z wody. Potrzebował łyku jakiegoś płynu, żeby popić tabletkę, ale to będzie musiało poczekać. Najważniejsze było opuszczenie tego miejsca. Jak najszybciej.

Wybierał szerokie ulice, by uniknąć zasadzki. Po pewnym czasie zostawił za sobą Alfamę, przystanął w mętym świetle latarni przy rua dos Bacalhoeiros, we mgle, która się podnosiła nad pobliską rzeką, wyjął z kieszeni kopertę i rozdarł ją. Zdziwił się, widząc, że zawiera złożoną wpół ulotkę linii oceanicznych Norddeutscher Lloyd Bremen. Nic więcej. Nieduża kartka zadrukowana po jednej stronie. Obrazek transatlantyku, a pod spodem lista statków i tras do Ameryki i do wschodniej części basenu Morza Śródziemnego. Włożył ulotkę z powrotem do koperty, a kopertę do kieszeni, i przeszukał portfel zabitego. Zawierał pewną kwotę pieniędzy w portugalskich eskudo – schował ją od razu, bez wahania – bilet okresowy na lizbońskie tramwaje, zdjęcie młodej kobiety oraz dwa dowody tożsamości ze zdjęciem tego samego osobnika – brunet, pociągła twarz,

rzadkie kręcone włosy – lecz z dwoma różnymi nazwiskami. Jeden z dokumentów, z pewnością fałszywy, był portugalski, wystawiony dla João Nunesa, handlowca. W drugim, hiszpańskim, z nagłówkiem Wojskowej Służby Informacyjnej i pieczęcią Republiki, widniały dane: Juan Ortiz Hidalgo. Wsunął go do kieszeni. Portfel z pozostałymi papierami wrzucił do kosza na śmieci i odszedł szybko, choć nie na tyle, by zwrócić to czytając uwagę.

Popychając drzwi Martinho da Arcada – kawiarenki i restauracyjki o skromnych białych ścianach, w podcieniach praça do Comércio – Falcó zorientował się, że ma plamy krwi na prawym mankiecie koszuli. Wszedł; pozdrawiając kelnera, zobaczył, że Brita Moura siedzi tyłem do niego w głębi, przy ostatnim stoliku obok okna. Ruszył od razu do łazienki, zasunął zasuwkę, odkręcił kran i połknął dwie kopiryny, popijając wodą zaczerpniętą złożonymi dłońmi. Potem zdjął marynarkę, odpiął złotą spinkę łączącą wykrochmalony mankiet z rękawem i szorował tak długo, aż krew prawie zniknęła. Osuszył mankiet papierowym ręcznikiem i przypiął do rękawa. Patek philippe na lewym przegubie wskazywał jedenaście minut spóźnienia. Mieściło się w granicach rozsądku i oczekująca nań kobieta nie powinna być zbyt wściekła. A przynajmniej nie zbyt długo.

Dotknął kieszeni marynarki, by sprawdzić, czy koperta wciąż tam jest. Następnie przyjrzał się uważnie swojemu odbiciu w lustrze w poszukiwaniu innych śladów niedawnego zajścia, lecz zobaczył tylko wizerunek atrakcyjnego mężczyzny w wieku trzydziestu siedmiu lat, w ciemnym garniturze o nieskazitelnym kroju, z zaczesanymi do tyłu czarnymi włosami błyszczącymi od brylantyny. Przeciągnął po nich ręką, by je mocniej przygładzić, i poprawił węzeł krawata. Przy tym drugim geście jego twarz, stwardniała przez lata napięcia i niebezpieczeństw, rozluźniła się nieco, przybierając wyraz ironiczny i uprzejmy: minę przystojnego mężczyzny,

który spóźnia się na spotkanie, tuszując ten fakt uśmiechem, pewien, że zostanie mu wybaczony.

– Na miłość boską... – powiedziała z wyrzutem kobieta. – ... sterczę tu od pół godziny samotnie jak głupia i czekam na ciebie.

– Przykro mi – odrzekł Falcó. – Zatrzymał mnie ważny interes.

– Dziwna pora na interesy. A poza tym dziwne miejsce wybrałeś na spotkanie.

Falcó posłał jej spokojny uśmiech.

– Co jest nie tak z tym miejscem?

– To jakaś zwykła garkuchnia... Mogliśmy wybrać się do lepszej restauracji, z muzyką.

– Lubię tę garkuchnię. Kelnerzy są sympatyczni.

– Co za bzdury.

Brita Moura nie była przyzwyczajona do tego, że mężczyźni spóźniają się na spotkanie z nią. Brunetka o dużych zmysłowych ustach i obfitych kształtach przyciągających co wieczór pełną widownię teatru Edén – rewia nosiła tytuł *Solteira e sem compromisso* – miała sztuczne rzęsy i wargi barwy intensywnej czerwieni à la Crawford. Czarne włosy zaczesane do tyłu, podobnie jak u Falcó, przytrzymywał lakier, odsłonięte czoło nadawało jej nieco męski wygląd. Jej twarz zdobiła wiele plakatów reklamowych i okładek portugalskich tygodników ilustrowanych. Urodzona dwadzieścia siedem lat temu w małej wiosce w Alentejo Brita należała do kobiet, dla których młodzi tracili głowę, a starzy – portfel. Przebyła ciężką drogę, zanim została słynną aktorką i gwiazdą, i bez wahania kazała za to płacić nielicznym szczęśliwcom, którym udało się do niej zbliżyć. Falcó należał jednak do tych, do których miała feblika. Poznali się pięć tygodni temu przy ruletce w kasynie w Estoril i widywali się od czasu do czasu.

– Na co masz ochotę? – Falcó czytał menu najnaturalniej w świecie.

Marszczyła nos, dając się jeszcze. Naburmuszona.

– Przeszedł mi apetyt.

– Ja zamówię dorsza z rusztu... Napijesz się wina?

– Jesteś pozbawioną uczuć kanalią.

– Nie. Po prostu jestem głodny. – Kelner czekał przy stole z pochyloną głową. – Dla ciebie też ryba?

Nie mówił prawdy. W ogóle nie czuł głodu, lecz owa prozaiczna liturgia społeczna pomagała mu ochłonąć. Schronić się za tarczą banalnej i błahej konwersacji z piękną kobietą. Uporządkować myśli i cele. Wspomnienia niedawnych wydarzeń.

– Tylko jakaś lekka zupa – oznajmiła Brita. – Jestem za gruba.

– To absurd, kochanie. Jesteś doskonała.

– Naprawdę tak uważasz?

– Tak. Olśniewająca.

Jej mina złagodniała. Poklepała się po biodrach.

– A ci z magazynu „Ilustração” mówią, że przybieram na wadze.

Falcó uśmiechnął się z zimną krwią światowca. Wyjął szylkretową papierośnicę i zaoferował jej playersa.

– Ci z magazynu „Ilustração” to durnie.

Pochyliła się ku niemu nad stołem, przysuwając papierosa do płomienia srebrnego parkera beacons.

– Masz mokry mankiet – zauważyła.

– Owszem. – Falcó zapalił swojego papierosa. – Woda prysnęła z kranu, kiedy myłem ręce.

– Śmieszne.

– Tak.

Palili, oczekując na kolację. Ból głowy Falcó zniknął. Brita opowiadała o pracy, o powodzeniu rewii, o kontrakcie na nową, która trafi na afisze za kilka miesięcy. O projekcie filmu, w którym zaproponowano jej udział. Falcó słuchał z miną zainteresowaną i grzeczną, wpatrzony w oczy kobiety z udawaną atencją, formułując w określonych momentach, jakby zgodnie ze scenariuszem – w gruncie rzeczy tak właśnie było – właściwe komentarze i stosowne pytania. Jeden z twoich najbardziej perwersyjnych czarów, powiedział mu kiedyś Admirał, polega na tym, że potrafisz słuchać tak, jakby od tego, o czym mowa, zależały twoje życie i twoja przyszłość. Jakby było to coś najważniejszego na świecie. A kiedy ofiara zauważy w końcu podstęp, jest za późno, bo już zwędziłeś jej portfel albo wbiłeś nóż w pachwinę. Albo, w przypadku kobiety, wpakowałeś się jej do łóżka.

– Dokąd potem pójdziemy? – zainteresowała się Brita.

– Nie myślałem jeszcze o tym.

Była to prawda. Głowę miał aż nadto zaprzątniętą kopertą spoczywającą w kieszeni, martwym łącznikiem i martwym agentem republikańskim, tym, który uciekł, a który do tego czasu z pewnością poinformował swoich o incydencie. Tym, jak zareaguje portugalska policja. Prospektem Norddeutscher Lloyd Bremen, listą statków, informacją, którą powinien przekazać, po rozszyfrowaniu, dowództwu SNIO – Państwowych Służb Operacyjno-Wywiadowczych. W zasadzie nie było pośpiechu, kontakt z Salamanką zaplanował na poranek następnego dnia, lecz nawet uroda kobiety siedzącej naprzeciwko nie była w stanie rozproszyć jego niepokoju. Coś w owej kopercie, coś w wydarzeniach sprzed pół godziny w Alfamie nie było tym, na co wyglądało. Widział urwane nici i czuł, że nie spocznie, dopóki ich nie powiąże.

– Chcesz jeszcze trochę wina?

Przysunął butelkę do kieliszka kobiety. Jej uśmiech oznaczał, że rozwiały się ostatnie chmury. Stopniały lody. Wszystko w porządku.

– Dzięki, kochanie.

Z Britą Mourą spał już Falcó kilka razy. Cztery, ściśle rzecz ujmując: raz w hotelu Palacio w Estoril i trzy razy w Lizbonie w jej luksusowym apartamencie przy travessa do Salitre. Nie spodziewał się zatem wielu nowości pod tym względem, nie licząc ciepłego, czasowego powrotu do intymnych zakątków wspaniałego ciała, skądinąd rutynowego i o skąpej wyobraźni, choć owszem, nieszczędnego soków chętnych, wdzięcznych i obfitych. Zanosilo się w sumie na przyjemne dwie, trzy godziny przed powrotem do hotelu – nie był zwolennikiem nadstawiania karku nocowaniem w cudzych domach – z rękami w kieszeniach i z postawionym kołnierzem, o świcie, lawirując między strumieniami wody z węży miejskich sprzątaczy. To była najgorsza część programu. Nie miał powodów, by wpadać w euforię.

– Możemy iść potańczyć – zaproponowała. – Do Bairro Alto. Otworzyli nowy lokal nieopodal Tavares, bardzo dobry... Amerykański jazzband z czarnymi muzykami.

– To jakiś pomysł.

Brita znów przechyliła się ku niemu. Opierała łokieć na stole, wysoko w dwóch palcach trzymała papierosa z czerwoną obwódką szminki. Zarazem wyrefinowana i wulgarna. Okrągłe piersi ocierały się o obrus.

– Zgadnij, co mam pod spodem – szepnęła.

Uśmiechała się obiecująco. Falcó zlustrował plisowaną suknię od Balenciagi – fioletowa krepa – spojrzeniem badawczym i uprzejmym. Podczas ostatniego spotkania żartowali na temat kobiecej bielizny, osądził więc, że odpowiedź nie będzie trudna.

– Czarny jedwab?

- Nic. – Zniżyła nieco głos. – Nie mam na sobie nic.
- Zdefiniuj mi to nic. – Uśmiechnął się Falcó.
- Nic czyli nic, głuptasie. Absolutnie nic.
- Absolutnie?
- Właśnie tak. Nie włożyłam ani gorsetu, ani majtek.
- Ach.

Sprawdził – to absolutnie nic – godzinę później, gdy tańczyli w nowym klubie jazzowym i pieścił biodra Brity Moury. Między materiałem sukni a skórą nie było nic, a ruch jej ciała, zmysłowy i dostosowany do okoliczności, pobudził go na tyle, że troski zawodowe odeszły na bok. Może w sumie, uznał, nie było złym pomysłem wpadnięcie do jej apartamentu na małe bara-bara, cześć i do widzenia, przyjemna wymiana mikrobów. I do pracy. Taki miły przerywnik. Przecież noc dopiero się rozpoczynała, koperta leżała w jego kieszeni, a w Salamance wszyscy teraz spali – kruczata ocalenia narodowego narzucała nowym Hiszpanom nową obyczajność – i nie spodziewali się wiadomości od niego przed jutrzejszym porankiem. Poza tym wzmocniłoby to jego alibi, gdyby portugalska policja zaczęła węszyć wokół trupów w Alfamie.

- Uwielbiam to miejsce – powtarzała Brita.

Lokal nazywał się O Bandido i był obecnie modny w Lizbonie: grano jazz i różne szlagiery. Kelnerzy z kostkami lodu i szampanem, szklankami z whisky i z drinkami o skomplikowanych nazwach krążyli gorliwie między stolikami. Orkiestra amerykańskich Murzynów, prawdziwa albo udawana, na estradzie dawała z siebie wszystko, a na parkiecie roztańczony spocony tłum, w którym migotały stroje wieczorowe i formalne, bawił się wyśmienicie; jedni i drudzy najwyraźniej obojętni na fakt, że o kilkaset kilometrów stąd, po drugiej stronie granicy, okrutna wojna wypełniała

uchodźcami drogi, nieszczęśnikami więzienia, a trupami transzeje, rowy przydrożne i ugory pod murami cmentarzy. Z sarkastycznym grymasem Falcó przypomniał sobie ostatni bal noworoczny przed wojną – spędził go na grillu w hotelu Palace w Madrycie, tańcząc z przyjaciółką – i zastanowił się przelotnie, ile z osób, które wówczas rzucały serpentyny i wzniosły toast, gdy zegar wybijał północ i gdy rozpoczynał się rok 1936, już nie żyje albo wkrótce odejdzie z tego świata.

– O rety! – powiedziała Brita. – Nie patrz. Jest tu ten głupek Manuel Lourinho.

Falcó zerknął kątem oka. Przystojny opalony typ w smokingu siedział przy stoliku z grupą ludzi. Śmiali się i pili.

– Ten słynny lalusz?

– We własnej osobie... Znasz go?

– Coś słyszałem.

– Gra w polo. Czasem piszą o nim w gazetach.

– Aha. – Skojarzył nazwisko. – I w czym problem?

– Jest natrętny. Mieliśmy krótką przygodę, ale wziął to na poważnie i nie daje mi spokoju... A poza tym jest żonaty.

– Ja też jestem żonaty – zażartował Falcó.

Wbiła mu paznokcie w ramiona.

– Łgarz... Któżby się wiązał z takim świszczypałą jak ty?

Wrócili do stolika. Lourinho zauważył ich i obrzucał Britę znaczącymi spojrzeniami. Falcó sięgnął po butelkę bollingera zanurzoną w kubelku z lodem i zobaczył, że jest prawie pusta.

– Poprosić o następną?

– Nie warto. – Brita otworzyła torebkę i pudrowała sobie nos. – Na widok tego palanta przeszła mi ochota na wszystko.

– Na wszystko?

Zamknęła puderniczkę i spojrzała na niego po kobiecemu, z wyższością.

– Zgłupiałeś czy co?

Zerknął na zegarek. Potem przypomniał sobie dotyk jej skóry pod jedwabiem sukni.

– Idziemy?

– Tak będzie lepiej. Zanim ten idiota zepsuje nam wieczór.

Falcó wezwał kelnera i zapłacił rachunek, dorzucając suty napiwek. Kobieta wstała. W tym samym momencie Manuel Lourinho także wstał – był wysoki i barczysty – i skierował się ku nim. Brita przeszła obok, nie zaszczycając go ani spojrzeniem. Falcó owszem. Już miał puścić do niego oko, w sensie dziś ja, jutro ty, kolego, ale powstrzymał się, ponieważ nie spodobała mu się mina faceta, który patrzył na niego spode łba, jakby uznając go za winnego odrzucenia.

– Ej – powiedział.

Jego oddech czuć było dobrą whisky i złymi zamiarami. Falcó przystanął na moment. Gość był niemal o pięćdziesiąt centymetrów wyższy od niego.

– Słucham, przyjacielu.

– Nie jestem pańskim przyjacielem – wycedził tamten. – I zamierzam rozwalić panu ryj.

Falcó westchnął z rezygnacją. Niemal pojednawczo.

– Bardzo mnie pan przestraszył – oznajmił i ruszył za odchodzącą kobietą. Odebrali z szatni jej płaszcz i jego kapelusz – nie miał kurtki – i wyszli na ulicę. Na przystanku naprzeciwko lokalu stały dwie taksówki oraz trzy dorożki. Falcó miał poprosić portiera o zawołanie dorożki, gdy usłyszał kroki za plecami. Odwróciwszy się, w świetle latarni zawieszanej przy wejściu zobaczył Lourinha.

– Wychodzisz, nie witając się ze mną, Brito.

Cholera, pomyślał Falcó. Wieczór się komplikował.

– Bo nie mam ochoty witać się z tobą – odparła.

– To niegrzeczne z twojej strony.

– Zostaw mnie w spokoju.

Przywarła mocniej do ramienia Falcó. Prawego. Na wszelki wypadek przesunął ją na lewą stronę.

– Wydzwaniałem do ciebie tyle razy – nalegał Lourinho.

– Mnóstwo ludzi do mnie wydzwania.

Podjeżdżała dorożka wezwana przez portiera. Lourinho stanął przed nimi, tarasując im przejście.

– Zdzira – wyrzucił z siebie, jakby sfluwał.

Falcó skrzywił się. Sprawy wymykały się spod kontroli. Albo miały się wymknąć za sekundę lub dwie.

– Proszę wybaczyć – powiedział, chcąc obejść rywala i poprowadzić Britę do dorożki.

– Nazwał mnie zdzirą – zaprotestowała kobieta. – A ty nic mu nie powiesz?

– Wsiadaj do dorożki... Jedziemy.

Ale Lourinho znów zastąpił im drogę z groźną miną. Odsunął ręce od ciała jak zapaśnik gotowy do walki i patrzył na Falcó.

– Zabiję cię – zapowiedział.

Falcó odetchnął głęboko, puszczając ramię kobiety. Wpatrywał się bacznie w twarz rywala znajdującą się bardzo blisko, nieco powyżej swojej twarzy.

– Ty nikogo w życiu nie zabiłeś – powiedział bardzo powoli.

Może zadziałał ton, a może gest. Wzrok Falcó. Oczy i mina Lourinha ukazały całą gamę uczuć. Jedno po drugim. Najpierw zdziwienie, potem zrozumienie i lęk. A wówczas cofnął się o krok. Coś w tym wszystkim nie zgadzało się z jego planem, a jego mózg zamroczony alkoholem próbował odgadnąć, co tu nie gra. Ale trwało to tylko kilka sekund, bo Falcó nie dał mu więcej czasu. Postąpił krok w przód, ten sam, o który cofnął się Lourinho, i uniósł ręce z uśmiechem, jakby zamierzał objąć przeciwnika po przyjacielsku i zakończyć starcie. A jednocześnie wciąż z uśmiechem na ustach – widok uśmiechu rozbrajał każdego – rąbnął go kolaniem w krocze tak mocno, że ów zgiął się wpół, najpierw ze zdumienia, potem z bólu. Świadomy, że pełen efekt ciosów tego typu następuje po trzech, czterech sekundach, walnął go jeszcze łokciem w twarz. Lourinho zwałił się na kolana z jedną ręką przed oczami, a drugą między nogami, wypuszczając z ust powietrze ze świstem, jakby ktoś ścisnął mu miech w płucach.

Falcó odwrócił się do portiera, wyciągając banknot złożony wpół.

– Z pewnością zauważył pan, że wasz gość jest nieco niedysponowany – oznajmił z niezmałym spokojem. – Dlatego właśnie potknął się i upadł... Widział pan to, nieprawdaż?

Portier schował napiwek do kieszeni marynarki z galonami. Jeszcze chwilę temu oburzony, uśmiechał się teraz od ucha do ucha.

– Bardzo dokładnie, proszę pana.

Falcó także uśmiechnął się porozumiewawczo uśmiechem osoby, która żywi niezłomną wiarę w okrucieństwo, głupotę i pazerność istot ludzkich.

– Zapewne zbyt dużo whisky.

– Oczywiście.

Na zewnątrz panowała jeszcze noc. Przez zasłony przedostawał się do sypialni blask neonowej reklamy porto Sandeman z budynku usytuowanego

naprzeciw. W mroku, rozparty na fotelu, nagi pod zarzuconym na ramiona szlafrocikiem Brity Moury, Falcó z papierosem w ustach kontemplował ciało śpiącej kobiety. Kaloryfery zapewniały przyjemną temperaturę, a Brita spała głęboko, odkryta, na plecach. Słyszał równy, regularny rytm jej oddechu. Leżała nieruchoma, z rozpostartymi ramionami i rozchyłonymi nogami, w pozycji, która w przypadku innej, nie tak pięknej i nie tak zgrabnej kobiety, wydałaby się wulgarna. Słaby blask z ulicy docierał do jej ciała jakby przez liliowe sito, rzeźbiąc kontury w pyszne skrawki światła i cienia. Ciemny gąszcz włosów łonowych prowadził do upajającej czeluści między udami. Zanim wstał na papierosa, Falcó zanurzył w niej delikatnie palce prawej dłoni, a gdy je wyjął, były wilgotne od jego nasienia.

Myślał teraz chłodno o człowieku zabitym w Alfamie. O charkocie wydobywającym się z gardła, o bąbelkach powietrza w chlustającej krwi. Rozmyślał, gdy należało to do jego zwyczajów i fachu, o płynach i fluidach. O zadziwiającej łatwości, o niepowstrzymanej sile, z jaką istota ludzka może wylać na ziemię pięć litrów z okładem czerwonego płynu, wykrwawiając się nieuchronnie, podczas gdy żaden opatrunek, żadne uciśnięcie palcami, żaden twardy przedmiot dociskający nie są w stanie zatamować krwotoku z tętnicy szyjnej. I po raz kolejny zastanowił się, jak radzą sobie z życiem ci, którzy próbują ignorować ten prosty fakt, że wystarczy pochylić się nad wspaniałym ciałem kobiety śpiącej o kilka kroków od nas i prostym gestem podciąć jej gardło, by przekształcić to ciało w bryłę martwego mięsa.

Zdusił niedopałek w popielniczce i wstał, masując obolałe nerki: nie ulegało wątpliwości, że Brita jest kobietą pełną energii. Więcej niż pełną. Zawiązał szlafrok i ruszył na bosaka po parkiecie w stronę marynarki powieszanej na oparciu krzesła. Wyjął kopertę i poszedł z nią do łazienki.

Przekręcił włącznik światła. Przyglądał się sobie przez chwilę w lustrze: kwadratowy podbródek zaciemiony przez zarost, oczy szare i twarde o źrenicach jeszcze rozszerzonych kokainą, którą poczęstowała go Brita kilka godzin temu. W ustach czuł nalot i suchość.

Odkręcił kran, wypił zachłannie długi łyk wody, po czym wysunął z koperty prospekt Norddeutscher Lloyd Bremen. W przeciągu ostatnich ośmiu godzin dwóch ludzi zginęło z powodu tego papierka o tak banalnym wyglądzie. Przez długą chwilę z największą uwagą studiował nazwy statków i trasy, nie zauważając niczego szczególnego. Wreszcie podniósł papier do nosa i powąchał. Na jego ustach pojawił się uśmiech.

Na szklanej półeczce łazienki stał lichterzyk ze świecą i pudełkiem zapalek. Falcó usunął przedmioty z półki, rozłożył na niej broszurę, potarł zapalką o pudełko, zapalił świeczkę. Przesunął ją pod półką. Robił to ostrożnie, tak by płomień rozgrzał szkło i rozłożony na nim papier, nie podpalając go i nie niszcząc. Nie upłynęło pół minuty, gdy bardzo powoli, najpierw zarys w kolorze ochry przechodzącej w czerwień, później wyraźne litery, drukowane, nakreślone ręcznie sokiem z cytryny, uryną albo innym niewidzialnym atramentem, pojawiły się na marginesie słowa:

Mount Castle, kapitan Quirós. Linie Noreña & Cia. Kartagena – Odessa, czwartek 9.

O dziewiątej piętnaście rano szczupły i raczej miernego wzrostu człowieczek z czarnym wąsem odziany w brązowy garnitur w kratkę, w zbyt luźnej marynarce, w kapeluszu na głowie, stanął w drzwiach sali śniadaniowej hotelu Avenida Palace. Zamieniwszy kilka słów z szefem kelnerów, rozejrzał się badawczo po sali, po czym ruszył do stolika, przy którym zasiadał Falcó, z płachtami „O Século” i „Jornal de Notícias”

na obrusie, pod wielkim kryształowym żyrandolem, obok okna z widokiem na obelisk na praça dos Restauradores.

– Cóż za niespodzianka – odezwał się Falcó, odsuwając gazety.

Człowieczek nie odpowiedział; omiół wzrokiem nagłówek jednego z dzienników – *Intensywne bombardowania nacjonalistów w Madrycie* – następnie samego Falcó, zdjął kapelusz i położył go na krześle. Miał czaszkę spieczoną słońcem. Usiadł, przeciągając dłonią po twarzy. Na tłustej skórze sterczał zarost. Jego wzrok był znużony.

– Zawsze świetnie zakwaterowany – skomentował wreszcie, rozejrzawszy się wokół siebie. – Pokoje po sto dwadzieścia eskudów, jak sądzę.

– Sto czterdzieści.

Przybysz pokiwał głową z pewną rezygnacją.

– Przyda mi się kawa – powiedział cicho. – Nie zmrużyłem oka przez całą noc.

Falcó wezwał kelnera. W odróżnieniu od nowo przybyłego wyglądał świeżo po niedawnym prysznicu i wizycie u hotelowego balwierza; wcześniej wykonał trzydzieści skłonów, jak każdego ranka. Włosy zaczesane do tyłu, nienaganny przedziałek, trzyczęściowy garnitur barwy ołowiu – Anderson & Sheppard, jak głosiła wszywka w podszewce marynarki – jedwabny krawat. Szare oczy lustrowały spokojnie rozmówcę: kapitana Vasca Almeidę z siejącego postrach PVDE – Polícia de Vigilância e Defesa do Estado – portugalskiego wywiadu. Byli starymi znajomymi. Ich przyjaźń, czy też rozsądna relacja, sięgała czasów, gdy Falcó handlował bronią na zlecenie Bazylego Zacharowa, działając między innymi w lizbońskim porcie; drewniane skrzynie bez żadnych znaków ani opisu, ładunki przechodzące z rąk do rąk i figurujące w rejestrach jako urządzenia przemysłowe i tym podobne, w posępnym pejzażu dźwigów, szop, uliczek

z obtłuczonymi kafelkami, burdeli dla marynarzy ze statków zacumowanych przy kejach ciągnących się od Alcântary po Cais do Sodré. Żyj i daj życie innym, to było ich hasło. Wielokrotnie popijali zgodnie, dzielili się informacjami, łapówkami i innymi korzyściami. Portugalia, jak mawiał Almeida, była krajem małym i biednym. O niskich zarobkach.

– Dwa trupy. W Alfamie.

Nie patrzył na Falcó, lecz na dymiącą srebrną kawiarkę, którą kelner postawił na stole. Nalał sobie pełną filiżankę, bez cukru.

– Jeden Hiszpan i jeden Portugalczyk – dodał, zanim wypił pierwszy łyk.

Falcó nie odezwał się ani słowem. Mankiety jego koszuli dotykały obrusu na skraju stołu po obu stronach talerza, gdzie obok pustej szklanki po mleku – od dawna nie pijał kawy – leżały skromne pozostałości tostu z masłem. Czekał. Po kilku następnych łykach Almeida w zamyśleniu wytarł wąs i podniósł na niego wzrok.

– Gdzie spędziłeś noc, przyjacielu?

Falcó wytrzymał jego spojrzenie. Podniósł nieco brwi na znak zdziwienia, jakie wypadło mu okazać.

– Na kolacji.

– A później?

– W barze.

– Byłeś sam?

– Nie.

Almeida pokiwał głową pomalutku, jakby usłyszał dokładnie to, czego się spodziewał. Jeszcze raz przeciągnął ręką po twarzy.

– Jeden Hiszpan i jeden Portugalczyk – powtórzył głucho. – Ten pierwszy zarżnięty jak świniak.

– I?

– Twojemu krajanowi skradziono dokumenty, ale przed chwilą zidentyfikował go pracownik ambasady. To był agent Republiki... Drugi, Portugalczyk, spadł z wysoka albo został zepchnięty. Niejaki Alves. Zatrudniony w agencji zajmującej się konsygnacją statków przy rua do Comércio.

– A czemu opowiadasz mi to wszystko?

– Alves pracował dla twoich.

Falcó zamrugnął powiekami.

– A kto to są „moi”?

– Idź do diabła.

Cisza. Długa. Almeida wypił małymi łyčzkami resztę kawy. Potem przyjął papierosa, poczęstowany przez Falcó, który posiadał dar, nieczęsty, podejmowania przyjaźni w tym samym punkcie, gdzie pozostawił ją miesiące czy lata temu, jakby czas w ogóle nie upłynął. Jeden gest, dłoń położona na ręce czy na ramieniu, wspólne wspomnienie, uśmiech. Z Almeidą wystarczał papieros.

– Potrafisz udowodnić, że w nocy nie byłeś sam? – zagadnął policjant, wypuszczając dym.

– Jasne.

– Mężczyzna czy kobieta?

– Kobieta.

– Znana?

– Dość. – Falcó pozwolił sobie na lekki uśmiech. – Zatem byłbym ci wdzięczny, gdybyś o tym nie rozpowiadał.

– To podaj mi tylko miejsca.

– Martinho da Arcada i O Bandido.

– A potem?

– Jej dom. Wyszedłem cztery godziny temu.

– Gdzie?

– Tutaj. Travessa do Salitre przy hotelu Tivoli.

Przez chwilę Almeida przetrwał otrzymane informacje.

– Znałeś tego Hiszpana? – zapytał w końcu. – Nazywał się Ortiz.

– Nie.

– A Portugalczyka?

– Jeszcze bardziej nie.

– Powiedziałeś jej, że ją kochasz? – Uśmiechną się szelmowsko Almeida. – Nie zaleca się spędzenia nocy z kobietą, która ma ci posłużyć jako alibi, nie mówiąc jej kilka razy, że ją kochasz.

– Z tą nie było potrzeby.

– Szczęściarz.

– Tak.

Patrzyli sobie w oczy, jakby grali w bilard przy jednym z dziewięciu stołów kafejki Chave d'Ouro, jak zwykli byli to robić w mniej burzliwych czasach. Po kilku sekundach Falcó pokazał na gazety.

– Benfica wygrał ze Sportingiem.

– Co to ma do rzeczy?

– Ty jesteś za Benficą, nie?

Znów zamilkli, obserwując się.

– Jak długo się znamy? – zagadnął wreszcie Almeida. – Sześć lat?

– Osiem.

– Wyciągnąłem cię kiedyś z niezłych oparów.

– A ja ciebie.

– Wszystko ma jakieś granice, przyjacielu.

– Nie wiem, do czego pijesz.

– Te trupy komplikują mi życie.

– Te trupy to powinna być sprawa policji, Vasco. Nie twoja.

– Kiedy chodzi o tajnych agentów, o obywateli portugalskich roztrzaskanych o bruk i hiszpańskich szpiegów z gardłem podejrzanym od ucha do ucha, to moja sprawa. Kapujesz...? Szefowie domagają się wyników. I tu nie ma miejsca na przyjaciół i znajomych.

– To zależy. Twój prezydent Salazar sympatyzuje ze sprawą narodową.

Almeida rzucił mu krzywe spojrzenie. Właśnie tak musiał patrzeć, pomyślał Falcó, kiedy jeden na dziesięciu zatrzymanych i przesłuchiwanym przez niego – taką statystykę podawano nieoficjalnie dla kapitana Vasca Almeidy, zagorzałego antykomunisty – umierał w jego rękach, wyjąc z bólu, albo spontanicznie wyskakiwał przez okno. Potem rozejrzał się wokół siebie z ponurą miną.

– Dziś rano... – powiedział, zniżając głos – ... mój prezydent Salazar mi zwisa.

Zamilkł i zaciągnął się papierosem tak mocno, że wypalił go prawie do końca.

– Poza tym... – dorzucił – ... mój rząd wciąż jeszcze nie uznał twojego.

Falcó siedział nieruchomo, obserwując go z przyjaznym wyrazem twarzy.

– A czego chcesz ode mnie?

Almeida kręcił głową.

– Wojna domowa, żeby zmienić kolor flagi, to okropna wojna. Wy, Hiszpanie, jesteście grzmotnięci. W waszych żyłach płynie jad.

– Nie lubię tej liczby mnogiej w takiej dawce. – Falcó uśmiechnął się. – Kogo dokładnie masz na myśli?

– Jednych i drugich. Czerwonych i faszystów. – Policjant westchnął, patrząc na papierosa, zirytowany jak ktoś, komu nie chcą uznać sprawy oczywistej. – Ponieważ nie możecie już dowalić nam, Portugalczykom, dowalacie sobie nawzajem... Zawsze potrzebujecie kogoś, komu można dowalić.

– Wciąż jeszcze nie powiedziałaś mi, czemu zawdzięczam zaszczyt twojej obecności przy śniadaniu. W twoim pięknym mieście.

Policjant skrzywił się.

– Ty nie jesteś w Lizbonie na wakacjach.

– Zajmuję się interesami, przecież wiesz. Import i eksport.

– Jasne. – Almeida rozgniół niedopałek w pustej filiżance. – A ja tu siedzę dla przyjemności i drapię się po jajach.

– Udowodnij to.

– Że drapię się po jajach?

– Że nie przyjechałem w interesach.

– Mogę cię aresztować. – Spojrzał na niego twardo. – Dać ci wycisk. Skomplikować życie kobiecie, z którą ponoć spędziłeś noc.

– To bez sensu.

– To przestań mnie wkurzać.

– Co chcesz osiągnąć? Żebyśmy przestali być kumplami?

Policjant westchnął, znużony.

– Nie traktuj mnie jak durnia.

– Nigdy nie przyszłoby mi do głowy...

Portugalczyk przerwał mu, podnosząc dłoń.

– Nie mam nic przeciwko temu... – oznajmił sucho – ...że wypruwacie sobie flaki po drugiej stronie granicy i przemycacie niemiecką i włoską broń przez lizboński port, pod warunkiem, że zapłacicie komu trzeba...

Wasze zabawki. To na razie nie jest sprawa PVDE. Ale nie zamierzamy tolerować waszych porachunków na naszej ziemi. Przynoszenia tu waszego gówna.

Falcó pozwolił sobie na gest zniecierpliwienia.

– Słuchaj... Ta rozmowa nie prowadzi donikąd. Nie mam nic wspólnego z tą historią z Alfamy, o cokolwiek w niej chodzi.

– Co nieco o tym wiesz, jestem pewien. Powiedz mi coś, czego będę mógł się ucześcić. Cokolwiek, choćby jakiś drobiazg. A potem rozejdziemy się po przyjacielsku.

– Jeśli są w to wmieszani agenci narodowców, to nie ja. Przysięgam ci, że nic o tym nie wiem.

– Nic? Jesteś tym, kim jesteś, i nie wiesz nic?

– Absolutnie absolutne nic.

– Daj mi słowo honoru.

– Masz moje słowo honoru.

Almeida wpatrywał się weń z uwagą przez kilka sekund. Potem wybuchnął śmiechem.

– Niezły z ciebie skurwieli.

2. ZŁOTO REPUBLIKI

Dwa tygodnie później w Sewilli Falcó wypił ostatni łyk drugiego wermutu, położył na stole banknot pięciopesetowy – bar hotelu Andalucía Palace był bardzo drogi – sięgnął po kapelusz leżący na sąsiednim krześle i wstał. Kelner o szpakowatych włosach i usługowej minie znalazł się przy nim w mgnieniu oka.

- Proszę zachować resztę.
- Dziękuję, proszę pana.
- *I arriba España.*

Ów spojrział na niego, skonfundowany, próbując ustalić, czy chodzi o prowokację, czy o żart. Falcó nie pasował do gości paradujących po mieście z pistoletem i koalicijką, w niebieskiej koszuli czy w czerwonym berecie, podnoszących dłoń do daszka czapki lub ramię w falangistowskim pozdrowieniu. Dla doświadczonych oczu kelnera ten przystojny osobnik w eleganckim kasztanowym garniturze z jedwabnym krawatem i poszetką nie wpisywał się w profil modnego patrioty.

- *Arriba*, jasne – odrzekł przezornie po krótkim wahaniu.

Być może widział, jak aresztowano czy rozstrzelano mniej zapobiegliwych kolegów. Kto się na gorącym sparzył, ten na zimne dmucha, pomyślał Falcó. Obserwując rezerwę kelnera, zastanowił się, ile uraz klasowych zgromadził ten weteran w białym uniformie przez lata serwowania wermutu sewilskim paniczykom czy innym nadzianym klientom. I czy zachował posadę i życie przez prawie osiem miesięcy po

powstaniu wojskowym dlatego, że w porę podarł legitymację związkową i skandował na część zwycięzców. Może nawet zadenuncjował kogoś, co było najprostszą formą zapewnienia sobie bezpieczeństwa w tym mieście, gdzie represje nacjonalistów w dzielnicach robotniczych i w kręgach republikańskich odznaczały się wyjątkową brutalnością: trzy tysiące rozstrzelanych po osiemnastym lipca. Falcó nie był w stanie powstrzymać się od takich refleksji. Zawsze, gdy stykał się z kimś, kto przetrwał – obojętnie co – zastanawiał się, jaką podłość popełnił, by ocalić życie.

Uśmiechnął się porozumiewawczo do kelnera, poprawił węzeł krawata i ruszył w stronę holu wzdłuż ścian pokrytych pięknymi kafelkami, przez sale biegnące obok środkowego dziedzińca. Przez wielkie okna wpadało wspaniałe słońce. To światło napełniło go optymizmem. Sewilla zawsze cieszyła jego serce udaną mieszanką przeszłości, teraźniejszości i oczekiwania na przyszłość. Przyjechał dziś rano wezwany depezą od Admirala, która wyrwała go z Lizbony: *Zakończ bieżące prace. Stop. Pilnie potrzebny w Salamance*. Jednakże po całym dniu jazdy samochodem i stawieniu się w siedzibie SNIO Falcó został poinformowany przez Marili Granger, sekretarkę Admirala, że ów musiał udać się do Sewilli w bardzo ważnej sprawie.

– Powiedział, żebyś dojechał do niego – dodała. – Jak najszybciej. Żebyś zamieszkał w hotelu Inglaterra i czekał na wezwanie.

– Co się dzieje? – zapytał Falcó.

– Nie mam bladego pojęcia. Dowiesz się, kiedy szef ci powie.

Falcó roztoczył przed Marili najczarowniejszy ze swoich uśmiechów; bez skutku. Wzorowa małżonka i matka, nieinwazyjnej urody, zameżna z oficerem marynarki, który wziął udział w wybuchu powstania w Ferrol, sekretarka Admirala była odporna na wszystko, co nie wiązało się ze ścisłym wykonywaniem obowiązków małżeńskich, rodzinnych

i patriotycznych. Nawet gdy chodziło o Falcó. A może szczególnie, gdy chodziło o niego.

– Nic mi nie powiesz? – nalegał.

– Ani mru-mru. – Waliła w klawisze royala, jakby go nie widziała. – A teraz spadaj i daj mi popracować.

– Słuchaj... Kiedy wybierzemy się na herbatę i ciasteczka?

– Z moim mężem, kiedy tylko sobie zażyczysz.

– Jędza jesteś.

– A ty dziwkarz.

– Tak mawiają złe języki, Marili.

– Co ty nie powiesz.

– Ja jestem pluszowy miś.

– Ucho od śledzia.

Jednakże gdy Falcó przyjechał do Sewilli, hotel Inglaterra – na jego fasadzie widniały jeszcze ślady po ubiegłorocznych walkach ulicznych – był pełen. Nie było też wolnych pokoi w Majesticu i w Cristinie. Wykorzystując ten fakt, zamieszkał w Andalucía Palace, najdroższym i najbardziej luksusowym hotelu w mieście, sto dwadzieścia peset za noc, obleganym przez dowódców wojskowych, wysokich stopniem oficerów Legionu Condor i oddziałów ochotników włoskich walczących po stronie Franco, a także przez biznesmenów – sporo Szwabów polujących na rudy żelaza i na wolfram – oraz osoby związane z lokalną oligarchią.

Jego rachunki płaciło wszakże SNIO, a Admirał zwykle je zatwierdzał, przynajmniej gdy był w dobrym humorze. Wie pan, jaki jest Falcó, mawiał do księgowego – porucznika marynarki o nazwisku Domínguez, krótkowidza, sumiennego i nieprzekupnego – gdy ów przychodził do niego, machając w najwyższym oburzeniu plikiem nieuzasadnionych rachunków. Bezczelny gówniarz, nie przeczę. Ma charakterek i muchy w nosie. Ale

mnie najbardziej obchodzi jego skuteczność, rozumie pan? A ten skurczybyk jest skuteczny jak ostra i inteligentna brzytwa. Tak że uznamy to za inwestycję, jeśli pan i pańskie pieprzone księgi to zniosą. Inwestycję nie do odzyskania, żeby wszystko było jasne. I nie rób pan takiej miny i nie udawaj głuchego, Domínguez. Patrz mi na usta, do diabła. To rozkaz.

Uśmiechał się Falcó, myśląc o swoim szefie, w drodze do holu, gdzie pozdrowił machinalnie portiera, któremu skądinąd nie szczędził sutych napiwków między innymi dlatego, że chodziło o falangistowskiego szpicla. Schodząc z pierwszych stopni portyku, stanął twarzą w twarz z mężczyzną w mundurze i kobietą, którzy wysiedli z lincolna zephyra prowadzonego przez szofera i wchodzili na schody.

Instynktownie, ponieważ na tyłach obierał inną strategię niż na polu bitwy, skierował wzrok najpierw na kobietę, omiatając ją od stóp do głów: buty wysokiej jakości, ładne nogi w jedwabnych pończochach, droga torebka, ciemna i dobrze skrojona sukienka na zgrabnym ciele. Turkusowy naszyjnik. Gdy dokończył lustrację, spod wąskiego ronda filcowego kapelusika z bażancim piórem spoglądały na niego ze zdumieniem zielone oczy Cheski Prieto.

– Dzień dobry – odezwał się neutralnym tonem, dotykając kapelusza.

Zamierzał iść swoją drogą, nie zatrzymując się, lecz zobaczył, że towarzysz kobiety dostrzegł jej reakcję. Spojrzał wówczas na niego uważnie i rozpoznał go: Pepín Gorguel Menéndez de la Vega, małżonek. To zmieniało postać rzeczy.

– Cóż za niespodzianka.

Falcó zdjął kapelusz i z zimną krwią wyciągnął prawą rękę, by ucisnąć dłoń kobiety obleczoną w rękawiczkę z delikatnej skórki. Następnie odwrócił się do męża i przedstawił:

– Lorenzo Falcó. Znamy się z widzenia, jak sądzę.

Uśmiechał się uprzejmie. Był to popisowy numer z repertuaru cudzołożnika, choć w tym konkretnym przypadku na żniwa należało jeszcze poczekać. Po chwili wahania Pepín Gorguel potaknął i wyciągnął rękę bez zbytniego entuzjazmu.

– Nie przypominam sobie – stwierdził.

Jego ton był oschły, pełen wyższości, licujący z postacią. Hrabia Migaloty i grand Hiszpanii, powtórzył w myśli Falcó. Z Jerez – podobnie jak on sam – ich rodzice byli członkami tego samego kasyna i klubu strzeleckiego. Wpływowy. Arogancki kutas w mundurze obnoszący się po Sewilli ze swoim trofeum, tą przepiękną kobietą. Zetknęli się kilka razy przed wojną – w *tablaos*, gdzie śpiewano flamenco, w kasynach i luksusowych burdelach – i wiedział, że Gorguel, bogaty utracjusz, przebiegły i okrutny, żadną miarą nie zasługuje na damę stojącą dziś u jego boku. Przy pewnej dozie szczęścia, pocieszył się w duchu, ktoś wpakuje mu kulkę w łeb, jeśli wojna potrwa dostatecznie długo. Bang. Regularsi byli oddziałami szturmowymi, mięsem armatnim. A Chesce będzie cudownie do twarzy we wdowieństwie. Wyobrażając sobie, jak wdówka rozbiera się z żałobnej odzieży, podniecił się jak chłopaczek: ciemny jedwab i czarne pończochy na smukłych długich nogach... I złoty łańcuszek z krzyżykiem między piersiami. Na Boga. Na co jeszcze czekają czerwoni, marnując codziennie tyle amunicji? Dupki.

– Chodziłem do szkoły z pańskim bratem Jaime – powiedział Gorguelowi. – I raz czy dwa spotkaliśmy się w Madrycie, w restauracji Or-Kompon. I w Chicote.

– Być może.

Zza tarczy lakonizmu Gorguel obserwował go podejrzliwie. Zapewne przetrawiał relację żony z tym przystojnym typkiem o uśmiechu jak z reklamy pasty do zębów Marfil. Był odziany w wojskową zieleń i khaki,

miał na sobie oficerki wyglansowane i błyszczące tak, że wyglądały jak polakierowane. Był bardzo wysoki i szczupły, o eleganckich manierach, z czarnym wąsikiem kokieteryjnie przyciętym à la Clark Gable. Twarz ogorzała od słońca, trzy kapitańskie gwiazdki na piersi, czerwony pasek na czapce. Ostrożnie z nią, powiedział mu Admirał w Salamance, patrząc na Cheskę. Szczególnie teraz, kiedy tak przestrzegamy konwenansów i te świętoszki brzydzą się nawet rozwodem. A poza tym mąż nosi broń, więc pohamuj swoje skłonności do pocieszania żon facetów walczących na froncie. Z tym gościem żarty kończą się dwiema dziurkami: wlot i wylot.

– Miałem przyjemność poznać pańską małżonkę w Salamance – wyjaśnił Falcó uprzejmie, dostrzegając kątem oka ostrzegawcze spojrzenie, jakie mu rzuciła. – Przedstawił nas sobie Jaime... Jak się miewa pański brat?

Twarz arystokraty rozchmurzyła się nieco.

– Jaime miewa się nieźle – oznajmił. – Przynajmniej tak wynika z jego ostatnich listów. Wycofali go z frontu madryckiego i walczy teraz w okolicy Teruel.

– A pan? – zainteresował się Falcó. – Na przepustce?

– Tygodniowej, ze względów rodzinnych. Po Jaramie.

Falcó uniósł brew, zaintrygowany. Nad Jaramą toczyły się jedne z najcięższych walk tej wojny. Naprzeciw komunistycznych ochotników z brygad międzynarodowych stanęli afrykańscy regularsi z europejskimi oficerami. To oni wzięli na siebie główny ciężar walk z ogromnymi stratami.

– Był pan tam?

Gorguel skrzywił usta pod wąsem z udawanym lekceważeniem.

– Owszem.

– I było tak okropnie, jak piszą w gazetach?

– Może nawet bardziej.

– Gratuluję. Zwłaszcza tego, że może pan o tym mówić.

– Dziękuję. – W oku Gorguela ponownie zaiskrzyła nieufność. – A pan jest w cywilu... Nie został pan zmobilizowany?

Falcó czuł utkwiony w sobie wzrok Cheski.

– Ja zajmuję się czymś innym. Interesami.

Nieufność ustąpiła miejsca pogardzie.

– Rozumiem.

– Import, eksport – Falcó przywołał na twarz wyraz lekkiego cynizmu. – Produkty pierwszej potrzeby i tak dalej... Nie tylko w okopach można bronić Hiszpanii przed marksistowską zarazą.

– Rozumiem.

Pogarda Gorguela była tak oczywista, że można było jej dotknąć. Odwrócił się do Cheski z zadowoloną miną, jakby zachęcając ją do zapamiętania tego dialogu. A to oznaczało zdanie egzaminu. Uznał, że teraz może spojrzeć na kobietę z całkowitą naturalnością. Jasne oczy wciąż przypatrywały mu się z uwagą, wyrażając na poły uznanie, na poły zachętę do ostrożności. Odzyskała samokontrolę. Miała na to wystarczająco czasu dzięki zimnej krwi Falcó. Pozory zostały zachowane. Co ciekawe, powiedział sobie, gdyby między nimi doszło do czegoś poważniejszego, Chesca bez wątpienia okazałaby większy spokój. Kobieta mająca do ukrycia coś poważnego – zwłaszcza mężatka – reagowała zwykle w sposób bardziej opanowany, niż próbując ukryć zwykły flirt. Posłał jej zatem spojrzenie pełne aprobaty i kolejny uśmiech.

– Gratuluję – powiedział. – Musi pani być dumna z męża.

– Jestem.

Wymawiając to słowo, ścisnęła mocniej ramię w mundurze. Gdyby nie plotki, że miała już innych amantów, pomyślał cynicznie Falcó, byłbym

głęboko wzruszony tak cnotliwą postawą. Żołnierz i jego perfumowane wytchnienie. Przez moment Falcó delektował się w granicach rozsądku przepyszną śniadą skórą. Chesca pachniała Amokiem jak ostatnio, na ustach miała czerwoną szminkę. Wciąż była oszałamiająco piękna, uznał z niemal fizycznym bólem. Jaka szkoda, że ten mąż. Ona w Sewilli, ale zajęta. Co za pech. Tak blisko, a jednak poza zasięgiem. Coś zaczęło się między nimi kilka miesięcy temu i nie nabrało kształtu. Nawet zarysu. Ale życie kręci się szybciej niż karuzela.

Gdy oderwał od niej wzrok, napotkał zamyślane spojrzenie męża. Pepín Gorguel lustrował go ponuro, jakby zastanawiając się, co porabiają tak długo na schodach Andalucía Palace. Pora się ulotnić.

– Miło było zobaczyć państwa – oznajmił Falcó, wkładając kapelusz.

Na calle Sierpes kłębili się ludzie. Sklepy obuwnicze, sklepy z kapeluszami, wachlarzami i torebkami, sklepy z zegarkami, sklepy z dewocjonaliami pyszniły się tak bogato zaopatrzonymi witrynami, jakby miasto nie zaznało złego losu. Różnica polegała na tym, że w tłumie przeważały mundury, kobiety odziane na czarno i mężczyźni z żałobnymi opaskami, i że przed wiklinowymi krzesłami zarezerwowanymi dla członków Izby Handlowej pucybutów, których pamiętał Falcó, Cyganów w średnim wieku, z rękami pełnymi odcisków, z dzielnicy Triana, zastąpili młodzi chłopcy klęczący przy skrzynkach z pastą. Ich ojcowie i stryjowie zginęli albo siedzieli w więzieniu po tym, jak generał Queipo de Llano wziął ogniem i mieczem ostatnią redutę Republiki, dzielnicę na drugim brzegu Gwadalkiwiru, która zbrojnie wystąpiła przeciw wojskowemu powstaniu osiemnastego lipca. Prawie osiem miesięcy później na cmentarzu San Fernando i pod arabskim murem La Macareny wciąż jeszcze rozbrzmiewały o świcie salwy plutonów egzekucyjnych. I nie zanosilo się na to, by wkrótce ucichły. Jak głosił nagłówek dzisiejszego „ABC” – Falcó

przejrzał dziennik przy śniadaniu – było niezbędne, aczkolwiek bolesne, amputowanie chorego organu, by uratować pacjenta. Albo coś w tym stylu.

Falcó wszedł do siedziby Izby Handlowej i minąwszy salon, w którym kilku członków w eleganckich garniturach rozprawiało o cenach zboża, podczas gdy inni grali w domino albo czytali prasę – pachniało kawą, koniakami i wypastowanym drewnem – dotarł do miejsca wskazanego przez portiera: saloniku z podwyższoną podłogą i kolekcją zardzewiałych floretów na ścianie. Środek zajmował zabytkowy stół z mahoniu otoczony krzesłami z popękanej skóry; dwa z nich były zajęte.

– Spóźniłeś się – burknął Admirał.

Dowódca SNIO był po cywilnemu, jak zwykle, przed nim na stole leżała sfatygowana skórzana teczka, zamknięta. Falcó podsunął mankiet, by spojrzeć na zegarek. Upłynęły zaledwie dwie minuty od umówionej godziny.

– Przepraszam pana – powiedział.

Admirał burknął coś raz jeszcze spod szarego wąsa, wyciągnął z kieszeni woreczek z tytoniem i fajkę, którą zaczął nabijać, wskazując cybuchem na człowieka siedzącego po drugiej stronie stołu.

– Znasz go, jak sądzę. Ze zdjęć.

Falcó rzucił nań okiem i potaknął. Trudno było nie rozpoznać tego mężczyzny w średnim wieku, o przeredzonych włosach i okrągłych okularach, odzianego w elegancki garnitur w granatowe paski, który Falcó, stały bywalec londyńskich krawców z Savile Row, zaliczył od razu do rzędu oszałamiająco drogich. Cytrynowy krawat był przypięty do kołnierzyka koszuli złotą spinką.

– Myślę, że tak.

Trzecie burknięcie Admirała alias Dzika, El Jabalí. To nie był jego dzień przyjaźni dla świata, ocenił Falcó.

– Myślisz? Marny z ciebie szpieg.

Mężczyzna przyglądał się Falcó ze swojego krzesła, nie wstając i nie wyciągając ręki, z ciekawością entomologa. Było w nim coś lodowatego i nieskazitelnego, uznał Falcó, oczy za grubymi szklami wypełniał przejmujący spokój. Należały do kogoś całkowicie pewnego siebie, zdolnego zakupuć wszystko, czego by potrzebował albo zapragnął, jednym gestem lub jednym słowem. Falcó widywał te oczy na fotografiach w prasie, w rubrykach towarzyskich czasopism ilustrowanych, a nawet, przed epoką Republiki, obok króla Alfonsa XIII w reportażach z polowań i wyścigów konnych czy samochodowych. Ale nigdy w prawdziwym życiu. Z bliska i na żywo, onieśmielający.

– Tomás Ferriol – powiedział.

Admirał wciąż nabijał fajkę. Przemówił, nie podnosząc głowy.

– Odpowiedź prawidłowa. A teraz zapomnij to nazwisko i siadaj.

Falcó usłuchał, próbując zorientować się, co jest grane. Tomás Ferriol, ni mniej, ni więcej. Całkowicie oddany monarchii, nieziemsko bogaty (fortunę – oszukańcze bankructwa i kontrabanda na wielką skalę – zgromadził w przeszłości, w której nikt nie próbował grzebać), ów pirat o białym kołnierzyku, brytyjskich manierach i teutońskim chłódzie stanowił główne wsparcie finansowe buntu przeciwko Republice. Opłacił Dragona Rapide i angielskiego pilota, który osiemnastego lipca przewiózł generała Franco z Wysp Kanaryjskich do Tetuanu, by ów mógł stanąć na czele zbuntowanych marokańskich oddziałów. Podżyrował kwotę miliona funtów szterlingów na dwanaście savoi zakupionych we Włoszech przez powstańców, a gdy te samoloty leciały nad Morzem Śródziemnym w kierunku Hiszpanii, pięć tankowców wycarterowanych przez jedną z jego firm z siedzibą w Londynie pełnych ropy dla państwowej spółki Campsa zmieniło kurs i popłynęło do strefy kontrolowanej przez

buntowników. Choć zachowywał dyskrecję i trzymał się w cieniu, Tomás Ferriol był oficjalnym bankierem narodowej Hiszpanii.

– To jest właśnie mój człowiek. Mówiłem panu o nim w Salamance.

Admirał zwracał się do Ferriola. Obaj popatrzyli na Falcó.

– Powiedział pan, że jest godny zaufania – stwierdził finansista.

– Całkowicie, chociaż na swój sposób.

– Że ręczy pan za jego skuteczność.

– Absolutnie.

– I że jest światowcem.

– Tak... Nie ma nic wspólnego z tymi chudopachołkami, których namnożyło się w dzisiejszych czasach... – Admirał patrzył krytycznie na Falcó, jakby chciał go obrazić. – Zna z imienia portierów, barmanów i krupierów najlepszych hoteli i kasyn Europy i Lewantu... Pochodzi z dobrej rodziny, choć nieco się wykoleił.

– Znam ten gatunek.

Zapadła cisza. Po chwili Ferriol pokiwał lekko głową, a Admirał odłożył fajkę na stół, nie zapalając jej, otworzył teczkę i wyjął kilka dokumentów w tekturowych osłonkach. Położył przed Falcó czystą kartkę.

– Zanotuj, co uznasz za stosowne, ale bez nazwisk, dat i miejsc. Potem oddasz mi tę kartkę. Nie może stąd wyjść żadna notatka.

– Jasne.

– Wolę, żebyś powiedział „rozkaz”. W przeciwnym wypadku ten pan pomyśli, że masz mnie głęboko w dupie.

Falcó uśmiechnął się.

– Rozkaz.

– Kiedy byłeś ostatni raz w Tangerze?

– Trochę ponad dwa lata temu. Zimą trzydziestego czwartego.

Admirał zrobił minę, jakby próbował sobie przypomnieć. W świetle panującym w saloniku szklane oko i zdrowe oko przybrały różny kolor.

– W naszej służbie?

– Tak. – Falcó spojrział powątpiewająco na Ferriola, lecz Admirał zachęcił go gestem. – Sprawa Collinsa.

– Ach. Pamiętam.

Falcó też pamiętał. Pociąg z Ceuty do Tetuanu, jedenaście dni upału, które spędził wyciągnięty na łóżku w hotelu Regina, oczekując na rozkaz udania się do Tangeru i zlikwidowania angielskiego inżyniera, który grał na dwa fronty. Chodziło o sprzedaż nazistowskiemu Niemcom tajnych materiałów dotyczących republikańskich kopalni; sprawa rozwiązała się w sposób satysfakcjonujący wszystkich oprócz Anglika.

– Byłeś już wcześniej w Tangerze przed tą sprawą? – dociekał Admirał.

– Tak. Wiele razy.

– Znasz dobrze miasto?

– Dość dobrze.

– Kontakty lokalne?

– Coś mi pewnie jeszcze zostało.

– Podaj szczegóły.

– Odmawiam. Z należnym szacunkiem, panie Admirale, to moje kontakty, i to dobre.

Admirał sięgnął po fajkę, wyjął pudełko zapalek, odchylił się na oparcie krzesła i przysunął płomień do cybucha. Ukrywał aprobatę. Potem, wydmuchując pierwsze kółka dymu, spojrzął na Tomása Ferriola, jakby oddawał mu głos. Finansista, który podczas tego dialogu zachował milczenie i nie poruszył się, wpatrywał się w Falcó z uwagą sprawiającą, że

agent poczuł się nieswojo. Miał na sobie oczy ryby z akwarium. Rekina, ściślej rzecz ujmując.

– Zna pan historię złota z Banku Hiszpanii?

Falcó zamrugał powiekami, zaskoczony. Takiego pytania się nie spodziewał.

– Wiem chyba to, co wszyscy.

– A co wiedzą wszyscy?

– Że rząd Republiki wysłał je do Rosji pod koniec ubiegłego roku, chcąc zapewnić sobie dostawy broni i amunicji i nie dopuścić do tego, żeby wpadło w ręce nacjonalistów, gdybyśmy zdobyli Madryt. W każdym razie takie krążą słuchy.

– I to jest prawda.

Falcó skrzywił się.

– Zatem cieszę się w imieniu Rosjan.

Nie podobała mu się lakoniczność Ferriola. Ów przyjął sarkastyczną uwagę z pozoru beznamiętnie, ale prawe oko Admirała rzuciło podwładnemu mordercze spojrzenie.

– Gównu nas obchodzi, z czego się cieszysz i co cię smuci – orzekł. – Rozumiesz?

– Rozumiem.

Fajka wypluła kłęb dymu.

– Przepróż, do diabła.

– Przepraszam.

Błysk rozbawienia przemknął za szklami okularów Ferriola. Ma wąskie i blade wargi, zauważył Falcó. Gdybym był kobietą, nie chciałbym, żeby całowały mnie takie usta, pomyślał.

– Złoto zaczęło wyjeżdżać potajemnie z Madrytu we wrześniu – wyjaśnił finansista. – W wielu partiach, pod silną eskortą milicjantów i karabinierów. Niewielka część została wysłana do banków francuskich drogą powietrzną... Prawie cała reszta, dziesięć tysięcy skrzyń zawierających złoto w dawnych monetach i sztabach, została zgromadzona w prochowni La Algameca w Kartagenie i załadowana na rosyjskie statki, które wzięły kurs na Morze Czarne.

Falcó podniósł rękę jak grzeczny uczeń.

– Mogę zadawać pytania?

– Jasne – odrzekł Ferriol.

– Jeśli tylko nie będą impertynenckie – uzupełnił Admirał.

– O jakiej ilości złota mówimy?

Ferriol spojrział na swoje paznokcie, zde gustowany.

– Szacujemy je na jakieś sześćset, siedemset ton. Co najmniej.

– Co oznacza, według aktualnej wartości?

– Ponad dwieście milionów peset.

– Och – powiedział Falcó z podziwem. – Nie sądzę, żeby Stalinowi zabrakło teraz forsy na wódkę.

Ferriol odwrócił się do Admirała. Jego uśmiech był tak lodowaty, że nie wyglądał już na uśmiech.

– Zawsze jest taki bezczelny?

– Ma zalety, które to kompensują.

– Niech pan mnie uspokoi i poda jedną.

Admirał zastanawiał się przez sekundę.

– Czarowanie jest jego drugą naturą.

– A pierwszą?

– Lojalność.

- Wobec kogo?
- Wobec siebie. I wobec mnie.
- W tej kolejności?
- Tak, w tej... Ale miejsca wystarcza na obie.

Nastała cisza. Tytoniowy dym i cichy dźwięk wydawany przez Admirala, który pykał fajkę. Ferriol wyglądał, jakby wazył w myśli lojalności, bezczelność i skuteczność, a jego beznamiętna twarz nie zdradzała werdyktu.

– Wróćmy do złota – zasugerował Admirala.

– Nie wszystko trafiło do Rosji – podjął finansista, zwracając się znów do Falcó. – Wiemy, że piąta część została wysłana do Marsylii i miała trafić zarówno na oficjalne rachunki bankowe Republiki, jak i na rachunki osobiste. Ministra skarbu Negrína i syna ministra marynarki, między innymi. Jak pan widzi, niektórzy próbują się zabezpieczyć na wypadek, gdyby wszystko zakończyło się rejteradą.

– Przezorny zawsze ubezpieczony – skomentował obiektywnie Falcó.

– Po tym wszystkim... – ciągnął Ferriol – ...zostało jeszcze całkiem sporo złota w La Algamece. Jakies trzydzieści ton. Przyzwoita ilość.

Falcó wyjął z wewnętrznej kieszonki marynarki jasnozielonego sheaffera. Zdjął obsadkę i podliczył szybko kwotę na kartce, którą miał przed sobą.

– Pięć milionów – oznajmił.

– W złotych pesetach – potwierdził finansista. – Innymi słowy, jakies cztery miliony funtów szterlingów.

– Bagatelka. I dalej tam jest?

– Nie.

Znów cisza. Ferriol patrzył teraz na Admirala.

– Dziesięć dni temu... – powiedział ten drugi – ... nocą, w całkowitej tajemnicy, te ostatnie skrzynie zostały załadowane na pokład frachtowca.

– Rosyjskiego? – zainteresował się Falcó.

– Hiszpańskiego.

– Czy ma sens moje pytanie, jaki to statek?

– Nazywa się Mount Castle. – W prawym oku zabłysła szydercza iskierka. – Coś ci to mówi?

Mówiło. Niewidzialny atrament na ulotce Norddeutscher Lloyd Bremen. Człowiek, któremu poderżnął gardło w Lizbonie, i Portugalczyk, którego zrzucili ze wzgórza. Jaki ten świat jest mały, pomyślał.

– Początkowo był jednostką brytyjską – poinformował Ferriol. – Ja sam czarterowałem go kiedyś przed wojną.

– Teraz Mount Castle pływa dla Republiki – uściślił Admirał. – Zarejestrowany w Panamie przez armatora z Asturii, od jakiegoś czasu kpił sobie z blokady marynarki narodowej. Był jak statek widmo. SNIO podejrzewały, że odbył już wiele rejsów, przewożąc broń i zapasy między Walencją, Barceloną, Odessą, Oranem i Marsylią. Za każdym razem zdołał wymknąć się narodowym jednostkom nawodnym i włoskim okrętom podwodnym, które wspomagały frankistów na Morzu Śródziemnym.

– Załoga hiszpańska?

– Na to wygląda. W każdym razie w większości.

– Uzbrojony?

– Lekko.

– Jest pewne, że ma na pokładzie to złoto?

– Tak. Ale tym razem nie dotarł do Związku Radzieckiego. Został zmuszony do obrania przeciwnego kursu. Na Cieśninę Gibraltarską.

– Mount Castle – wyjaśnił Admirał – wypłynął z Kartageny pod eskortą republikańskiego niszczyciela Lepanto; ale czerwona flota dowodzona przez majtków i palaczy po tym, jak wymordowali prawie wszystkich kapitanów i oficerów, była w tej roli równie skuteczna, co smażona barwena. Po tych słowach otworzył jedną z teczek i wyjął małą mapę nawigacyjną. – Płynął wzdłuż brzegu do przylądka Gata, a tam wziął kurs na wybrzeże algierskie. Sądzymy, że miał zamiar wykorzystać wody terytorialne francuskie i dotrzeć jak najdalej na wschód.

Falcó przyjrzał się mapie podsunętej przez szefa, który wskazywał na Cieśninę Gibraltarską. Wąski pasek, mniej niż piętnaście kilometrów w najwęższej części. Gibraltar i Tanger obwiedzione kółkami zakreślonymi czerwonym ołówkiem.

– Co się stało, że popłynął w przeciwną stronę?

– Natknął się na nasz statek. I tam skończyło się jego szczęście.

– Raczej po części – sprecyzował Falcó.

Admirał dokończył relację. Zapadał zmierzch, gdy jeden z dwóch niszczycieli narodowców, Martín Álvarez, namierzył frachtowiec i jego eskortę na wschód od Alboranu. Rozgorzała krótka bitwa, niszczyciel republikański dostał kilka pocisków i załoga uznała, że bezpieczniej będzie się zmyć. To dało jednak czas frachtowcowi na ucieczkę na zachód. Następnego dnia postanowił udawać Anglika, wciągnął angielską banderę i wrócił na poprzedni kurs, ale narodowy niszczyciel, który przeczesywał rejon, nie dał się nabrać. Mount Castle spróbował schronić się w Gibraltarze, ale niszczyciel mu nie pozwolił. Pod osłoną ciemności zawrócił i wyrwał całą naprzód.

– Przez całą noc grali w kotka i myszkę, przesuając się coraz bardziej na zachód, aż wreszcie o świcie czerwony, z naszymi na karku, zawinął do Tangeru.

– Miasta o statusie międzynarodowym – zauważył Ferriol.

– To decydujący czynnik – podkreślił Admirał. – Ni pies, ni wydra.

Falcó analizował w myśli sytuację. Delikatna sprawa. Tanger był portem neutralnym, gdzie nacjonałiści nie mogli nic zrobić, dopóki statek nie znajdzie się znów na otwartym morzu. Jest w miejscu bezpiecznym, ale bez wyjścia. W pułapce na myszy.

– Wciąż jest w Tangerze?

– Tak. Zaczumowany w porcie. A za główkami czeka Martín Álvarez... I na pewno nie da mu się wyśliznąć. Znam jego dowódcę: komandora porucznika Antonia Navię. W marynarce znany jako Tambo... Tambo Navia. Dożarty i skuteczny, ze starej szkoły.

– Jak długo czerwoni mogą tam zostać?

– Już od kilku dni wywieramy silny nacisk – wtrącił się Ferriol. – Czerwoni też. Oni, żeby statek mógł wypłynąć z gwarancją bezpieczeństwa albo pod ochroną... My, żeby wydali nam statek i ładunek w porcie lub żeby zmusili go do wypłynięcia, a tam już go sami złapiemy.

– Jest jeszcze jedno wyjście – uzupełnił Admirał. – Że ich internują i wydadzą nam, kiedy wygramy wojnę... Ale to może trochę potrwać.

Wyjął fajkę z ust i wskazywał nią czerwone kółko wokół Tangeru na mapie.

– I w tym momencie do akcji wchodzisz ty.

Znali się dostatecznie długo, by Falcó odgadł, że Admirał doskonale się bawi: obecnością finansisty, całą sytuacją, lekko beczelnym stosunkiem podwładnego do szefa. Nieformalnym stylem Grupy Lucero, trudnym do zrozumienia dla kogoś z zewnątrz. Niepisanym kodem. Nie mogą sobie pozwolić na żadne zagrywki z tym typem, mówiło zdrowe oko, ale ty owszem. Masz pewien margines. Nieduży, ale zawsze.

– Niewiele wiem o statkach i prawie morskim.

Admirał bez słowa wyjął z teczki kopertę i książkę, i podsunął agentowi. Koperta zawierała trzysta funtów w czekach podróżnych. Książka nosiła tytuł *Statek morski a prawo międzynarodowe*. Falcó schował kopertę, zerknął na tytuł i podniósł niewinny wzrok na Ferriola.

– Wie pan, że zostałem usunięty z Akademii Morskiej?

Finansista pozostał niewzruszony.

– Owszem, i słyszałem, że w niesławie – stwierdził.

– To prawda.

Ferriol odwrócił się do Admirała z pytającym wzrokiem.

– Natomiast nie znam powodu.

– Uwiódł żonę jednego z wykładowców.

– Och.

– Podstępnie i pod osłoną nocy.

– Coś podobnego.

– A potem dał mu w pysk w sali wykładowej.

– Nie wierzę.

– Otóż tak. – Otoczony kłębam dymu Admirał z lubością wtajemniczał rozmówcę w szczegóły biografii Falcó. – Wygląda na słodkiego, eleganckiego chłopczyka, ale bez skrupułów sprzedaje wózek inwalidzki kalekiej matki.

Ferriol przyglądał się agentowi z rosnącym zainteresowaniem.

– Jest zabawniejszy, niż się spodziewałem – zauważył.

Admirał zachował na koniec swoją ulubioną sentencję.

– Pokrętne bywają drogi Pana – podsumował.

– Aż tak?

– Nawet pan sobie nie wyobraża.

– Rozumiem. Ale przypominam panu, że stawka jest wysoka. Sztab główny Caudilla...

– Sprawa nie mogła trafić w lepsze ręce – przerwał mu stanowczo Admirał.

Falcó łączył teraz wątki. Ferriol był bliskim znajomym generała Franco, a brat generała, Nicolás, stał na czele narodowych służb specjalnych, w tym SNIO, czyli wywiadu marynarki wojennej dowodzonego przez Admirala. Wszystko było widać jak na dłoni. Generał stale potrzebującego pieniędzy interesowało złoto Republiki. Pomijając potężny efekt propagandowy, miały z czego opłacić niemieckie i włoskie samoloty, czołgi i działa.

– Mój człowiek... – Admirał pokazywał teraz cybuchem Falcó – ...jest precyzyjny jak szwajcarski zegarek. A gdy trzeba, śmiertelny jak kosa.

Finansista zaśmiał się krótko i sucho. Śmiech był lodowaty jak wyraz jego twarzy.

– Wierzę.

Wpatrywał się z uwagą w oczy agenta. Przenikliwie. Prawie nie mrugał powiekami, zauważył obserwowany. Jak ktoś od dawna przyzwyczajony do oceniania ludzi. I do kupowania ich.

– Niebezpieczny osobnik – podsumował w zamyśleniu.

Admiral poparł jego diagnozę.

– Niewygodny w czasach pokoju – potwierdził. – Ale odpowiedni w czasach takich jak te.

Falcó przenosił wzrok z jednego na drugiego, jakby asystował przy meczu tenisa, w którym on sam był piłką. Zaczynało go to nudzić, więc podniósł rękę.

– Mogę powiedzieć coś à propos?

– Nie możesz. – Admiral znów był poważny. – Twoje zdanie mamy głęboko gdzieś. Ważniejsze jest co innego.

Falcó wyprostował się na krześle, przybierając oficjalną minę.

– Tak czy owak, podkreślam, że z marynarką wojenną nie jest mi po drodze.

– Dobrze wiem, z kim ci jest po drodze, a z kim nie. Ale dopóki służysz pod moimi rozkazami, jesteś porucznikiem marynarki.

– Tylko nominalnie.

– Guzik mnie to obchodzi. Masz stopień oficerski i pagony, nie szkodzi, że są fałszywe i że nie nosisz munduru. To wystarczy, żebyś poszukał posady marynarza albo arcybiskupa Rurytanii. Jasne?

– Tak.

– Nie dosłyszałem.

– Jasne, panie Admirale.

– Niemniej... – zauważył Ferriol – ...misja w Tangerze będzie mniej morska niż lądowa... Chodzi o połączenie marchewki i kija. Rękawiczki i pięści, w zależności od potrzeby. – Białe usta skrzywiły się w nieprzyjemnym uśmiechu. – Kosy mało, przynajmniej na początku.

Falcó wzruszył ramionami. Jeszcze raz zerknął na książkę.

– Czego się ode mnie oczekuje?

– Wolisz streszczenie czy wersję ze szczegółami? – zapytał Admirał.

– Może na początek streszczenie, panie Admirale. Za wiele już emocji na dzisiaj.

– Żebyś pojechał do Tangeru i przywiózł te trzydzieści ton złota.

Falcó zastygł z otwartymi ustami.

– Tak po prostu?

– Po prostu albo wężykiem.

W bramie kina Salón Imperial afisze zapowiadały *Tango Bar* z Carlosem Gardelem i *Rumbo al Cairo* z Miguelem Ligero. Nieopodal La

Campany calle Sierpes pachniała kawą z mlekiem. Cywile i wojskowi jedli śniadanie w ogródkach, a obok kiosku z gazetami kilku chłopców wykrzykiwało najważniejsze informacje dnia: po zdobyciu Malagi i bitwie nad Jaramą siły narodowe umacniają swoje pozycje i tym podobne. *Nasze lotnictwo dominuje na froncie baskijskim*, głosił jeden z nagłówków. *Czerwona dzicz burzy kościoły i niszczy dzieła sztuki*, oznajmiał inny. Wojna będzie długa, pomyślał Falcó. Pożegnawszy się z Tomaszem Ferriolem, Admirał i jego podwładny szli bez pośpiechu zatłoczoną ulicą. Falcó niósł pod pachą podręcznik prawa morskiego.

– Dla Ferriola jest to sprawa osobista – mówił Admirał. – Uważnie śledzi historię Mount Castle, jak wszystko, co ma jakiś związek z pieniędzmi i finansami. Kilka dni temu odbyliśmy spotkanie na bardzo wysokim szczeblu... Caudillo ma coś do załatwienia w Sewilli i my, jego świta, towarzyszymy mu.

– Kto wie o Tangerze?

– W spotkaniu wzięli udział Nicolás Franco, Ferriol, Lisardo Queralt i ja.

To ostatnie nazwisko zmierziło Falcó. Pułkownik Gwardii Cywilnej, stary znajomy. Spojrzał na asfalt pod stopami i skrzywił się.

– Queralt też macza w tym palce?

– Też. – Admirał spojrzał na niego koso. – Nie spotkaliście się jeszcze po twoim numerze w Salamance?

– Nie.

Zatrzymali się przed witryną sklepu filatelistycznego. Admirał przyjrzał się wystawionym znaczkom z miną eksperta. Jeden z nich przykuł jego uwagę.

– Popatrz no... Maltańska dziesięcioszylingówka.

– Nie ma go pan?

– Nie.

– To proszę go przyjąć ode mnie w prezencie. Taki dzień jak ten nie zdarza się często.

– Nie świruj. Widziałeś, ile kosztuje...? To nie pora.

Przyjrząwszy się jeszcze przez chwilę witrynie, Admirał podniósł głowę.

– Lepiej, żebyś unikał Queralta – podjął wątek. – To dupek, ale nie daj zwieść się pozorom... Nigdy ci nie wybaczy, że mu sprzątnąłeś sprzed nosa tamtą Rosjankę. I że załatwiłeś trzech jego ludzi.

– To nigdy nie miało miejsca, panie Admirale.

Admirał pokręcił głową, ruszając przed siebie.

– Nie jestem w nastroju do żartów, chłopcze.

– Ależ ja nie wiem, o czym pan mówi. – Falcó dotknął róna kapelusza z niefrasobliwą miną. – Naprawdę.

Szef popatrzył na niego kwaśno.

– Mam nadzieję, że uda ci się podtrzymać tę wersję, jak pewnego razu ludzie Queralta dopadną cię i zapytają o to w piwnicy.

– Proszę się o to nie martwić.

– W porządku. Tak naprawdę to faktycznie się o to nie martwię. Albo tylko trochę. Zbyt dobrze cię znam... Lepiej niż powinienem.

Przystanął ponownie, tym razem przed wystawą księgarni, i oglądał w roztargnieniu tytuły. Falcó omiółł witrynę obojętnym wzrokiem. Nie przepadał za poważną lekturą. Kiedy już brał do ręki książkę, były to zazwyczaj historie detektywistyczne, a najbardziej lubił powieści w odcinkach drukowane w magazynach ilustrowanych, z Margot i Edith, międzynarodowymi łowczyniami przygód, z angielskimi bohaterami z niesfornym kędziorem na czole i ze złymi Chińczykami w stylu Fu-

Manchú. W czasie długich podróży, żeby zabić czas, sięgał czasem po Blasca Ibañeza albo Somerseta Maughama. Co najwyżej.

– Tak naprawdę to Queralt chciał przeprowadzić tę operację, ale Nicolás Franco miał wątpliwości – powiedział Admirał, nie odrywając wzroku od wystawy. – W końcu dostałem ją ja sam. Musiałem obiecać Ferriolowi, że wszystkim zajmie się mój najlepszy człowiek... Czyli ty.

– Wiem, że jestem pańskim oczkiem w głowie.

Admirał rzucił mu zbieżne spojrzenie oczu szklanego i zdrowego, a było ono bardzo krytyczne.

– To blef. Zawsze lubiłem blefować.

– Jest pan dla mnie jak ojciec, panie Admirale.

– Spadaj na drzewo.

W La Campanie przed barem Tropical orkiestra wojskowa grała *Mi jaca*, nadając tej skocznej piosence akcenty militarne. Zgromadzeni ludzie śpiewali chórem. Przejechał tramwaj z ogromną reklamą środka przeciwko muchom Flit. Patriotyczny napis głosił: *Oczyszczamy Hiszpanię ze szkodliwych plag.*

– A jak przyjął to Queralt?

Admirał pogładził wąsa.

– Jak to on. Był bardzo wkurzony... Musimy zachować ostrożność, bo ten bydlak w trójgraniastym kapeluszu poruszy niebo i ziemię, żeby nam dokopać. Dlatego Ferriol chciał cię zobaczyć.

– I zrobić zdjęcie, jak myślę.

– Jasne. Musi wiedzieć, kogo ukrzyżuje, jeśli wszystko się popieprzy.

– Kilka gwoździ zachowa pewnie dla pana.

– Bez wątpienia. A Queralt z radością chwyci za młotek. – Admirał wydał świst świadczący o złym humorze. – Tu każdy pętał konspiruje,

rzuca oszczerstwa i donosi na innych, żeby jakoś się ustawić... Myślisz, że w ten sposób wygramy wojnę?

– U tamtych jest jeszcze gorzej, panie Admirale. Socjaliści, komuniści, anarchiści...

– Śmietanka każdej frakcji, no tak. A do tego wszystkiego Ruscy. Republika, każdy uważa się za jej ojca i matkę... Liberałem można być tylko w Anglii, a republikaninem w Szwajcarii. U nas jest dramat, ale u czerwonych szopka.

– Bo tamci zabijają na choma, panie Admirale. Kulka w głowę i do piachu. Nie to, co my, zawsze z księdzem, co udziela rozgrzeszenia.

– Nie przeginaj. – Groźne spojrzenie. – I stul dziób.

– Rozkaz.

– Mam potąd twoich głupich żarcików.

– Przykro mi.

– Już to widzę. – Szef wyjął zegarek z kieszeni kamizelki. – Lepiej zaproś mnie na aperitif. Już prawie południe.

– Dlaczego zawsze ja mam zapraszać, panie Admirale? – zaprotestował Falcó.

– Bo ci dobrze płacę. Zaproś mnie na manzanillę.

– Z całym szacunkiem, panie Admirale, wydaje pan na mnie mniej niż Ruscy na katechizmy.

– Nie widzę ani grama szacunku.

– To była metafora.

– Wsadź ją sobie w dupę.

– Rozkaz.

– Ja oszczędzam na emeryturę, a ty jesteś młody. – Zaśmiał się sarkastycznie. – Poza tym jest bardzo prawdopodobne, że nigdy nie

przejdiesz na emeryturę. Wcześniej cię zabiją.

– Nie zgadzam się, panie Admirale. Nie dam się.

– Nikt się nie zgadza. A widzisz, jak to wygląda.

Po czym Admirał zanucił falsetem zwrotkę znanej piosenki:

*Takie jest życie bandyty,
po świecie się poniewiera,
po cudzych łóżkach sypia,
potem w przytułku umiera.*

– Zachwyca mnie pański takt, panie Admirale – powiedział Falcó. –
Powtarzam, że jest pan dla mnie jak ojciec.

Szef wybuchnął przewrotnym śmiechem.

– Zaproś mnie na aperitif, mówię ci. To rozkaz. Co mają zjeść robale,
niech zjedzą chrześcijanie. Czyli ja. Po co niby użeram się z Domínguezem
w kwestii twoich rachunków?

– Ładne przysłowie, to o robalach. Galicyjskie? Z pańskiego miasta?
Z Betanzos?

– Czort go tam wie. Wymyśliłem je przed chwilą.

Dotarli do ogródka Café de París. Po osiemnastym lipca pod wpływem
postawy politycznej Francji i solidarności Mussoliniego ze sprawą
narodową właściciele zmienili nazwę na Café Roma. Szef i podwładny
zasiedli w wiklinowych fotelach pod markizą. Admirał postawił teczkę na
ziemi i odmówił gestem podchodzącemu czyścibutowi.

– Operacja Tanger musi się powieść. Słyszysz...? Nicolás Franco dalej
myśli o połączeniu wszystkich służb specjalnych, a jeśli odda je pod
dowództwo Queralta, mamy przesrane. To rzeźnik.

– My też nie jesteśmy aniołkami, panie Admirale.

– Nie pitol. Nie ma porównania. W zestawieniu z nim jesteście dżentelmenami. – Spojrzał powątpiewająco na Falcó. – No cóż. Ty mniej... Ja, owszem, jestem dżentelmenem. A przynajmniej byłem.

Podszedł kelner w białym fraku i Admirał zamówił dwie manzanille z Sanlúcar. Zimne. Falcó śledził wzrokiem piękną kobietę w żałobie, która wyszła z pobliskiej drogerii. Pewny chód i oszłamiające biodra, odnotował machinalnie, w których nigdy nie zachodzi słońce. Jak w imperium hiszpańskim i te rzeczy.

– A tak naprawdę to nie ma dżentelmenów w naszej profesji – podsumował Admirał.

Włożył do ust pustą fajkę i pykał ją w zamyśleniu. Falcó obserwował go kątem oka. Jego rozmówca był gotów zabić go bez skrępowania wiele lat temu, gdy Falcó handlował bronią, a jego działalność we wschodniej części basenu Morza Śródziemnego wystawiła go na celownik hiszpańskiego wywiadu. Pewnego ranka w Stambule zdał sobie sprawę, że ktoś go śledzi, gdy szedł Grande Rue, mijając chętnych do wymiany piastrów i obdartych rosyjskich uchodźców sprzedających papierowe kwiaty, przyciski do papieru i słodycze z tacek zawieszonych na piersi; ta świadomość ocaliła go przed ciosem noża, który turecki zabójca, nie najlepszy w swoim fachu, próbował wbić mu w wątrobę, gdy zamierzał wejść do czerwonego eleganckiego holu hotelu Pera Palace. Od tamtego czasu Falcó zwracał baczniejszą uwagę na to, co działo się za jego plecami. Przy tym wszystkim Admirał miał praktyczny umysł i cenił zawodową skuteczność po każdej stronie. W efekcie po pierwszej rozmowie, dość napiętej, na tarasie Le Jardin Taksim w Stambule – kawior, miecznik, piwo – i drugiej, bardziej zrelaksowanej, w rumuńskim porcie Konstanca Falcó zaczął pracować dla młodej hiszpańskiej Republiki. Z takich samych powodów pracował teraz dla tych, którzy z nią walczyli.

– Masz awionetkę Puss Moth z brytyjskim pilotem – dorzucił po chwili Admirał. – Czeka na ciebie o piątej po południu na lotnisku Tablada. Jeśli nic się nie wydarzy, wylądujesz na Sania Ramel w Tetuanie dziś w nocy. W Tangerze będziesz jutro rano... Zapamiętałeś wszystko?

– Tak sądzę.

– Nie ufam twoim sądom. Powiedz, co wiesz na pewno.

Falcó wyjął papierośnicę i wyciągnął z niej papierosa.

– Przylatuję dyskretnie do Tangeru... Jestem zwykłym, banalnym biznesmenem. Kontaktuję się z naszym agentem w Tangerze. – Włożył papierosa do ust. – A przy okazji, co to za jeden?

– Nasz człowiek. Nie wiem. Jakiś normalny gość. Katalończyk, nazywa się Rexach. Dobrze sytuowany.

– Godny zaufania?

– Jak to w naszym zawodzie... Mów dalej. Co jeszcze zrobisz po przyjeździe?

– Spotkam się z naszym bankierem, niejakim Seruyą, który odda do mojej dyspozycji pieniądze Ferriola. Postaram się przekupić nimi kapitana Mount Castle. Jeśli mi się nie uda, spróbuję tego samego z jego podwładnymi. – Popatrzył na Admirała jak pilny uczeń na profesora. – Czy dobrze mówię, proszę pana?

– I tu uważaj. – Admirał podniósł ostrzegawczo fajkę. – Na pokładzie znajduje się komisarz polityczny Trejo. Niebezpieczny typek. Komunista, rzecz jasna. Inteligentny skurwiel. Jeśli będzie trzeba, sprzątnij go.

Falcó uśmiechnął się, przechylając głowę i przystawiając płomyk zapalniczki do papierosa. Uśmiech miał obojętny i okrutny. Zdjął kapelusz, odkładając go na sąsiednie siedzenie, w słonecznym świetle jego czarna czupryna rozbliżyła, a stal szarych tęczęwek stwardniała. W żargonie Grupy Lucero i w całym SNIO „sprzątnięcie” było eufemizmem oznaczającym

zabicie, podobnie jak „przesłuchiwanie” oznaczało tortury. A żadne z tych pojęć nie było mu obce.

– Dobrze. – Wypuścił z zadowoleniem dym, rozsiadając się wygodniej. – Sprzątam tego Treja, jeśli będzie trzeba. A czy mam szansę na posiłki, gdyby okazały się konieczne?

– Masz. O kim myślisz?

– O Paquicie Arañii. O ile nie będzie właśnie zajęty mordowaniem.

– Nie ma sprawy. Gdy tylko złożysz dyspozycję, stawi się w przeciągu dwudziestu czterech godzin. Prześlę ci go pocztą lotniczą.

– Jak się będziemy komunikować? Nie mówiliśmy jeszcze o tym.

– Nie chciałem podawać zbyt wielu szczegółów Ferriolowi. W Tangerze są urzędy telefoniczne i telegraficzne, hiszpańskie, angielskie i francuskie. Ale nie ufaj im. Zorganizuję ci operatora radiowego z Tetuanu. Wszystkie ważne informacje przekażesz przez niego. – Wskazał na podręcznik, który Falcó położył na stole. – Tego wydania będziemy używać jako książki szyfrów.

Zamilkł i zamyślił się ponownie. Podano manzanille i talerzyk z dwoma krokiecikami jako *tapas*. Schował fajkę do kieszeni, podniósł krokiecik do ust i natychmiast odłożył. Gorący.

– Cholera.

Wypił szybko łyk manzanilli. Falcó śmiał się dyskretnie.

– To wcale nie jest śmieszne – burknął Admirał.

Wypił kolejny łyk i spojrzał na ulicę. Dwóch Afrykanów w mundurach, espadrylach i turbanach dyskutowało z obwoźnym sprzedawcą błyskotek. Bukiet wyschłych kwiatów i drewniany krzyż z różańcem upamiętniały miejsce, gdzie wiele miesięcy temu zginął falangista w powstaniu przeciwko Republice.

– Sprzątnąć możesz także kapitana Mount Castle, jeśli nie da się go przeciągnąć na naszą stronę – dorzucił Admirał po chwili, jakby właśnie doszedł do tego wniosku. Zniżył głos. Falcó spojrział na niego z nadkieliszka.

– Mówi pan poważnie?

– Jasne... Masz całkowitą swobodę w tej kwestii, ale nie siej trupów na prawo i lewo.

– Zrozumiano. – Wypił łyk. – Postaram się ograniczać.

– Tak będzie dla ciebie lepiej, chłopcze. – Admirał podmuchał przezornie na krokiecik, zanim podniósł go ponownie do ust. – Pamiętaj, że miasto ma status międzynarodowy, i w Komisji oprócz Hiszpanii i innych państw są Francja, Wielka Brytania i przedstawiciel sułtana Maroka... Nie chcemy konfliktów dyplomatycznych. Caudillo dostaje po nich zgagi.

– Wezmę to pod uwagę.

– Tak będzie dla ciebie lepiej – powtórzył Admirał. – Bo ty oszukujesz nawet wtedy, kiedy pracujesz sam.

Patrzył na niego poważnie, inaczej niż zwykle. Falcó zapytał, co jest grane, a szef wykonał ręką nieokreślony gest. Uśmiechał się teraz dziwnie.

– Nie znam nikogo na tym podłym świecie, w którym żyjemy, kto czułby się w tej okrutnej i mokrej robocie tak naturalnie jak ty. Jesteś doskonałym aktorem, skończonym łotrem i niebezpiecznym kryminalistą... Nawet krew spływa po tobie bez śladu, jak po brezencie.

Zamilkł na dłuższą chwilę, jakby rozmyślał nad tym, co właśnie powiedział.

– Tak naturalnie, że to prawie budzi sympatię – dorzucił.

W jego tonie pobrzmiwała nutka podziwu. Może nawet czułości.

– Czujesz się jak ryba w wodzie w środowisku, którego Grecy nienawidzili: w niepewności – dokończył.

Falcó patrzył obojętnie na swój kieliszek. Tego typu refleksje pozostawiał Admirałowi. Gdzieś kiedyś przeczytał, a może usłyszał od kogoś, że zbytne analizowanie spraw prowadziło do wypaczenia ich albo do zniszczenia. Zaczynasz analizować zabijanie albo niezabijanie, umieranie albo pozostawianie przy życiu, co kończy się używaniem prezerwatyw w kontakcie z kobietą pokroju Brity Moury. A to – rozumiane jako symbol – było niewybaczalne. Dla Falcó świat był nieskomplikowanym miejscem: naturalną równowagą adrenaliny, ryzyka, klęsk i zwycięstw. Długą, podniecającą walką. Krótką przygodą między dwiema wiecznymi nocami.

– Przypominasz mi mojego zmarłego syna – powiedział Admirał.

Nie po raz pierwszy szef SNIO mówił o tym. Mocnym pstryknięciem Falcó posłał w dal resztki papierosa. Mężczyzna w pasiastej marynarce, nieogolony, o wyglądzie włóczęgi, schylił się po dymiący niedopałek. Na policzku miał fioletowego siniaka. Ich spojrzenia spotkały się na moment. Falcó odwrócił wzrok, zmieszany.

– Może pan powiedzieć mi coś jeszcze o tym kapitanie Mount Castle?

– Nazywa się Fernando Quirós, pochodzi z Asturii. Doświadczony marynarz... Prześlę ci dokładny raport z wszystkim, czym dysponujemy na temat jego, statku i załogi. Będziesz miał lekturę podczas lotu. A teraz poczytaj sobie to. – Wskazał na książkę. – O czwartej przyjedzie po ciebie samochód. Do hotelu. Idź tam od razu i pakuj manatki... A wcześniej zjedz kroieta. Jest wyśmienity.

Falcó posłusznie włożył kroieta do ust. Człowiek od niedopałka patrzył, jak gryzie i połyka przekąskę, i Falcó przywołał kelnera. Zamierzał poprosić o porcję *tapas* i szklanek wina dla niego, lecz ów odwrócił się do plecami i poszedł w dół ulicy, w stronę przeciwną do orkiestry grającej

muzykę wojskową. Idzie jak nędzarz i przegrany, pomyślał przelotnie Falcó.

– Coś jeszcze, panie Admirale?

– Owszem. – Prawe oko zabłysło nieomal piekielnym blaskiem. – Eva Neretwa jest w Tangerze. I nie uwierzysz: ta bolszewicka suka przyłynęła na pokładzie Mount Castle.

3. POPOŁUDNIOWA HERBATKA

Myślał o niej, gdy wracając do Andalucía Palace, mijał grupę niemieckich oficerów gawędzących w holu i kiedy wszedł po schodach na pierwsze piętro, i rozejrzawszy się instynktownie na prawo i lewo, kroczył bezgłośnie po dywanie długiego korytarza do swojego pokoju.

Jesteśmy kwita.

To powiedziała Eva, gdy widzieli się po raz ostatni.

Nigdy wcześniej nie został tak oszukany, przemknęło mu przez myśl. Nigdy przez żadną kobietę i nigdy w ten sposób. Eva Neretwa alias Eva Rengel, alias Bóg wie kto. Okazała się bezsprzecznym mistrzem w mętnej, niebezpiecznej grze, w którą grali oboje. I ten jej chłód, taki sowiecki. Niemalże nieludzki.

Przez moment bez wysiłku, ponieważ te obrazy często stawały mu w pamięci, zobaczył ją w błysku ognia, gdy strzelała w kark falangiście Juanowi Porteli. I w oknie jej mieszkania w Kartagenie, kiedy obejmowali się półnaczy, podczas gdy plac oświetlały bomby, a smugi z dział przeciwlotniczych przecinały ciemność nad Arsenalem. I tej nocy, gdy wszystko diabli wzięli, klęczącą na tle ostatniej wydmy przed wodą, gdy waliła z lugera, spokojnie, beznamiętnie, osłaniając go.

Nie przestawał o niej myśleć, pakując się: przybory toaletowe, prochowiec Burberry, słomkowa panama, dwa garnitury, sześć wykrochmalonych koszul i sześć zmian bielizny, piżama, trzy krawaty, srebrne spinki, para butów wyjściowych i para sportowych na gumowej

podeszwie. Umieściwszy wszystko w sfatygowanej walizce marki Vuitton, zapalił papierosa i zastygł nieruchomy przed oknem, przez które wpadały strumienie światła, wciąż pogrążony we wspomnieniach. Po chwili zauważył, że palce, w których trzyma papierosa, drżą lekko. Rozeźliło go to. Poczłł głuchy, spokojny i mroczny gniew.

Potrząsnął głową, rozgniół niedopałek w popielniczce i zabrał z szuflad i z wierzchu szafy przedmioty dopełniające ekwipunek, w tym dwie fiołki kopiryny – w jednej ukrywał kapsułkę cyjanku – puszkę playersów, browninga FN 9 mm model 1910, tłumik Heissefeldt wymieniony za kokainę u funkcjonariusza Gestapo, dwa magazynki i pudełko z trzydziestoma nabojami. W sam raz, by załatwić kogo tylko będzie trzeba, uznałby Admirał. Narzędzia pracy. Owinięta w szmatkę, wyczyszczona, naoliwiona broń ciążyła mu przyjemnie w ręce. Gdy ważył ją, jego wzrok stęzał, a kącik ust został przecięty niby nożem sarkastycznym i okrutnym grymasem. Cztery miesiące temu tym pistoletem zabił w Salamance trzech ludzi, by ocalić życie Evie Neretwie.

Jesteśmy kwita, powtórzył sobie.

A wówczas zapukano do drzwi i wrócił do terażniejszości. Boy hotelowy przyniósł zaklejoną kopertę z jego nazwiskiem, bez nazwiska nadawcy. Falcó wręczył mu napiwek, zamknął drzwi, rozerwał kopertę i fala ciepła złagodziła ołowianą szarość jego oczu.

Zamierzam dziś spędzić wieczór w domu mojej przyjaciółki Luisy Sangrán przy Rafael de Cózar numer 8. Może miałby pan ochotę wypić herbatę albo kawę około szóstej.

Notka nie była podpisana, lecz Falcó nie miał żadnych wątpliwości co do jej autorstwa: niebieski atrament, kobiece pismo, pochylone, piórem, cienka kreska i staranna kaligrafia. Wyraźne znamiona bardzo drogiej szkoły prowadzonej przez zakonnice i tym podobne. Tym sposobem Eva

Neretwa, przeszłość i bliska przyszłość w Tangerze zostały chwilowo odsunięte za siebie albo w bok, albo zeszły ze sceny, oddalając się powoli jak statek niesiony prądem. Poza tym, zauważył Falcó, Chesca Prieto nie oparła się pokusie kiczowatego gestu – powieści i kino czyniły spustoszenia nawet wśród inteligentnych kobiet – przed złożeniem kartki na pół i wsunięciem jej do koperty skropiła papier perfumami. Amokiem, rzecz jasna. Szaleń Orientu.

To odkrycie wywołało uśmiech na jego twarzy. Uśmiech poszerzył się, gdy przypomniał sobie spotkanie z nią i z mężem na hotelowych schodach. Pepín Gorguel w lśniących butach bohatera wojennego, z czerwoną wstążką na czapce i kapitańskimi gwiazdkami. Picuś glancuś. Sukinsyn. Sztywny jakby kij połknął, zimny, pełen wyższości, zazdrosny, patrzył na niego, jak gdyby wyczuwał zagrożenie. I słusznie. Trudno mu było robić z tego powodu wyrzuty, przy tak pięknej żonie – Admirał przypisywał jej dwie przygody, choć Falcó nie całkiem dawał temu wiarę – i biorąc pod uwagę fakt, że większość czasu spędzał na froncie, ratując ojczyznę przed bezbożnymi hordami, podczas gdy w Hiszpanii zaczynało świtać i inne cimirymci.

Ta myśl spowodowała, że z piersi Falcó wydobyło się radosne, a zarazem melancholijne westchnienie. Kiedy na horyzoncie pojawił się mąż, ślinka pociekła mu jeszcze mocniej. A ta świetlista Sewilla z domami przyjaciółek i innymi użytecznymi detalami wydawała się lepiej sprzyjać jego celom niż cnotliwa, ciasna i zdewociała Salamanka, gdzie sam Caudillo miał kwaterę główną w pałacu biskupim. Jednakże niestety nie było czasu na skoki w bok. Szósta wybije za trzy godziny, a on będzie wówczas na pokładzie samolotu w drodze do Afryki Północnej. Żegnajcie, chłopcy, jak w tangu. Po raz drugi ta kobieta wymykała mu się z rąk. Żywa i nienaruszona. Co za pieski świat.

Z zawodowego nawyku poszedł do łazienki, wyjął z kieszeni zapalniczkę i spalił liścik. Mieli zezowate szczęście, Chesca Prieto i on, pomyślał, spuszczać wodę, by usunąć z muszli popiół. Przypomniał sobie szklane oko Admirala i roześmiał się na głos z mimowolnego żartu. Potem spojrzął na swoje odbicie w lustrze i pokazał język. Pogodzony z tym, co miał, i z tym, czego nie miał. Rozbawiony wręcz. Jak ktoś powiedział albo napisał – nie pamiętał kto i mało go to obchodziło – co się nie da, to się nie da, a poza tym się nie da.

Zamknawszy walizkę, zszedł coś przekąsić. Samolotem na pewno będzie trzęsło nad cieśniną, lepiej nie lecieć z pustym żołądkiem. Miał czas, dzień był przyjemny, poszedł więc spacerkiem aż do Casa de la Viuda przy calle Albareda. Pod reklamą *Zawsze pytaj o Domecq* – wywołała uśmiech na jego twarzy: Domecqowie byli jego kuzynami – i pod ogłoszeniem z informacją o grzywnach za nieprzestrzeganie nowych patriotycznych reguł – *Za niepodniesienie ręki w hołdzie dla flagi: 30 peset* – wyczyścił buty i zjadł nieco szynki i sera oraz nadziewaną kuropatwę, popił dwiema szklankami wina i wrócił powoli brzegiem rzeki, przystając do kontroli dokumentów na posterunku przy moście.

Żołnierze, młodzi rekruci w furażerkach i brodaci requetes i w czerwonych beretach, z krzyżem na piersi, wszyscy z mauzerami i obnażonymi bagnietami, byli uprzejmi. Jest tylko zakaz, powiedzieli, wchodzenia i wychodzenia z dzielnicy Triana, niegdyś czerwonej części Sewilli, bez przepustki z pieczęcią władz wojskowych. Falcó poszedł dalej, napawając się przyjemną temperaturą i wspaniałym widokiem na drugi brzeg rzeki. Gwizdał *La cumparsitę* i tryskał dobrym humorem. Tej nocy będzie spał w Tetuanie, a następnego ranka znajdzie się już w Tangerze, rozpracowując sprawę Mount Castle i republikańskiego złota.

Znów pomyślał o Evie Neretwie i poczuł, że jego puls przyśpiesza, przekraczając nieco zwykłe sześćdziesiąt uderzeń na minutę. Jak zawsze bliskość akcji pompowała mu w żyły intensywną i radosną trzeźwość. Oczekiwanie nieomal bolesne. Świat był pasjonującym miejscem, w którym wiele się działo, a on przyczyniał się do tego dziania. W gruncie rzeczy był jego częścią. A gdy tak szedł z rękami w kieszeniach, kapeluszem zsuniętym na tył głowy i uśmiechem błakającym się po ustach, cień poruszający się przy jego butach przypominał cień spokojnego wilka. Wilka niebezpiecznego i szczęśliwego.

– Ktoś czeka na pana w barze, panie Falcó.

Podziękował portierowi i ruszył tam. Było wpół do piątej. Przy wielkiej szybie otaczającej środkowe patio korespondenci zagraniczni popijali i głośno rozprawiali, utyskując na cenzurę i trudności z dostaniem się na front. Rozpoznał dwóch czy trzech: niejaki Cardozo z „Daily Mail” i Anglik o nazwisku Philby. Ten drugi pozdrowił go z daleka – poznali się kilka miesięcy temu w Bar Basque w Saint-Jean-de-Luz – lecz Falcó poszedł dalej, nie zatrzymując się. W głębi siedział Admirał pogrążony w rozmowie z trzema mężczyznami w cywilu. Na widok Falcó powstał i wyszedł mu naprzeciw.

– Jest problem z twoją awionetką – oznajmił. – Awaria.

– Poważna?

– Muszą wymienić jakąś część. Rzecz będzie gotowa dopiero jutro rano.

– Czy to odbije się na zadaniu?

– Mam nadzieję, że nie. Kilka godzin w tę czy we w tę nie stanowi różnicy.

– Co mam robić w tym czasie?

– Czekać. Siedzieć w pokoju, dopóki nie przyjdą po ciebie.

Falcó dokonał w myśli szybkich obliczeń za i przeciw, godziny i minuty, przed oczami stanęła mu Chesca Prieto. Owo niespodziewane opóźnienie otwierało przed nim interesujące perspektywy.

– Mogę przejść się po mieście?

Admirał zlustrował go nieufnie. Po chwili jego twarz złagodniała.

– Możesz. Ale unikaj tłoku i pozostawaj w stałym kontakcie. Przez całą noc chcę wiedzieć, gdzie jesteś. Żadnych wypadów na Alamedę.

Falcó uśmiechnął się. Rozjarzona neonami pomimo wojny, z dziewięcioma dansingami i barami na długości stu metrów Alameda była centrum nocnej rozrywki Sewilli, miejscem, gdzie nowa i katolicka Hiszpania pozostawiała jeszcze pewien margines starej wolności. Wszystko należycie uregulowane, rzecz jasna: do Florydy chadzali żołnierze, do Maipú – podoficerowie, zaś Niemcy z Andalucía Palace, Włosi z Cristiny, paniczycy z Falangi w niebieskich koszulach i z pistoletem przy pasie, oficerowie requetesów, Afrykanów i gwardzistów popijali szampana i tańczyli pasodoble i tanga w Excelsiorze.

– Proszę się nie obawiać, panie Admirale... Alameda to nie moje rewiry.

– Cieszę się. – Szef przyglądał mu się, zaintrygowany. – Czyżbyś wybierał się do Jerez, do rodziny? To tylko pół godziny samochodem...

Falcó dotknął węzła krawata z kamienną twarzą.

– Nie myślałem o tym.

– Wiem, że to nie moja sprawa... Kiedy ostatnio widziałeś matkę?

– Z całym szacunkiem, panie Admirale, w pełni zgadzam się z panem. To nie pańska sprawa.

Szef patrzył na niego jeszcze przez chwilę. Potem wykonał przyzwalający gest.

– Masz rację. – Podał mu kopertę z dokumentami. – Oto raporty na temat Mount Castle i przepustki na lotnisko Tablada. Po drodze będą trzy punkty kontrolne... Przewidywany czas startu to siódma rano. Punktualnie.

– Będę tam, panie Admirale.

– Spróbowałbyś nie być.

Falcó schował kopertę do wewnętrznej kieszeni marynarki. Admirał rozejrzał się dokoła, po czym ujął go pod ramię i pociągnął do pustego kąta.

– Wieści z ostatniej chwili. – Zniżył głos. – Rząd Republiki uzyskał dodatkowe pięć dni dla Mount Castle. Może stać spokojnie w porcie, dopóki nie zakończą się rozmowy dyplomatyczne.

– Pod ścisłym nadzorem, jak się domyślam.

– Jasne. Pilnuje go międzynarodowa policja. Wic polega na tym, że my też uzyskaliśmy pozwolenie na postój w porcie dla Martina Alvareza. Stoją przy tej samej kei, kilka metrów od siebie: nasz niszczyciel i czerwony frachtowiec... Jedna załoga patrzy drugiej na ręce, a konsygnatariusze, konsulowie i inni agenci debatują nad ich losem.

Republikanie, wyjaśniał Admirał, chcą uzyskać międzynarodową zgodę na to, żeby Mount Castle płynął dalej pod eskortą jednostki neutralnego państwa, to jest brytyjskiego niszczyciela przysłanego z Gibraltaru, albo poczekał, aż do Tangeru dotrą jednostki republikańskie. Problem polega na tym, że czerwona flota nie ma ochoty wyściubiać nosa poza porty. Nie mają kompetentnych oficerów, bo większość wymordowali – Falcó wiedział, że zaliczał się do nich syn Admirala – a pozostałym nie ufają. O wszystkim decydują komitety, zgromadzenia i głosowania, i nikomu nie uśmiecha się nadstawianie karku za ładunek złota, który pójdzie na konto Ruskich.

– Poza tym... – dokończył – ...gdyby do tego doszło, wyślemy krążownik Baleares, który stoi niedaleko, w Ceucie... A ten dopiero da im popalić.

– Myśli pan, że spróbują uciec na morze? – zagadnął Falcó.

– Wszystko jest możliwe. Ale prawdę mówiąc, nie mam bladego pojęcia. Po to zresztą tam jedziesz, między innymi. Żeby ustalić, co jest grane. Nasz konsul w Tangerze i kapitan Martina Alvareza zostali poinformowani o twojej misji.

Falcó uniósł brew zaniepokojony.

– Ze szczegółami?

– Nie, skądże. Wiedzą, co niezbędne, żeby umożliwić ci działanie.

– A kto dowodzi operacją? Kwatera główna marynarki czy my?

– My. Dlatego masz całkowicie wolną rękę.

– A dowódca niszczyciela?

– Dostał rozkazy współpracowania z tobą, ale nie przeginaj. Każdy ma swoje kompetencje i swoją dumę. Nie sędzę, żeby z przyjemnością przyjął intruza na własnym terenie, ale wypełni rozkazy. Tak że bądź grzeczny i ułatw mu to. Zrozumiano?

– Tak, panie Admirale.

Admirał rozejrzał się raz jeszcze. Wyglądał, jakby zastanawiał się, czy może coś dodać.

– Jeszcze jedno – podjął decyzję i odezwał się. – Powiedziałem ci dziś rano, że Lisardo Queralt chciał przejąć tę operację, ale Nicolás Franco zlecił ją nam... Pamiętasz?

– Doskonale.

– Otóż zaszła pewna zmiana. Ten bydlak dopiął tego, że pozwolono mu na obserwatora w Tangerze.

– Co to znaczy?

– Że operator radiowy, którego ci przyślemy, nie będzie nasz, tylko Queralta... Będzie jego agentem.

– Ale to znaczy, że poznają treść każdej wiadomości, jaką panu prześlę...

– Tak, o to właśnie chodzi. – Admirał wykonał gest bezradności. – Queralt zgadza się na to, że nie bierze udziału w operacji, ale chce śledzić ją na bieżąco. Dostaje to, czego chce, a operacja wobec osób postronnych wygląda na wspólną... Słuchaj, nie patrz tak na mnie.

– I kogóż to mają mi przysłać?

– Jednego z tamtejszych, z SINA w Tetuanie.

Falcó skrzywił się.

– Szpicla.

– Właśnie. Chociaż gwarantują mi, że to najlepszy radiowiec w rejonie.

Falcó rozważył w myśli implikacje tego stanu rzeczy.

– Nie podoba mi się – oświadczył.

– Mnie też nie, ale nic na to nie poradzę.

– A co o tym sądzi Tomás Ferriol?

– On nie miesza się do takich spraw. Ani go to grzeje, ani ziębi.

Falcó myślał szybko, zde gustowany.

– Naprawdę Queralt może wszystko rozpieprzyć?

Admirał pogładził wąsa.

– Nie sądzę, żeby do tego doszło. Caudillo chce tego złota, a Queralt nie odważy się przyczynić do utraty ładunku. A w każdym razie nie otwarcie. Natomiast nie ulega wątpliwości, że zrobi, co w jego mocy, żeby nas udupić.

– Co to za jeden, ten jego ptaszek z Tetuanu?

– Pojęcia nie mam. Skontaktuje się z tobą.

Spoglądali na siebie przez chwilę, jakby żaden nie powiedział wszystkiego. Światło załamujące się w szybie sprawiało, że szklane oko

Admirała zezowało bardziej niż zwykle.

– Jest coś jeszcze – przemówił w końcu. – Ta kobieta, Eva, jak jej tam...

Urwał, oczekując na reakcję Falcó. Ów zachował jednak milczenie, mierząc przełożonego wzrokiem tak beznamiętnie, jakby patrzył na koło ruletki albo słuchał informacji o osobie całkowicie mu nieznaney.

– Zeszła na ląd i bierze udział w rozmowach dotyczących Mount Castle. Zamieszkała w Majesticu. A ty dokąd się wybierasz?

– Do Continentalu, jak zawsze. Naprzeciwko portu.

Admirał omiótł wzrokiem mężczyzn siedzących na fotelach w głębi baru.

– Najwyraźniej ma tu sporo do powiedzenia. To zaufany człowiek Pawła Kowalenki, szefa NKWD w Hiszpanii. To ją wysłał do Odessy, żeby nadzorowała przekazanie ładunku... Dowiedzieliśmy się, że z Portugalii wróciła do strefy republikańskiej i zajmuje ważne stanowisko w Departamencie Zadań Specjalnych. Że brała aktywny udział w zatrzymaniu, przesłuchaniu i egzekucji trockistów... Czyli że wciąż jest grubą rybą.

Zamilkł ponownie, przyglądając się Falcó.

– Nie masz nic do powiedzenia?

– Nie.

– A powinienes, do diabła.

– Nie widzę powodu.

– Wypuściłeś na wolność potężną, wściekłą sukę.

– Ja nie wypuściłem na wolność nikogo.

Prawe oko mierzyło Falcó z jawną wrogością.

– Dziś już na pewno nie jestem w nastroju na żarciki i gierki. Słyszysz mnie?

– Słyszę. Nie taki był mój zamiar.

– Panie Admirale.

Szef SNIO wydał z siebie melancholijne westchnienie, rozglądając się ponownie po sali.

– Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie jestem ciekaw – oznajmił po chwili. – Dałbym wszystko, żeby być przy waszym spotkaniu.

Gdy jego wzrok znów spoczął na podwładnym, ten nadal miał kamienną twarz. Niewzruszoną. Słuchał wyprostowany i spokojny, uważny jak żołnierz. Admirał zaśmiał się cierpko na ten widok.

– Bardzo uważaj na nią, no i na wszystko. – Wyjął zegarek i sprawdził godzinę. – I pamiętaj: po historii w Salamance Queralt i jego chłopaki mają cię na celowniku, jak już mówiłem. Nie zapomnieli o twoich trzech trupach... Wystarczy, że powinie ci się noga, a cię capną.

– A pan, panie Admirale?

Szef SNIO odwracał się już w stronę ludzi czekających w fotelach. Zatrzymał się i spojrzał przez ramię na agenta.

– Ja cię poświęcę, bez dwóch zdań. Mówiłem ci już nie raz. Z najwyższą przykrością rzucę cię na pożarcie lwom i nie zawaham się ani przez moment... W tej grze jestem gońcem i sporo czasu zajęło mi dochrapanie się tego statusu. Ty jesteś zwykłym pionkiem. Takie są reguły i dobrze je znasz.

Wszystko odbyło się zgodnie z konwenansami. Falcó zamieszał łyżeczką w filiżance angielskiej herbaty, skosztował łyk, zapalił papierosa i obrzucił obie kobiety spokojnym spojrzeniem. Siedział tak jak one na wiklinowym krześle pod przeszklonym dachem sewilskiego patio

z płytkami *azulejos* na ścianach i z doniczkami paproci i geranium. W Andaluzji była to pora odwiedzin. Stawił się przy furtce trzy minuty po szóstej, poprawił węzeł krawata, przygładził włosy zaczesane przy użyciu brylantyny, zdjął kapelusz i zadzwonił. Świeżo ogolony, nieskazitelny.

– Powiada pan, że jutro wyjeżdża? – powtórzyła Luisa Sangrán.

– Tak. Interesy.

– Związane z tą przerażającą wojną, jak sądzę.

– Oczywiście.

Pani domu dobiegała czterdziestki. Ani ładna, ani brzydka, ocenił Falcó, ale dystygowana. Mieszkanie było urządzone ze smakiem, cenne obrazy na ścianach, antyki w salonie. Mąż był wziętym adwokatem silnie związanym ze stronnictwem narodowym. Ojca, znanego kordobańskiego przedsiębiorcę, zastrzelili czerwoni w pierwszych dniach powstania wojskowego. Z tego względu Luisa Sangrán miała na sobie ładną sukienkę z czarnej krepy, przydymione pończochy i ciemne buty. Dyskretny makijaż. Na złotym medalionie na sercu nosiła miniaturowy portrecik dwiętnastoletniego syna walczącego na froncie.

– Mój małżonek także jest poza domem. Stale w podróży.

– Współczuję. – Falcó zrozumiał w pół słowa. – To trudne czasy.

– Wprost przeciwnie. Nie musi pan mi współczuć. Odpoczynek od męża od czasu do czasu przyda się każdej kobiecie.

Roześmiali się wszyscy troje, a oczy Falcó spotkały się z zielonymi tęczęwkami Cheski Prieto: miała wzrok zamyślony, skupiony, natężony. Elegancki *tailleur*, ciemny, w popielate i niebieskie paski, opinał jej biodra, gdy siedziała, genialnie dopasowując się do długości nóg, teraz skrzyżowanych, z rąbkiem spódnicy o piędź nad kolanem, dokładnie tam, gdzie powinien się znajdować. Śmiały obcas i czarne pończochy. Nogi

bezapelacyjnie, absolutnie, całkowicie posągowe, stwierdził, zerknąwszy na nie dyskretnie. Nogi kobiety doskonałej.

– Jeszcze herbaty?

– Nie, dziękuję pani... Wystarczy.

Nie było przesady w prezentacjach i powierzchownych wyjaśnieniach. Dzień dobry, dziękuję za przyjęcie zaproszenia, miło mi gościć pana. Chesca mówi, że ma pan interesujące wiadomości na temat ostatnich wydarzeń. Że pan wiele podróżuje. Wszystko rozwijało się naturalnie, kurtuazyjna wizyta, przyjaciółki darzące się zaufaniem, odpowiednia pora, wolne popołudnie dla służby, pełna zgodność z konwenansami. Mężczyzna przystojny, owszem, ale dżentelmen w każdym calu, dwie damy, koleżanki ze szkolnej ławy, z którymi popija herbatę i gawędzi o bolesnych wydarzeniach rozgrywających się w Hiszpanii. Nic do zarzucenia.

– Czyli chodziły panie razem do szkoły?

– Tak. Do Najświętszego Serca... Krzyż na ścianie, dyscyplina i nabożeństwa majowe.

– Urocze.

– A pan?

– Szkoła prowadzona przez zakonników w Jerez. Dopóki mnie nie wyrzucili.

– Och! – Luisa Sangrán uśmiechała się, zaintrygowana. – Mówi pan to z takim spokojem. Wyrzucono pana z wielu miejsc?

– Z niektórych.

– Prawie wszystkich – sprecyzowała Chesca.

Roześmiali się ponownie. Od czasu do czasu Falcó zauważał porozumiewawcze spojrzenie, jakie wymieniały kobiety, tak wymowne i charakterystyczne dla ich płci. Niezły jest ten twój kolega. Rozumiem, że tak się narażasz, córeczko. Ja na twoim miejscu postąpiłabym tak samo.

I tak dalej. Ale to nie była prawda, a w każdym razie nie cała. Falcó wiedział dostatecznie dużo o kobietach, by domyślić się, że Luisa Sangrán raczej nie odważyłaby się na taki krok. To nie było w jej stylu. W jej tonie. Zadowalała się współnictwem, życiem za cudzym pośrednictwem. W tym także okazywała się bardzo kobieca. Jak słuchowiska radiowe. Życie cudzymi emocjami, wczuwać się w nie. Czułość, wspomnienia z lat dziecińczych czy młodzieńczych, solidarność, stare kody wypracowane przez wieki domowej goryczy i smutnego milczenia. Kobiety stowarzyszone z kobietami, tradycyjny łup wojowników, kapłanów i tyranów, smakujące w ten sposób intymną zemstę. Podziw dla odważnej przyjaciółki zdolnej dotrzeć tam, gdzie inne kobiety czy ja sama bym się nie ośmieliła.

Ta sprawa, co nie ulegało najmniejszej wątpliwości, miała być przedmiotem wielu sekretnych rozmów między nimi dwiema. Długich wyznań snutych przyciszonym głosem.

– Pochodzi pan z Jerez? Z tamtejszej gałęzi Falcó?

– Mniej więcej.

– Znam niejakiego Alfonsa Falcó... Mówi coś panu?

Zaciągnął się papierosem. Roztargnione spojrzenie na kółka niebieskawego dymu. Niejaki Alfonso był jego starszym bratem. Po śmierci ojca przejął prowadzenie rodzinnej firmy – wytrawne Tío Manolo, brandy Emperador – sklepy z winami i całą resztę. Opiekował się także owdowiałą matką. Po powstaniu odzyskał całą własność, po ucieczce lub rozstrzelaniu związkowców, którzy przekształcili firmę w bałaganiarską spółdzielnię pracowniczą. Lorenzo Falcó i jego rodzina nie widzieli się od ponad dziesięciu lat. Nawet nie pisywali do siebie. Opowieść o synu czy bracie marnotrawnym zawierała pewną nieścisłość: pewien gatunek czarnych owiec nigdy nie wracał do domu. I nie każdy Kain podnosił rękę na Abła.

Bierz sobie barany i warzywa, kochany. Niech ci pójdą na zdrowie. Niekiedy Kain po prostu pakował manatki i zmywał się.

– Odrobinę.

– Ma dwie siostry, tak mi się wydaje. Lolitę i Pitusę. I ożenił się z niejaką Gordon.

– Być może.

– Naprawdę nie należy pan do tej rodziny?

– Nie. – Za swoją niewinną minę Falcó zająłby pierwsze miejsce w każdym konkursie. – Absolutnie.

– Udaje – powiedziała Chesca.

– Nie mów.

– Tak, mówię ci.

Kolejne dziesięć minut banalnej, przyjemnej konwersacji. Falcó rozśmieszył je wielokrotnie, sypiąc z rękawa wymyślanymi na bieżąco anegdotami: plotki o świecie mody i kina, o podróżach, hotelach, miejscach, osobach. Celował w tym. Niekiedy w połowie opowieści wpatrywał się z większym nateżeniem w Cheskę, a ona odwracała wzrok. Kiedy indziej, nie patrząc na nią, czuł jej oczy utkwione w sobie. Płynna zieleń ze szmaragdową nutą. Żywy obraz Julia Romera de Torresa, pomyślał po raz kolejny. Ta satynowa skóra, brązowa, z lekkim wspomnieniem cygańskiej babki, która być może kiedyś, dawno temu, złączyła swój los i swoją krew z artystą, który malował ją nagą. Wspomnienie męża w wyglansowanych butach, z pistoletem u pasa, wywołało wewnętrzny uśmiech Falcó. Przewrotny i złośliwy.

W tym momencie Luisa Sangrán spojrzała na zegarek na złotym łańcuszku opasującym jej prawy przegub i powiedziała, Boże ty mój, zapomniałam, że powinnam podejść do Zbawiciela, dać pieniądze

proboszczowi. Zrobiliśmy zbiórkę, wszystkie panie z Koła Pomocy Odzieżowej Jezusa Nazareńskiego. Na sieroty.

– Powiedziałaś mi w Salamance, że jesteś skurwysynem.

– A ja odrzekłem, że tak. Że nim jestem.

Pewnego dnia umrę, pomyślał Falcó, albo zestarzeję się, a to, co jest teraz, nie przydarzy się już nigdy więcej. Powinienem więc jak najlepiej zapisać rzecz w pamięci na okres posuchy i nieuchronny koniec. Stał nieruchomo, patrząc na nią, wciąż zapięty pod szyję, z rękami w kieszeniach, dymiącym papierosem w kąciku ust. Rozebrała się sama, w sposób niemal wyzywający, nie pozwalając, by jej dotknął, w alkwie o świetle przyćmionym przez zasłony w oknie. Była teraz naga, nie licząc butów na obcasie i czarnych pończoch odkrywających delikatną przestrzeń skóry i ciała ciągnącą się aż do pasa, który został już rozpięty. Piersi miała drobne, naprężone, jędrne jak reszta smukłego ciała wyprofilowanego przez grę światła i cienia akcentującą fascynujący trójkąt łona, podczas gdy kilometry wyżej zielone oczy lśniły hipnotyzująco jakby wkręcono w nie żarówki. A on poczuł żal, bezbrzeżny, szczerzy, solidarny, za miliony mężczyzn, którzy nigdy nie znaleźli się i się nie znajdą w pobliżu kobiety takiej jak ta.

– Zostań tam, gdzie jesteś – dobiegł go jej głos.

Wracił powoli do siebie. Leniwie, niemal niechętnie odzyskiwał świadomość własnego ciała. Nawet nie był podniecony. A w każdym razie niezbyt mocno. Odczuwał przede wszystkim wyczekującą ciekawość. Podziw bardziej niż pożądanie. Żaden spektakl na świecie, uznał, nie mógł równać się z tym. Nic nie było i nie będzie tak doskonałe. Tak pyszne.

– Nie zamierzam zostać tu, gdzie jestem – odpowiedział miękko.

Uśmiechał się spokojnie, pewny siebie. Kobieta powtórnie poleciła mu, żeby się nie ruszał, a on potrząsnął lekko głową, zgasił papierosa, przyciskając go podeszwą buta do glazurowanej podłogi i postąpił krok w jej kierunku. Nie cofnęła się, spoliczkowała go. Uderzenie rozbrzmiało głośnym echem i przekrzywiło mu głowę. Plask. Bolesne – długie paznokcie drasnęły skórę – poczuł, że jego policzek płonie. Gdy spojrzał na nią ponownie, zieleń oczu nieco zmętniała, lecz bardzo białe zęby błyszczały, niemal fosforyzowały, w rozchylonych wargach. Słyszał jej oddech, głęboki, rytmiczny, jej puls, bicie serca. Tak blisko. Bum, bum. Bum, bum. Tak brzmiało. A wówczas ujął ją za rękę – podniosła ją raz jeszcze do kolejnego uderzenia, które nie nastąpiło – i obrócił powoli wokół własnej osi, twarzą do zasłanego łóżka, do gładkiej kapy, zmuszając, by oparła się o nią obiema rękami.

– Oszalałeś.

Ponad pończochami i czarnym pasem biodra, talia, plecy i kark kobiety były cudownym pejzażem linii wydłużonych, krętych i łagodnie zaokrąglonych. Bez pośpiechu, jakby miał cały czas świata, Falcó przesunął palcami, bardzo powoli, po ciepłej bruździe kręgosłupa i zatrzymał się u jej wylotu. A wtedy przyklęknął, w ubraniu, rozluźnił węzeł krawata i zbliżył usta do miejsca, gdzie kończył się kręgosłup.

– Kochanie moje – szepnęła.

Nie przerywając rozpoczętej czynności, uśmiechnął się do siebie w duchu. Klasyka. Zawsze zakochiwały się, na wszelki wypadek, na moment przed.

Minęła dziesiąta, gdy wracał do hotelu, pogwizdując *Amparito Roca*. Wcześniej przegryzł coś lekkiego na stojąco przy kontuarze tawerny, a teraz szedł wolnym krokiem. Ochłodziło się, przeszył go ziąb od pobliskiej rzeki.

Minąwszy katedrę i zamek, podniósł kołnierz marynarki. Był zmęczony i śpiący. Walizka czekała spakowana w pokoju, zamierzał już tylko wziąć ciepłą kąpiel i wskoczyć do łóżka, by wyspać się, zanim przyjadą po niego o świcie i zawiozą na lotnisko.

Palilo się niewiele świateł, obawiano się nalotów republikańskiego lotnictwa. Księżyc był w nowiu, wschodził dopiero, miasto tonęło w ciemnościach, calle Reyes Católicos była szeroką, czarną czeluścią. Przeszedł przez bramę z cegły i *azulejos* hotelu Andalucía Palace i kroczył w stronę wejścia, gdzie jedyna zapalona żarówka oświetlała stopnie portyku. Zanim jednak tam dotarł, usłyszał, że otwierają się drzwi nieomal niewidocznego w mroku samochodu zaparkowanego przy schodach, i zobaczył, że dwa cienie wyrastają pomiędzy nim a wejściem. Ręczna latarka zaświeciła mu w twarz, oślepiając go.

– Lorenzo Falcó?

Nie odpowiedział od razu. Przeszła mu ochota na gwizdanie. Był napięty, czujny, gotowy do walki, gdyby okazało się to niezbędne. Nie podobało mu się ani trochę, że jakiś cień wymawia jego nazwisko na ulicy w mroku. Nawet w Sewilli. Człowiek trzymający latarkę skierował ją teraz na siebie, oświetlając klapę marynarki. Drugą ręką odwrócił ją, pokazując oznakę policyjną.

– Czego panowie chcą ode mnie?

– Musi pan udać się z nami na posterunek. Chodzi o pewną formalność.

– Kpi pan sobie?

– Bynajmniej.

Falcó wskazał na wejście do hotelu.

– Formalności wolę załatwiać w środku, w jasnym świetle. Widząc wasze twarze.

– Nie ma czasu.

Gdy człowiek z latarką wymawiał te słowa, drugi, który stanął przy Falcó, wcisnął mu w bok lufę pistoletu.

– Niech pan wsiada do samochodu.

– Nie możecie tego zrobić.

Usłyszał kpiący śmiech tego od pistoletu. Typ z latarką zgasił ją i ujął Falcó za ramię, prowadząc go do auta. Zrobił to stanowczo, aczkolwiek nie brutalnie. Jakby chciał wyperswadować mu opór.

– Jasne, że możemy – stwierdził.

Dał się poprowadzić. Nie widział innego wyjścia. Lufa pistoletu przyciśnięta do żeber zdradzała szacowny kaliber, wystarczający, by rozwalić mu wątrobę, wyglądał na czterdziestkę piątkę. Posadzili go na tylnym siedzeniu po lewej, typ z pistoletem usiadł obok, nie odrywając lufy od jego boku. Pierwszy zajął miejsce za kierownicą i zapalił silnik.

– Nie wierć się – ostrzegł ten z pistoletem. – Żebym przez przypadek nie wystrzelił.

Przejście z pan na ty nie zapowiadało nic dobrego. Sprawy wyglądały kiepsko. Falcó zdjął kapelusz i dyskretnie pomacał wstążkę w poszukiwaniu brzytwy, lecz typ wyrwał mu nakrycie głowy i rzucił na siedzenie obok kierowcy.

– Ręce przy sobie.

Oddychał powoli, starając się myśleć szybko. Policjanci kojarzyli mu się nieuchronnie z pułkownikiem Queralem. Rzeźnik z Oviedo był dowódcą Gwardii Cywilnej, a zarazem szefem policji i służby bezpieczeństwa. Tajniaków, jak ich nazywano. Posiadali niemal absolutną władzę, odpowiednik tej, jaką dysponowali po drugiej stronie czekiści, czyli komisarze ludowi: mogli śledzić, kogo chcieli, przesłuchiwać, bić, torturować. Typowe metody. Różnica polegała na tym, że po stronie republikańskiej wszystkie ugrupowania, milicja, frakcja czy partia, działały

na własną rękę, nie odpowiadając przed nikim, a po tej panowała centralizacja i nieubłagana wojskowa skuteczność. Queralt był człowiekiem, a każdy człowiek miał swój styl, a może to styl zawsze w końcu odnajdywał właściwego sobie człowieka. I faktycznie, jak ostrzegał ten od pistoletu, tajniakom zdarzało się przez przypadek wystrzelić. I to nie raz. Nie potrzebowali sądów, prokuratorów, zbędnych papierów. Tak wykluwała się po tej stronie okopów czysta, narodowa Hiszpania.

– Dokąd mnie panowie zabierają?

– Na komisariat.

– Jaki?

Brak odpowiedzi. O tej porze, jak powiedział mu Admirał, Queralt przebywał w Sewilli, wtajemniczony w sprawę Mount Castle. Falcó zastanowił się. Było mało prawdopodobne, by próbował przerwać operację, bo to oznaczałoby otwartą konfrontację ze SNIO i wprawiło w furję Nicolasa Franco i Caudilla; w ostatecznym rozrachunku sto milionów peset w złocie to dużo złota. Jednakże Queralt był pokręconym, okrutnym wieprzem. Nie można było wykluczyć brudnego manewru z jego strony. Poza tym pozostawała sprawa Ewy Neretwy. To właśnie najbardziej niepokoiło Falcó. Cztery miesiące temu w Salamance zabił kilku ludzi Queralta, by ją uwolnić i pomóc przekroczyć portugalską granicę. A ów poprzysiął, że prędzej czy później zrobi sobie breloczek z jego jaj.

– Do jakiego komisariatu mnie wieziecie? – ponowił pytanie. – Jesteśmy na peryferiach.

– Stul pysk.

Reflektory omiatały fasady coraz niższych domów. Pojawiły się pierwsze pustkowia i Falcó poważnie się zaniepokoił. Zabiją mnie, pomyślał. Wiozą mnie na spacer.

– Popelniacie bład – powiedział. – Nie wiecie, kogo...

Lufa pistoletu zagłębiła się mocniej w jego bok.

– Zamknij się.

Usłuchał, zrezygnowany. Próbował uporządkować emocje, od strachu po chęć przeżycia, koncentrując się na tej ostatniej. Stojąc poza samochodem, z bronią tak blisko ciała, mógłby wyrwać się nagle, zadając cios i desperacko wytrącając ją z ręki. Orzeł albo reszka. Spróbowałby zwać. Dobrze wiedział, jak to się robi, i pożałował, że nie spróbował tego wcześniej. Teraz siedząc wciśnięty między drzwi a siedzenie, praktycznie nie mógł się ruszyć. Teoretycznie tak, lecz byłoby to samobójstwo.

– Spokojnie, facet – odezwał się kierowca. – Już niedaleko.

– Do czego?

Typ z pistoletem zarechotał nieprzyjemnie. Przejechali przez most i ruszyli w kierunku Jerezu, lecz niebawem skręcili na bitą drogę, telepiąc się po koleinach. Księżyc był już nieco wyżej na niebie i niezastłony wysokimi budowlami oświetlał mleczną poświatą ponury krajobraz. Falcó rozważył możliwość otwarcia drzwi i wyskoczenia w biegu, ale uznał, że to nie zaprowadzi go daleko. Mógłby coś sobie złamać i stałby się bezbronny. Pistolet wciąż wżynał się w jego bok. Nie miał szans, by uderzyć, bo najmniejszy ruch mógł sprawić, że sąsiad naciśnie na spust, bang i witajcie aniołki w niebie. Albo diabełki w piekle. Nie ulegało wątpliwości, że to zawodowiec. Nie zwolnił nacisku ani przez chwilę.

– Dojechaliśmy – oznajmił kierowca.

Falcó spojrział na drogę. Snop światła z reflektorów wydobył z ciemności na wpół zwalony mur, gałęzie figowców i dach, z którego odpadły dachówki. Opuszczony dom w ruinie. Pod murem stał bentley speed six ze zgaszonymi światłami, a przy nim mężczyzna oparty o maskę.

– Wsiadaj.

Zatrzymali się, nie gasząc silnika. Kierowca był już na zewnątrz i otwierał drzwi. Falcó wysiadł posłusznie z pistoletem przyklejonym do pleców.

– Jak zrobisz coś, co mi się nie spodoba, rozwalę cię – powiedział typ.

Brzmiało to jak kwestia z gangsterskiego filmu, ale nacisk broni – ogromnego amerykańskiego colta – nie miał w sobie nic z filmowej fikcji. Zostawili samochód z włączonymi lampami i podeszli we trzech w smugach światła do człowieka opartego o maskę. Poziome oświetlenie wydłużało ich cienie, które kładły się na drodze, nierównej, kamienistej. Falcó potknął się i zachwiał, a typ za plecami uderzył go pistoletem.

– Patrz pod nogi, sukinsynu – warknął.

Podchodząc bliżej, Falcó rozpoznał człowieka przy samochodzie i wszystkie domysły rozwiały się jak dym. Choć nie oznaczało to bynajmniej pomyślnego zwrotu sprawy. Wręcz przeciwnie. Mężczyzna był po cywilnemu, jedną rękę trzymał elegancko w kieszeni marynarki, drugą osłaniał sobie oczy przed blaskiem reflektorów. Pod cienkim, nieskazitelnie przyciętym wąsem rysował się okrutny uśmiech, nad wyraz złowieszczy. A Falcó pomyślał, wdrygając się, że tak właśnie uśmiechałby się szakal – o ile szakale uśmiechają się, czego nie był pewny – stojący naprzeciw bezbronnej, łatwej ofiary.

Był to Pepín Gorguel, kapitan regularsów, hrabia Migaloty. Mąż Cheski Prieto.

– Zna pan dziewiąte przykazanie?

– Coś słyszałem.

– Nie pożądaj żony bliźniego swego.

– I?

– Chesca to moja żona.

Falcó wzruszył ramionami, udając zimną krew, choć sytuacja wyglądała niedobrze.

– A cóż mnie to obchodzi.

Gorguel patrzył na niego z bezbrzeżną nienawiścią i wyższością wymalowaną na twarzy, krzywiąc usta w grymasie pogardy. Spowijał ich mrok, nie licząc stożka światła z drugiego samochodu.

– Wie pan, czemu policzek jest taki obraźliwy?

– Nie kojarzę.

– Bo w średniowieczu dawano go komuś, kto nie miał przyłbicy ani hełmu... Pętałowi, który nie był rycerzem.

Wymawiając te słowa, uderzył go w twarz otwartą dłonią. Plasnęło. Falcó zacisnął szczęki, ciało miał sztywne, czuł, że lufa pistoletu zagłębia się mocniej w jego plecy.

– Wiem, gdzie byłeś dziś wieczorem, kanalio.

Następny przechodzi na ty, pomyślał posepnie. Niedobrze. Zaczyna się od podejrzenia o rogi, a kończy się utratą dobrych manier. Dobrego wychowania. Sprawy wyglądały coraz bardziej kiepsko, a jego rola była wybitnie nieciekawa. Nie zanosí się na wesołą noc, skwitował w myślach.

– Dziś wieczorem nie wydarzyło się nic, co mogłoby pana urazić.

– Cwaniaczek... Co robiłeś w domu Luisy Sangrán?

– Znam ją od dawna – zaimprovizował Falcó. – Jestem przyjacielem jej męża.

Arystokrata zawahał się. Po chwili pokręcił głową.

– Łżesz.

– Nie. Wybrałem się z wizytą.

– A co robiła tam moja żona?

– Jest przyjaciółką Luisy.

– Wiem, że jest przyjaciółką Luisy. Co robiłeś ty tam, z nimi dwiema?

– Piliśmy herbatę. Gawędziliśmy. Opowiadałem historie...

Przerwał mu drugi policzek, mocniejszy niż pierwszy. Lewa skroń Falcó zadzwoniła, jakby wewnątrz wibrował kamerton. Zuum. Twarz znów płonęła.

– Bierzesz mnie za idiotę? – Gorguel toczył pianę z ust. – Za pieprzonego idiotę?

– To jakaś niedorzeczność. Postradał pan zmysły.

Gorguel spojrział po policjantach, jakby brał ich na świadków, i podniósł rękę do kolejnego ciosu.

– Kim ty, do diabła, jesteś? Czym się naprawdę zajmujesz?

– Powiedziałem panu dziś rano. Interesami.

– Już ja ci pokażę interesy. – Ręka, nadal w górze, zacisnęła się teraz w pięść. – Wyrwę ci jaja i wsadzę do pyska, jak robią moi chłopcy z czerwonymi.

– Proszę posłuchać, to jakieś nieporozumienie. Niech pan mi pozwoli odejść. Znam Luisę i jej męża od wielu lat, powiadam panu.

– Ach, tak? A jak nazywa się mąż?

Falcó wahał się tylko pół sekundy.

– Sangrán.

– A jak ma na imię?

Zająknął się, usiłując zyskać na czasie. Ale czas się kończył. Nie było wyjścia. Tym razem nie dostał w twarz. Gorguel dał znak zbirom. Typ z pistoletem walnął nim Falcó w szyję poniżej karku. Ów poczuł ukłucie ostrego bólu i ugięły się pod nim nogi. Upadł na kolana, uderzając o kamienie zalegające na ziemi. Jęknął głośno, przeciągle. Ten dźwięk najwyraźniej spodobał się Gorguelowi.

– Przynieście olej rycynowy – rozkazał.

Jeden z mężczyzn otworzył drzwi Bentleya i zajrzał do wnętrza. Drugi wciąż trzymał Falcó na muszce.

– Zmielimy ci kości – obiecał Gorguel. – Aż będziesz myślał, że jesteś z gumy... A potem to, co z ciebie zostanie, będzie srało flakami.

– Proszę – jęknął Falcó.

Jego twarz miała wyraz przerażenia i ponizenia, niemal poddaństwa. Człowieka, który się załamał. Hrabia uśmiechnął się z zadowoleniem. Pochylił się nad nim, chichocząc.

– Powtórz – powiedział triumfalnie.

– Proszę – powtórzył błagalnym tonem Falcó.

Wciąż klęczał i próbował objąć nogi Gorguela.

– Popatrzcie na niego. – Arystokrata podkreślał węża z pogardą. – Własnym oczom nie wierzę... To ścierwo nie ma za grosz wstydu.

– Ja nic nie zrobiłem – skamlał Falcó. – Przysięgam panu, że nic nie zrobiłem. Nigdy nie miałem zamiaru...

– Nędznik... Nędzny tchórz...

Gorguel odsunął go kopniakiem. Falcó popłakiwał, czołgając się po ziemi. Drugi ze zbirów przyniósł z samochodu butelkę oleju rycynowego.

– Podnieście to gówno i otwórzcie mu pysk.

Człowiek z pistoletem odsunął broń na moment od pleców Falcó, pochylając się, by chwycić go za kołnierz marynarki. W tym momencie ten zacisnął dłoń na kamieniu, który wybrał przed chwilą: dużym i ciężkim. Czując szarpnięcie, poderwał się jak na sprężynie i walnął zbira kamieniem w twarz. Chrupnęły kości i zęby, policjant wypuścił broń i runął na plecy, nie wydawszy żadnego dźwięku, a wyprostowany Falcó cisnął kamień w głowę niosącego butelkę. Wszystko stało się bardzo szybko. Drugi zbir

podniósł ręce do czoła, butelka roztrzaskiwała się u jego stóp. Falcó powalił osłupiałego Gorguela ciosem pięści w twarz i nie oglądając się nań, dopadł tego od butelki, którego uznał za groźniejszego. Ów stał jeszcze, choć chwiejnie, zalany olejem, z rękoma na twarzy. Falcó wymierzył mu kopniaka w krocze, od którego zbir przewrócił się, skowycząc, a gdy już leżał na ziemi, znokautował drugiego, tak na wszelki wypadek. Przezorność jest cnotą. I matką uczonych albo coś w tym stylu.

– Skur... wy... syn... – mamrotał Gorguel.

Rzucony pod koło bentleya próbował dźwignąć się. Teraz Falcó śmiał się złowieszczo. Zaczynał dobrze się bawić.

– Bez najmniejszego wątplenia – oświadczył radośnie.

Miał jeszcze pewien margines, jakieś pół minuty, może nieco mniej, może nieco więcej. Wystarczająco, żeby zapewnić sobie bezpieczny odwrót. Pocierając obolałą dłoń, jednym spojrzeniem ocenił sytuację: snop reflektorów pierwszego samochodu oświetlał pierwszego zbira leżącego nieruchomo na plecach i jego towarzysza, który skręcał się z bólu na ziemi. Pochylił się nad tym drugim i obszukał go. Upewnił się, czy znaleziony pistolet jest zabezpieczony i walił go nim w głowę tak długo, aż typ znieruchomiał. Potem odrzucił broń daleko w ciemność. Sięgnął teraz po colta wypuszczonego przez drugiego zbira i podszedł spokojnie do Gorguela. Wciąż oszołomiony ciosem pięści hrabia zdołał powstać, szukając czegoś w tylnej kieszeni spodni. Falcó przycisnął go do auta, odebrał mu mały niklowany pistolet i odrzucił w las. Następnie zmusił Gorguela do otwarcia ust i włożył w nie lufę colta. W oczach hrabiego odzyskującego powoli świadomość otępienie ustąpiło miejsca przerażeniu. Teraz, pomyślał Falcó z dziką satysfakcją, kolej na ciebie. Pieprzony bohaterze wojenny.

– Posłuchaj, durniu. Widziałem twoją żonę trzy razy w życiu i za żadnym razem nawet jej nie dotknąłem. Nie, że nie chciałem, bo to rewelacyjna kobieta. Ale nie pozwala... Jasne?

Tamten patrzył na niego uważnie, nie mrugając powiekami. W świetle reflektorów widoczny był jego lewy policzek spuchnięty od ciosu pięścią. Z otwartych ust, spod lufy pistoletu, kapąła ślina. Wydawał chrapliwy, gardłowy dźwięk, a jego zęby szczękały o karbowaną stal. Hrabia Migaloty nie wyglądał już tak elegancko jak w mundurze kapitana legionistów ani gdy oczekiwał na niego, nonszalancko oparty o maskę limuzyny z butelką oleju rycynowego w zanadrzu. Był teraz rozczochrany, pobrudzony ziemią, węzeł krawata przesunął mu się pod ucho. Falcó zbliżył doń usta, jakby szykował wyznanie.

– Nie wchodź mi więcej w drogę, bydlaku – szepnął. – Bo cię zabiję. A gdy twoja żona zostanie wdową, to przysięgam, że wtedy ją przelecę... Ją, twoją matkę i twoje siostry, jeśli masz takowe. A wcześniej nasikam na twój grób.

Dokończywszy przemowę, wyjął lufę pistoletu z ust Gorguela. Miał zamiar na tym poprzestać, ale ów poruszył się. To był odruch furii. Weteran znad Jaramy nie był kawałem tchórza. Gdy poczuł się wolny, rzucił się na Falcó, a raczej zamierzał to zrobić, bo agent czekał na niego, przewidując ten ruch. Nieomal ze zrozumieniem. I z zimną, naukową ciekawością. Lubił obserwować, o ile tylko nikt nie przystawiał mu pistoletu do pleców, reakcje mężów, zazdrość, splamiony honor i te klocki. Były zabawne. Pouczające. Sporo mówiły o społeczeństwie.

Pierwszy cios posłał Gorguelowi w skroń lufą pistoletu, powalając go znów na ziemię. Potem kopnął go w głowę, spokojnie, rytmicznie, trzy razy, aż ów znieruchomiał. Z nosa hrabiego płynęła krew, oczy miał szkliste.

– Pajac. – Falcó splunął.

Kopnął go raz jeszcze na wszelki wypadek z nadzieją, że wybił mu wszystkie trzydzieści dwa zęby. Potem pochylił się, sprawdzając, czy oddycha. Oddychał. No i dobrze, uznał. Oddychaj. Chciałbym zobaczyć twoją minę, jak będziesz spacerował po Sewilli przed powrotem na front. Co zapewne trochę potrwa, jak sędzę. Zobaczyć twój pysk z mapą Hiszpanii. I usłyszeć, co powiedzą twoi kumple. Albo twoja małżonka na twój widok.

Chwycił nieprzytomnego pod rękę i odciągnął go od bentleya. Zdjął mu krawat, wrócił do samochodu, odkręcił korek wlewu paliwa, wsunął krawat do połowy do zbiornika, wyjął zapalniczkę i podpalił wolny koniec. Kilka sekund później zza kierownicy drugiego auta obrzucił ostatnim spojrzeniem trzy nieruchome ciała, zawrócił i ruszył w stronę Sewilli. Po chwili zobaczył w lusterku samochód Gorguela płonący jak pochodnia. Odbita luna kładła maskę z czerwonego światła na jego twarz, oświetlając szare, twarde oczy.

Boli mnie głowa, stwierdził zde gustowany. I ręka. Marzył o powrocie do hotelu, obłożeniu ręki lodem, o ciepłej kąpieli i koniaku z dwiema kopirynami.

4. BIAŁE MIASTO

Z balkonu pokoju numer sto osiem hotelu Continental Falcó spoglądał na port w Tangerze. W dole lewant podwiewał galabije tubylców i spódnice białych kobiet. Za chwiejącymi się pióropuszcami palm, gmachem budynku celnego i długim falochronem z kamienia i betonu morze było ciemnoniebieską płytą poprzecinaną języczkami piany, ciągnącą się aż do szarej linii hiszpańskiego wybrzeża hen, na horyzoncie. Naprężając łańcuchy, statki kotwiczące w zatoce wystawiały dzioby na wiatr.

– Powieje jeszcze kilka dni – odezwał się gruby mężczyzna za jego plecami.

Miał silny kataloński akcent. Nazywał się Antón Rexach, uchodził za agenta handlowego. Ważył pewnie ponad sto kilo. Miał na sobie białą marynarkę, bardzo pomiętą i niezbyt czystą. Jego włosy koloru blond były przylizane, a niebieskie oczy – tak jasne i wodniste, że wyglądały wręcz nieludzko. Idąc, poruszał rękami w specyficzny sposób, jakby pomagały mu utrzymać równowagę w marszu czy też raczej w toczeniu się. Słomkowy kapelusz, odłożony na krzesło, wyglądał na bardzo sfatygowany.

– To nie będzie miało wpływu na nasze zadanie, mam nadzieję – powiedział Falcó.

– Żadnego. Mount Castle i Martín Álvarez są zacumowane przy kei, a załogi schodzą na ląd bez przeszkód. – Rexach podszedł do żelaznej balustrady, podał Falcó małą lornetkę i pokazał na port. – Tam są, jeśli chce pan rzucić okiem.

Falcó spojrział przez lornetkę. Statek republikański miał ciemny kadłub i mostek, bardzo wysoki komin pomalowany na czarno, bez żadnych oznaczeń. Nieco dalej, przycumowany do ostatnich polerów kei szary niszczyciel sprawiał wrażenie ponurego strażnika. Stalowego brytana warującego przy ofierze.

– Patrol policji międzynarodowej pilnuje statku – dorzucił Rexach. – Nie pozwalają podejść nikomu oprócz załogi.

– Były jakieś incydenty na lądzie?

– Nie, o ile mi wiadomo. Załogi spotykają się niekiedy w barach, kafejkach, tawernach. Wie pan: popatrzą spode łba, coś tam skomentują... Nie spoufalają się, rzecz jasna. Prawie nie rozmawiają, choć czasem rzucają mięsem i przejadą się po swoich mamuśkach. Normalka. Ale dostali ściśle rozkazy, a jedni i drudzy to zdyscyplinowani chłopcy... Wiedzą, o jaką stawkę toczy się gra, więc starają się dobrze sprawować.

Falcó oddał mu lornetkę.

– Coś się zmieniło od wczoraj?

– Nic. My mamy nieoficjalnego konsula, a Republika ma oficjalnego. Ich konsul dwoi się i troi, a nasz torpeduje wszystkie jego zabiegi. Pat. Na razie osiągnęliśmy tyle, że nie pozwalają mu załadować węgla.

– A co się stanie, jeśli nic się nie zmieni?

– Po upływie wyznaczonego terminu Mount Castle będzie musiał odpłynąć albo zostanie internowany. A jeśli wypłynie, nasz niszczyciel go dopadnie. W obu przypadkach teoretycznie jesteśmy górą.

– Od kogo zależy ostateczna decyzja?

– Od Komitetu Nadzoru. Status międzynarodowy Tangeru jest gwarantowany przez konsulów Hiszpanii, Francji, Włoch, Anglii i innych. Komitet nadzoruje finanse miasta, wymiar sprawiedliwości i policję...

Stronę lokalną reprezentuje Mendub, przedstawiciel sułtana Maroka, który ma francuskiego doradcę.

– Czy mógłby to pan uprościć? Kto decyduje?

– Francja i Anglia, bez dwóch zdań. Włochy grają na naszą korzyść. Z kolei Francuzi, którzy mają duże wpływy w międzynarodowej żandarmerii, sympatyzują nieoficjalnie z czerwonymi, bo ci sypnęli pieniędzmi... Co oznacza, że nie spotka się pan z oficjalną wrogością, ale raczej nikt nie ułatwi panu życia bez kasy.

– W pesetach?

Rexach spojrzał na niego nieufnie. Podrapał się po podbródku wylewającym się znad węzła krawata i kiepsko ogolonym.

– Dużo pan ma?

– Niezbyt.

– To niech pan zapomni. Tu teraz rozmawia się we frankach. Po wybuchu wojny peseta poleciała na łeb na szyję.

– A nasza pozycja? Mam na myśli naszą świętą sprawę...

Rozmówca uniósł powątpiewająco brwi, słysząc to wyrażenie. Zlustrował Falcó z ciekawością, próbując go rozgryźć. Wyraźnie starał się ustalić, czy ma do czynienia z wyznawcą, czy z najemnikiem. Nie doszedł jednak chyba do satysfakcjonującego wniosku, bo ociągał się z odpowiedzią, wyjmując z górnej kieszonki marynarki hawańskie cygaro.

– Jesteśmy coraz silniejsi – odezwał się wreszcie. – Mamy coraz większe wpływy, choć wciąż działamy poza protokołem... Kościół katolicki jest po naszej stronie, rzecz jasna; biskup Tangeru już prawie śpiewa *Twarzą ku słońcu*. Rozdajemy mniej pieniędzy niż czerwoni, ale lepiej dobieramy adresatów.

Z najwyższą delikatnością odgryzł koniuszek cygara i wypluł go za balustradę. Hiszpańska kolonia, dodał po chwili, jest podzielona. Na

sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców Tangeru połowa to Europejczycy, w tym około czternastu tysięcy Hiszpanów. A teraz doszli republikanie, którzy uciekli z Ceuty i z Maroka Hiszpańskiego. Wszyscy zbierają się zwykle przy Zoco Chico. Chodzą tu do dwóch różnych kafejek: sympatycy nacjonalistów do Café Central, zwolennicy Republiki do Fuentes.

– Mieszczą się obok siebie, ale nie dochodzi do poważniejszych konfrontacji. Wszyscy tu się znają i na razie żyją razem bez problemów, ale jest też sporo szpiegów, szpicli, donosicieli, drobnych przestępców, prostytutek, handlarzy bronią i narkotykami... Ludzie przybyli z zewnątrz i ci, którzy dali się kupić... – Jeszcze raz spojrzął badawczo na Falcó. – A to już jest inny świat.

– Nasz.

– Tak. Tu szpiegują nawet pucybuci i kurwy.

Wymienili znaczące spojrzenia. Potem, balansując rękami, Rexach wszedł do pokoju, w miejsce osłonięte przed wiatrem, potarł zapalką o pudełko i zapalił cygaro. Przez kilka sekund zaciągał się, zamyślony, napawając zapachem.

– Będzie pan uzbrojony, jak mniemam.

Falcó nie odpowiedział. Spoglądał pomiędzy pióropuszcami palm na statki zacumowane przy kei.

– Niech pan nie ufa hiszpańskiemu urzędowi pocztowemu – powiedział Rexach. – Jego pracownicy są lojalni wobec Republiki. Lepiej skorzystać z usług francuskiego albo angielskiego. – Zrobił minę, jakby coś sobie przypomniał: – Jakim nazwiskiem będzie się pan tu posługiwał?

– Tym samym, pod jakim zameldowałem się w hotelu i które figuruje w moim paszporcie: Pedro Ramos.

– Bardzo dobrze.

Falcó nie spuszczał wzroku ze statków.

– Czy powie mi pan coś o kapitanie naszego niszczyciela? Muszę z nim porozmawiać.

– Na pokładzie?

– Wolałbym na lądzie. Nie chcę zwracać niczyjej uwagi.

Nie wychodząc z pokoju, Katalończyk wypuścił kłęb dymu.

– Nazywa się Navia, to komandor porucznik, wygląda na kompetentnego, choć jest pewien drobiazg: od czasu, gdy tu przycumowali, na Mount Castle nie było żadnej dezercji, a z naszego niszczyciela uciekło trzech ludzi: dwóch marynarzy i palacz. Mimo to Navia nie zabrania swojej załodze schodzenia na ląd... Taki typ.

Te ostatnie słowa wymówił z cygarem w palcach, ściągając usta w grymasie dezaprobaty. Było jasne, że takie typy nie budzą jego sympatii.

– Muszę się z nim zobaczyć – powtórzył Falcó.

– To łatwe.

Falcó odsunął się od balustrady.

– A kapitan Mount Castle?

Jego rozmówca skrzywił się.

– Nazywa się Quirós... Pochodzi z Asturii.

– To wiem. Podczas lotu do Tetuanu przeczytałem jego dossier.

– Zatem wie pan, że długo udawało mu się mylić czujność naszych okrętów i włoskich kuzynów. Aż wreszcie skończyło mu się szczęście... Mieszka na pokładzie frachtowca, rzadko schodzi na ląd. Tylko na rozmowy ze swoim konsulem.

Falcó był na bieżąco jeśli chodzi Mount Castle i kapitana Fernanda Quirosa. Między Sewillą a Tetuanem, powściągając ochotę na pogawędkę z angielskim pilotem, miał czas, by nauczyć się wszystkiego na pamięć. Przez siedem miesięcy frachtowiec i jego załoga grali na Morzu

Śródziemnym w chowanym z hydroplanami z Majorki, narodowymi niszczycielami i włoskimi okrętami podwodnymi, kpiąc sobie z blokady w bezksiężycowe noce i mgliste dni, tkając misterną, koronkową siatkę między Walencją, Barceloną, Odessą, Oranem i Marsylią. Pływali pod banderą Republiki, lecz także udając statki angielskie, norweskie czy panamskie, przewożąc węgiel, żywność, maszyny, broń. A ostatnio złoto Banku Hiszpanii.

– To taki krzepki typ – ocenił Rexach. – Bardziej uparty niż sprytny. Ale dobry żeglarz.

– A czerwoni agenci na pokładzie?

– Zeszli na ląd, mieszkają w Majesticu, naprzeciwko plaży... Znam dyrektora, Hebrajczyka, który informuje mnie na bieżąco. Jest ich trzech: hiszpański komisarz polityczny i dwoje cudzoziemców. Mężczyzna i kobieta.

– Co to za mężczyzna? – zainteresował się Falcó. Nikt wcześniej mu o nim nie mówił.

– Myśleliśmy, że to Rusek, ale chyba jest Anglikiem albo Amerykaninem. Nazywa się Garrison. Podaje się za dziennikarza, ale nikt w to nie wierzy. Kobieta może być Rosjanką. Jasne włosy, poniżej trzydziestki.

Dopiero po pięciu sekundach Falcó sformułował następne pytanie.

– Co pan o niej wie?

– Niewiele... Ma paszport na nazwisko Luisa Gómez, mówi po hiszpańsku bez akcentu. – Rexach zatoczył cygarem łuk. – Śpi w osobnym pokoju i najwyraźniej jest bardzo ważna.

– Dlaczego opuścili statek?

– Konwencja o statusie międzynarodowym zabrania jednostkom z państw pozostających w stanie wojny telegrafować z wód neutralnych...

A poza tym na lądzie lepiej się konspiruje. Mają większą swobodę ruchów.

Falcó dotknął machinalnie kieszeni marynarki, w której nosił papierośnicę, ale nie sięgnął po nią. Próbował posegregować w myśli usłyszane informacje, zbudować hierarchię wspomnień, uczuć, pracy i ryzyka. Błędy zabijają, przypomniał sobie chłodno. A niektóre zabijały szybciej niż inne. Mimo pozorów neutralności, ludzi zasiadających w kafejkach, obecności cudzoziemców i kosmopolitycznej atmosfery Tanger był wrogim terytorium. Miejscem, gdzie nie powinno się popełniać błędów.

– Ma ich pan stale na oku, jak sądzę – oznajmił spokojnie.

Rexach puścił do niego oko, blade i galaretowate.

– Sądzi pan dobrze. Przy czym oni mają na oku także i mnie. Współpracują z moim kolegą z drugiej strony, lokalnym szefem republikańskiego wywiadu. Nazywa się Istúriz, jest czerwony po samą dupę, przy tym porządny chłopak. Swoją drogą niezły lekarz. Jesteśmy w dobrych stosunkach na tyle, na ile to możliwe... – Spojrzał z melancholią na popiół cygara, żałując dawnych, szczęśliwszych czasów. – Aż do tej sprawy z Mount Castle staraliśmy się nie wchodzić sobie w paradę.

– A pozostała trójka?

– Są dyskretni, ale nie kryją się. Rozmawiają z kapitanem Quirosem, obradują z Isturizem i ze swoim konsulem, uwijają się przy naczelnym lokalnym dzienników, ślą depesze do Walencji, Paryża, Moskwy... Czasem ktoś z nich jada kolację w Barace, bardzo drogiej restauracji przy meczecie piątkowym. Wpadają też nieraz do baru w hotelu Minzah naprzeciwko mojego biura, a którejś nocy widziano jednego w kasynie we francuskim Kursaalu... Chociaż są marksistami, szastają pieniędzmi bez skrępowań: każdy pokój w Majesticu kosztuje osiemdziesiąt franków za noc... I jeszcze jedno: hiszpański komisarz polityczny, Juan Trejo, pije jak szewc.

– Przechwytuje pan ich meldunki?

Rexach uśmiechnął się jak lis z jedną łapą w kurniku.

– Zdarzyło mi się, ale stosują szyfry, których nie potrafię złamać...

Owszem, dorwałem kilka niezaszyfrowanych wiadomości od Treja do sztabu głównego floty republikańskiej i do szefa rządu w Walencji, ale nie było tam niczego ciekawego.

Falcó pokiwał głową z uznaniem.

– Wykonał pan dobrą robotę przez te kilka dni.

– Kwestia wprawy... Mieszkam w Tangerze i wiem, komu trzeba podrzucić kilka franków. – Ponownie puścił oko. – Rozumie pan?

– Jasne.

Rexach wynurzył się z pokoju i podszedł do Falcó. Wręczył mu wizytówkę z numerem telefonu.

– Niech pan nie dzwoni zbyt często i nie ufa operatorowi – powiedział. – To nie jest bezpieczna linia. Poza tym pozostaję do pańskiej dyspozycji... Takie otrzymałem instrukcje.

Zaciągnął się cygarem jeszcze kilka razy i spojrzał nań z dezaprobatą, bo wiatr rozwiewał dym zbyt szybko.

– Spróbuje pan przekupić kapitana Mount Castle?

Falcó nie odezwał się. Katalończyk uśmiechnął się przebiegle.

– Jezu Chryste – szepnął. – Chciałbym przy tym być.

Po czym roześmiał się z cygarem w zębach i oparł obie ręce na balustradzie.

– To byłby wspaniały numer, gdyby przekazał nam statek z całym ładunkiem – oświadczył po chwili. – Domyślam się, że zaopatrzonego pana w stosowne fundusze. Jeśli kapitan zgodzi się, to na pewno nie będzie

tanie... – W bladych oczach zabłysła iskierka chciwości. – Myślał pan już o tym, gdzie się z nim spotkać? Mógłbym to zorganizować.

Falcó pokręcił głową. W podwójnym dniu walizki trzymał zaszyfrowany telegram Tomasa Ferriola do swojego bankiera w Tangerze. Wręczył mu go zaledwie pięć godzin temu, zaraz po wylądowaniu w Tetuanie, pułkownik Beigbeder, wysoki komisarz do spraw Maroka Hiszpańskiego. Awal na pół miliona franków.

– Bez obrazy, ale wolę nie mieszać pana do tego.

Katalończyk spojrział na niego, marszcząc brew. Rozczarowany.

– Czy jestem zbyt znany na miejscu?

– Coś w tym stylu.

– Jasne. – Rexach rozchmurzył się nieco. – Rozumiem.

– Poradzę sobie.

Agent obserwował go teraz z rozbudzoną na nowo ciekawością.

– Zna pan kogoś, kto się tym zajmie?

– Tak. – Falcó zwrócił wzrok na statki. – Znam kogoś.

Bismillah al Rahman al Rahim. Śpiew muezzina z pobliskiego minaretu dobiegał w głąb labiryntu kazby. Strome zbocze prowadziło do ulicy Zaitouna, krętej i wąskiej. W uliczkach, które Falcó zostawiał za sobą, podobnych do zadaszonych korytarzy, światło przechodziło w cień i odwrotnie. Dlatego podwoił ostrożność, wiedząc, że silny kontrast może oślepić go i skryć zagrożenie.

Pachniało starym berberyjskim miastem: brudem, zgniłymi owocami, drewnem sandałowym, świeżo zmieloną kawą. Przeszedł ostatni kawałek, ignorując bosych chłopaczków proszących o monetę, i przystanął przed drzwiami pomalowanymi na niebiesko pod mauretańskim łukiem z grubego drewna nabijanego gwoździami. Zanim zapukał, wytarł chusteczką

podszewkę kapelusza. Do kazby nie docierał wiatr i było mu bardzo gorąco mimo tego, że miał na sobie przewiewny lniany garnitur.

– Nazywam się Falcó. Proszę mnie zaanonsować pani.

Po pięciu minutach oczekiwania w rozległym holu ozdobionym dywanami i miedzianymi przedmiotami ruszył za służącą, starą Berberyjką, długim korytarzem prowadzącym na taras. Na zewnątrz widok domu był mylący: w budowlu wyglądającej na jeszcze jedną skromną siedzibę w starej dzielnicy mieściły się ogromne pokoje z meblami wysokiej jakości, półkami z książkami po hiszpańsku, francusku i angielsku, pięknymi obrazami.

– Własnym oczom nie wierzę – odezwał się chrapliwy kobiecy głos.

Pani domu siedziała w hamaku osłonięta przed lewantem altaną z cegły i trzciny, po której pięła się bugenwilla. Obok niej wisiały dwa puste hamaki i stał stolik z napojami i papierosami. Taras otaczały doniczki z bodziszkiem i pelargoniami, roztaczał się zeń wspaniały widok na morze i wybrzeże po drugiej stronie cieśniny, zachodzące słońce zaczynało owijać je złotawą mgiełką. Na sąsiednich tarasach wiatr targał rozwieszonym praniem.

Falcó uśmiechał się.

– Dużo czasu upłynęło – powiedział.

– Zbyt dużo. Przekłęty łotr... Cholerny łobuz...

Podszedł i pochylił się, żeby ucałować rękę, którą kobieta podała mu, nie wstając. Dłoń była bardzo brązowa, z berberyjskimi pierścieniami i srebrnymi bransoletami, które podzwaniały delikatnie. Miała długie zadbane paznokcie pomalowane na czerwono. Zebrane w warkocz włosy były z kolei pomalowane na rudą czerwień czy raczej ciemną miedź. Czarne, błyszczące oczy obwiedziono smolistym kohlem. Twarz zachowała ślady niedawnej urody. Policzki pokrywał niebieski tatuaż.

– Siadaj koło mnie. I powiedz, co za licho przyniosło cię do Tangeru.

Wskazywała sąsiedni hamak swoją jedyną ręką, lewą. Druga poniżej łokcia była tylko pustym rękawem kaftana, luźnej szaty z fioletowego jedwabiu. Kobieta miała nagie stopy, paznokcie w tym samym kolorze, co u rąk, srebrny łańcuszek na każdej kostce.

Falcó usłuchał.

– Przyjechałem cię zobaczyć – oświadczył. – Tęskniłem za tobą.

– Oszust. – Głos stał się jeszcze bardziej chrapliwy. – Nie odzywałeś się do mnie przez całe wieki.

– To nieprawda. – Zrobił minę grzecznego chłopczyka. – Wysłałem ci pocztówkę z Aten.

– Z Bejrutu, ty wstrętny brutalu. Włożyłam ją do albumu. A to było ponad dwa lata temu.

– Półtora roku.

– Dwa lata. – Pokazała na stolik: – Napijesz się czegoś? Ja piję absynt.

– Chętnie. To samo.

– Z cukrem?

– Oczywiście.

Uniosła swoją szklanekę, gdzie pozostało jeszcze pół cala zielonkawego płynu.

– Ja teraz pijam czysty. – Zaśmiała się. – Po męsku.

Falcó zrobił zrezygnowaną minę. Niewinną.

– Mnie dolej wody. Nie jestem dostatecznie męski.

Kobieta zaśmiała się głośniej.

– Chyba od niedawna.

– Gdybym ci opowiedział...

– Oczywiście, że mi opowiesz.

Sięgnęła po szklankę i dzbanuszek z wodą, położyła kostkę cukru na zakrzywioną łyżeczkę i zaczęła lać na nią wodę, kropla po kropli. Patrząc, jak mieszanka powoli mętnieje, Falcó pomyślał, że ta niezwykła kobieta nie zmieniła się ani trochę przez te wszystkie lata. Wciąż była wyrafinowana, niezależna, pewna siebie.

– Bierz, chłopcze.

– Dzięki.

Stuknęli się szklankami, a Falcó umoczył usta w napoju.

– Dalej, mów, co cię do nas sprowadza... Umieram z ciekawości.

– Pozwól, niech się najpierw na ciebie napatrzę, Moira. Niech się tobą nacieszę.

– *Flatteur*.

W wieku pięćdziesięciu czterech lat Moira Nikolaos była wciąż atrakcyjną kobietą. Greczynka, pochodziła ze Smyrny. Poznali się w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim pod miastem podpalonym przez Turków. Falcó stał oparty o burtę Magdali, gdy ujrzał ją, jak wchodziła na pokład z łodzi pełnej uchodźców z zabandażowaną ręką, w którą później wdało się zakażenie i którą utraciła, podczas gdy na lądzie gwałcono, torturowano i mordowano tysiące jej krajanek. Falcó sprzedał właśnie partię pocisków Enfield – połowa z nich była niesprawna – greckiej armii. Zobaczył kobietę wyczerpaną, chorą, zdesperowaną po utracie męża i syna podczas ucieczki. Zlitował się nad nią i za cenę kilku dolarów uzyskał, że załoga zapewniła jej lepsze traktowanie niż innym uciekinierom tłoczącym się na pokładzie. Widzieli się jeszcze w Atenach, gdzie stali się kochankami po tym, jak wyszła ze szpitala po amputacji ręki, i w Tangerze, gdzie Moira osiadła po małżeństwie z brytyjskim malarzem Clive'em Napierem, który umierając, zostawił jej przyzwoitą rentę i ten dom, chętnie odwiedzany przez podróżników, pisarzy i artystów. Znała w mieście wszystkich i świadomie

pielęgnowała reputację ekscentryczki. Brała na kochanków młodych Berberów, czytała, malowała i patrzyła na morze. Oraz piła absynt.

– Mogę się tym zająć – powiedziała Moira po dziesięciu minutach rozmowy.

– Twoje schodki na plażę dalej tam są?

– Oczywiście. Od dwustu lat.

Chodziło o wąski, stromy pasaż prowadzący z domu do dolnego muru, nad morze, używany niegdyś przez tangerskich handlarzy i kontrabandzistów. Falcó pamiętał schody z poprzednich wizyt. Moira korzystała z nich latem, by pływać w otwartym morzu. Potem wchodziła na taras, kładła się i opalała nago, słuchając z gramofonu płyt z francuskimi piosenkami.

– Byłyby jak znalazł – powiedział Falcó. – Gdyby doszło do spotkania, chciałbym, żeby ktoś mógł tu wejść, nie przechodząc ulicą. Bezpośrednio z plaży.

– Nie ma problemu. U stóp muru rosną krzaki i trawa. Każdy może podejść niespostrzeżenie i wejść na schody, jeśli otworzymy furtkę.

– Doskonale.

Nastała cisza. Falcó wypił kilka łyków absyntu, delektując się anyżkowym smakiem. Przyglądała mu się z ciekawością.

– Jest pewne, że przyjdzie ten twój gość, ktokolwiek to jest?

– Nie jest pewne, ale jest możliwe. Dlatego potrzebuję dyskretnego miejsca.

– Czy to niebezpieczne?

– Nie. To znaczy nie dla ciebie.

– Pytam o ciebie, głuptasie.

– Nie bardzo. Chodzi raczej o interesy niż o coś innego.

Moira dumiała przez chwilę nad tym tak pojemnym słowem.

– Interesy, powiadasz.

– Tak, spokojne i pokojowe.

– Nigdy nie widziałam, żebyś zajmował się jakimś spokojnym interesem, kochany. A już na pewno nie pokojowym. – Wyciągnęła ku niemu rękę. – Pozwól mi cię dotknąć.

– Zostaw. – Falcó odsunął się z uśmiechem.

– Popatrzcie no... Masz broń?

– Nie.

– Jak to nie...? Chodź no tutaj.

– Zostaw, mówię ci.

Podniosła się lekko, obmacując jego marynarkę, aż trafiła na wypukłość browninga. Wybuchnęła wówczas śmiechem. Potem chwyciła go za szyję, przyciągnęła do siebie i pocałowała głośno między oczami.

– Wciąż z ciebie taki sam łajdak. Pirat.

– Taki zawód.

– I wciąż taki sam przystojniak... Dalej kawaler?

– Oczywiście. Złamałaś mi serce. Ty i twój angielski malarz. Niezdolny do miłości.

– Kanalia.

Moira otworzyła drewniane puzderko inkrustowane kością słoniową, które stało na stoliku. Wewnątrz znajdowała się bibułka, tytoń, zapalniczka i kuleczka kifu. Bardzo zręcznie swoją jedyną ręką skrzyła papierosa, zapaliła pastę i wsunęła kilka ziarenek w liście tytoniu.

– Czy te interesy mają związek z dwoma statkami cumującymi w porcie?

Falcó popatrzył na nią z miną pokerzysty.

– Co o tym wiesz?

Przesuwała językiem po brzeżku bibułki.

– To, co piszą gazety. – Dokończyła zwijanie skręta, obracając go w dwóch palcach. – Że jeden z nich ma złoto na pokładzie... „El Porvenir”, republikański, pomstuje na frankistowskich piratów. „La Dépêche”, zwolennik narodowców, twierdzi, że nie można tolerować, iż ten frachtowiec uzyskał prawo postoju. A „Tangier Gazette”, najbardziej neutralna, pisze, że to niezły galimatias.

– Każda ma nieco racji.

– A ty...? Po której stronie stoisz, chłopcze?

Falcó nie odpowiedział. Wyjął z kieszeni zapalniczkę i podawał jej ogień. Przechyliła głowę do płomienia z papierosem w ustach.

– Kiedy ostatnio byłeś w Tangerze, pracowałeś dla hiszpańskiego rządu.

– Tak. Ale słowo „rząd” stało się teraz względne.

Moira zaciągnęła się głęboko i wypuściła dym nosem, powoli, delektując się.

– Einstein znów jest w modzie.

Oparła się wygodnie w hamaku i ponownie zaciągnęła się papierosem. Falcó posłał jej przeciągłe spojrzenie.

– Dysponuję środkami, by ci zapłacić.

– Nie opowiadaj głupot. – Zesztywniała, obrzucając go wzrokiem pełnym urazy. – Nie chcę twoich pieniędzy.

– Mówię poważnie... I to nie są moje pieniądze.

Spojrzała na hiszpańskie wybrzeże, gdzie złota mgiełka gęstniała w miarę, jak słońce zachodziło nad wodą. Wiatr poruszał kwiatami w doniczkach.

– Cóż... – odezwała się po chwili. – W sumie przydałaby mi się jakaś sumka, żeby zaokrąglić to, co zostawił mi biedny Clive... O jakiej kwocie rozmawiamy?

– Sześć tysięcy franków. Może być?

– Nieźle.

– Albo równowartość w funtach szterlingach.

– Wolę funty, jeśli to nie problem.

Podąła mu skręta wypalonego do połowy. Ujął go w dwa palce i zaciągnął się głęboko. Narkotyk wszedł błyskawicznie w jego płuca, z natychmiastowym i przyjemnym efektem. Od dawna nie wdychał dymu tego rodzaju i stanęły mu w pamięci inne momenty i miejsca: Tanger sprzed wojny, Sambuł, Algier, Bejrut... Podróże, granice, łapówki, pociągi, dreszcz emocji, kafejki, hotele i restauracje w widoku na Bosfor, ogródki Saint Georges czy la Place des Canons. Łańcuch sukcesów i porażek, bezsennych nocy, ciemnych uliczek, negocjacje z ludźmi o dwuznacznym lub groźnym uśmiechach – niekiedy zarazem dwuznacznym i groźnym – gdzie nie zawsze niebezpieczeństwo ucieleśniali inni. Przez niemal dwie dekady w tym zawodzie lata i doświadczenie wyostrzyły mu zmysły i nóż. Jak mawiał Admirał, który chętnie czytywał Biblię: chociażbyś chodził ciemną doliną, zła się nie lękaj, ponieważ to ty jesteś najgroźniejszym złem w tej dolinie.

– Wciąż pozostajesz w dobrych stosunkach z brytyjskim konsulem? – zapytał.

– Z Howardem? W doskonałych. Był bardzo zżyty z moim nieżyjącym małżonkiem, zagląda tu od czasu do czasu.

– Potrzebuję twojej pomocy... Poproś go, żeby przekazał dyskretnie pewną wiadomość.

Moira spojrzała na niego, zaintrygowana.

- Jaką wiadomość?
- Zaproszenie do twojego domu, o którym wspomniałem na początku: na kolację, na kawę, na co ci tam przyjdzie do głowy.
- Dlaczego konsul?
- Bo cieszy się prestiżem i jest neutralny. Zostanie wysłuchany.
- A kogo mam zaprosić?
- Kapitana Mount Castle.
- Nieźle... – Moira otworzyła szeroko oczy z podziwem. – Czyli o to chodzi...
- Tak. I to pilne.
- Falcó zaciągnął się jeszcze raz i oddał jej skręta. Siedziała bez ruchu, wpatrzona w żar dymiący bardzo blisko paznokci.
- Nie powiedziałaś mi jeszcze, po której stronie stoisz, kochanie.
- Po stronie rozsądku i sprawiedliwości. Jak zawsze.
- Wybuchnęła śmiechem.
- Pytam poważnie... Dla kogo pracujesz?
- Uśmiech Falcó roztopiłby lód w szklance whisky z lodem.
- Znasz mnie – powiedział. – Idę za głosem serca.
- A co ci podpowiada tym razem serce?
- Wzywa mnie na krucjatę przeciwko marksistom. Za Boga i Hiszpanię.
- Naprawdę?
- Tak jak słyszysz.
- Ależ z ciebie szuja. – Wciągnęła z przyjemnością w płuca sporą porcję dymu. – Powinieneś się wstydić.
- Otóż nie wstydzę się. Ani odrobinę.
- To banda morderców zmówionych z dwulicowym klerem.

– Tak. Takimi samymi mordercami są ci po drugiej stronie. A zamiast kleru czerwoni mają komisarzy politycznych. To wszystko już widzieliśmy, ty i ja... Czy Grecy zabijali mniej niż Turcy, gdy nadarzyła się sposobność?

Moira podała mu resztkę skręta. Małeńki niedopałek.

– Byłeś tam, prawda?

Nie odpowiadając, Falcó dopalił, zaciągając się po raz ostatni i parząc sobie opuszki palców, po czym rzucił resztkę skręta w powietrze, na wiatr.

– Jest tak masakrycznie, jak mówią? – nalegała.

– Gorzej – powiedział po chwili. – Jest absurdalnie... Milicjanci poza wszelką kontrolą, demagogia, oportunizm, terror wobec cywili, brak jedności i wściekła nienawiść do siebie nawzajem. Mordują się przy byle okazji.

– A ci drudzy?

– Ci przynajmniej zabijają metodycznie. – Ton Falcó był wyzuty z emocji. – Ich terror jest zimniejszy i praktyczny. Bardziej inteligentny.

– Ja sercem jestem po stronie waszej Republiki, uprzedzam.

– Na jedno wychodzi. – Wykonał obojętny gest. – Z tego wszystkiego wyłoni się dyktator, obojętne, która strona wygra. Czerwoni czy niebiescy, wyjdzie na to samo.

– Kraczesz jak kruk, chłopcze... Jak cyniczny kruk.

– Nie. Po prostu jestem dobrze poinformowany.

– Mimo wszystko czuję więcej sympatii do nich niż do tego niedorzecznego karzełka w generalskim mundurze, przyjaciela Hitlera i Mussoliniego.

Falcó skrzywił się pogardliwie.

– Kiedy ja poczuję do kogoś sympatię, dam ci znać. Na razie stoję sobie z boku i patrzę.

– Tu nie przyjechałeś po to, żeby patrzeć.

– Mylisz się. Patrzę przez cały czas.

– To popatrz na to. – Moira pokazała na widok rozciągający się z tarasu. – Czy to nie jest najpiękniejszy pejzaż świata? Kiedy Clive malował go, nikt nie wierzył, że jest prawdziwy.

Falcó potaknął. Na zachodzie słońce dotykało już prawie powierzchni morza, a na hiszpańskim wybrzeżu horyzont był cudowną symfonią czerwieni i pomarańczy. Kolory stworzenia, pomyślał. Albo końca świata.

Mrok obejmował w swoje władanie najwyższe uliczki, a nieopodal Zoco Chico zapalały się pierwsze światła. Falcó schodził calle de los Cristianos, przypatrując się berberyjskim i żydowskim kiepsko oświetlonym sklepikom ze skórą, pasmanterią i wymianą pieniędzy. Gdy mijiał zaułek z naftowym kagankiem, dwie kobiety o skórze lśniącej jak oliwa, jedna śniada, druga biała, cmokały na niego spod drzwi starej tawerny.

Na placu roило się od ludzi: przechodniów i spacerowiczów, sprzedawców ulicznych, brodatych Hebrajczyków, Afrykanów w turbanach i galabijach i innych w czerwonym fezie, garniturze i krawacie siedzących wśród licznych Europejczyków, mężczyzn i kobiet, w kafejkach z budynkami odbijającymi się w szybach pod osłoną jeszcze liliowego nieba. Panował gwar, nasilony, kosmopolityczny, okrzyki i rozmowy w kilku językach.

Doszedłszy do Café Central, Falcó obrzucił wzrokiem ogródek. Przy jednym ze stolików rozsiadł się gruby Rexach w sfatygowanym słomkowym kapeluszu zsuniętym na tył głowy, ze szklanką w ręku. Na widok Falcó odstawił szklankę i wstał, niczym nie okazując, że go zna, po czym ruszył w głąb placu z owym charakterystycznym ruchem rąk, który

zdawał się napędzać masę jego cielska. Falcó poszedł za nim w pewnej odległości. W ten sposób minęli Café Fuentes z ogródkiem równie zatłoczonym jak poprzedni i skręciwszy za róg, zaczęli wspinać się wąską i stromą uliczką. Po dotarciu na szczyt Rexach, zdyszany i czerwony od wysiłku, zaczekał na Falcó, wachlując się kapeluszem.

– Nie nadaję się do wspinaczki – stwierdził.

Następnie wskazał mu drzwi do sklepu z dywanami. Falcó dotknął dyskretnie pistoletu w skórzanej kaburze przytroczonej do paska, z jednym nabojem w magazynku i zaciągniętym spustem, i poszedł powoli za agentem. Pachniało kurzem i starym brudem wrośniętym w gęsty dywan, jak we wszystkich sklepach z dywanami na całym świecie. Właściciel, stary Berber, pozdrowił ich pochyleniem głowy i odsunął zasłonę w głębi. Na skórzanych pufach przy oknie z szybami oprawnymi w ołów siedział Europejczyk ubrany w zwykłą marynarkę, bez krawata. Na ich widok podniósł się. Rexach dokonał szybkiej prezentacji:

– Komandor porucznik don Antonio Navia, kapitan niszczyciela floty narodowej Martina Alvareza. A to pan Ramos... Zostawiam panów samych.

Wyszedł z pomieszczenia, zaciągnąwszy za sobą zasłonę; Falcó uznał, że pozostanie nieopodal i będzie próbował coś usłyszeć. Uścisnąwszy sobie dłonie, Hiszpanie stali przez chwilę w milczeniu. Navia dobiegał pięćdziesiątki, był wysoki, kościsty, śniady, miał stanowcze usta i trójkątną, starannie ogoloną twarz.

– Dziękuję, że pan przyszedł – odezwał się Falcó.

– Dostałem rozkazy.

Oficer był lakoniczny i poprawny. Sztwywny. Bardzo formalny. Ubranie cywilne nosił z pewną nieporadnością typową dla ludzi chodzących na co dzień w mundurze. Zbyt luźna marynarka wisiała mu na ramionach. Zza

rozpiętego kołnierzyka koszuli wychylał się złoty łańcuszek. Gdy usiedli naprzeciwko siebie, wypchana prawa kieszeń marynarki kapitana powiedziała Falcó, że ów także ma przy sobie pistolet.

– Domyślam się, że został pan poinformowany o wszystkim – zaczął.

– Tak. Także o pańskim prawdziwym nazwisku i stopniu wojskowym.

Falcó uśmiechnął się w duchu. To było bardzo w stylu Admirala. Ustalić stopnie i hierarchię przed zagłębieniem się w meritum. Jasno określić miejsce każdego.

– Proszę zapomnieć o moim stopniu. – Postanowił być szczery wobec rozmówcy. – Porucznikiem jestem tylko na papierze... Nie ma to żadnego znaczenia między nami.

Żadnego komentarza. Zero emocji. Dowódca Martina Alvareza patrzył tylko na Falcó z naturalną niechęcią zatuszowaną dobrym wychowaniem i dyscypliną, jaką każdy oficer marynarki wojennej żywi do cywila. Oczekując, aż ów wyłuszczy swoją sprawę.

– Znam całą sytuację – powiedział Falcó. – Zadam więc panu tylko kilka pytań. Z tego, co wiem, pańskie rozkazy nie zmieniły się: pilnować Mount Castle. A jeśli wypłynie w morze, zająć go... Czy to prawda?

– Tak.

Falcó spojrzał w stronę zasłony i zniżył głos.

– Kontaktował się pan z kapitanem wroga?

– Nie widzę powodu. On ma swoje rozkazy, jak sądzę. Ja mam swoje.

Wypowiadał się neutralnym tonem, zauważył Falcó. Chłodno, ograniczając się do niezbędnych informacji. Nie był chyba zadowolony z pobytu na lądzie i udzielania wyjaśnień cywilowi w fikcyjnym stopniu porucznika.

– Jakież postępy w negocjacjach dyplomatycznych?

– Nie, o ile mi wiadomo. Komitet Nadzoru utrzymał termin opuszczenia portu. Zostały cztery dni.

– Sądzi pan, że go przedłużą?

– Nie wiem. – Oficer jakby zawahał się na moment. – Nie sądzę, bo wywieranych jest wiele nacisków różnego rodzaju. Tak czy owak, na kilka godzin przed upływem terminu, przedłużonego czy nie, ja wypłynę na moim okręcie i będę czekać na niego na morzu.

– A jeśli nie pozwoli się zająć?

– Zatopię go.

– Z tego, co wiem, jest uzbrojony.

– To prawda. Ma działko Vickers 76 milimetrów ukryte pod mostkiem na rufie... Nic więcej. W starciu z moim niszczycielem jest bez szans.

Falcó pozwolił sobie na porozumiewawczy uśmiech, który pozostał bez odzewu.

– Kapitan Mount Castle to rozumie?

– Jasne, że tak. Każdy marynarz dobrze o tym wie. Stoimy pod jego nosem, przy kei. Na pewno dobrze nam się przyjrzał. A ponoć zna swój fach.

– Podobno jest Asturyjczykiem tak jak pan. Nazwisko Navia także stamtąd pochodzi, prawda?

– Nie ma w tym nic dziwnego. To ziemia żeglarzy i górników, a mamy wojnę domową.

Powiedział to tym samym chłodnym i oschłym tonem. Falcó przyglądał mu się przez chwilę z ciekawością. Potem pochylił się ku niemu, opierając dłonie na kolanach.

– Zatopi go pan ze złotem na pokładzie?

– Proszę w to nie wątpić.

– Ale czy pańskie zadanie nie polega na przejęciu ładunku?

– Zrobię to, jeśli będę w stanie... W przeciwnym wypadku, jeśli po opuszczeniu wód Tangeru frachtowiec nie zareaguje na polecenie zatrzymania się albo stanie do walki, pošlę go na dno. Czy wiezie złoto, czy święte obrazki.

– Czerwoni starają się o eskortę brytyjskiego okrętu wojennego.

– Niemożliwe. Royal Navy nigdy nie dałaby się wciągnąć w coś podobnego.

– A jeśli z półwyspu przyplynie czerwona flota?

Navia skrzywił się z pogardą.

– Wątpię, bo oni nie lubią się narażać. Nie ośmielą się podplłynąć do Gibraltaru. A w Ceucie stoi nasz krążownik Baleares.

Ponownie nastąpiła cisza, podczas której marynarz patrzył badawczo na Falcó z niemym pytaniem, czy już skończył. Agent wyjął papierośnicę i podsunął ją otwartą kapitanowi, który odmówił ruchem głowy.

– Powiedziano mi, że choć obie załogi spotykają się niekiedy na lądzie, nie ma żadnych incydentów.

– To prawda... Moi ludzie są zdyscyplinowani, czerwoni nie chcą problemów.

Falcó zamknął papierośnicę, nie wyjąwszy żadnego papierosa.

– Ale słyszałem też, że doszło do trzech przypadków dezercji.

– Nie pilnuję moich ludzi przez całą dobę. – W oczach Navii błysnęła niechęć. – Jestem ich dowódcą, nie szpiclem. Ci, którzy zdezerterowali, zrobili to z powodu poglądów albo żeby wrócić do rodzin w czerwonej strefie... Każdy ma powody, by coś zrobić albo tego nie robić.

– Godne pochwały. Ale inni nie patrzyliby na to tak obiektywnie.

– Inni nie dowodzą moim okrętem.

Falcó zaryzykował gest sympatii.

– Wkrótce po wybuchu powstania w niemal całej flocie marynarze wymordowali swoich oficerów i dowódców... Jak panu się udało tego uniknąć?

– Najbardziej zaciętrzewieni zostali przekonani przez kolegów. Powiedziałem, że przyłączamy się do powstania wojskowego i pozwoliłem zejść na ląd ludziom wiernym Republice. Na moim okręcie nikt nikogo nie zabił.

– To rzecz nietypowa dla każdej ze stron.

– Ale naturalna na moim okręcie. Załoga uwierzyła mi na słowo. Szanowali mnie dawniej i szanują teraz... Stoczyliśmy dwie poważne bitwy, jedną z nieprzyjacielskim krążownikiem, i wszyscy zachowali się dobrze.

– Nie powiadomił pan tangerskiej żandarmerii o dezercjach?

– Zrobiłem to po dwudziestu czterech godzinach. Kiedy upewniłem się, że są na statku płynącym do Marsylii.

Powiedział to z niejaką dumą, niemal wyzywająco. Po raz pierwszy chłód dowódcy Martina Alvareza ustąpił miejsca uczuciu. Falcó dostrzegł małą szczelinę i postanowił ją pogłębić.

– Dlaczego opowiada mi pan o tym wszystkim?

Wyraz zdziwienia na twarzy oficera wydawał się zupełnie szczery.

– Bo zapytał mnie pan... Dlaczego miałbym to ukrywać?

Falcó przywołał na usta przebiegły uśmiech.

– Pańscy przełożeni ze sztabu głównego mogą patrzeć na to inaczej.

– Już patrzą na to inaczej. – Navia zaakcentował słowo „już”. – Dlatego nie wiem, jak długo pozostanę dowódcą mojego okrętu... Ale jestem marynarzem, jestem katolikiem i kocham Hiszpanię. Powstałem przeciwko

chaosowi Republiki z powodu własnych przekonań i walczę, by wypełnić mój obowiązek, nie żeby zadowolić przełożonych.

Mam cię, pomyślał Falcó. Wreszcie wiem, kim jesteś i co zrobić, żebyśmy się dogadali. To mój teren, moje rewiry. Bohaterowie są zawsze bardziej przejrzyści niż kanalie. Wiele razy ich widziałem w drodze ku zapomnieniu albo na cmentarz; nie zostawiali po sobie nic oprócz dźwięku werbla słyszanego tylko przez nich.

– Pozwoli mi pan na pewną osobistą, mało delikatną uwagę?

– Oczywiście.

– Tą drogą nie dojdzie pan raczej do admirała.

Wybuch śmiechu. Dowódca Martina Alvareza śmiał się wreszcie, a setki maleńkich zmarszczek drgały w kącikach jego oczu.

– Ja też tak uważam – powiedział po chwili, wciąż rozbawiony.

Falcó ponownie otworzył papierośnicę, a jego rozmówca tym razem przyjął papierosa. Pochylił się, by podać oficerowi ogień.

– Mam plan, panie kapitanie. Przyjechałem do Tangeru z pewnym planem.

Marynarz patrzył na niego z uwagą.

– Plan zgodny z moimi rozkazami?

– Całkowicie. Obejmuje dwie części: plan główny A i plan rezerwowy B. Co do planu głównego, poradzę sobie sam, ale w kwestii rezerwowego potrzebuję pańskiej pomocy.

– Proszę mi najpierw opowiedzieć o części A, dobrze?

– Spróbuję przekonać kapitana Mount Castle, żeby przeszli na naszą stronę razem ze statkiem.

– *Caramba...* I jak pan zamierza to zrobić?

– Przekupując go.

Navia wpatrywał się w czubki butów. Niemal dało się słyszeć wrzawę jego myśli.

– To może się powieść albo się nie powieść – oznajmił. – Być może ten kapitan jest uczciwym człowiekiem. – Jego głos znów przybrał oschły ton. – Nie wszystkich da się kupić.

– W tej sytuacji przejdziemy do planu B, który zresztą da się połączyć z planem A... Ilu członków liczy załoga Mount Castle?

– Nieco ponad trzydziestu, jak sądzę.

– Spędzają noc na statku czy na lądzie?

– Zwykle schodzą na ląd, choć większość wraca o świcie albo rankiem... Na pokładzie zostaje wachta złożona z sześciu ludzi.

– Uzbrojonych?

– Widzieliśmy karabiny i pistolety, choć starają się z nimi nie obnosić.

Falcó ponownie zerknął w stronę zasłony i jeszcze bardziej obniżył głos.

– Byłby pan w stanie zorganizować mi oddział desantowy, ludzi gotowych na wszystko, zaufanych, którzy mogliby uchodzić za osoby przybyłe z lądu, falangistów albo coś w tym stylu?

Navia patrzył na niego ze zdumieniem.

– Na kei jest posterunek żandarmerii.

– Przyplłyniemy od morza, z drugiej strony.

Zdumienie marynarza ustąpiło miejsca oszołomieniu. Patrzył na Falcó, jakby ten postradał zmysły.

– Proponuje mi pan udział w przejęciu Mount Castle siłą?

– Właśnie.

– W porcie?

– Tak, nocą. Przejmujemy statek i zwiewamy ile pary w maszynach.

– Nie tak szybko. – Kapitan zastanawiał się. – Trzeba zapalić w kotłach i uzyskać odpowiednie ciśnienie.

– Ile czasu pan potrzebuje? Kilka godzin?

– Sześć.

– Dobrze. To się da zrobić, jeśli zaczniemy wcześniej. Chodzi o to, żeby rzucić cumy, zanim zaświta.

Navia palił w zamyśleniu, oswajając się powoli z pomysłem. Było jasne, że plan B podoba mu się. Przywiązanie do regulaminu toczyło w nim walkę z fascynacją śmiałością przedsięwzięcia.

– W bajeczkę o falangistach nikt nie uwierzy – przemówił wreszcie. – Zostałoby to uznane za poważny przypadek międzynarodowego piractwa. Naruszenie umów dyplomatycznych.

Falcó uśmiechnął się, a nie był to uśmiech, jakim obdarzał kobiety. Rekin przed ławicą tuńczyków oraz żarłacz przed grupką rozbitków uśmiechałby się dokładnie tak samo.

– Zapewne... Ale to, panie kapitanie, nie byłby już nasz problem.

5. OCZY JAK FILIŻANKI KAWY

Zapadła noc, gdy wyszli i ruszyli każdy w swoją stronę, najpierw Navia, potem Falcó. Rexach czekał na progu sklepu. Gruby cień. W ciemności błyszczał żar jego cygara.

– Wszystko w porządku?

– Wszystko w porządku. Niech pan skontaktuje się ze mną jutro rano, będę w hotelu.

– Dobrze.

Pożegnali się pod sklepem. Falcó był zadowolony. Włożył kapelusz i zszedł aż do świateł Zoco Chico. Większość sklepów była nadal czynna, oświetlona żarówkami i lampami naftowymi. Przechodniów ubyło, ale kafejki Fuentes i Central były jeszcze bardziej zatłoczone niż wcześniej.

Ruszał w stronę hotelu, gdy jego uwagę przykuła grupka kilku mężczyzn. Mówili po hiszpańsku, zajmowali dwa z okrągłych stolików, byli po cywilnemu, a niektórzy mieli na sobie marynarskie furażerki i czarne lub granatowe kurtki. W tym momencie stół obok był wolny, więc powodowany ciekawością i instynktem zawodowym wyprzedził elegancko ubraną francuską parę, która zamierzała zająć miejsca. Sprzątnął im krzesło sprzed nosa.

– Pani wybaczy – powiedział do kobiety. – Nie mogę stać zbyt długo. Stara rana, wie pani...? Verdun, rok siedemnasty. *Pour la France*.

Ignorując mężczyznę, który protestował najpierw ze zdezorientowaniem, potem z wściekłością, skrzyżował nogi, zsunął panamę

na tył głowy, zamówił figówkę i zaczął przyglądać się grupce z sąsiedniego stolika.

Byli marynarzami, nie pomylił się. A po kilku minutach potwierdziło się, że są z załogi Mount Castle. Żartowali z kogoś, do kogo jedni zwracali się „bosmanie”, a drudzy per Negus; z człowieka o szarych, bardzo kręconych włosach, jasnych oczach i ogorzalej twarzy, który wydawał się mieć pewną władzę nad pozostałymi. Sytuacja statku i niebezpieczeństwo grożące na morzu nie martwiły ich; ani razu nie słyszał, by o tym mówili. Wszyscy byli w dobrych humorach, zachowywali się z beztroską charakterystyczną dla żeglarzy schodzących na ląd w obcym porcie. Gawędzili o alkoholu, jedzeniu i kobietach, planując obchód najbliższych barów.

– Idziemy po kolacji do Tropicany?

– Dobra.

– Nie, lepiej do piwnicy starej Hamruch.

– Nie pierdolcie, koledzy. Laski u niej są raczej niedomyte.

– Tak, ale napoje czyste... Piwo i koniak z dziewiczą banderolą.

– To chyba jedyne dziewictwo, co się ostało w Tangerze.

Falcó miał już wstać i odejść, gdy pewien widok go zatrzymał: po rue de la Marine wzdłuż hiszpańskiego urzędu pocztowego nadchodziła grupka ludzi w mundurach. Ciemny granat hiszpańskiej marynarki wojennej, charakterystyczne szerokie spodnie, bluza z kołnierzem. Złote litery na otoku białej czapki nie pozostawiały wątpliwości: Martín Álvarez.

Falcó przyglądał się, jak dochodzą do rzędu kafejek i niezdecydowani przystają, bezskutecznie rozglądając się za wolnym miejscem. Prawie wszyscy byli młodzi, towarzyszyło im zaledwie dwóch czy trzech weteranów. Jeden z nich miał czapkę z daszkiem, a na ramieniu pagony podoficera artylerii.

– Kawiarnia faszystów jest naprzeciwko! – krzyknął w ich stronę jeden z marynarzy handlowych, a jego koledzy zawtórowali mu.

– Szukam twojej mamuśki – odpowiedział chłopak w mundurze.

Handlowy wykonał gest, jakby chciał wstać, ale bosman zwany Negusem przytrzymał go za ramię.

– Bawmy się grzecznie – powiedział spokojnie.

W tym czasie podoficer popychał młodszego kolegę, odsuwając go od stolików.

– Nie mieszaj w to mamusiek, chłopcze.

Jedni i drudzy patrzyli na siebie zaczepnie. Ściskali pięści, na twarzach malowała się nieprzyjaźń. Jeden z siedzących odchrząknął głośno i splunął na ziemię. W mgnieniu oka przekomarzenie ustąpiło miejsca wrogości.

– Nie róbmy jaj – odezwał się podoficer zwrócony do republikańskiego bosmana.

Zabrzmiało to jak przypomnienie paktu i Negus tak to zapewne odebrał. Zmierzył go wzrokiem, po czym pokiwał lekko głową. Pyskaty marynarz chciał coś powiedzieć, lecz bosman ponownie kazał mu stulić dziób.

– To nie miejsce – uciął.

– W dupie mam...

– Mówię ci, że to nie miejsce, tłuku.

Teraz podoficer z Martina Alvareza pokiwał głową. Załatwili to po męsku, niemal instynktownie, uznał Falcó. Podoficer podniósł dwa palce, jakby miał przytknąć je do daszka czapki, ale jego gest zawisł w powietrzu. Już miał odejść ze swoimi ludźmi, kiedy bosman z Mount Castle zatrzymał go ruchem ręki.

– Dokąd idziecie na kielicha? – zapytał bardzo spokojnie, nie ruszając się z krzesła.

Podoficer zawahał się na moment. Zerknął na swoich marynarzy, po czym z rękami w kieszeniach odwrócił się ponownie do bosmana.

– Czemu pytasz?

Ów wykonał gest obejmujący obie grupy.

– Żebyśmy nie wchodzili sobie w paradę... Widzisz, że dymi im się z głów.

Podoficer zastanowił się.

– Mówili nam o Pigalle.

Ktoś z siedzących pokręcił głową.

– Lepsza będzie Tropicana – powiedział bosman. – Tu, zaraz przy calle de los Cristianos, sto kroków stąd... Nie pomylicie się: czerwona latarnia i dwie dziwki w drzwiach.

Podoficer pokiwał głową.

– A wy dokąd idziecie? – zagadnął.

– Do starej Hamruch, trochę dalej. Możecie iść tam jutro.

Spoglądali na siebie przez chwilę w milczeniu.

– Jeśli jeszcze jutro tu będziemy – powiedział wreszcie podoficer.

– Jasne.

Podoficer teraz owszem, dotknął jakby mimochodem daszka czapki.

– Dzięki – powiedział.

– Nie ma za co.

– *Arriba España.*

Uśmiechnęli się obaj szelmowsko.

– *Salud* – odpowiedział bosman, podnosząc pięść. – Za Republikę.

Falcó wracał do hotelu wzdłuż rue de la Marine, nieśpiesznie, z przyjemnością. Czuł się dobrze w Tangerze. Był przyzwyczajony do

poruszania się po terytoriach o niesprecyzowanych granicach, a to miasto do takich należało. Lokalna atmosfera była dlań tak znajoma jak granica między Meksykiem a Stanami albo niespokojny pas oddzielający Europę Środkową i Bałkany od Związku Radzieckiego. Te miejsca ewidentnie coś łączyło, wspólny mianownik metyskości. Z przypadku, potrzeby albo osobistej przyjemności – nawet on sam nie starał się tego ustalić – połowa życia upłynęła Falcó w takiej właśnie przestrzeni: w latynoskich tawernach, środkowoeuropejskich barach, na afrykańskich i lewantyńskich placach i bazarach. Na wychwytywaniu gestów, słów, rozmów. Na zbieraniu doświadczeń niezbędnych do życia i do przeżycia. Dlatego właśnie poruszał się równie swobodnie w paryskim Ritzu czy nowojorskiej Plazie, co w chińskiej dzielnicy San Francisco, między karaluchami pensjonatu w Veracruz czy w burdelu w Aleksandrii. Nie licząc lokali, gdzie przed zamówieniem kieliszka należało sprawdzić, gdzie jest wyjście, i pić, oglądając się przezornie przez ramię.

Gdy przechodził obok muru meczetu piątkowego, zorientował się, że ktoś go śledzi. Ostrzegł go instynkt zawodowy. Po kilku krokach nabrał pewności. Ktoś szedł za nim w sporej odległości, starając się nie zwracać jego uwagi. Na tym odcinku ulicy byli jeszcze przechodnie, więc przeszedł na drugą stronę, zatrzymał się, by kupić u tubylca wiązkę laseczek lukrecji, po czym zobaczywszy kątem oka, że mężczyzna ubrany po europejsku idzie w ślad za nim, poszedł przed siebie. Miał praktykę w postępowaniu w nietypowych sytuacjach, a kurs doskonalenia sztuk walki zaliczony w Rumunii i trzytygodniowe szkolenie z technik policyjnych w Gestapo w Berlinie wykształciły u niego wszystkie automatyczne odruchy, jakie tylko dało się wykształcić.

U wylotu ulicy przy plaży i czarnej zatoce, gdzie kiwały się w oddali światełka stojących na kotwicy statków, wiatr o mało nie zerwał mu

kapelusza z głowy. Zdjął go, wziął do ręki i zamiast pójść w lewo w Dar Baroud, jak poprzednio zamierzał, skręcił w prawo na aleję wysadzaną palmami, którymi wściekle szarpał lewant.

Latarnie były zgaszone. Szum wiatru i fal na pobliskim brzegu zagłuszał kroki za jego plecami, ale gdy odwrócił się w ciemności, wyczuł obecność człowieka jakieś dwadzieścia kroków od siebie. Postarał się więc myśleć szybko. Nie miało sensu, by sięgał po pistolet: wystrzał zostanie usłyszany, a to nie był moment na konfrontację z policją. Przede wszystkim powinien ustalić, kto za nim idzie. Ki diabeł i po co.

Szedł wzdłuż fasad gmachów wznoszących się przy plaży, oświetlany od czasu do czasu przez światło z okna czy witryny. Znalazł wreszcie róg z odpowiednim załomem w półcieniu, gdzie jego jasny garnitur nie odznaczał się zbyt w mroku. Skręcił, westchnął z rezygnacją, wypuszczając z ręki kapelusz – montecristi, za którego dał dziesięć dolarów – zdjął marynarkę, owinał nią lewą rękę i przywarł do ściany.

Przezorny zawsze uzbrojony, mawiał Admirał.

Nie wiedział, co ma w rękach czy kieszeniach człowiek idący za nim, i nie zamierzał ryzykować, że dostanie na przykład nożem w pachwinę. Na rozprutą tętnicę udową – cios toreadora, jak go nazywali zawodowcy – nie było ratunku ani żadnego opatrunku, który zdołałby powstrzymać krwotok. Raz-dwa i będzie po wszystkim. A z pewnością nie miał ochoty na taki finał.

Po chwili usłyszał kroki bardzo blisko rogu ulic. Trzy metry, dwa, jeden. Kulka skacze po przegrodach ruletki: czerwone czy czarne, parzysty czy nieparzysty. Znajome uczucie. Kiedyś zapewne przegram i wybebeszą mi kieszenie albo brzuch, pomyślał przelotnie, odganiając ten obraz i koncentrując się. Nie rozprasza się, upomniał sam siebie.

Naprężony jak stalowa cięciwa zacisnął dłonie, osłonił brzuch marynarką i czekał przyklejony do muru, nieruchomy jak posąg z mroku, a napięcie przed tym, co miało nastąpić, narastało w jego sercu i głowie.

Przydałaby mi się kopiryna, pomyślał. Oby wszystko skończyło się jak najszybciej.

Łomot krwi w skroniach zaczynał go ogłuszać – zawsze tak było, gdy akcję poprzedzała cisza – ale w tym momencie nie miało to już znaczenia, bo śledzący go człowiek skręcił wreszcie za róg i mijał ukrytego przeciwnika, nie dostrzegając niczego, przyśpieszając kroku na widok pustej ulicy. Stał potem nagle, zdezorientowany, i zamierzał odwrócić się, być może odgadując podstęp, gdy Falcó rąbnął go pięścią w kark.

Gdy intruz oprzytomniał, Falcó zdążył go już zaciągnąć do kąta osłoniętego przed wiatrem i wzrokiem osób niepowołanych, po czym włożył z powrotem marynarkę i przeglądał zawartość jego kieszeni w świetle zapalniczki: złożony plan miasta, dwie prezerwatywy, pistolet star kaliber 6,35 mm i portfel z pieniędzmi francuskimi i hiszpańskimi. A także paszport na nazwisko Ramón Valencia Hernández oraz legitymacja z tym samym zdjęciem, tym razem na nazwisko Ramón Villarrubia Márquez, z literami SINA w nagłówku, wydana w Tetuanie. SINA – Servicio de Información para el Norte de África – była jedną z nacjonalistycznych służb wywiadowczych dowodzoną z Salamanki przez szefa policji i bezpieczeństwa Lisarda Queralta.

Jęk. Kaszel i drugi jęk, tym razem dłuższy. Agent podnosił się na łokciu, pocierając obolały kark. Kucający przy nim Falcó spojrzał raz jeszcze na jego twarz, zanim zgasił zapalniczkę: mniej niż trzydzieści lat, przycięty rzadki wąsik, jasne włosy uczesane – teraz raczej rozczochrane – z przedziałkiem. Jego kapelusz także porwał wiatr.

Widząc cień Falcó nad sobą, leżący poruszył się konwulsyjnie, nerwowo. Falcó chwycił go za gardło, ściskając mocno i przycisnął jego kark do bruku. Dla lepszego efektu przyłożył mu lufę stara do czoła.

– Opowiedz mi, co tu robisz, dzieciaku.

Nie widział w ciemności jego twarzy, ale wyczuł drzenie. Jakiś dźwięk usiłował się przedrzeć przez gardło zduszone palcami. Falcó odczekał jeszcze kilka sekund, po czym zwolnił ucisk. Nowy jęk i przyśpieszony oddech.

– No dalej, mów – ponaglił.

Przycisnął mocniej pistolet do czoła młodego, wywołując kolejny jęk.

– Jeden... – zaczął liczyć bardzo powoli. – Dwa...

Leżący poruszył rękami, wciąż jeszcze na wpół przyduszony.

– Zaczekaj... – wydusił.

– Nie zaczekam – odrzekł Falcó. – I liczę tylko do pięciu. Trzy... cztery...

To był bluff, ale tamten nie mógł o tym wiedzieć. Poczuł, że szamocze się znowu, próbując się podnieść.

– Zaczekaj, na miłość boską, zaczekaj... Jesteśmy po tej samej stronie.

– Nie sędzę.

– Jestem policjantem, kurwa.

– Jakim policjantem?

– Twoim operatorem radiowym. Przysłali mnie z biura SINA w Tetuanie... Powiedzieli, że dali ci znać, że przyjeżdżam... Że mam się z tobą skontaktować.

Falcó prychnął ze złością. Niemal zapomniał o nim, a w każdym razie nie spodziewał się, że zawrą znajomość w taki sposób. Złowrogi cień Lisarda Queralta wydłużał się.

– Dali mi znać... – powiedział. – Ale nikt mnie nie uprzedził, że będziesz śledził mnie na ulicy jak gangster z filmu... I będziesz tak niezdarny, że dasz się podejść jak idiota.

– Próbowałem dyskretnie zbliżyć się do ciebie.

– I o mało nie przetrąciłem ci karku.

Zamilkli. Falcó odsunął pistolet. Leżący wciąż jeszcze oddychał z trudem.

– Niech to szlag... Aleś mi przyłożył.

Falcó odsunął się i usiadł, opierając plecy o mur. Policjant dowlóknął się do niego, jęcząc z bólu, i zrobił to samo. Siedzieli obok siebie w ciemności.

– Nazywam się Ramón Villarrubia.

– Wiem, jak się nazywasz.

– Masz moje papiery?

– Oczywiście.

– Oddaj.

Podał mu dokumenty. Zauważył, że młody szuka czegoś po kieszeniach.

– Pistolet, który trzymasz w ręce, jest mój.

– Niewykluczone.

– Oddaj.

– Oddam później, jak będę odchodził. Albo i nie.

– Słuchaj, nie masz do tego prawa.

– Do czego? Do rozbrojenia kretyna, który mnie śledził?

Powiedziawszy to, Falcó zaśmiał się szorstkim, przewrotnym i okrutnym śmiechem. Bardzo w jego stylu.

– Zgłoszę centrali twoje agresywne zachowanie – zaprotestował młody. – Myślisz, że możesz się uważać za...

– Pieprz się.

Przez moment młody nie wiedział, co powiedzieć. Falcó włożył rękę do kieszeni marynarki i upewnił się, że jest tam fiołka z kopiryną, ale miał zbyt sucho w ustach, by tak po prostu połknąć tabletkę. Potrzebował szklanki wody, i to szybko. Diabli by to wszystko. Łomot w prawej skroni i intensywny ból sprawiły, że poczuł mdłości.

– To jakiś absurd – odezwał się wreszcie tamten. – Przyjechałem do Tangu, żeby oddać się do twojej dyspozycji.

– I zacząłeś od wystawienia się na strzał.

– Przepraszam... Słuchaj, naprawdę. Myślałem, że tak będzie najlepiej.

– Ale nie jest. A poza tym nie lubię twoich szefów. Ani odrobinę.

– Ja jestem zwykłym funkcjonariuszem. Wykonuję rozkazy... Nie jestem nawet agentem, tylko operatorem radiowym.

Falcó powstał, otrzepując ubranie.

– To coś ci powiem, Villarrubia albo Villadupa, albo jak tam cię zwa...
– Villarrubia to moje prawdziwe nazwisko.

Wciąż siedział na ziemi. Falcó nie widział jego twarzy, ale pochylił się, prawie jej dotykając swoją.

– Gównu mnie obchodzi twoje prawdziwe nazwisko – powiedział lodowato. – Potrzebuję radiotelegrafisty, a ty najwyraźniej nim jesteś. Ale ostrzegam cię... Jak cię zobaczę tam, gdzie nie powinienem, jak mi wejdiesz w drogę, utrudnisz zadanie albo nie wykonasz mojego rozkazu, przysięgam na Boga i jego matkę, że urwę ci łeb i wyślę w koszu do Tetuanu... Czy wyraziłem się jasno?

– Całkowicie.

– To bierz pistolet i znikaj mi z oczu. Gdzie mieszkasz?

– W domu przy boulevard Pasteur, w dzielnicy europejskiej. W punkcie kontaktowym SINA... Mam tam cały sprzęt.

– Dobrej jakości?

– Niemiecki, Telefunken, zajebisty. Mieści się w dużej walizce.

– Mieszkanie jest pewne?

– Sądzę, że tak.

– Numer i piętro?

– Dwadzieścia osiem, pierwsze. Drzwi po lewej.

– Skontaktuję się z tobą, kiedy będzie coś do przekazania. Na wszelki wypadek bądź w Café de Paris codziennie od trzeciej do szóstej. Zgoda? I niech ci nie przyjdzie do głowy pokazywać się w moim hotelu. Jeśli zdarzy się coś ważnego, dzwonicz i czekasz w kawiarni. Kiedy mnie zobaczysz, idziesz bez słowa do mieszkania, a ja za tobą.

– Zrozumiałem. Jaki szyfr stosujesz?

– Nie twoja sprawa. Nowy, którego nie mają czerwoni... Nie musisz wiedzieć nic więcej.

Falcó rozejrzał się wokół siebie, masując prawą skroń. Byli niedaleko hotelu Cecil, który mieścił się przy plaży i miał bar. Tam znajdzie wodę do popicia tabletki. Po kilku krokach na ziemi pod ścianą, dostrzegł jasną plamę swojej panamy. Ale szczęście. Wiatr nie zwiął jej zbyt daleko. Poszedł po nią. Kiedy się odwrócił, Villarrubia już wstał i był cieniem opartym o mur.

– Mówili mi... – powiedział płacząco. – Ostrzegali mnie, że skurwysyn z ciebie.

– No to już wiesz. – Falcó przeszedł obok niego z kapeluszem w rękę i odszedł w mrok. – Chyba mieli trochę racji.

Zestaw przeciwbólowy zadziałał.

Wystarczyło dziesięć minut w barze Cecilia, dwie kopiryny, a nieco później kanapka z serem, papieros i lampka koniaku. Aż nadto czasu, by zastanowić się nad niedawnymi wydarzeniami i na chłodno rozważyć plusy i minusy posiadania na ogonie człowieka Lisarda Queralta, choćby był tylko operatorem radiowym – a w każdym razie za takiego się podawał. Uwolniony od bólu głowy myślał spokojniej. Przeszedł się trochę, a teraz palił drugiego playersa oparty o budkę z napojami na wysokości avenida de España, osłonięty od wiatru, słysząc szum morza za plecami. Latarnie wciąż nie działały, a korony palm były chwiejnymi cieniami, między którymi świstał przeciągle i złowieszczo wiatr.

Stał teraz przed hotelem Majestic, choć nie miał tu nic do roboty. Minął go po drodze do Continentalu i zamierzał wejść w jedną z wewnętrznych uliczek, żeby schronić się przed wiatrem, lecz nagle zmienił zdanie i przystanął.

Mieszkała tu Eva Neretwa, powiedział gruby Rexach. Z kolegami, Hiszpanem Trejem i tym angielskim lub amerykańskim komunistą nazwiskiem Garrison. Pozostanie tu zapewne przez cały czas, gdy Mount Castle będzie stał w porcie, a Falcó wiedział, że oboje spotkają się w tym mieście prędzej czy później.

Wspominał ją w sposób całkowicie niepodobny do niego. Z melancholią. A to nie było bynajmniej uspokajające. Wspominał, jak idzie z nim pod ramię w Kartagenie z Caridad Montero – biedaczka została potem rozstrzelana jak wszyscy zdradzeni przez Evę i samego Falcó – a później umęczoną i zgwałconą, obscenicznie nagą, przywiązaną do łóżka w domu pod Salamanką, gdzie wbrew wszelkim regułom ostrożności, wszelkiemu rozsądkowi i wszelkim zasadom zabił trzech ludzi Queralta, żeby ją uwolnić. I wspominał także i przede wszystkim milczące

spojrzenie, jakim go obrzuciła na dworcu w Coimbrze, gdy zwracał ją jej kolegom. Gdy sądził, że ich drogi nigdy się już nie przetną.

Popatrzył na nieliczne jasne okna w fasadzie hotelu. Być może, powiedział sobie, jest teraz w jednym z tych pokoi – przyjrzał się oknom uważnie, próbując dostrzec przechodzący cień – a być może przebywa w mieście, je kolację z kolegami w tej drogiej restauracji, o której wspomniał Rexach, szukając sposobu na wykonanie zadania, które zleciła jej Moskwa, choć okoliczności uczyniły je tak trudnym. Nie mówiąc o mnie, który mam nadzieję utrudnić je jeszcze bardziej.

Przez moment, stawiając się w sytuacji wroga czy też gracza przeciwnej drużyny – ich życie w sumie miało w sobie wiele z gry – zastanowił się, co się stanie, gdy się jej nie uda. Paweł Kowalenko, sowiecki doradca Republiki, szef Wydziału do Zadań Specjalnych NKWD na Hiszpanię, miał reputację nieubłaganego bandyty. Mawiano o nim, żartując, choć nie do końca, że zabił więcej ludzi na republikańskich tyłach niż faszystów na froncie. Wiadomo było, że nie zadrżała mu ręka, gdy wydawał rozkaz rozstrzelania czy to własnych agentów, czy to członków brygad międzynarodowych lub hiszpańskich: każdego podejrzanego o zbaczanie z kursu, trockizm czy jakąkolwiek skłonność nieznaną uznania w oczach władców z Kremla. A wybitni komuniści, których nie można było po prostu zlikwidować z dnia na dzień, kiedy popadli w niełaskę, byli zwykle wzywani do Moskwy i otrzymywali kulę w łeb zgodnie z najlepszymi tradycjami lochów Łubianki. Wszystko zależało od stopnia protekcji, jaką cieszyła się dana osoba. Od jej wpływów w aparacie sowieckich służb specjalnych.

Falcó spróbował oszacować z nieomal fachową ciekawością miejsce, jakie w tej hierarchii zajmowała Eva Neretwa. Fakt, że Kowalenko powierzył jej złoto z Mount Castle, lokował ją na wysokiej pozycji. Trejo,

hiszpański komisarz polityczny, pewnie nie grał pierwszych skrzypiec. Operację prowadzili Eva i ten Garrison, to było jasne. Ale ona, powiedział Rexach, wyglądała na tą, która rządzi. I to twardą ręką.

Przez moment owładnęło nim pragnienie, by przejść zdecydowanym krokiem na drugą stronę ulicy, wejść do Majestica, wręczyć dziesięć franków portierowi, zapytać, w którym pokoju mieszka señora doña Luisa Gómez, zastukać do jej drzwi i stanąć z nią twarzą w twarz bez dalszych ceregieli. I niech się dzieje, co chce. Ale każde z nich żyło w innym świecie. Zatem potrząsnął głową, jakby odganiając kiepski pomysł, odrzucił papierosa, włożył kapelusz i poszedł aleją pod wiatr do swojego hotelu.

Przez moment, idąc pośród ciemności, zastanowił się jeszcze, jak ona wspomina jego.

Gdy obudził się następnego ranka, wiatr ustał. Wściekły lewant przemienił się w lekką bryzę. Morze było spokojne, niebo błękitne i świetliste, a temperatura przyjemna jak na tę porę roku.

Wypaliwszy papierosa na balkonie w piżamie i szlafroku, spoglądając na port – Mount Castle i Martín Álvarez stały spokojnie niedaleko siebie – wykonał kilka ćwiczeń gimnastycznych, ogolił się starannie przy użyciu mydła, pędzla i brzytwy, i wziął kąpiel. Ubierał się właśnie i był jeszcze bez krawata, gdy zapukano do drzwi. Otworzył i stanął naprzeciw berberyjskiej pokojówki, która zapytała, czy może posprzątać pokój. Obok niej stał wózek z czystą pościelą i kubek z wodą i szczotkami. Była w średnim wieku, miała tatuaż na czole, włosy spięte pod chustką zawiązaną wokół szyi. Atrakcyjna. Oczy wielkie i czarne jak filiżanki kawy. Na widok Falcó uśmiechnęła się na poły usłużnie, na poły nieśmiało.

– Proszę. – Usunął się z przejścia. – Ja pójdę na śniadanie.

Zszedł schodami wyściełanymi dywanem w stylu berberyjskim, wybrał stolik, przy którym mógł siedzieć tyłem do ściany i obserwować wejście – oprócz Falcó było jeszcze tylko dwoje gości, małżeństwo w podeszłym wieku rozmawiające cicho po włosku – poprosił hiszpańskiego kelnera o gotowane jajko, tosty i kubek mleka, i rzucił okiem na „Tangier Gazette”. Największy nagłówek na pierwszej stronie głosił: *Impas w porcie. Republikański statek nadal oczekuje na decyzję o swoim losie.*

Po śniadaniu wrócił do pokoju. Berberyjka kończyła sprzątać. Otworzyła okno, żeby wywietrzyć pokój, firanki powiewały poruszone bryzą. Na widok Falcó uśmiechnęła się równie nieśmiało co przedtem, przepaszając za swoją powolność. Posłała właśnie łóżko i rozkładała na nim kapę.

– Niech pani się mną nie przejmuję – powiedział. – Proszę sobie nie przeszkadzać.

Podszedł do komody, zabrał z niej kilka przedmiotów, po czym zawiązał na szyi krawat przed lustrem w drzwiach szafy. Następnie wyjął z portfela dwadzieścia franków i wręczył je pokojówce.

– *Uar...* – powiedziała skonsternowana. – Nie... To za dużo.

Nalegał z uśmiechem, wsuwając jej banknot do kieszonki zapinanego z przodu fartucha.

– Dzisiaj ja daję tobie, jutro ty dasz mnie.

Wzbraniała się nieco z rozbawieniem, wreszcie przyjęła pieniądze.

– *Báarak Alóufik.*

Miała mięsiste wargi, skórę ciemną i gładką. Ładną figurę. Tatuaż na czole był stary, w kształcie Krzyża Południa. Oczy ciemne jak filiżanki kawy spoglądały na Falcó z ciekawością. Były podkrążone od zmęczenia.

– *Shukran, dziękuję... Nezrani* – szepnęła. – *Mziwen.*

Roześmiał się. Znał maghrebską odmianę arabskiego na tyle, by zrozumieć, co powiedziała. Ty ładny chrześcijaninie.

Przyglądał się jej, podczas gdy ona po chwili niezdecydowania wróciła do łóżka i wygładzała kapę. Gdy pochylała się nad nią, jej fartuch podniósł się nieco na wysokości kolan, odsłaniając piędź brązowej skóry. Falcó pomyślał, że robi to specjalnie.

– *Isték?* – zapytał. – Jak masz na imię?

– Karima – odrzekła, nie odwracając się.

Nie odezwał się więcej, stał nieruchomo na środku pokoju, przypatrując się, gdy kończyła ścielić łóżko. Zastanowił się, jak wygląda dzień takiej kobiety. Z pewnością nie do pozazdroszczenia. Pokojówka nie ma nic wspólnego z eleganckimi mieszkankami Tangeru przesiadującymi w kafejkach w centrum. Ta myśl zmieszała go, a zarazem zaintrygowała.

Łóżko było zasłane i Berberyjka odwróciła się do niego z niezdecydowaną miną. Prostowała fartuch na sobie, patrząc na szczotki i kubeł. Falcó sięgnął po portfel, wyjął dwieście franków i włożył jej do ręki. Podejrzewał, że ta kwota przekracza jej miesięczne wynagrodzenie. Popatrzyła na niego podejrzliwie i z namysłem. Uśmiechnął się szerzej, podniósł rękę i pogłaskał jej szyję, delektując się ciepłym ciałem kobiety. Zrobiła najpierw gest, jakby chciała się cofnąć, lecz po chwili pozwoliła się dotykać.

– *Beslama*, Karima... Żegnaj.

Nie miał na myśli nic więcej. Zamierzał wyjść, kiedy ona niespodziewanie chwyciła go za rękę, którą trzymał jeszcze na jej szyi, odwróciła dłoń i ucałowała. Wówczas przysunął się bliżej.

Berberyjka pachniała, potwierdził, zmęczoną kobietą. I była naprawdę ładna. Położył jej rękę na talii, która pod jego dotykiem wygięła się w łuk jak u zwierzęcia.

– *Nezrani uld kaahba.* – Usłyszał jej szept.

Rozbawiło go to. Chrześcijanin skurwysyn, w wolnym tłumaczeniu; nie była to zła definicja, zwłaszcza w tak mało chrześcijańskim momencie. Popchnął łagodnie kobietę w stronę łóżka, na plecy, poddała mu się z odwieczną kobiecą uległością, dostrzegając jego podniecenie. Wydawała się przy tym dobrze bawić. Wielkie, bardzo czarne oczy lustrowały go z ciekawością i kpiną, a on zrozumiał, co myśli: od pewnego momentu wszyscy mężczyźni są tacy sami i tak samo łatwo jest nimi kierować, bogatymi czy biednymi, eleganckimi czy wulgarnymi, niewiernymi czy wyznawcami Proroka. *Nezrani uld kaahba.*

– Karima.

– *Uaja?*

– Kawał damy z ciebie.

Zrozumiała lub nie, lecz zaśmiała się z zadowoleniem i wyższością, podczas gdy on zaczął od dołu do góry rozpinać guziki jej fartucha, odkrywając po kawałku brązową skórę ud, po której przesunął dłonią, by nacieszyć się atlasową gładkością. Jej ciało emanowało ciepłem. A na końcu drogi znajdowały się wystrzępione bawełniane majtki, które zsunął delikatnie, nie napotykając oporu, obnażając łono pokryte czarnymi, kręconymi, gęstymi włosami, bardzo w tym momencie wilgotne. Wędrując w górę rzędu guzików i rozpiąwszy ostatni, zobaczył piersi, swobodne, nieuwięzione w żadnym gorsecie, z wielkimi aureolami koloru czekolady i sutkami sztywnymi i ciemnymi.

Falcó zdjął marynarkę i zaczął rozpinać klamrę paska.

– *Aafak...* Proszę – powiedziała Berberyjka. – Nie rób tego w środku.

Reszta poranka przebiegła zwyczajnie. Przy rue Rembrandt znajdującej się w europejskiej części miasta Falcó odwiedził bankiera Moisesa Seruyę

mającego zapewnić finansowe wsparcie operacji, i pokazał mu zaszyfrowaną depezę od Tomasa Ferriola, którą wręczono mu, gdy wysiadł z awionetki w Tetuanie.

– Pedro Ramos – przedstawił się.

– Ach, oczywiście... Witam w moich progach.

Bankier był młodym Żydem, dynamicznym i przyjemnym, z trzeciego pokolenia Seruyów z Tangeru. Niedawno przejął rodzinny interes. Podjął gościa energicznie i uprzejmie, zaprowadził do nowoczesnego, funkcjonalnego gabinetu umeblowanego w stylu bauhausu i podsunął otwarte pudełko hawańskich cygar Partagás. Falcó odmówił grzecznym gestem.

– Dziękuję, wolę swoje papierosy.

– Jak pan sobie życzy. – Wskazał eleganckie obrotowe krzesło ze stali i skóry. – Proszę się rozgościć i wybaczyć mi na moment.

Zasiadł za biurkiem, położył depezę na podkładce z tłoczonej skóry, z sejfu wyjął niedużą książkę i przez trzy minuty bardzo skoncentrowany rozszyfrowywał wiadomość. Następnie podniósł głowę z wymalowanym na twarzy uśmiechem, który Falcó uznał za najszerszy z jego firmowych uśmiechów.

– Wszystko w porządku – potwierdził. – Od tej chwili dysponuje pan w moim banku awalem na pół miliona franków francuskich.

– Wymienialnych na dolary lub funty szterlingi?

– Oczywiście.

– Najbardziej prawdopodobne jest to, że poproszę pana o funty... Jaki mają obecnie kurs?

– Pięć dolarów amerykańskich.

– A w pesetach?

Bankier poruszył powątpiewająco głową.

– Republikańskich czy narodowych?

– Narodowych.

– Około sześćdziesięciu peset za funt albo osiemdziesięciu sześciu franków za sto peset. – Seruya skrzywił się znacząco. – Peseta republikańska jest warta trzy razy mniej niż peseta generała Franco.

Wypowiedziawszy te słowa, podniósł lekko ręce wnętrzem do góry. Gest ów wyraźnie pokazywał, czyje zwycięstwo prognozują bankierzy i rynki międzynarodowe.

– Jak mam postąpić, gdy będę potrzebował pieniędzy? – zapytał Falcó.

– Wystarczy wiadomość napisana odręcznie przez pana, by godzinę później żądana kwota znalazła się w rękach pańskich lub wskazanej przez pana osoby. Musi pan tylko podać wysokość kwoty i walutę, w jakiej chce ją otrzymać.

Wziął kartkę papieru i położył ją przed Falcó. Podsunął mu także pióro i kałamarz.

– Proszę, by zechciał pan napisać kilka słów, cokolwiek, i podpisał się. W ten sposób będę mógł zidentyfikować pańskie pismo, gdy otrzymam wiadomość.

Falcó umoczył stalówkę w kałamarzu. *List mój szczęśliwy, gdyż biegnie na pańskie spotkanie*, napisał. Podpisał się *Pedro Ramos* i podkreślił. Przyłożył bibułę, a po chwili oddał kartkę bankierowi, który uśmiechnął się, czytając skreślone przez niego słowa.

– Ramón de Campoamor, *Nocny ekspres*?

– Recytowała mi go babcia, gdy byłem mały.

– Och. – Uprzejmy uśmiech bankiera poszerzył się. – To wzruszające.

– Tak. Bardzo.

Seruya włożył kartkę do szuflady i zaplótł palce na podkładce.

– Czy coś jeszcze mogę dla pana zrobić?

Falcó zastanawiał się przez moment.

– W zasadzie tak. – Przypomniął sobie Moirę Nikolaos. – Na początek będę potrzebował sześć tysięcy franków w funtach szterlingach.

– Teraz?

– Tak.

– Woli pan czek czy gotówkę?

– Czek do realizacji w pańskim banku będzie znakomity.

– Imienny?

– Na okaziciela.

– Nie ma najmniejszego problemu. Wystawię go panu natychmiast. – Seruya otworzył książeczkę czekową i położył na stole kolejną pustą kartkę. – Ale będzie pan musiał wypisać mi pokwitowanie. – Uśmiechnął się ponownie. – Tym razem bez poezji.

Falcó jeszcze raz umoczył stalówkę w kałamarzu.

– Naturalnie.

Oparty o parapet okna w biurze portowym Falcó spoglądał na zewnątrz.

Biuro stanowiło siedzibę filii firmy handlowej, Antón Rexach wynajął je dwa dni temu. Widać stąd było bardzo dobrze keję i oba statki, w głębi Mount Castle z czarnym kadłubem i wysokim kominem. Jakies trzydzieści metrów przed nim przycumowany do polerów tej samej kei grubymi linami, onieśmialająco szary, groźny, z dwoma kominami i pięcioma działami stał Martín Álvarez.

– Dziś o świcie wpłynął do Tangeru brytyjski niszczyciel – poinformował Rexach. – HMS Boreas. Przysłali go z Gibraltaru w roli

neutralnego obserwatora. Nie widać go, bo jest z tyłu, stoi na kotwicy na redzie.

– Widziałem go rano z hotelu – odrzekł Falcó. – Nie sądzę, żeby interweniował.

– Ja też nie. Chodzi jak zwykle o zachowanie pozorów. Anglicy nie zrobią nic, co by pogwałciło zasadę neutralności, ale sprawią wrażenie, że coś gwarantują, cokolwiek by to było... Typowa anglosaska hipokryzja.

Falcó przyglądał się statkom. Rexach podał mu wielką lornetkę Zeiss.

– Niech pan spojrzy przez to. Lepsza niż ta lorneteczka teatralna z wczoraj.

Falcó podniósł do oczu potężne soczewki 7 x 50 mm i nastawił ostrość. Dawały niewiarygodne powiększenie i wyraźny obraz. Mógł obejrzeć szczegółowo oba statki. Mount Castle był przycumowany lewą burzą, brzydki i niemal płaski. Miał bardzo zaniedbany kadłub z odpadającą farbą i wielkimi plamami rdzy. Nie budził sympatii.

– Zbudowany w tysiąc dziewięćset dziesiątym w Glen Yard w Szkocji – odezwał się Rexach zza pleców Falcó. – Dziewięćdziesiąt cztery metry długości, dwa tysiące pięćset ton wyporności... Mały i stary, ale wciąż jary, jeśli dowodzi nim pewna ręka. A tak najwyraźniej jest.

– Jaką prędkość osiąga?

– Jedenaście węzłów całą parą, powiedziano mi... To nieźle, ale nie wystarczy, żeby uciec niszczycielowi, który wyciąga ponad trzydzieści. Jeśli Martín Álvarez popłynie za nim albo będzie czekał na morzu, frachtowiec nie ma żadnych szans.

Falcó badał statek przez lornetkę. Pod białymi literami widocznymi na dziobie można było dostrzec nieczytelne ślady poprzednich nazw zamalowanych i namalowanych na nowo. Nie ulegało wątpliwości, że wielokrotnie podczas tej wojny zmieniał nazwę, numer i kamuflaż. Według

Rexacha wszedł do Tangeru jako Clan MacKinklay, a prawdziwe miano przywrócono mu, gdy tylko stanął na redzie, zanim jeszcze przycumował do kei.

– Z ilu osób składa się załoga?

– W rejestrze figuruje trzydziestu dwóch ludzi. Z tego, co wiem, prawie wszyscy to marynarze z handlowej oprócz czterech artylerzystów Czerwonej Floty odpowiedzialnych za działo. – Pokazał na rufę. – Jest tam, niech pan spojrzy. Nieco podniesione, na nadbudówce. Ukryte pod tą konstrukcją przypominającą budkę.

Falcó przesunął lornetkę. Nie widział vickersa 76 mm na frachtowcu, za to owszem pięć dział 120 mm jego przeciwnika: dwa na dziobie Martina Alvareza, jedno między kominami, jedno za wyrzutniami torped i jedno na rufie. Dostrzegął poza tym działka przeciwlotnicze. Frachtowiec nie miał szans w starciu z narodowym niszczycielem na otwartym morzu. Po dziesięciu minutach poszedłby na dno.

Skierował teraz zeissa na keję. Naprzeciw miejsca, gdzie był przycumowany Mount Castle, zobaczył kozły hiszpańskie, zasieki z drutu kolczastego i budkę strażniczą, a obok niej wartowników z karabinami.

Rexach prawidłowo zinterpretował ruch lornetki.

– Żandarmi zmieniają się co osiem godzin – poinformował. – Nie przepuszczają nikogo oprócz załogi.

– Narodowość?

– Zazwyczaj Francuzi. Oficjalnie policją międzynarodową w Tangerze dowodzi Hiszpan, ale w praktyce decyduje francuski kapitan. To nas urządza, bo Hiszpan jest lojalny wobec Republiki, a Francuz... Cóż, jak to Francuz.

Falcó odsunął lornetkę od twarzy.

– Da się przekupić?

Rexach zaśmiał się cynicznie.

– Jasne. Czy nie mówię, że jest Francuzem...? Co prawda nam nie pomoże, ale owszem, odwróci wzrok, kiedy będzie nam to potrzebne... – Zamilkł znacząco. – Czy trzeba go do tego zachęcić?

– Chyba będzie trzeba.

Grubas przesunął językiem po ustach.

– Nie ma sprawy. Ale lepiej będzie, jeśli zajmę się tym bezpośrednio ja. – W galaretowatych oczach błyskała iskierka chciwości, którą Falcó już znał. – Wiem, jak się rozmawia z tutejszymi.

– Dobrze. Ale nie przeginajcie, ani Francuz, ani pan.

– Ja? – Rexach podniósł rękę do serca albo do portfela. – Ma pan o mnie mylne wyobrażenie.

– Z pewnością.

Falcó znów spojrział przez lornetkę. Soczewki obu okularów – obraz z nich zlał się w jeden przed jego oczami – uchwyciły ostrość na Mount Castle. Z pokładu prowadził na ziemię trap; w górze, na wysokości komina stało dwóch mężczyzn opartych o burtę. To musiała być ich własna straż niezależna od żandarmerii na lądzie. Na dziobie stał jeszcze jeden człowiek, zauważył po chwili Falcó, i kolejny na rufie; być może jeszcze co najmniej jeden na przeciwnej burcie. Było prawdopodobne, że są dyskretnie uzbrojeni, pomyślał, że kapitan Quirós jest nie tylko, jak przyznawali wszyscy, dobrym żeglarzem, ale też człowiekiem przezornym.

– Jaką kwotę możemy dysponować? – zapytał Rexach zaabsorbowany swoimi sprawami.

– Porozmawiamy o tym później.

– Dobrze. Pan tu rządzi.

Falcó obserwował teraz mostek i jego okolice. Szyby wentylacyjne, dwie szalupy ratunkowe, po jednej przy każdej burcie za wysokim,

czarnym kominem. Wydało mu się nagle, że dostrzega jakiś ruch na mostku i przesunął tam lornetkę. Grupa osób wyszła na skrzydło po lewej burcie, rozmawiając, przez potężne soczewki widział ich całkiem dobrze.

Czterech mężczyzn i kobieta.

Lata na karku, ciągła niepewność, niebezpieczeństwa i szkolenie sprawiły, że Lorenzo Falcó stwardniał jak bryła, którą poruszały jedynie przydatne odruchy i rutynowe działania obronne. Jego wizja świata była prosta w formie, choć miała skomplikowane źródła: mechanizm zegarowy zbudowany z automatycznych reakcji, egoizmu życiowego, szorstkiego realizmu, mrocznego i fatalistycznego poczucia humoru oraz intelektualnej pewności, że świat jest nieprzyjaznym miejscem rządzonym przez nieubłagane reguły i zaludnionym przez niebezpieczne dwunogi, gdzie przy pewnej dozie woli i umiejętności można stać się tak niebezpiecznym jak każdy inny. Wszystko to sprawiało, że jego charakter był zrównoważony i okrutny; Admirał wobec osób trzecich nazywał go fachowo zimnym. Jesteś, powiedział mu kiedyś, gdy popijali *hupa-hupa* i szkocką w barze Gran Hotelu w Salamance, pistoletem zatopionym w bryle lodu.

Te właśnie cechy, a raczej ich praktyczny efekt pozwoliły mu spokojnie wrócić z portu do hotelu Continental, odebrać od portiera wiadomość, zadzwonić z holu do Moiry Nikolaos, żeby potwierdzić zaproszenie dziś wieczorem na kolację do jej domu, a następnie pójść do baru, zamówić *cinzano* z wodą sodową i w oczekiwaniu na kelnera usiąść pod jednym z okien z widokiem na port i zatokę.

I wtedy, dopiero wtedy, kiedy podano aperitif i Falcó umoczył w nim wargi, pozwolił sobie na refleksję nad tym, co zobaczył przez lornetkę z wynajętego biura.

Rozpoznał ją od razu. Rozmawiała w sposób niewymuszony z czterema mężczyznami. Oparta o nadbudówkę gestykulowała, niekiedy kiwała głową, niekiedy kiwali głowami jej rozmówcy. Miała na sobie skórzaną kurtkę, na szyi apaszkę, a na głowie kapelusik z wąskim rondem, spod którego wymykały się jasne włosy. Już nie była ostrzyżona prawie na jeża jak chłopak, włosy miała nieco dłuższe. Może w powiększeniu soczewek Zeiss, a może z powodu upływu czasu wydawała się nie tak szczupła jak niegdyś, co zmieniło obraz, jaki zachował się w pamięci Falcó: twarz ze śladami poniżenia i tortur, rozciętą uderzeniem wargę, oczy zasnuwane cieniem, ogromne znużenie przygniatające powieki, zapowiedź – tak wtedy pomyślał – oblicza kobiety, którą będzie za dwadzieścia lub trzydzieści lat. Teraz jej policzki były pełniejsze. Wyglądała zdrowo, silnie. Nie była tęga, ale owszem, solidniejsza. Atletyczne plecy w opiętej kurtce.

Jesteśmy kwita, zadźwięczało mu w uszach po raz kolejny. To powiedziała Eva Neretwa cztery miesiące temu, gdy palił ostatniego papierosa u jej boku oparty o maskę samochodu na skraju drogi już na terytorium portugalskim po nocy spędzonej w aucie, Falcó za kierownicą, Eva śpiąca na tylnym siedzeniu, jej umęczone ciało przykryte płaszczem jednego z agentów, których zabił, by ją uwolnić. Tak. Jesteśmy kwita.

Ale to nie była prawda. Siedząc przy oknie z widokiem na port i dalekie statki, zmuszając się do popijania bardzo powoli, Falcó uznał, że ona i on absolutnie nie są kwita w nowym otoczeniu, wśród nowych ludzi. Nie może być kwita, nic nie jest zakończone między tobą a mną, uznał po kolejnym łyku wermutu. Nie tutaj, nie teraz. I zastanowił się raz jeszcze, jak wydarzenia czterech miesięcy, jak ów czas wojny i rozstania zmienił jego obraz w jej pamięci. I czy ona wciąż żywi komunistyczną wiarę, niewzruszoną, zimną, niemal religijną, w sprawę, której poświęcała życie. Czy wciąż jest niezłomnym żołnierzem wojny, którą sama określiła jako

ogromną, sprawiedliwą, nieuchronną? Wyklęty, powstań, ludu ziemi! Powstańcie, których dręczy głód! Czy brała udział w międzynarodowej walce człowieka z człowiekiem, by uwolnić człowieka nawet wbrew niemu samemu? Sprawie bezlitosnej, okrutnej, bez ustępstw i uczuć?

Spojrzał na zegarek, dopił zawartość kieliszka, sięgnął po kapelusz i wstał, zapinając marynarkę. Zanim wyszedł z baru, po raz ostatni rzucił okiem na statki cumujące przy kei i przypomniał sobie, że chwilę temu, gdy przyglądał się Evie z biura handlowego, odwróciła się nagle i skierowała w jego stronę długie, przeszywające spojrzenie. Wiedział, że jest niemożliwe, by go odkryła: znajdował się zbyt daleko, za oknem. Ale wrażenie było tak nieprzyjemne, tak silne, że opuścił gwałtownie lornetkę.

Wiem, że jesteś tutaj w mieście, zdawało mu się, że czyta w jej spojrzeniu. Wiem, że jesteś gdzieś blisko i być może obserwujesz mnie w tym momencie. I wiem, że niebawem spotkamy się twarzą w twarz.

6. U STAREJ HAMRUCH

Upewniwszy się, że nikt go nie śledzi, Lorenzo Falcó zatrzymał się przed numerem dwadzieścia osiem przy boulevard Pasteur w europejskiej dzielnicy Tangeru.

Był jeszcze dzień, lecz zachodzące słońce czerwieniło najwyższe piętra budynków. Siedział wcześniej przez chwilę wśród licznych klientów, papierosowego dymu i gwaru rozmów w Café de París tylko tyle czasu, ile było potrzeba na wypicie herbaty miętowej, podczas gdy Villarrubia, operator radiowy, wstawszy od swojego stolika, ruszył w stronę lokalu kontaktowego. Falcó poszedł potem nieśpiesznie prawą stroną ulicy, mijając ludzi ubranych na modłę europejską i afrykańską, i przyglądając się rutynowo dorożkom oraz samochodom – każdy pojazd zatrzymany przy chodniku mógł kryć w swoim wnętrzu nieprzyjemną niespodziankę, a możliwości tej nie należało lekceważyć. W tej części miasta widziało się więcej marynarek i krawatów, więcej kapeluszy, spódnic i butów na obcasie niż galabij, fezów i turbanów. Gdyby nie kobiety z zasłoniętą twarzą – było ich zresztą dużo mniej niż w medinie – Falcó czułby się chwilami jak w europejskim mieście nad Morzem Śródziemnym.

Sień była duża, schody, mroczne, w głębi.

Wszedł, mając wyostrzone wszystkie zmysły, z ręką na kaburze z pistoletem przytroczonej do pasa pod marynarką. Od momentu przyjazdu do Tangeru Falcó nie rozstawał się ze swoim browningiem z jednym nabojem w komorze. Teraz znajomy ciężar broni – pięćset siedemdziesiąt

solidnych gramów z pełnym magazynkiem – i pewność, że jest pod ręką, uspokajała go, ponieważ już zbyt długo przebywał w Tangerze, pokazując twarz. Rozmawiał ze zbyt wieloma ludźmi, a to miasto pozostawało idealnym miejscem dla szpicli, donosicieli, szpiegów i innych speców od brudnej roboty. Nie było tu chyba nikogo, kto nie pracowałby dla jakiejś służby, a często dla kilku na raz. Nie służyło to zdrowiu agenta działającego w takim terenie.

W tym fachu każda nieostrożność mogła oznaczać: koniec i bomba.

Wchodząc po schodach, przypomniał sobie, jak pierwszy raz zabił człowieka. Nie zrobił tego taką małą poręczną bronią jak ta, którą miał teraz przy sobie, lecz ciężkim rewolwerem Webley z regulaminowego wyposażenia brytyjskiego wojska, kiedy jeszcze nie pracował dla tajnych służb hiszpańskich. Wydarzyło się to na peryferiach Ciudad Juárez trzynaście lat temu podczas przekazania ładunku pięciuset tysięcy nabojów do remingtona i tysiąca karabinów tej marki przeznaczonych dla meksykańskich rewolucjonistów, które domniemany nabywca – niejaki pułkownik Romero, ubrany po cywilnemu, o twarzy rzezimieszka – na widok młodego wiekiem pośrednika zamierzał sobie przywłaszczyć, wycinając mu kilka nefajnych numerów i nie płacąc całości ustalonej kwoty. Problem nierozwiązywalnej niezgodności kryteriów pojawił się o świcie obok dwóch ciężarówek i dwóch samochodów stojących na zapylonej drodze łączącej Stany i Meksyk. Dyskusja prowadzona coraz bardziej podniesionym tonem przerodziła się w otwartą groźbę ze strony pułkownika, którego uśmiech, szeroki, drapieźny, rozmył się nagle w świetle reflektorów, gdy Falcó, jeszcze młody – nie skończył dwudziestu czterech lat – ale już ostrożny i przekonany, że strzeżonego Pan Bóg strzeże, strzelił do niego z dziesięciu kroków, bang, zobaczywszy, że Meksykanin sięga ręką za pazuchę. Ów zwałił się bez słowa, uginając

kolana, jakby nagle poczuł się bardzo zmęczony, i to było na tyle. Nieco później okazało się, że Romero najprawdopodobniej sięgał po cygaro, które nosił w wewnętrznej kieszeni marynarki, ale wówczas Falcó i jego pomocnicy – czterech byłych żołnierzy, *gringos* opłacanych jak on sam przez Bazylego Zacharowa – jak również ładunek byli już po drugiej stronie granicy. Tamtej nocy w podłym hoteliku w El Paso, gdzie wylądował w łóżku z Metyską o interesujących piersiach, obudził go sen, w którym to jego zabijano. Bardzo nieprzyjemne, ale to było wszystko. Gdy potem zasnął, spał smacznie do rana. Z tego wydarzenia wyniósł naukę, która miała mu się przydać przez resztę życia: gdy masz wątpliwości, strzelaj pierwszy. Lepiej na wszelki wypadek niż mądry człowiek po szkodzie.

Villarrubia nie zamknął drzwi na zamek i Falcó zmarszczył nos. Głupia nieostrożność żółtodzioba, szczególnie wówczas, gdy nie jesteś pewien, czy idzie za tobą przyjaciel, czy nieprzyjaciel, czy może obaj. Wszedł i zasunął zasuwkę za sobą.

Mieszkanie było nowoczesne, okna wychodziły na bulwar. Znajdowały się tu tylko najniezbędniejsze meble, co nie wystawiało najlepszego świadectwa Queraltowi, który wyraźnie nie dbał o wygodę swoich agentów. Villarrubia zainstalował sprzęt w jadalni, przeciągając kabel anteny przez cały pokój i podłączając go do głównej lampy. Radiostacja leżała na stole w otwartej walizce obok klucza telegraficznego, książek szyfrów i notesów.

– Jaki ma zasięg? – zainteresował się Falcó.

– Wystarczający, żeby nas odebrali w Tetuanie. Stamtąd przekażą do Salamanki.

W dziennym świetle, w koszuli z podwiniętymi rękawami i bez krawata radiooperator wyglądał jeszcze młodziej. Schludny, starannie ogolony, uczesany z przedziałkiem pośrodku głowy. Mimo płowego wąsika

przypominał bardziej studenta niż policjanta w służbie czynnej. Falcó zauważył, że ma fioletowawego siniaka na karku, gdzie uderzył go poprzedniej nocy. Ale młodziak nie sprawiał wrażenia, że żywi urazę. A w każdym razie nie zbyt. Może małą. Patrzył na agenta z mieszanką ciekawości, rezerwy i respektu.

– O której godzinie możemy nadawać? – zapytał Falcó.

Młody spojrział na zegarek.

– Za trzy minuty.

Falcó podał mu zaszyfrowany tekst – zredagował go, wykorzystując podręcznik prawa morskiego – a młody przyjrzał mu się uważnie. Szeregi liter i cyfr.

– Skomplikowane?

Villarrubia pozwolił sobie na uśmiech. Pewien siebie, profesjonalny.

– Bynajmniej. Znam system C8... Jest nowy, tak jak mówiłeś. I to prawda, że czerwoni go jeszcze nie mają.

– Staralem się, żeby nie było ciągów dłuższych niż dziesięć znaków.

– To dobrze.

Młody zasiadł za stołem z kluczem pod ręką i założył słuchawki. Falcó zauważył, że jego ruchy są pewne, i zrozumiał, że nie oszukano go w sprawie kwalifikacji technika. Pomimo młodego wieku wyglądał na kompetentnego. Na dobrego radiowca.

– Pół minuty – powiedział.

Zdjął z ręki zegarek i położył go przed sobą obok klucza. Falcó, stojąc obok niego, przyglądał się temu, co robi.

– Teraz – oznajmił młody.

Ti, ti-ti. Ti, ti-ti. Ti, ti, ti-ti... Kropka, kreska. Kropka, kreska. Kropka, kropka, kreska. Dźwięk układał się w szybkie sekwencje, w miarę jak

Villarrubia naciskał na klucz. Skoncentrowany, przesuwiał palcem po ciągach liter i liczb, przekształcając je w znaki kodu Morse'a. Dla niego ciągi te nie miały sensu, przesyłał je mechanicznie, lecz Falcó wiedział, że gdy dotrą z Tetuanu do Admirala – a także do ludzi Queralta – zostaną rozszyfrowane i zamienią się w wiadomość:

Środki-odebrane-stop-Kontakt-własny-działa-stop-Kontakt-przeciwny-najwyższy-stopień-zaplanowany-dziś-noc-stop-Nieprzyjaźni-podróżni-mogą-potrzebować-kawy-stop-Będę-informował-jutro-godzina-pierwsza.

– To wszystko?

Villarrubia podniósł głowę z pytającym wzrokiem. Falcó potaknął, a młody wystukał kropkę, kreskę i trzy kropki, po czym przełączył sprzęt w tryb odbioru. Przyciskał słuchawki do uszu, wsłuchując się w sygnał. Falcó słyszał stłumione pikanie odpowiedzi: trzy kropki, kreska, kropka i kreska. Bez odbioru. Tetuan nie miał dla nich żadnej wiadomości.

– Gotowe – oznajmił operator.

Zdjął słuchawki i patrzył na Falcó, jakby oczekiwał oceny. Ów ponownie pokiwał głową.

– Dobra robota. Szybka i sprawna.

– Dzięki.

– Gdzie cię szkolili?

Młody zawahał się, zanim odpowiedział.

– W Ceucie.

– Tam masz bazę czy przydzielili cię do Tetuanu?

Tym razem wahanie potrwało dłużej. Po chwili młody pokręcił głową.

– Nie mogę odpowiedzieć. Nie jestem upoważniony.

– Jasne. – Falcó pokiwał głową ze zrozumieniem, wyjmując papierośnicę. – Masz ochotę? Angielskie...

– Nie palę.

Cichy trzask parkera beaconsa.

– Ki diabeł cię podkusił, żeby pracować w policji?

– A co w tym złego?

Falcó skrzywił się z rozbawieniem, wydmuchując dym.

– Zależy od tego, kto nosi blachę i do czego jej używa.

Młody rzucił mu podejrzliwe spojrzenie.

– Nie sądzę, żeby ktoś taki jak ty... – powiedział po chwili zastanowienia – ... miał prawo wygłaszania morałów komukolwiek.

– A co to ma znaczyć: ktoś taki jak ja?

– Szpieg... Jesteś szpiegiem.

– Ty też, tu, w tej chwili.

– To nie to samo. Wiem, co robicie w tej waszej Grupie Lucero.

– Ach... A co takiego robimy?

Villarrubia nie odpowiedział, choć wyraźnie miał ochotę coś dodać.

– Co takiego robimy? – nalegał Falcó.

Młody skrzywił usta z niechęcią. Niemal wyzywająco.

– Już ci powiedziałem wczoraj wieczorem, co niektórzy myślą o tobie.

Falcó roześmiał się.

– Skurwysyn?

– Tak.

– Nie zamierzam prawić ci morałów. – Uśmiechnął się przyjaźnie. – Chodzi tylko o to, że nie przywykłem do tak bliskiej współpracy z policjantami... Zazwyczaj ludzi twojego pokroju mam po przeciwnej stronie.

Młody zamilkł, jakby zastanawiał się nad tymi słowami.

– Mój ojciec był komisarzem – odezwał się po chwili.

- Był?
- Zastrzelili go czerwoni, w Maladze.
- Przykro mi.
- Był policjantem i dobrym człowiekiem.
- Oczywiście. Jestem tego pewien.

Villarrubia wstał i zaczął rozmontowywać sprzęt. Falcó położył mu rękę na ramieniu. Nadeszła pora, żeby pogłaskać go po grzbiecie, pomyślał. Zadzierzgnąć więzy lojalności i uznania. W kwestiach bezpieczeństwa bardziej ufał w perswazję niż w groźby. Ta pierwsza działała prawie zawsze, a wołał mieć młodego po swojej stronie. Zwykle nieźle mu szło wzbudzanie sympatii. Dobrze znał technikę. Jeszcze jedno narzędzie, wypróbowane tysiące razy, bardzo przydatne w jego brudnym fachu.

– Jesteś świetnym profesjonalistą, kolego; jednym z najlepszych, jakich widziałem – oświadczył tonem niemal uroczystym. – Nie oszukali mnie w twojej sprawie... Naprawdę jesteś znakomity.

Młody pomasaował sobie machinalnie kark, rzucając Falcó spojrzenie pełne wdzięczności. Szybkie i szczere. Jak szczeniak, którego właśnie pogłaskano, pomyślał Falcó.

Dochodził kwadrans po dziewiątej wieczorem. Kapitan Quirós był tak mało sympatyczny jak jego statek: szeroki, twardy, niski i zwarty jak cegła. Miał na sobie drelichowe spodnie, bardzo pomięte, i szarą marynarkę nieco ciasną w pasie. Do tego białe płócienne buty. Spalona słońcem łysa czaszka otrzymała przeciwwagę w postaci brody, rudawej, przetykanej siwymi włosami. Miał piegi na czole i na wierzchu dłoni, oczy niebieskie jak u wikinga. Odzywał się rzadko, a gdy to robił, spoglądał na rozmówcę z roztargnieniem, jakby zwracał się do kogoś za jego plecami. Za każdym razem, gdy Falcó wygłaszał komentarz albo zadawał pytanie, kapitan

Mount Castle zwlekał chwilę z odpowiedzią, sprawiając wrażenie, że nie usłyszał, co do niego mówiono.

– Możliwe – stwierdził.

Falcó powstrzymał grymas zniecierpliwienia. Gawędzili od dziesięciu minut w salonie domu Moiry Nikolaos – zostawiła ich samych, gdy tylko wszedł Quirós – i wiedział już, że rozmówca często używa oderwanych przysłówków, jak gdyby każdy z nich był zwieńczeniem lub początkiem długiego procesu refleksji, sygnałem, że trybiki w jego głowie powoli ruszają do przodu albo zaraz ruszą.

– Możliwe – powtórzył Quirós. Zmarszczka przecinała mu brew niby ciosem siekierą, a Falcó poczuł przypływ niepokoju na myśl, że czeka go twardy orzech do zgryzienia. Podejrzewał to już od chwili, gdy zobaczył rozmówcę, jak wchodzi rozkołysanym krokiem po schodach zaczynających się u podnóża muru, jakby nie ufał w podejrzaną stabilność lądu i obawiał się, że ziemia nagle może się zdradziecko zachwiać i zwalić go z nóg.

– To będzie długa, nieprzyjemna wojna – nalegał Falcó, częstując go papierosem. – A Republika zostanie rozdarta i na bitewnych frontach, i przez wewnętrzne sprzeczności.

Kapitan Quirós wpatrywał się beznamiętnie w punkt usytuowany za karkiem Falcó.

– Być może tak... – mruknął wreszcie – ... a być może nie.

Wziął wreszcie jednego playersa z podsuniętej papierośnicy. Nie pierwszego z brzegu, lecz po dokonaniu starannego wyboru – a w każdym razie na to wyglądało – co zajęło mu przynajmniej pięć sekund. Potem odchylił się na oparcie fotela z tłoczonej skóry i zapalił papierosa własnymi zapałkami.

– Pański statek jest jak Republika – skonkludował Falcó. – Nie ma żadnych szans.

- To nie moja sprawa.
- Falcó nie zdołał ukryć zdumienia.
- Mówi pan o statku?
- Mówię o szansach Republiki.
- Ale pan pływa dla niej... Służy jej.
- Oczywiście.

Falcó przyjrzał się rozmówcy z rozbudzonym zainteresowaniem, jakby w głębi mrocznego lasu błysnęło jakieś światelko. A więc o to chodzi, pomyślał. Albo na to wygląda. Podczas lotu z Sewilli do Tetuanu przeczytał życiorys kapitana Quirosa przygotowany przez wydział informacji SNIO. Choć pływający pod panamską banderą Mount Castle był własnością asturyjskiej firmy Noreña y Cía, a Quirós zaczął pracować dla niej jako chłopiec okrętowy w bardzo młodym wieku. Od kiedy dostał swoje pierwsze dowództwo – nad tankowcem storpedowanym przez niemiecki okręt podwodny podczas Wielkiej Wojny – dokładał wszelkich starań, żeby wszystko przebiegało ku zadowoleniu armatora, obojętnie, z jakim ładunkiem pływał z portu do portu, czy były to kanaryjskie banany, czy ruda żelaza, broń dla Republiki, czy sztaby złota dla Rosji. Przestrzegał prawa morskiego w czasach pokoju i kpił sobie z blokad podczas wojny. Małomówny, o słabej wyobraźni, być może też mało inteligentny, w sprawach nie dotyczących żeglarstwa Quirós nie zadawał sobie pytań i nie szukał odpowiedzi, ograniczając się do profesjonalnej rutyny: wykonywania swych zadań. Był niczym bez swojego statku, a statek należał do armatora. Cały świat musiał wydawać mu się wygodnie prosty.

– Nacjonalistyczny niszczyciel rozwali was, gdy tylko wypłyniecie z portu... Nikt was nie uratuje. A nie pozwolą wam zostać tu dłużej.

Kapitan patrzył na kółka dymu z papierosa, jakby sprawdzał, czy mikroskopijni palacze i mechanicy tam w środku dobrze wykonują swoją

pracę.

– Oczywiście – stwierdził obojętnie.

– Pan i pańscy ludzie podpiszą na siebie wyrok, wypływając w morze.

Quirós zaciągnął się papierosem, a po długiej chwili jego oczy podniosły się na Falcó. Ich błękit zdawał się być wyblakły od słońca i wiatru, otaczały go koła głębokich zmarszczek. Te oczy od czterdziestu sześciu lat patrzyły na morze z pokładu albo ze sterówki.

– Oczywiście – powtórzył, a słowo to wypłynęło z jego ust w obłoku dymu.

Wymówiwszy je, zamilkł na chwilę, ponownie marszcząc brew. Zdawało się, że usiłuje wprawić w ruch wyobraźnię.

– Bez wątpienia – dodał wreszcie, jakby obawiał się, że nie wysławia się dostatecznie jasno.

Schylił się teraz lekko w stronę berberyjskiego stolika, gdzie Moira Nikolaos postawiła przed wyjściem kamionkową butelkę z holenderskim ginem, popielniczkę, dwie puste szklanki i dwie szklanki miętowej herbaty.

– Trzeba będzie wyjść – powiedział z prostotą.

– Na śmierć?

Falcó natychmiast pożałował swoich słów. Zabrzmiały melodramatycznie. Ale rozmówca zdawał się tego nie zauważać. Patrzył na niego tylko, a w jego wzroku nie było ani ciekawości, ani cenzury. Patrzył w beznamietnym milczeniu wykutym pośród sztormów, w obliczu katastrof morskich, na wodach najeżonych rafami.

– Nie rozważa pan możliwości poddania się, gdy podpłynie do was Martín Álvarez?

Quirós nie spuszczał zeń wzroku, teraz z wyrazem umiarkowanego zdziwienia, być może szczerego.

– Oczywiście, że to robię – urwał, przyjrzał się uważnie papierosowi, wzruszył szerokimi ramionami. – Rozważyłem wszystkie możliwości.

– I podjął pan decyzję?

Marynarz wyciągnął prawą rękę po filiżankę z herbatą i podniósł ją do ust. Umoczył tylko wargi, po czym odstawił napor na stolik. Falcó czekał na jego odpowiedź, lecz nie nadeszła. Quirós palił w milczeniu przez chwilę. Potem zgasił papierosa, rozgniatając go w popielniczce, i upił większy łyk herbaty. To było wszystko.

– Wiemy o pana rodzinie – powiedział Falcó, zapuszczając się na grząski teren.

Quirós potwierdził odbiór tej informacji mrugnięciem powiek. Pojedynczym. Wciąż trzymał w rękach szklanę herbaty.

– Sądzę, że mają się dobrze – odezwał się wreszcie.

– Tak. Są w Luarce. W strefie narodowej... Pańska żona i dwie córki.

Falcó znalazł te dane w dossier przygotowanym przez SNIO: Luisa Munárriz, czterdzieści dwa lata. Córki, Ana i Sofía, czternaście i dwanaście. Nikt ich nie dręczył dotychczas, a przynajmniej nie bardzo. Żona, nauczycielka przed wojną, straciła pracę i szorowała podłogi w małym hoteliku. Wciąż mieszkali w rodzinnym domu nad morzem. Kuzyn związany z Falangą chronił ich do pewnego momentu.

– Jest pewna opcja, która mogłaby pana zainteresować – ciągnął Falcó.

Kapitan wpatrywał się w szklanę z beznamiętną twarzą. Falcó uznał, że być może nie dosłyszał.

– Pewna opcja – powtórzył. – Zostałem upoważniony do przedstawienia panu pewnej propozycji. Rodzinnej i finansowej.

Quirós podniósł powoli głowę. Patrzył teraz na niego z nieufną uwagą, jakby zobaczył na nawietrznej szpetną chmurę.

– Proszę się nie niepokoić. Nie mam nic złego na myśli, mówiąc o pana rodzinie. – Posłał mu stosowny uśmiech. – Nie spotkają jej represje, cokolwiek pan uczyni.

– Represje.

Quirós powtórzył to, jakby odczytywał markę produktu z ulotki reklamowej. Falcó wykonał szerszy gest, starając się nie przesadzać.

– Niech pan zapomni to słowo. Wymaże je z pamięci. Możemy zagwarantować panu spotkanie z żoną i córkami. Gdzie tylko pan zapragnie. W narodowej Hiszpanii albo w miejscu, które pan wskaże.

– Na przykład?

– Nie wiem. To już zależałoby od pana... Francja, Meksyk. Nie miałyby problemów z wyjazdem. Otrzymałyby paszport.

Znów długa cisza.

– Wspomniał pan o podwójnej propozycji – przypomniał wreszcie Quirós.

– Tak jest. Rodzinna, powiedziałem, i finansowa. Dysponuję stosownymi funduszami... Mogę panu wręczyć do ręki w tej chwili pół miliona peset narodowych. Półtora miliona, jeśli wymieni je pan na republikańskie.

– W zamian za Mount Castle, jak się domyślam.

– Domyśla się pan słusznie.

Quirós podrapał się po brodzie z dobijającą powolnością.

– A zwłaszcza za jego ładunek – uzupełnił.

Falcó nie uznał za stosowne komentować tej wypowiedzi. Po prostu patrzył na żeglarza z nadzieją, że trybiki obracają się. I że dążą w dobrym kierunku.

– Ale nie jestem sam na moim statku – powiedział nagle kapitan.

Było coś specjalnego w sposobie, w jakim wymówił słowo „mój”, a Falcó zrozumiał, że odnosi się do terytorium niepodlegającego jurysdykcji lądowej. Nie ulegało wątpliwości, że nie chodzi o dumę czy próżność, lecz o zwykłe stwierdzenie obiektywnego faktu: Mount Castle był „jego” statkiem, statkiem Fernanda Quirosa, kapitana marynarki handlowej, jedyne go władcy na pokładzie, pierwszego po Bogu. A Republika z całą swoją świeckością upraszczała tę hierarchię.

– Co się stanie, jeśli moi ludzie nie zgodzą się?

– Moglibyśmy pomóc panu ich zneutralizować.

– Moglibyście? W liczbie mnogiej?

– Nie jestem w Tangerze sam, jak zapewne pan się domyśla. A przy kei dwa kroki od was stoi Martín Álvarez – przerwał na moment, by przywołać w umyśle kapitana wspomnienie niszczyciela i jego dział. – Może przydałaby się panu rozmowa z jego dowódcą... To poważny marynarz. Asturyjczyk, jak pan.

– Jak ja – powtórzył Quirós.

– Właśnie.

– Poważny marynarz.

– Tak.

– Na ile poważny?

– Na tyle, by zatopić pana statek, gdy wypłynie pan z portu... I na tyle, by wyjaśnić to panu wcześniej, jeśli zechce pan posłuchać.

Kapitan wpatrywał się w swoją szklanke, gdzie zostały już tylko parujące listki mięty.

– Zapewne – szepnął wreszcie.

Wyciągnął teraz rękę ku butelce z ginem. Był to Bols z nienaruszoną banderolą. Rozerwał ją, odkorkował i wlał sobie trzy palce napoju do pustej

szklanki, która stała bliżej niego, ignorując szklanę Falcó.

– Nie wszyscy, których mam na pokładzie, należą do załogi – oświadczył.

Falcó uśmiechnął się ostrożnie. Delikatny grunt. Wykonał także uprzejmy, potwierdzający gest.

– Wiem, jesteśmy na bieżąco... Dwóch mężczyzn i kobieta: komisarz floty republikańskiej Trejo i dwójka cudzoziemskich agentów, komunistów. Garrison i Luisa Gómez.

Jeśli na kapitanie zrobiła wrażenie skuteczność wrogiego wywiadu, nie okazał tego w żaden sposób. Patrzył nadal na Falcó albo poza niego z uwagą pozbawioną wyrazu.

– Czy ich także – zawahał się na moment, jakby szukając odpowiedniego słowa – będzie pan próbował przekonać?

– Także. Mam dar przekonywania.

Kapitan podniósł szklanę do ust i pociągnął spory łyk.

– Z pewnością.

Powiedział to z tą samą kamienną obojętnością, jaka emanowała z jego każdej wypowiedzi. Falcó schylił się po butelkę i nalał palec ginu do swojej szklanki.

– Zechciałby pan opowiedzieć mi coś o tych dwóch osobnikach i kobiecie?

– Nie. – Beznamiętne oczy marynarza spoglądały być może na Falcó. – Ale oni dużo chodzą po mieście. Jeśli interesują pana, może pan zwrócić się bezpośrednio do nich.

Falcó postanowił porzucić tę kwestię.

– Ile czasu potrzebuje pan, żeby podjąć decyzję, panie kapitanie?

– Nie potrafię panu powiedzieć.

– Nie ma go za dużo. Pański konsul dokłada starań, ale na Komitet Nadzoru wywierają nacisk moi ludzie. Wątpię, żeby przedłużono czas azylu.

– Ja także wątpię – przyznał Quirós.

– Czy sądzi pan zatem, że warto spotkać się z dowódcą niszczyciela? Z niemal namacalnym wysiłkiem niebieskie oczy skupiły się na Falcó.

– Być może.

– Mogę zorganizować to spotkanie jutro rano, w tym samym miejscu.

Quirós zdawał się rozważać tę propozycję.

– Rano muszę towarzyszyć konsulowi w trakcie rozmów – powiedział. – A potem powinienem zająć się zaopatrzeniem dla mojego statku.

Nie będziesz potrzebował zbyt wiele, pomyślał Falcó. Od rzucenia cum, jeśli to zrobisz, do pierwszego pocisku z niszczyciela nie upłynie nawet godzina. Bum, bum, bąbelki i koniec zabawy.

– Po południu zatem – zaproponował. – Pod wieczór. Odpowiada panu?

Kapitan myślał przez krótką chwilę, po czym przytaknął. Wstał. Falcó uczynił to samo z wyciągniętą prawą ręką. Po krótkim wahaniu Quirós uścisnął ją. Uścisk stanowczy, mocny. Krótka ręka, dłoń o szerokich, obciętych paznokciach. Uderzenie takiej pięści, pomyślał Falcó, powaliłoby konia.

Przeszli razem w milczeniu korytarzem do tajnych schodów. Kapitan wyszedł, nie otworzywszy ust, i zniknął w mroku. Kiedy Falcó zamknął drzwi i wrócił do salonu, Moira Nikolaos siedziała w fotelu, który przed chwilą zajmował Quirós, i paliła papierosa.

– I jak ci poszło? – zagadnęła.

Falcó wzruszył ramionami.

– Nie wiem – odparł z troską w głosie. – Naprawdę nie wiem.

Schodził w dół medyny calle de los Cristianos, nad słuchując, czy po jego własnych krokach nie rozbrzmiewa dźwięk kroków kogoś, kto go śledzi, lecz nie usłyszał niczego niepokojącego. Górna część była pusta i pogrążona w mroku, natomiast gdy zbliżał się do Zoco Chico, zobaczył zapalone światła. Wiele knajpek rybnych i kafejek było otwartych, a w drzwiach małego szewskiego warsztatu dwóch mężczyzn gawędziło po hebrajsku. Zatrzymał się na moment, by zerknąć na zegarek w świetle jakiegoś sklepiku, po czym poszedł dalej.

Trzykrotnie odwracał się za siebie, ale nie zobaczył nikogo.

Czuł przy pasie uspokajający ciężar pistoletu. Wiedział, że odkrywając karty przed kapitanem Mount Castle, stał się celem ataku przeciwników; od tej chwili będzie musiał podwoić ostrożność. Bezpieczeństwo każdego agenta malało wprost proporcjonalnie do poziomu ekspozycji. A dobrze wiedział, że najlepszą metodą na przeżycie w niebezpiecznym otoczeniu jest zachowywanie się jak cel ruchomy. Jeżeli dałeś się zauważyć, jeśli zatrzymasz się na dłużej, to nie żyjesz, mawiał jego rumuński instruktor w Tirgo Mures. Pamiętaj także o starej zasadzie: zobacz, ukłuj i uciekaj. Sam wiesz. Kodeks skorpiona. W śliskim fachu drapieżców i ofiar, gdzie z taką łatwością odwracały się role, zbytne zaufanie, pozorne bezpieczeństwo, nieoglądanie się za siebie albo nienasłuchiwanie kroków wroga zabijały równie skutecznie jak trucizna, kula albo nóż. Prowadziły do ślepego zaułka.

Z ciemnej bramy kobieta ubrana po europejsku cmoknęła na niego.

– *Un coup* za osiem franków – powiedziała.

Falcó uśmiechnął się z roztargnieniem.

– Kiedy indziej.

– Tracisz.

– Wiem.

Musiał pomyśleć. Musiał napić się w spokoju, z kieliszkiem w ręce zastanowić się nad rozmową przeprowadzoną z kapitanem Quirosem, dziwnym, zamkniętym w sobie, twardym, lakonicznym. Odszyfrować jego słowa i milczenie. Zważyć plusy i minusy aktualnej sytuacji.

To miał w głowie, przechodząc obok otwartego przedsiionka z czerwoną latarnią na nadprożu. U Hamruch, głosił napis wielkimi literami. Pachniało podłym odkażaczem. Afrykanin ogromny jak szafa, odziany po europejsku, o wyglądzie paryskiego gawrosza stał w drzwiach, gawędząc z francuskim legionistą.

– Ładne dziewczynki, dobra muzyka – powiedział zachęcająco do Falcó w rudymenarnej angielszczyźnie, uśmiechając się od ucha do ucha.

– A jak tam alkohol i inne trucizny?

Legionista porozumiewawczo puścił do niego oko. Twarde rysy. Blond włosy pod białym kepi, ospowata twarz. Na bluzie koloru khaki pagony kaprała. Błyszczące oczy i szeroki uśmiech miłośnika kifu.

– Najlepsze w Tangerze – oznajmił po francusku z silnym niemieckim akcentem.

– Nie potrafię się oprzeć waszym słowom – odparł Falcó po hiszpańsku, przystając.

Lokal starej Hamruch był duży, zatłoczony, hałaśliwy. Ozdobiony morskimi muszlami i kolorowymi gipsowymi arabeskami, oświetlony nagimi żarówkami zwisającymi z kabli otaczających dwa wentylatory, które na próżno kręciły się pod sufitem. Była to jedna z owych tangerskich nor, gdzie można było dostać wszystko: alkohol, kobiety, młodziutkich

chłopców, a także bez wątpienia fałszywy paszport albo nielegalną nocną przeprawę na dowolną ustronną plażę w cieśninie.

Falcó powachlował się kapeluszem. Było gorąco. W powietrzu nasyconym oparami kawy po turecku i dymem tytoniu zmieszanego z kifem tak gęstym, że niemal można było go dotknąć, dwie berberyjskie dziewczyny i jedna europejska, bardzo skąpo odziane, tańczyły na małej scenie pośrodku do dźwięków orkiestry stłoczonej na podeście.

W pomieszczeniu znajdowało się ze dwadzieścia stolików ustawionych amfiteatralnie, obok bar amerykański; przy stolikach i kontuarze ludzie różnych ras i różnego statusu. Prawie wszystkie kobiety, zauważył, omiatając je wzrokiem znawcy, były profesjonalistkami. Kurwy na poziomie od średniego do niskiego. Odmawiając zatem ruchem głowy tlenionej blondynie, która wyszła mu naprzeciw, zaledwie przestąpił próg, wyjął portfel z wewnętrznej kieszeni marynarki i włożył go do kieszeni spodni – stara, wypróbowana taktyka – po czym usadowił się w najdalszym kącie baru.

– Whisky, proszę pana?

Kelner czarny jak smoła uśmiechał się szelmowsko. Był bardzo podobny do gawrosza w drzwiach i Falcó zastanowił się, czy może są braćmi.

– Bez lodu.

Lód w takich miejscach był to murowany sposób na złapanie kolki jelitowej. Albo innego syfu. Skosztował zajzajera, którego kelner nalał mu do szklanki z butelki opatrzonej etykietą Four Roses, i skrzywił się okrutnie, gdy napój przechodził mu przez gardło. Najlepsze alkohole w Tangerze, powiedzieli gawrosz i legionista. Co za skurwysyny.

– Piwo – poprosił, gdy odzyskał mowę. – Bez szklanki, w butelce.

– Oczywiście, proszę pana.

Kelner postawił przed nim przed chwilą otwarte amerykańskie kingsbury. Brązowa etykieta odklejała się od wilgoci w lodówce, ale butelka była zaledwie letnia. Falcó z rezygnacją podniósł ją do ust i pociągnął długi łyk. Odetchnął z zadowoleniem, po czym pociągnął drugi. Piwo było dobre.

Odwrócił się, opierając o kontuar, i z butelką w ręce przyjrzał się tańczącym dziewczynom. Były młode i gibkie: miały na sobie krótkie kaftany z głębokim dekoltem, pod spodem prawie nic, do tego bransolety, wisiorki i srebrne kolczyki. Trzy wyuzdane brzękotki wyginające się w rytm muzyki. Dopingowało je kilku klientów wsuwających im banknoty za dekolt, podczas gdy one poruszały biodrami, imitując niezdarną kopulację. Niektóre banknoty wypadały na ziemię, deptały je bosc stopy. Klienci spływali potem i spływały potem dziewczyny, uda i dekolty połyskiwały w świetle nagich żarówek.

– *Ça va, mon ami?*

Legionista poznany w progu podszedł do niego i stanął obok przy kontuarze.

– *No femmes?* – zagadnął przyjaźnie. – Ty sam?

Falcó potaknął.

– Jak widzisz... Sam na sam z moimi wspomnieniami.

Legionista spoglądał łakomie na butelkę. Pewnie był spłukany. Falcó dał znak kelnerowi, żeby podał mu piwo.

– *Er ist ein richtiger Gentleman.*

Falcó uśmiechnął się. Nieczęsto nazywano go dżentelmenem w każdym calu. A tym mniej często robił to niemiecki kapral Legii Cudzoziemskiej.

– *Danke* – odparł, trzaskając żartobliwie obcasami.

– *Est-ce que vous parlez allemand?*

– *Ja.*

Legionista opróżnił pół butelki jednym haustem.

– *Un fiston sympathique, toi* – beknął z zadowoleniem. – *Sympathisch*.

Potem już zostawił go w spokoju. Z boku sceny Falcó zobaczył grupę narodowych marynarzy w mundurach, tę samą, która przechodziła przez Zoco Chico poprzedniego dnia. Mniej więcej tę samą; w każdym razie bez trudu rozpoznał starszego podoficera z pagonami artylerzysty. Marynarze siedzieli przy dwóch sąsiednich stolikach. Wszyscy palili i pili, wyglądając na nieźle wstawionych. Od czasu do czasu zerkali prowokacyjnie lub z irytacją na drugą stronę sceny, gdzie Falcó dostrzegł kilkunastu załogantów z Mount Castle. Zidentyfikował ich dzięki obecności kędzierzawego, opalonego bosmana zwanego Negusem. Jedni i drudzy mieli już w czubie. Spoglądali na siebie spode łba, a Falcó, doświadczony bywalec miejsc, gdzie alkohol i kobiety źle wpływały na napięte stosunki, uznał, że zanoszą się na problemy.

– Czerwone gnoje – wycedził jeden z marynarzy w mundurach, przechodząc obok baru w drodze do ubikacji.

Tancerki odeszły, a orkiestra rozpoczęła nędzny przegląd fokstrotów, tang i pasodoble. Trębacz był jedynym, który miał pojęcie o swoim zawodzie, i Falcó przysłuchiwał mu się przez chwilę, bo sam grywał niegdyś na trąbce. Było to za młodych lat w Jerez, w domu przyjaciela zakochanego w muzyce, który planował założenie jazz-bandu. Plany legły w gruzach, gdy Falcó zrobił brzuch służącej: dziewczyna wróciła do rodzinnej wioski, wybuchł skandal i nici wyszły z orkiestry. Falcó nie pamiętał imienia służącej, ale zawsze, gdy słuchał trąbki, przypominał sobie własną naiwność i nieporadność przed pierwszym kontaktem ze śniadą skórą i udami zaciśniętymi wzdłuż trójkąta łona. I jeszcze dwa zdania: jedno przed – co my wyprawiamy – i drugie po – przyrzeknij, że zawsze mnie będziesz kochać.

Muzyka i tańce trwały w najlepsze. Na parkiet wychodziły kobiety i klienci, w tym Hiszpanie z obu grup. Scena była mała i tańczyli słóczeni, trącąc się. Spowodowało to wzrost napięcia. Falcó zauważył, że podoficer i bosman z Mount Castle spoglądają na siebie niemalże wyzywająco.

– Marksistowskie skurwiele – burknął marynarz, który wrócił z ubikacji, odcharknąwszy bardzo precyzyjnie do spluwaczki.

Będzie się działo, pomyślał Falcó. Na mur beton. I to nie na morzu. Ta noc pachnie rękoczynami. Za chwilę polecą iskry, uznał. Zamówił więc dwa kolejne piwa dla siebie i legionisty – ów podziękował mu wylewnie – i oparł się o kontuar, szykując się na widowisko. Próbował oszacować konsekwencje. Co przedwczesne starcie między nacjonalistami a republikanami mogło oznaczać dla jego misji?

– *Ah, merde* – odezwał się legionista, patrząc na drzwi.

Falcó także spojrział w tę stronę. Do lokalu wchodziła duża grupa marynarzy angielskich w mundurach i ze wstążką HMS Boreas na czapce. Należeli do załogi brytyjskiego niszczyciela stojącego na kotwicy w zatoce. Byli rumiani, wytatuowani, rośli i hałaśliwi, wyraźnie mieli ochotę się nawalić; rzucało się w oczy, że mają za sobą serię przystanków w innych barach i tancbudach. Podeszli do kontuaru, a tam doszłusowały do nich dwie ostatnie wolne kobiety, Berberyjka i jasnowłosa Europejka, która najpierw próbowała abordażu na Falcó. Przybysze powitali je z okrzykami radości, zamówili napoje i zaczęli obszcypywać dziewczyny. Po chwili dwóch marynarzy pociągnęło je na parkiet, gdzie wiele par tańczyło z rękami na biodrach, oblewając się potem. Pierwszy, rośły blondyn, miał już w sobie za dużo alkoholu i zataczał się, przeszkadzając wszystkim. Po drugim czy trzecim szturchańcu jeden z republikańskiego frachtowca odwrócił się do niego, zeźlony. Falcó nie dosłyszał, co sobie powiedzieli, lecz wyraźnie zobaczył, jak Anglik podnosi pięść i wali tamtego w twarz.

– *Kolossal* – skomentował z zachwytem legionista.

Dopiero jakiś czas później, gdy już było po wszystkim, Falcó odtworzył przebieg wydarzeń, które nastąpiły po sobie z prędkością światła.

Koledzy uderzonego wystrzelili jak z procy: ci, którzy tańczyli, porzucili swoje pary i skoczyli na agresora, któremu z kolei pośpieszyli z pomocą Anglicy stojący przy barze. Na ten widok Negus i inni zerwali się od stolików i ruszyli w sukurs swoim, podczas gdy kobiety krzyczały, a postronni mężczyźni próbowali usunąć się na bok. Butelki i krzesła pofrunęły nad sceną, która z tanecznej przerodziła się w bitewną. Do agresywnego opilstwa podłym winem Anglicy dokładali swoją typową skuteczność: szli masą i walili brutalnie, bez pardonu czarniawych, kościstych, upartych Hiszpanów, którzy atakowali ze ślełą furją, klnąc i złorzeczając, dążąc do walki wręcz z niemal samobójczą pasją.

Anglosasi byli silniejsi i liczniejsi. Negusa cios pięścią powalił na kolana, a jeden z jego ludzi osunął się na ziemię, gdy rozbito mu butelkę na głowie. Pewni swojej wyższości Anglicy dodawali sobie nawzajem animuszu, zadowoleni z bijatyki.

– *Fucking Spaniards...! Let's smash these stupid Dagos!*

Klienci i dziwki otaczali kręgiem scenę, przyglądając się z bezpiecznej odległości. Falcó flegmatycznie zamówił dwa następne piwa, poczęstował legionistę papierosem i sam też zapalił, napawając się widowiskiem. Zerkając na narodowców, by zobaczyć, co oni na to, zauważył, że siedzą przy stolikach i patrzą po sobie z konsternacją, a niektórzy coś żywo perswadują podoficerowi. Ów pokręcił przecząco głową i beznamiętnie przyglądał się bójce. A wówczas napotkał spojrzenie bosmana z Mount Castle, który dźwigał się ciężko, chwiejnie, by wrócić do walki. Falcó dostrzegł gest dezaprobaty, niemy wyrzut, który republikański marynarz

skierował do swego krajana i przeciwnika, zanim wyprostował się i rzucił na najbliższego Anglika.

– *Filthy Spaniards!* – wrzeszczeli teraz Brytyjczycy.

Plugawi Hiszpanie. Wyzwisko zabrzmiało głośno i wyraźnie pośród wrzawy. A wtedy podoficer, który być może znał angielski, powiedział swoim ludziom coś, czego Falcó nie dosłyszał. Marynarz pokiwał przy tym dwukrotnie głową z rezygnacją, z fatalizmem, jakby nagle odkrył, że nie pozostaje mu nic innego niż to, co zamierza zrobić. Kiedy podniósł się niemal niechętnie, Falcó odniósł wrażenie, że westchnął ciężko. Potem chwycił za szyjkę butelkę stojącą przed nim, rozbił ją o kant stołu i rzucił się na Anglików, a jego ludzie za nim.

Falcó ujrzał ich później na ulicy, kiedy policja wypuściła chłopaków po przesłuchaniu i stosownych formalnościach. Żandarmi w czerwonych fezach pojawili się całkiem szybko, z podniesionymi pałkami, gwizdząc przeraźliwie, lecz nieprędko udało im się uspokoić całe towarzystwo.

Dowódca służby porządkowej, francuski porucznik, wyglądał na obeznanego z incydentami tego typu. Wszystko zakończyło się zanotowaniem nazwisk uczestników bójki, także Anglików, rozkazem natychmiastowego powrotu na pokład i wezwaniem pogotowia do opatrzenia rannych. Nie było wielu poszkodowanych: jeden mocno poturbowany po stronie hiszpańskiej – ten, któremu rozbito butelkę na głowie – i kilku lekko kontuzjowanych wśród narodowców i republikanów, choć wszyscy zdołali poruszać się o własnych siłach. Stronie brytyjskiej sprzymierzone siły przeciwnika zadały w końcu poważniejsze obrażenia: dwóch zraniono nożem, jeden miał twarz rozciętą rozbitą butelką – język wychodził mu policzkiem, gdy go zabierano – znalazło się sporo przetrąconych szczęk i różnych drobnych urazów.

W sumie wiktoria hiszpańska, patrząc na bilans, ocenił Falcó. Pod każdym względem.

Anglicy już odeszli. Marynarze narodowi i republikańscy, jeszcze wymieszani, zbierali się na ulicy pod surowym wzrokiem żandarmów i zaciekawionym nocnych marków, którzy przechodzili tamtędy. Falcó wyszedł za nimi i obserwował ich z progu berberyjskiej kafejki.

Stanowili dziwną grupę. Zbierali się, stojąc ze spuszczoneymi głowami, na twarzach i pięściach nosili ślady niedawnej bijatyki, jednego czy dwóch podtrzymywali kompani. Byli teraz przemieszani, ci w mundurach z Martina Alvareza i ci w cywilu z Mount Castle. Niektórzy komentowali między sobą szczegóły walki. Negus i podoficer stali blisko siebie, każdy z nich zlustrował najpierw swoich ludzi, później drugą załogę, a wreszcie jak sztubacy, którzy skończyli się naparzać na szkolnym dziedzińcu i których zmusza się do zawarcia pokoju, spojrzeli jeden na drugiego. Na ich twarzach nie malowała się już wrogość, zauważył Falcó, lecz widniało zaciekawienie. Coś w rodzaju niemej, spokojnej wdzięczności. Patrzyli na siebie uważnie, jakby widzieli się po raz pierwszy i chcieli utrwalić swoje twarze w pamięci na przyszłość.

W tym momencie z lokalu wyszedł francuski oficer o siwych wąsach, w starszym wieku, i zwrócił się do wszystkich surowym tonem, przypominając, że kto za kwadrans nie będzie na pokładzie swojego statku, spędzi noc za kratkami. Dmuchnął w gwizdek, rozbrzmiało kilka rozkazów wydanych głośnym tonem i marynarze zaczęli się rozdzielać, republikanie odchodzili w jedną, narodowi w drugą stronę. Robili to niechętnie, zauważył Falcó. Niemalże wbrew sobie. Wielu uśmiechało się do siebie, a niektórzy nawet ściskali sobie ręce, zanim odeszli ze swoimi.

Negus i podoficer wymienili ostatnie spojrzenie. Nie odezwali się do siebie ani słowem. Pierwszy schylił nieco głowę, na jego ustach zarysował

się uśmiech, drugi odpowiedział tym samym. A potem każda grupa udała się różnymi ulicami na swój statek.

Legionista wyszedł na ulicę, na widok Falcó stojącego w drzwiach kafejki podszedł do niego. Miał rozpiętą bluzę, kepi zsunięte na tył głowy i ręce w kieszeniach spodni. Dochodząc do Falcó, odwrócił się, by popatrzeć na marynarzy znikających u wylotu ulicy.

– *Überraschend...* – skomentował. – *Voilà des mecs bizarres, nicht wahr?...* Dziwni ci Hiszpanie.

7. DWAJ KAPITANOWIE

Dzień wstał pochmurny, mżyło. Mewy szybowały niechętnie nad tangerską redą, ołowianym półokręgiem z sylwetkami statków przysłoniętymi szarą mgłą.

Nieopodal Lorenza Falcó fala wpełzała z szumem na brzeg. Agent stał oparty o jedną z ławek nadmorskiej promenady za rzędem palm, jakieś sto kroków od hotelu Majestic. Poniżej promenady blisko niego pies grzebał w mokrym piasku. Falcó widział, jak cofa się przed wodą, gdy nadpływa i patrzy na nią wielkimi smutnymi oczami. Był to kundel, brzydki, chudy, z oklapłymi uszami i sierścią zmierzwioną od wilgoci. Włóczęga, który tego poranka postanowił poszukać towarzystwa.

– Spadaj – powiedział mu brutalnie.

Pies podążał za nim od momentu, gdy Falcó wyszedł z hotelu pół godziny temu. Miał za sobą kiepską noc, nie mógł zasnąć, głowa pękała mu z bólu, którego nie uśmierzyły dwie kopiryny. O brzasku ubrał się, włożył prochowiec i wyszedł na ulicę. Minął port i szedł powoli aleją biegnącą wzdłuż plaży. Bez kapelusza, bo panama była bezużyteczna w taki deszcz. Uznał, że spacer pomoże mu w walce z bólem. I w zebraniu myśli. Może dlatego bezwiednie znalazł się przed Majestikiem. Z psem na ogonie.

– Spadaj – powtórzył.

Zwierzak postąpił na odwrót. Wbiegł z wywieszonym językiem na promenadę żwawym truchcikiem, z wyraźnym zamiarem otarcia się o nogawkę Falcó. Ów zawahał się na moment, po czym opuścił rękę,

opierając ją na łbie między uszami, wyczuwając wilgotne ciepło kundla, który podniósł pysk i polizał go z wdzięcznością.

– Nie lubisz rozkazów, co? Mam nadzieję, że nie jesteś jednym z tych przeklętych anarchistycznych pchlarzy...

Pies ograniczył się do pomerdania ogonem, nie udzielając odpowiedzi. Falcó podniósł kołnierz płaszcza i popatrzył w stronę trzypiętrowej fasady Majestica, na okna pokoi hotelowych.

Nie lubił czuć się w ten sposób. Tak jak w tej chwili. Zamęt w głowie nie był może właściwym określeniem, ale czymś w tym stylu. Eva Neretwa alias Eva Rengel, alias Luisa Gómez, alias Bóg wie kto. Wspomnienie ciała i szeptu w ciemności, a potem to samo kobiece ciało obnażone, poddane torturom, przywiązane do metalowego łóżka. To mu po niej zostało. Współczucie i poczucie dziwnej lojalności, seks, czułość, brak perspektywy jutra. Uczucia, jednym słowem.

Jednakże Falcó nie życzył sobie, by zimny mechanizm rządzący jego czynami i myślami, oschły – cyniczny, uściślał Admirala – spokój, z jakim mierzył się z jasnymi i ciemnymi stronami życia, zakłócały skomplikowane uczucia, nierozwiązywalne dylematy. Wszystko, co nie dawało się przemyśleć z papierosem w rękę, kieliszkiem albo kilkoma miligramami kwasu acetylosalicylowego połączonego z kofeiną, uznawał za dyskomfort, zbędny balast, balast wręcz niebezpieczny w rejsie po niepewnych wodach, jakim było jego życie. A miał tylko jedno. W bitwach pewnego rodzaju tylko męczennicy szli do nieba, a on – choć być może pewnego dnia, gdy odwrócą się role, skończy torturowany jak zwierzę, wyjąc z bólu, jeśli nie sięgnie dostatecznie szybko po cyjanek albo inne lekarstwo – nigdy nie będzie męczennikiem. Mowy nie ma.

Swoją grę uważał za ostateczny cel, nie za środek. Nie oczekiwał końcowej nagrody. Niektóre raje zarezerwowane dla bohaterów były przed

nim zamknięte na głucho.

– Zjeżdżaj, Bakunin.

Z rękami w kieszeniach, w deszczu siąpiącym mu na włosy i twarz, odszedł w stronę dzielnicy europejskiej przez plac zarośnięty chaszczami i zawalony kamieniami. Pies postął przez chwilę w miejscu, po czym ruszył za nim, niemal dotykając nosem jego pięt.

– Zjeżdżaj, mówię ci.

Tym razem zwierzak opuścił ogon i został nieco z tyłu. Pośrodku placu Falcó przystanął, a kundel zrobił to samo, przysiadłszy o trzy, cztery metry za nim z ogonem bijącym smutno ziemię.

Falcó schylił się, sięgnął po kamień i podniósł się powoli, nie spuszczając psiaka z oka. W tym momencie zbyt mocno przypominał mu siebie samego, samotnego, zmokłego, z wielkimi melancholijnymi oczami i wywieszonym językiem poruszającym się w górę i w dół w rytm oddechu.

– Przykro mi, kolego.

Cisnął weń kamieniem i przeszedł dwadzieścia kroków. Kiedy odwrócił się, pies był daleko i obserwował go.

Pod ciemnym niebem maszty jachtów w marinie klubu żeglarskiego przed nim rysowały się na tle mgły obok szop i żurawi portowych. Luksusowe żagłówki, pomyślał Falcó. Niegroźne i sterylne, jakże różne od szarych okrętów wojennych albo brudnych frachtowców, które rzuciły wyzwanie falom i ludziom w imię danej sprawy i płynęły na spotkanie z losem wśród burz i huku dział. Martín Álvarez i Mount Castle, ścigający i ścigany, były honorowymi jednostkami, spełniały swój obowiązek. Nie miały nic wspólnego z tymi stylizowanymi, białymi, wymuskanymi zabawkami, które wypływały na otwarte morze tylko pod błękitnym niebem, gdy prognozy gwarantowały bezpieczeństwo. Falcó ucieszyłby się, gdyby w tym momencie pochłonęła je gigantyczna fala, roztrzaskując

mahoń i tek o beton kei. Pewnego niezbyt odległego dnia, pomyślał z okrutnym uśmiechem, ludzie zrekompensują własnymi rękami tę nieśmiałość natury. Tak. Już od pewnego czasu pracowali nad tym.

Dziś mógłby zabić człowieka bez najmniejszych skrupułów, uznał, odchodząc. I zrobiłby to bez powodu. Tylko po to, by sobie ulżyć. By ukoić skołatane nerwy, zabijając.

Antón Rexach czekał na niego w swoim biurze naprzeciwko hotelu Minzah. Falcó wstąpił po drodze do sklepu z kapeluszami przy rue du Statut i nabył filcowego, nieprzemakalnego stetsona w szarym kolorze, a w jego taśmę wsunął, ugniatając go lekko dłońmi, by nadać mu znoszony wygląd, ostrze brzytwy marki Gillette trzymanej dotychczas w kieszeni. Następnie spojrzawszy w prawo i w lewo na ulicę błyszczącą od deszczu i przepuściwszy samotne auto nadjeżdżające z wolna, wszedł do budynku.

Rexach otworzył mu drzwi osobiście. Był sam. W gabinecie, gdzie znajdowały się tylko stare biurko, kilka krzeseł i półki z segregatorami, nie było wietrzone tygodniami. Pachniało stęchłymi niedopałkami. Falcó wszedł, strząsając krople wody z płaszcza na linoleum. Na ścianie wisiały zdjęcie lotnicze Tangeru, kalendarz linii Tramediterránea i szwajcarski zegar z kukułką. Rexach wskazał mu krzesło, a sam poszedł usadowić swoje ponad sto kilo żywej wagi po drugiej stronie biurka.

– Czerwoni zyskali dwa dni – oznajmił.

– To pewne? – zdziwił się Falcó.

– Poinformował mnie właśnie Fragela de Soto, nasz konsul. Udało się im.

– Pod jakim pretekstem?

– Naprawy awarii turbiny. Tak czy owak, Komitet Nadzoru podkreśla, że ten termin jest nieprzekraczalny. Nie przedłużą go ani o minutę.

– Pozostają nam zatem cztery dni.

– Tak jest. W sobotę o ósmej rano Mount Castle powinien wyjść z portu... W przeciwnym razie zostanie internowany. Z ładunkiem.

Falcó zastanawiał się.

– To jest nam nawet na rękę. Mamy większe pole manewru.

– Nasz konsul też nie zasypiał gruszek w popiele – oznajmił Rexach. – Powołując się na międzynarodowe prawo morskie, uzyskał, że frachtowiec uznano za okręt wojenny.

– Mimo że jest to statek handlowy?

Rexach uśmiechnął się chytrze.

– Ma na pokładzie działo. A poza tym pływając na zlecenie Republiki z jej oficjalnym ładunkiem, występuje jako strona w konflikcie wojennym. Można więc zastosować wobec niego francuskie prawo morskie, zgodnie z którym okręt wojenny nie może pozostawać dłużej niż dwa tygodnie w neutralnym porcie.

– To dobra nowina.

– Jasne, że dobra. – Rexach pochylił się nad biurkiem, by przysunąć zapaloną zapałkę do papierosa, który Falcó włożył sobie w usta. – Teraz wszyscy wiemy, czego się mamy trzymać, łącznie z kapitanem Mount Castle. – Jego twarz zachmurzyła się. – Chyba, że...

Falcó wypuścił dym.

– Jakiś problem?

– Mówią, że czerwona flota spróbuje podpłynąć do Tangeru, żeby osłaniać frachtowiec. Podobno z Kartaginy wypłynął krążownik i kilka niszczycieli, biorąc kurs na południe.

– Ale w Ceucie stoi Baleares.

– Tak. Jednak może dojść do bitwy morskiej, a choć czerwoni nie są panami mórz, wyniku nie da się przewidzieć. W każdym razie jest to jeszcze jeden powód, by działał pan szybko... Poczył pan jakieś postępy?

– Poniekąd.

Rexach znieruchomiał, patrząc na niego podejrzliwie.

– Mam nadzieję, że będzie mnie pan informował na bieżąco.

– Naturalnie.

Rexach przez chwilę taksował go wzrokiem. Potem poklepał się po brzuchu. Czekając na Falcó, nie jadł jeszcze śniadania, oświadczył. Miał brzuch pusty jak kieszeń.

– Naprzeciwno w Minzahu serwują najlepsze śniadania w Tangerze – dodał, macając się po kieszeniach. – I mam u nich kredyt... Z przyjemnością zaprosiłbym pana, ale nie wiem, czy chce pan pokazywać się ze mną. Tu wszyscy wiedzą, dla kogo pracuję.

Falcó skrzywił się sarkastycznie.

– W tym momencie wszyscy wiedzą także, dla kogo ja pracuję. – Powstał, sięgnął po kapelusz i płaszcz. – Pójdę z panem.

Przeszli przez ulicę w siąpiącym deszczu, Rexach napędzający swe obfite kształty charakterystycznym machaniem ramion i on. Popchnęli drzwi obrotowe, zeszli po schodach na patio do jadalni i zajęli stolik na uboczu.

Kilka osób jadło śniadanie, wszyscy wyglądali na Europejczyków. Rexach zamówił najbardziej obfity zestaw, a Falcó tosty z oliwą i szklanę mleka. Katalończyk spojrział na niego z ciekawością.

– Nie lubi pan kawy?

– Zażywam zbyt dużo aspiryn.

– Ach, rozumiem. Stąd mleko... Z tego, co wiem, rujną żołądek.

– Podobno.

Zapadła cisza. Rexach przygryzał dolną wargę. Wyglądał, jakby coś rozważał.

– Wczoraj popijałem sobie z Isturizem, moim odpowiednikiem po drugiej stronie – odezwał się wreszcie. – Mówiłem już panu, że jesteśmy w dobrych stosunkach, prawda?

– Tak. Na tyle, na ile to możliwe, powiedział pan.

Rexach wydał policzki w ostrożnym uśmiechu.

– Ma pan dobrą pamięć.

– Przydaje mi się.

– Isturiz i ja przestrzegamy zasady żyj i daj żyć innym. Opowiedziałem mu co nieco, a on mnie... Nic ważnego, ale może pana zainteresować.

– O czym panowie rozmawiali?

– O trójce komunistów, którzy przypłynęli na Mount Castle. O czerwonym komisarzu politycznym, Amerykaninie i kobiecie... Mój kolega najwyraźniej jest na nich wkurzony, bo mają go za hetkę-pętelkę.

– On sam to panu powiedział?

– Nie wprost, ale wyczułem. Znamy się od dawna.

Przyniesiono śniadanie. Rexach rzucił się na jajecznicę z boczkiem z wyraźnym zadowoleniem i wychylił filiżankę kawy. Między dwoma łykami mleka Falcó polewał oliwą swoje tosty i pogryzał je.

– Wygląda na to, że komisarz polityczny, niejaki Trejo, to szczur – poinformował Rexach.

Dolewając sobie kawy, dorzucił konkretne szczegóły. Rozpracowali go. Jako drugi mechanik pokładowy na pancerniku Jaime I zrobił karierę, mordując dowódców i oficerów podczas sierpniowych rzezi. Ale obecne zadanie, zdaniem Rexacha, nie było tym samym co strzelanie w kark.

Mechanik nie miał w sobie nic z bohatera. Sprawiał wrażenie szczęśliwego, że znajduje się na łodzi, i nie okazywał chęci, by wrócić na pokład. Poza tym nie wylewał za kołnierz.

– Można wątpić, czy wróci na Mount Castle, jeśli ten będzie chciał wypłynąć prosto w paszczę niszczyciela – podsumował Rexach. – Jak nasi go dopadną, na pewno go rozstrzelają.

– Co robił Trejo na pokładzie?

– Pozorował. Był tam dla formalności... Teoretycznie złoto wysłała się do Rosji, żeby pozostało w depozycie na czas wojny, a on miał sprawować nad nim oficjalny nadzór. Że niby Republika zachowuje władzę nad ładunkiem.

– Ale jej nie zachowuje.

– Jasne, że nie. To czysty blef, bo złoto nie wróci, on jest tam po nic. Kapitan Quirós nie należy do ludzi, którzy dawaliby posłuch takiej kanalii. Rządzi pozostała dwójka, Garrison i kobieta... Pani czy panna Luisa Gómez.

– Co o nich wiadomo?

– Codziennie odwiedzają konsulat Republiki, nie wiem, czy odbierają rozkazy, czy je wydają. Podejrzewamy, że to oni doradzają konsulowi w negocjacjach z Komitetem Nadzoru.

– Sprawdzał pan, czy utrzymują łączność radiową?

– Z pokładu Mount Castle na pewno nie. Podobnie jak nasz niszczyciel frachtowiec ma zakaz używania radia podczas postoju w neutralnym porcie.

– Władze kontrolują to?

– Przez radionamiernik. I potwierdzają całkowitą ciszę radiową.

– W takim razie jak się porozumiewają z centralą?

– Być może za pośrednictwem konsulatu, a także zwykłą pocztą. Wiemy, że kapitan Quirós i czerwoni agenci wysyłali i otrzymywali wiadomości w hiszpańskim i francuskim urzędzie pocztowym... Poza tym Trejo i inni siedzą prawie przez cały dzień w pokojach w Majesticu.

– Mogą mieć tam nadajnik. Tam albo gdzieś indziej w mieście.

– To możliwe. Tak czy owak, są bardzo ostrożni. Ten Garrison i kobieta zachowują się jak zawodowcy.

Rexach dokończył śniadanie i zapalał hawanę, odgryzłszy najpierw jej koniec. Przez moment zajmował się wyłącznie kontrolowaniem właściwego spalania. Potem wydmuchnął kilka obłoków dymu z zadowoleniem.

– Z całej trójki Trejo jest najsłabszym ogniwem – podsumował. – Widział pan go onegdaj przy sterówce?

– Najchudszy i najniższy, tak? Ogolony brunet z długim nosem. Zaczesy do tyłu.

– To ten. On też najwięcej wychodzi. Codziennie siedzi do rana i gra we francuskim Kursaalu. Szasta pieniędzmi, jak panu mówiłem. Musi mieć niezłe zaplecze. Pozostała dwójka jest bardziej dyskretna czy też ostrożna.

– A co wiecie o Garrisonie?

– To jego prawdziwe nazwisko. Jest Amerykaninem z USA... William Garrison, komunista, do niedawna tajny agent. Przyjechał do Hiszpanii jako korespondent wojenny. Prawdziwy sukinsyn. Ponoć pracował w katowni w Barcelonie.

Po tych słowach Rexach wytrzeszczył nieco oczy, obserwując reakcję Falcó. Ale ów nie odezwał się ani nie poruszył. Układał w myśli części łamigłówek, dopasowując do każdej nazwisko i funkcję.

– Najtrudniej rozgryźć kobietę – podjął po chwili Rexach. – Nikt tak naprawdę nie zna owej Luisy Gómez. Może być Rosjanką, jak panu mówiłem. Pewne jest tylko to, że Sowieci jej ufają, ponieważ Trejo nie ma

przy niej nic do gadania. Więcej, wygląda na to, że kobieta podejmuje decyzje także ponad głową Amerykanina.

Falcó słuchał beznamiętnie.

– Sądzi pan, że wejdą na pokład, jeśli Mount Castle postanowi wyjść w morze?

Rexach zastanawiał się przez moment.

– Nie sądzę, żeby Quirós chciał wypłynąć – powiedział wreszcie. – Ani żeby przekonał do tego załogę.

– Założmy, że zrobi to albo podejmie próbę.

– Otóż nie wiem. – Rexach wypuścił z uśmiechem kółko dymu, które rozwiało się powoli. – To zależy od ich skłonności samobójczych... Nie wiem ja, wygląda na to, że nie wie mój kolega. A przynajmniej tak mi powiedział.

– Co dał mu pan w zamian?

Rexach zamrugnął powiekami, zaskoczony.

– Nie rozumiem.

– Mówi pan, że pozostaje w dobrych stosunkach z nieprzyjacielskim agentem. A w tych sprawach obowiązuje wzajemność... Co mu pan powiedział?

Rexach odchylił się. Jego uśmiech rozwiało się jak dym, a na twarzy odmalowało zakłopotanie.

– Och, niewiele. Wspomniałem o stanie zabiegów dyplomatycznych z naszej strony, o kilku drobiazgach dotyczących Martina Alvareza... – zająknął się i zamilkł. – A słyszał pan o wczorajszej bójce u starej Hamruch?

– Tak. Ale zadałem panu pytanie, co pan powiedział swojemu koledze.

– Nic ważnego, przysięgam. – Patrzył na niego niewinnie z dymiącym cygarem w palcach. – Nic, co mogłoby zagrozić pańskiemu bezpieczeństwu.

– Mam nadzieję. Mówił mu pan o mnie?

– Na miłość boską, nie.

Kłamiesz, pomyślał Falcó. Ale nic by nie zyskał, mówiąc to na głos. Zastanowił się, jakie wrażliwe informacje przekazał Rexach temu republikańskiemu agentowi, z którym utrzymywał, jak sam to określił, stosunki dobre na tyle, na ile to możliwe.

– Wiedzą, kim jestem?

Rexach wzdrygnął się, rozejrzał i zniżył głos.

– To możliwe. Ale zapewniam pana, że to nie ja...

– Bardzo chciałbym wiedzieć... – przerwał mu oschle Falcó – ...czy Garrison i kobieta wejdą na pokład, jeśli kapitan Quirós postanowi odpłynąć.

– Nie przechwyciliśmy żadnej rozmowy na ten temat. Ale wie pan, jak zdyscyplinowani są komuniści. Jeśli dostaną taki rozkaz, wypełnią go... Problem polega na tym, że nie wiemy, jakie otrzymali rozkazy.

Falcó myślał intensywnie o tym, co usłyszał. Po chwili uśmiechnął się jak zdrowy wilk wychodzący z lasu z apetytem na zakąskę.

– Być może jest sposób, by to sprawdzić – powiedział.

Blade oczy patrzyły na niego z zaintrygowaniem. Rexach nie był durniem i Falcó przestraszył się, że odgadnie pomysł, który choć na razie pozbawiony był kształtu, zaczynał kiełkować w jego głowie. Jednakże w tym momencie kelner przyniósł rachunek i uwaga Katalończyka skupiła się na nim. Przystudiowawszy uważnie sumę, uniósł brwi, wypuścił dym z cygara i spojrzał na Falcó.

– Mówiłem, że mam tu kredyt, i to prawda. Ale pan... No cóż... – Podsunął mu talerzyk z rachunkiem. – Czy nie miałby pan nic przeciwko temu?

– Nie... – Falcó sięgnął z rezygnacją po portfel. – Nie miałbym.

Przez wielkie okno o podwójnym łuku mauretańskim sąsiadujące z tarasem Moiry Nikolaos wpadało szarzejące światło zmierzchu.

Siedzący nieco z boku ze skrzyżowanymi nogami Falcó słuchał, otwierając usta wyłącznie po to, by zaciągnąć się papierosem trzymany w lewej dłoni. W miarę jak bladło światło, cienie na twarzach dwóch mężczyzn, którzy rozmawiali w salonie, stawały się coraz ciemniejsze.

– Naturalnie – powiedział kapitan Quirós.

Zwracał się do swojego rozmówcy z obojętnym wyrazem twarzy, jak to miał w zwyczaju, utkwivszy w nim spojrzenie. Za stolikiem z cygarami i napojami komandor porucznik Navia, dowódca niszczyciela Martín Álvarez, potaknął powoli, jakby zrozumiał sens lakonicznego przysłówka.

– W takim razie niewiele mam do dodania na temat – oznajmił poważnie.

Obaj byli po cywilnemu. Przybyli do górnej dzielnicy w pięciominutowym odstępie, stawiając się punktualnie na spotkanie. Najpierw Navia, wysoki i chudy, nieufny, trzymając prawą rękę w kieszeni marynarki wypchanej czymś, co Falcó z całą pewnością uznałby za broń. Potem nadszedł Quirós swoim charakterystycznym rozkołysanym krokiem, spoglądając niemal naiwnie błękitnymi oczami, w marynarskich butach z białego płótna i w marynarce przyciasnej w pasie.

Zasiedli w skórzanych fotelach, nie podawszy sobie ręki. Moira Nikolaos usunęła się do drugiej części domu wraz z berberyjską służącą. To Falcó zajął się wszystkim, ustawił na inkrustowanym stoliku pudełko

hawan, butelkę trzygwiazdkowego hennessy'ego, syfon i szklanki. Ale żaden z kapitanów niczego nie tknął. Siedzieli naprzeciwko siebie, taksując się wzrokiem bardziej zaciekawionym niż wrogim.

– Oczywiście – potwierdził Quirós po długiej chwili, która mogła być chwilą refleksji. – Niewiele można dodać na temat.

Patrzyli po sobie, jakby każdy z nich oczekiwał, aż ten drugi zakończy rozmowę, a Falcó uznał, że powinien zainterweniować, zanim wstaną i rozejdą się każdy w swoją stronę. Jednakże instynkt podpowiedział mu, żeby nie ruszał się i nie odzywał. W tym momencie jego obecność nie mogła rzucać się w oczy. Każdy nieodpowiedni detal mógł wszystko zepsuć.

– Wykonywał pan trudną robotę przez ostatnie siedem miesięcy – odezwał się nagle komandor Navia.

Quirós rozważał jego słowa przez moment.

– Bywało ciężko.

– Z tego, co wiem, działał pan bardzo skutecznie... Nie było łatwo poruszać się w rejonach, gdzie pan pływał.

Quirós potaknął obiektywnie.

– Nie było.

– Morze Śródziemne to mały akwen – zauważył Navia.

– Zbyt mały.

– Zbyt dużo patrolów narodowych?

– Nie tylko. – Kapitan Mount Castle marszczył czoło, jakby usiłował sobie przypomnieć. – Jeszcze Włosi: okręty podwodne i nawodne.

– Rozumiem. Domyślam się, że nie ułatwialiśmy panu sprawy.

– Absolutnie.

Przez kilka sekund Navia nic nie mówił i nie wykonał żadnego gestu. Po chwili wskazał na okno i niewidzialne stąd morze za balkonem.

– Już prawie pana miałem onegdaj na zachód od Gibraltaru, ale wywinął się pan bardzo sprytnie. Oszukał mnie pan bez pardonu... Tamta bezksiężycowa noc przydała się panu jak znalazł.

Tamten potarł brodę.

– Miałem szczęście.

– To było coś więcej niż szczęście. Staliśmy na mostku, szukając pana jak szaleni, wydawało nam się, że to kwestia minut, a wtedy mój drugi pokręcił głową i powiedział proroczym tonem: „Ten szczywany lis znowu wymknął nam się z rąk”... I okazało się, że tak było.

– Byliście uparci. – Quirós ponownie potarł brodę. – A pańskie kalkulacje okazały się dobre. No i obaj wylądowaliśmy tutaj.

– To cud, że zdążył pan dotrzeć do Tangeru, biorąc pod uwagę prędkości naszą i pańską... Kiedy zacząłem podejrzewać, co pan knuje, był pan już w porcie. A przecież pański statek nie osiąga więcej niż dziesięć, jedenaście węzłów, jak sędzę. Trzy razy mniej niż mój.

Dotknął palcem skroni i postukiwał w nią lekko. Gest niedowierzania. Widoma oznaka zdumienia.

– Tak, cud – powtórzył ciszej.

– Republika nie wierzy w cuda.

Zabrzmiało to jak sarkazm, ale z Quirosem, pomyślał Falcó, nigdy nic nie wiadomo. Komandor Navia obserwował teraz swojego kolegę z nowym zainteresowaniem.

– Nie jest pan wierzący? – zaryzykował.

– Mniej więcej.

– Ja wierzę raczej więcej niż mniej – kapitan Martina Alvareza mówił z całkowitą powagą. – Ciężko jest nie patrzeć w górę, kiedy morze rzuca okrętem.

Jego rozmówca potaknął zarazem ze zrozumieniem i ze sceptycyzmem.

– Każdy patrzy, gdzie może.

– Tak, jasne.

Światło na balkonie ciemniało. Część salonu tonęła już w mroku.

– To zdarzenie z naszymi załogami na ładzie... – ciągnął Navia. – Z Anglikami, wie pan. Prawda...? Dostałem niezły ochrzan od moich szefów i konsula brytyjskiego.

Quirós pokiwał głową, co zabrało mu dobre pięć sekund.

– A ja z Walencji – powiedział. – I od konsula brytyjskiego też.

– Musiałem spotkać się z dowódcą Boreasa, żeby załagodzić sytuację. Perfidny Albion bardzo źle przyjął ten incydent... „Sądziłem, że jesteście w stanie wojny”, warknął na mnie wściekle.

Falcó zobaczył, że uśmiechają się. Był tylko zarys uśmiechu, ale pojawił się na ustach obu rozmówców. Najpierw u Navii przy jego ostatnich słowach. Potem, po dość długiej chwili, na wargach Quirosa. I pozostał tam przez jakiś czas. Później, jakby przypadkiem – ale Falcó wiedział, że to bynajmniej nie był przypadek – spojrzenia obu zbiegły się na butelkę koniaku stojącej na stoliku. Jednakże nikt jej nie dotknął. Kapitan narodowca odezwał się:

– Słyszałem, że zabronił pan swoim ludziom schodzenia na ląd, tak jak ja moim.

– To prawda.

– Nie powinni się spoufalać. A na to się zanosilo po tamtej nocy. W sumie jesteśmy wrogami. Nie możemy zapominać, że trwa wojna.

Uśmiechy znikły. Quirós przeciągnął ręką po brązowej, cętkowanej łysinie, nie odpowiadając. Navia nie odrywał smutnego wzroku od butelki koniaku.

– Powinniśmy mieć jasność w kwestii tego, co wydarzy się niebawem – powiedział nagle.

Quirós pokręcił powoli głową bez słowa.

– Co sądzą pańscy ludzie? – dopytywał Navia. – Macie komitety marynarzy i te rzeczy. Dyskutujecie.

– Moi ludzie nie dyskutują. Mają kapitana.

– Na statku nie ma demokracji. – Komandor uśmiechnął się. – Oczywiście, że nie.

– Miło mi to słyszeć.

– Cieszę się, że panu miło.

Navia ponownie spojrzął w okno.

– Nie uda się panu uciec z Tangeru – powiedział. – Cokolwiek pan zrobi, będę na pana czekał albo będę pana ścigał. Tym razem nie ma pan wyjścia. Gdy tylko opuści pan trzymilowy pas wód terytorialnych, zatrzymam pana.

– Republika rozciąga neutralność na sześć mil.

– W tym przypadku stosujemy prawo brytyjskie: trzy mile, a potem wody międzynarodowe.

W oddali rozległ się okrzyk *Allahu akbar*, długi, przeciągły. Przez otwarte okno dobiegał do salonu śpiew muezina z pobliskiego meczetu: wieczorna modlitwa.

– Jak tylko pański statek znajdzie się na wodach międzynarodowych, dopadnę pana – nalegał Navia. – Rozkażę, żeby pan zatrzymał maszyny. A jeśli pan tego nie zrobi...

– Otworzy pan ogień.

Quirós wypowiedział te słowa bez emocji, spokojnie. Wyglądał na zamyślnego.

– Kiedyś straciłem statek – powiedział jakby do siebie. – Tankowiec... Nazywał się Punta Atalaya.

Komandor spojrział na niego, zaintrygowany, lecz nie odezwał się ani słowem. Quirós dotknął podbródka roztargnionym gestem.

– Niemiecka torpeda, dwadzieścia trzy mile na północny wschód od przylądka Fisterra.

Wyglądał, jakby chciał coś dodać, ale nie zrobił tego. To było wszystko. Wspomnienie. Obiektywne. Neutralne. Drugi kapitan potaknął i pochylił głowę z wyraźną dezaprobatą.

– Miesiąc temu widziałem z daleka płonący tankowiec... Czerwony grzyb wznoszący się do czarnego nieba. Jak pudełko zapalek, do którego ktoś przytknął zapaloną zapałkę.

Kapitan Mount Castle obrzucił go wzrokiem, w którym tliło się zainteresowanie.

– To była pańska robota?

– Nie. Krążownika Cervera.

– Mój też tak wyglądał. Mam na myśli grzyb ognia. Z dwudziestu dwóch ludzi straciłem siedemnastu.

– Rozumiem.

– Tak... Myślę, że tak.

Na zewnątrz śpiew muezina ucichł. Navia odwrócił się do Falcó. Wyczerpałem moje argumenty, zdawał się mówić jego wzrok. Niech pan dorzuci swoje.

– Tego wszystkiego można uniknąć – odezwał się Falcó, pochylając się lekko na fotelu. – Tym razem nie ma potrzeby, by ktokolwiek ginął.

Navia potwierdził skinieniem głowy i odwrócił się do Quirosa.

– Propozycja, którą składa panu ten człowiek, jest rozsądna.

– Tak pan sądzi?

– Niech pan nie wierzy, że republikańska flota przyplynie panu na ratunek. Wie pan, jacy są na morzu... Wystarczy kilka wystrzałów jednego z naszych krążowników, a wrócą do domu.

Quirós dotknął pudełka cygar na stoliku, ale nie otworzył go. Po chwili włożył rękę do kieszeni i wyjął skórzany woreczek, z niego skręconego papierosa. Włożył go sobie do ust, a Falcó podszedł, by podać mu ogień.

– Pamięta pan zachowanie Lepanta? – nalegał Navia. – Kiedy eskortował pana i natknął się na nas nieopodal Alboranu?

Quirós oparł się na fotelu, papieros chwiał mu się w ustach, gdy odpowiadał.

– Jasne, że pamiętam.

– Gdy tylko zaczęła się potyczka, zostawił pana samego. Rozciągnął za sobą zasłonę dymną i zmył się co pary w maszynach.

Kapitan frachtowca słuchał bez ruchu. W milczeniu. Żar papierosa odznaczał się na jego twarzy, bo cienie zgęstniały i opanowały cały pokój.

– Jest pan ciągle sam, panie kapitanie – dorzucił Navia.

Czerwony punkcik żaru poruszył się lekko.

– Zapewne.

Jego głos był mroczny jak pomieszczenie. Ciemność w salonie zapanowała prawie całkowita, ale Falcó nie zdecydował się zapalić lampki na niedalekiej komodzie. Nie chciał zmieniać tonu i kierunku rozmowy.

– Niech pan powie mi jedną rzecz – poprosił Navia. – Poddałby pan swój statek?

Nie było odpowiedzi.

– Poddałby go pan?

Czerwony ognek oderwał się od ust Quirosa. Kapitan trzymał teraz papierosa w ręku.

– A gdyby pan... – odrzekł Navii – stał w neutralnym porcie i przyszli do pana republikańscy agenci, oferując pieniądze i bezpieczeństwo, przyjąłby pan taką ofertę?

– To co innego. Ja służę w marynarce wojennej. Biorę udział w krucjacie, którą uważam za konieczną. To walka z marksizmem, hołotą wyrzynającą Hiszpanię... I przepraszam. Wie pan, że nie mam na myśli pana.

– Tak.

– Wierzę w to, co robię.

Salon tonął w mroku. W ciemności błyszczał tylko świetlisty punkcik papierosa żarzący się mocniej od czasu do czasu. Falcó wstał i niemal po omacku ruszył na poszukiwanie lampy.

– A co wiedzą panowie o tym, w co ja wierzę albo już nie wierzę? – zapytał Quirós.

Falcó wyjął zapalniczkę, podniósł szklany abażur i przysunął płomień do knota, regulując moc światła pokrętelem.

– Wiemy o pańskiej lojalności wobec armatora, który oddał swoje statki w służbę Republiki – oznajmił, wracając do stołu z lampą w ręce. – Co do pańskich poglądów politycznych...

– Moje poglądy polityczne to moja sprawa. Jestem tutaj w charakterze marynarza. W tej sytuacji moje poglądy polegają na tym, że spełniam swój obowiązek.

Falcó postawił lampę na stole. Światło kładło trójkątne cienie na policzkach i oczach siedzących mężczyzn. Wyjął z kieszeni kartkę papieru i podał ją Quirosowi.

– Jeśli chodzi o obowiązek, panie kapitanie, być może powinien pan przeczytać to... Nadeszło wczoraj pocztą dyplomatyczną. Wiadomość całkowicie pewna.

Quirós włożył papierosa do ust i sięgnął do górnej kieszeni marynarki po okulary. Przysunął papier do światła i odczytał na głos:

Ambasada Republiki w Londynie i konsulaty narodowe w Biarritz potwierdzają. Stop. Armator Noreña poprosił o azyl w Wielkiej Brytanii. Stop. Poważne rozbieżności z rządem baskijskim i rządem w Walencji.

– To chyba zwalnia pana z wszelkich zobowiązań moralnych – zasugerował Falcó.

Światło i cień tańczyły na nieruchomej twarzy kapitana. Odczytał depezę raz jeszcze.

– Żadnego zobowiązania moralnego nie było – oświadczył. – Po faszystowskim zamachu stanu flota Noreñii została skonfiskowana przez Republikę. Był armatorem tylko nominalnie.

– To teraz jest nim jeszcze mniej nominalnie.

Kapitan schował okulary i odłożył depezę na stół.

– Oczywiście.

– Wobec kogo jest pan dzisiaj lojalny, panie kapitanie?

Po raz pierwszy wydało się, że kapitan się waha. Popatrzył na Navię, jakby oczekiwał od kolegi cienia zrozumienia albo podpowiedzi. Ale ów nie odezwał się. Tę kartę rozgrywał Falcó. Dobry policjant i zły policjant. Nie przekraczając pewnych granic.

– Wykonuję mój obowiązek – powtórzył Quirós.

Falcó skrzywił się lekko.

– Ma pan obowiązki także wobec swoich ludzi, a one z pewnością nie obejmują prowadzenia ich na pewną śmierć. Albo, jeśli pan podda się tam, na morzu, do niewoli – zamilkł, by podkreślić najważniejszy argument. – A być może pod ścianę, jeśli trafią na ląd... Zdarzały się już przypadki, że rozstrzeliwano schwytanych marynarzy republikańskich.

Starał się, by nie zabrzmiało to jak groźba, choć nią było.

– Prawie zawsze to robią – szepnął Quirós.

Rozgniół papierosa w popielniczce z pewną gwałtownością, która nie uszła uwadze Falcó. Twardy jak głaz, ale nie całkiem. Nikt nie mógłby pozostać niewzruszony w jego sytuacji. Życie zbyt wielu ludzi wchodziło w grę, łącznie z jego własnym. A jeszcze żona i dwie córki czekające na niego w Luarce.

– W Tangerze pańska załoga ma szansę. Pan również.

Quirós spojrzął ponownie na kapitana narodowców, który pozostawał na drugim planie.

– Jak panowie wiedzą, mam na pokładzie ładunek, który mi powierzyła Republika. Jestem za niego odpowiedzialny.

– Ma pan na pokładzie hiszpańskie złoto – poprawił go Falcó. – Które zagarną Rosjanie i które nigdy nie wróci do Hiszpanii. Wie pan, jak działa Stalin.

Cisza. Quirós przechylił nieco głowę. Błękitne oczy były utkwione w płomieniu lampy.

– Kilka osób nie należy do mojej załogi – odezwał się w końcu. – Nie podlegają moim rozkazom.

– Wiemy. Trzech komunistów... Jeden Hiszpan, Juan Trejo. Komisarz polityczny.

– To nie jest człowiek, którego można zlekceważyć – przemówił cicho Quirós, jakby myślał na głos.

– Możemy zająć się nim.

Falcó wymówił te słowa z całkowitą naturalnością. Kapitan spojrzał na niego z konsternacją, jakby nie całkiem zrozumiał.

– Zająć się?

– Nim i resztą.

Quirós wykonał dziwny gest, jakby wycofywał się. Jak gdyby uznał, że posunął się za daleko.

– Bez wątpienia – skomentował w zamyśleniu.

Falcó postanowił zakończyć rozmowę. Wszystko zostało już powiedziane. Zerknęli na siebie, Navia i on, w niemym porozumieniu.

– Moja oferta pozostaje wciąż aktualna. A ze strony komandora Navii wszystko jest chyba jasne. Trzy czy sześć mil, na jedno wychodzi. Los pańskiego statku jest przesądzony.

Krótkim spojrzeniem przekazał piłeczkę drugiemu kapitanowi. Ów pochylił się lekko w stronę Quirosa.

– Nie chcę tego zrobić, panie kapitanie – powiedział. – Nie w ten sposób... A tym bardziej po tej historii z naszymi chłopcami w barze wczoraj w nocy.

Brzmi cholernie szczerze, pomyślał Falcó. A nawet uczciwie. I z całą pewnością tak myśli. Tutaj to on sam jest intruzem, zrozumiał. Wśród dwóch marynarzy rozmawiających ze sobą. Zawodowców rozumiejących się ponad banderami, jakie wciągali na maszty.

– Dostanę wszelkie gwarancje bezpieczeństwa? – zapytał Quirós.

– Wszelkie – powiedział Falcó. – Ma pan moje słowo.

– Bez obrazy, ale pańskie słowo nic dla mnie nie znaczy. – Kapitan odwrócił się ku Navii. – Mam pańskie słowo?

– Ma pan.

Kapitan Mount Castle wstał. Spoglądał poza ciemne okno w noc.

– Proszę mi dać dwadzieścia cztery godziny do namysłu.

8. TAM NIGDY NIE BĘDZIE TU

– Udało się spotkanie?

– Cudownie.

– To chodź tu i dotrzyмай mi towarzystwa przez chwilę. Długo rozmawialiście, twoi znajomi i ty... Zapracowałam sobie na wynagrodzenie?

– Całkowicie.

– No to chodź, mówię ci. Napij się czegoś. Zapal coś.

Z gramofonu elektrycznego dobiegał przyjemny głos Jeana Sablona: *Mélancolie un jour s'achève, mélancolie on n'y peut rien*. Moira leżała na tureckiej kanapie oświetlonej siedmioramiennym żydowskim świecznikiem, który pozostawiał część pomieszczenia w mroku. Bosa, miedziane włosy zaplecione w gruby warkocz, w kimonie, którego prawy rękaw zwisał pusty od łokcia do przegubu. U jej boku stał niski stolik z karafką wody, butelką absyntu i kilkoma drobnymi przedmiotami. Podchodząc, Falcó zauważył srebrną tackę ze szklaną strzykawką i pustą ampulką.

– No, chodź tu bliżej.

Usiadł posłusznie na skraju otomany. Moira patrzyła na niego zasnutymi mgłą oczami o rozszerzonych źrenicach. Spojrzał na strzykawkę.

– To coś nowego.

Uśmiechała się lekko, prawie nieobecna, jakby mogła wykonywać tylko bardzo wolne ruchy i kontrolowała je z bardzo daleka.

– Starzeję się, chłopcze. Lata mijają. *Où sont les filles d'antan?*...
Kokaina pomaga uporać się z pewnymi sprawami.

– Od kiedy?

– A jakie to ma znaczenie?

Nalał absyntu do szklanki, z której piła wcześniej ona, i dodał nieco wody. Pierwszy łyk dobrze mu zrobił. Na stoliku leżało pudełko ze skręconymi już dzointami z kifem i włożył sobie jednego do ust. Zapalił, zaciągnął się głęboko. Moira patrzyła na niego.

– Niech cię wszyscy diabli – szepnęła swoim chrapliwym głosem. –
Wciąż jesteś przystojnym łobuzem.

Falcó zrobił obojętną minę, typową dla siebie, wyrachowanie niewinną. Przeniósł się myślą w przeszłość. Wspominał Moirę, olśniewającą kobietę sprzed piętnastu lat: jej jędrne, brązowe, ciepłe ciało, odrobinę tylko zeszpeczone utratą prawego przedramienia. Ochryply głos, wielkie czarne oczy spoglądające na niego z bardzo bliska, podczas gdy wymieniali jęki i szepty, bezceństwa i czułości. Ateny i Bejrut dostarczały odpowiedniej scenerii. Czasy jego młodości. Dla niej pełnia wieku dojrzałego.

– Daj mi go – powiedziała Moira.

Falcó włożył jej skręta do ust, zaciągnęła się głęboko, podczas gdy on przebiegał opuszkami palców po tatuażach pokrywających policzki. Berberyjskich tatuażach, które zrobiła, gdy zamieszkała w Tangerze z mężem malarzem. Konkurowały teraz z oznaką upływu czasu: ze zmarszczkami wokół oczu, których nie był w stanie zamaskować kohl.

– Ty jesteś nadal piękna.

Wypuściła dym powstrzymywany przez kilka sekund i zamruczała jak pogłaskana kotka. Rozchylone kimono ukazywało początek ud. Wciąż jeszcze miała atrakcyjne nogi ozdobione srebrnymi łańcuszkami na kostkach, z paznokciami pomalowanymi na intensywną czerwień. Stopy

tureckiej kurwy, mówił jej niegdyś szeptem, kiedy leżeli w łóżku, a Moira zaplatała mu uda wokół bioder, egoistycznie, gwałtownie, rozkoszując się jego potem i męskością.

– Oszust – powiedziała po chwili. – Wstrętny oszust.

Oddała mu papierosa, teraz on się zaciągnął. Nigdy nie miał skłonności do tego, by mieszać sztuczne światy z prawdziwym. W jego mrocznej profesji upodobania tego typu i wynikająca z nich utrata czujności były groźne. Prosta droga do problemów i na cmentarz.

– Zaciągnij się porządnie, chłopcze... Przywożą mi go z gór wokół Ketamy.

– Jest dobry.

– Tak. Jasne, że jest dobry.

Wypadki Falcó w świat środków odurzających odbywały się zwykle za pośrednictwem osób trzecich, zawsze kobiet, z którymi dzielił piękne chwile i złe nawyki w trakcie krótkich wspólnych pobytów. Jakies dziesięć lat temu wdychał opium z żoną francuskiego attaché handlowego w Stambule, Ormianką Clarą Petrakian, która zabrała go do palarni Kara-Keuy przy długiej ulicy za nabrzeżem. Jeśli chodzi o płynną kokainę, wstrzyknął ją sobie tylko raz, w hotelu Adlon w Berlinie w towarzystwie Hilde Bunzel, modelki i aktorki znanej z filmu *M* Fritza Langa, z którą przemierzał najpodlejsze speluny owego bezwstydnego i fascynującego miasta opierającego się wówczas jeszcze – choć nie miało to trwać zbyt długo – stukotowi butów z cholewami i widokowi wyciągniętych ramion nazistów w brunatnych koszulach.

– Połóż się przy mnie... *Viens*. – Moira klepała w otomanę swoją jedyną dłonią. – Tu.

Odmówił z uśmiechem.

– Dobrze mi tu, gdzie jestem. Pozwól mi na siebie patrzeć.

– Nie działają już na ciebie moje wędzące wdzięki?

Ujął jej rękę i ucałował palce pokryte srebrnymi pierścieniami.

– Nie bądź głupia.

Zastanowił się, z jakimi mężczyznami sypiała po śmierci Clive’a Napiera. Dawni przyjaciele wpadający z wizytą, jakiś malarz czy pisarz przejazdem w Tangerze, pełni wigoru młodzi Berberzy, którym dobrze zapłaci... Nie była już młoda, miała czterdzieści cztery lata, a jej uroda wycofała się do innego wymiaru fizycznego, była bardziej nasycona niż zwracająca uwagę, bardziej ciepła niż olśniewająca. A jednak na swój sposób wciąż pozostawała atrakcyjną kobietą. I oczywiście dzięki owej patynie zmiennych losów, którą pokryło ją życie, kobietą niezwykłą.

Oui, je revois les beaux matins d’avril.

Jean Sablon śpiewał teraz *Vous qui passez sans me voir*, a kif zaczynał działać. Falcó odświeżył sobie usta łykiem absyntu i usadowił się wygodniej. Wcześniej wyjął zza pasa pistolet i położył go pod otomaną. Żadnej broni w pobliżu alkoholu lub narkotyków. Takie miał zasady.

Ręka Moiry spoczęła na jego ramieniu.

– Zostawiłeś mi piękne wspomnienia, chłopcze – szepnęła sennym głosem.

– Ty mnie też.

Milczeli przez chwilę, słuchając piosenki, podając sobie skręta.

– Nie męczy cię takie życie? – zagadnęła.

– Jakie życie?

– Sam wiesz. Niepewne. Niebezpieczne.

Falcó pokręcił głową,

– A jest jakieś inne...? Niektórzy wierzą w to, ale to nieprawda. Wiesz, że jest tylko jedno życie.

– Różnica polega na tym, że jedni o tym wiedzą, a inni nie. My wiemy.

– Właśnie.

Moira uniosła kikut ręki w rękawie kimona.

– Ja dowiedziałam się w dwudziestym drugim w Smyrnie.

Falcó uśmiechnął się, wracając do przeszłości.

– Miasto płonęło na tle zatoki – przypomniał sobie na głos. – Wszłaś na pokład ubrana na czarno ze zranioną ręką na temblaku, rozglądając się dookoła nieufnie. Chora, targana gorączką. Tak blada i taka piękna.

– To była inna Moira. – Jej dłoń ścisnęła jego przegub. – *Das Dort ist niemals hier...* Czytałeś Schillera?

– Nie.

– Tam nigdy nie będzie tu.

– Zrozumiałem. Nie trzeba być Philem Vance'em, żeby to wydedukować.

– Ależ ty lubisz udawać prymitywa.

– Zapewniam cię, że nie wiem, co to za gość ten Schiller... Muzyk?

– Idiota.

Papieros dopalał się, Falcó pociągnął go po raz ostatni i odłożył na popielniczkę. Potem dolał do szklanki absyntu i wody.

– Podobało mi się, jak na mnie patrzyłeś – Moira mówiła powoli, bardzo sennie, robiąc długie przerwy między słowami. – Jak potem podszedłeś do mnie, uśmiechając się jak dzieciak, mówiąc, że jesteś do mojej dyspozycji. Później dowiedziałam się, że dałeś pieniądze marynarzom, żeby się mną opiekowali... A potem odwiedziłeś mnie w szpitalu w Atenach.

– Chciałem przespać się z tobą.

– I dopiąłeś swego. Nie przeszkadzała ci moja ręka albo udawałeś, że ci nie przeszkadza... Obejmowaliśmy się, nadzy, a ja myślałam, że nie spodoba ci się spotkanie z moim okaleczonym ciałem.

– Twoja ręka niczego nie zmieniła. Byłaś bezgranicznie piękna.

– Wyłam jak suka, pamiętasz...? Wylewałeś się w moich ustach, w moim tyłku, wszędzie... Wkładałeś mi dłoń w zęby jak knebel, żeby nie gorszyć sąsiadów, a ja gryzłam cię aż do krwi.

– I płakałeś nocą. Po ciemku. Kiedy myślałeś, że śpię.

– To nie miało związku z tobą.

– Wiem. Dlatego nigdy nie reagowałem. Nigdy ci nic nie mówiłem.

– Wspominałam Smyrnę... Wszystkich, którzy tam zginęli... Mojego męża i mojego syna.

– Tak.

Gramofon zamilkł, ale Moira nie zwróciła na to uwagi. Falcó też nie miał ochoty wstawać. Odczuwał miękką, przyjemną senność, każdy gest zabierał mu mnóstwo czasu albo tak mu się zdawało. Zwolnionym ruchem sięgnął do pudełka ze skrętami i wziął następnego.

– Poza tym mimo młodego wieku... – ciągnęła Moira – ... ty też miałeś własne płonące Smyrny w oczach... Słyszałam, jak wstajesz w nocy i krążysz po pokoju, paląc papierosa, szukając aspiryny, kiedy ci pękała głowa. – Zerknęła na niego z cieniem zainteresowania. – Dalej miewasz te migreny?

– Tak.

– To nie wiem, czy kif dobrze ci robi.

– Robi mi bardzo dobrze.

Płomyk zapalniczki oświetlił twarde rysy. Codzienną maskę. Zaciągnął się głęboko, napełniając płuca dystansem do świata i samego siebie.

– Byłeś typem bezczelnym i dziwnym – dorzuciła Moira po chwili. – Nawet twoje łotrostwa nie zmieniały cię w łotra... Ten arogancki uśmiech, to niebezpieczne spojrzenie.

Falcó chciał oddać jej papierosa, nie odpowiadając, ale odmówiła ruchem głowy. Rozszerzone źrenice były utkwione w nim.

– Nie masz dość...? Nie boisz się, że cię zabiją?

Uśmiechnął się bez słów, zaciągając dymem po raz kolejny.

– Nie, nie masz – odpowiedziała sobie Moira. – Zawsze należałeś do tych, którym się zdaje, że wiedzą, kiedy nadchodzi pora, by rzucić alkohol, rzucić kobietę albo rzucić życie... A niekiedy się mylą.

– Ładnie powiedziane.

– Przeczytałam to gdzieś, nie wiem gdzie. A może nie przeczytałam. Może usłyszałam od Clive’a, świętej pamięci. Albo od siebie... Albo od ciebie.

Jej słowa docierały do Falcó z oddali. Przytłumione, powolne. Może tak je wymawia, pomyślał. A może to ja tak je słyszę.

– Nigdy nie pytałam cię, czy kogoś zabiłeś – powiedziała nagle żywo i głośno.

Przysunęła się nieco, przywierając do niego. Przez jedwab kimona wyczuwał ciepło jej ciała. Ten ruch odsłonił jej łono. Wydepilowane, zauważył Falcó.

– Pewnego razu powiedziałaś mi coś – przypomniał jej. – „Podoba mi się, że robisz to, o czym inni tylko marzą”.

Patrzyła na niego jak oszołomiona zmętniętymi oczami.

– Przypominam sobie, tak... – Słowa wychodziły z jej ust z coraz większą trudnością. – Myślałam tak wiele razy... Dlatego kochałam cię przez jakiś czas, na tyle, na ile potrafiłam... Cóż... Tak przynajmniej myślę, że to była miłość.

Podniósł rękę i delikatnie przykrył jej łono połą kimona.

Moira milczała przez chwilę. Potem usłyszał, że śmieje się bardzo cicho.

– Pewnego dnia postarzejesz się, mój przyjacielu.

– Być może.

– Chyba że będziesz miał szczęście i umrzesz wcześniej... Bo nie wyobrażam sobie ciebie jako staruszka gapiącego się na krople deszczu spływające po szybie okna.

– Nawet jeśli tak, będę wciąż wspominał cię. Jesteś wyjątkowa.

Poczuł uderzenie między żebrami. Szturchnęła go.

– Łgarz... Zawsze byłeś łgarzem i łobuzem.

Falcó roześmiał się, a dym w płucach sprawił, że zaczął kaszleć. Żar parzył mu palce. Odłożył papierosa na popielniczkę.

– Ukrytym pragnieniem wyjątkowej kobiety jest przeżyć samą siebie. – Dotykała swojej twarzy, jakby nagle wydała się jej bardzo krucha. – No i sam widzisz... Pewnego dnia uświadamiasz sobie, że strzeżesz zamku, w którym nie ma już nic do obrony.

Poruszyła się znowu, odsuwając nieco od niego. Falcó czuł, że jego głowa odpływa powoli do krainy, dokąd dźwięki dobiegały z bardzo daleka i gdzie ruchy trwały nieskończenie długo. Osunął się na sofę, opierając głowę na brzuchu kobiety.

– Ja też nie potrafię wyobrazić sobie siebie w tym oknie – powiedział. – Ale życie lubi płatać figle.

– Powinniśmy móc umrzeć tak, jak żyliśmy. – Moira gładziła mu włosy. – Nie uważasz?

– Owszem. Ale to zdarza się rzadko.

– Opowiedz mi o tym. Zrób to dla mnie... *À l'ombre de nos amours...*

Dla cienia naszej starej, pięknej, słodkiej, a dziś melancholijnej przyjaźni.

– Nigdy nie byłem dobry w te klocki.

– Zrób to. Dalej. Ten jeden, jedyny raz.

Jak się dobrze leży, myślał Falcó z głową opartą o brzuch kobiety, który był wygodny, nieomal matczynej. Kierował senność na właściwe tory i pozwalał swobodnie płynąć myślom. I słowom.

– Wiedzieć, że życie... – przemówił bardzo powoli – ... to kiepski żart pełen przypadków, wrogów i pajaców wyskakujących na sprężynie z otwieranego pudełka, jest jedyną rzeczą, która zapewnia wystarczająco zimną krew, by kpić ze wszystkiego. – Odwrócił do niej twarz. – I jak?

– Z miłym, powalającym uśmiechem takim jak twój?

– Na przykład.

– Zaklaskałabym obiema rękami, gdyby je miała, kochany.

Wciąż gładziła go po włosach, przesuwając je między palcami.

– Tylko idioci i słabeusze przykrywają zapach życia perfumami – dodała.

Falcó zamknął oczy, odpływając w dal szarym jeziorem, na którym się unosił.

– Kiedy byłem mały, marzyłem o tym, żeby uciec. Pióro z ogona kury zmieniało mnie w Indianina na prerii; laska mojego ojca w muszkietera; spojrzenie dziewczynki w zakochanego.

– Tak... Jestem pewna, że dużo marzyłeś... I przeczuwałeś... Tęskniłeś przedwcześnie za tym, czego jeszcze nie znałeś.

– Być może.

– A pewnego dnia uciekłeś, by to odnaleźć. Na wyspę piratów.

Te trzy ostatnie słowa obudziły coś w umyśle Falcó. Zbyt długo, pomyślał z nagłą jasnością. Zbyt odsłonięty. Nie mógł sobie na to pozwolić. Za chwilę powinien być na ulicy, a jest już noc. Piętnaście minut piechotą do hotelu. Cel nieruchomy albo cel ruchomy.

Myśl przeszła jego głowę z ostrą pewnością jak smagnięcie biczem. Mogą mnie zabić bez trudu. Dreszcz niepokoju, nagłego strachu przebiegł mu między nogami.

– Być może.

Sięgnął po pistolet schowany pod otomaną, po czym podniósł się chwiejnie, potrząsając głową, by się rozbudzić. Wsunął broń do kabury, starając się odzyskać kontrolę nad ruchami.

Moira spoglądała na niego z bardzo daleka.

– I wciąż tam jesteś, chłopcze. Ze swoimi piratami... Z pewnych miejsc nigdy się nie wraca.

Korony palm były nieruchomymi cieniami pokonanymi przez deszcz, światła portu błyszczały mgliście między hotelem Continental a czarną płytą zatoki.

Wchodząc po schodach prowadzących do wejścia, Falcó poczuł prawdziwą ulgę. Dopiero wówczas zaczął się stopniowo odprężyć. Aż do tego momentu ciemność nocy i jego własne oszołomienie sprawiły, że postrzegał otoczenie jako nieprzyjazne. Zagrożające mu.

Od domu Moiry Nikolaos zszedł do Dar Baroud po śliskim bruku w mroku, spoglądając podejrzliwie na każdy cień, każdy ciemny kształt, jaki mijał po drodze, czując u boku twardy dotyk browninga ukrytego w kieszeni płaszcza, a nawet chwytając za kolbę, gdy w jakimś zaułku w świetle latarki oświetlającej kafejkę zobaczył dwóch Europejczyków pograżonych w rozmowie; drugi raz, gdy po chwili wydało mu się, że

słyszysz kroki za plecami. Wyjął wówczas pistolet z kabury, odbezpieczył go i trzymając w prawej ręce, zamarł, wtopiony w mrok pod łukiem wąskiej uliczki, nasłuchując poprzez stukot krwi, która pulsowała mu w skroniach, aż uzyskał pewność, że nikt za nim nie idzie.

Marsz i mżawka orzeźwiły go. Był wściekły na siebie. Nigdy więcej nie zachowuj się podczas operacji tak idiotycznie, napomniawszy się. Tak jak tej nocy. Bo nieostrożność zabija, a nieostrożni umierają.

Gdy wszedł do hotelu, Yussuf, portier, podał mu klucze i złożoną karteczkę. Wiadomość dla pana. Kierując się w stronę schodów prowadzących do pokoi, Falcó zatrzymał się, by ją przeczytać.

Przywożę kawę i pozdrowienia od Dzika. Jestem w Rifie, jedna przecznica stąd w stronę morza.

Stał nieruchomo przez moment, wpatrując się w kartkę. Potem zawrócił, wyszedł na ulicę, przeszedł obok bastionu ze starymi armatami i ruszył w dół ulicy.

El Rif był małą jadłodajnią z otwartą kuchnią. W środku pachniało grillowanym mięsem i warzywami, także przyprawami. Lokal miał ściany wyłożone kafelkami, rękę Fatimy wymalowaną na nadprożu i zaledwie sześć stolików; wszystkie puste oprócz jednego. Przy tym jednym plecami do ściany siedział Paquito Araña.

Siadając naprzeciwko, Falcó poczuł znajomy zapach pomady do włosów i różanej wody toaletowej.

– Dobry wieczór, przystojniaku – powiedział Araña.

Wyłupiaste oczy niebezpiecznego płaza obserwowały go z uwagą. Przed oślizgłym typem stał kamionkowy garnuszek z tadżinem z kurczaka, który ów jeszcze przed sekundą pałaszował z apetytem.

– Chcesz coś zjeść?

– Nie.

Zabójca był starannie uczesany, miał niski przedziałek, włosy przylizane na czole, by zamaskować oznaki łysienia. Na sąsiednim krześle leżał nieprzemakalny płaszcz Loden w zgniłozielonym kolorze i kapelusz z gabardyny. Araña miał na sobie lekki trzyczęściowy garnitur, koszulę w paski z miękkim kołnierzykiem i czerwoną muszkę w niebieskie grochy. Na kamizelkę założył serwetkę, żeby się nie pobrudzić.

– Powiedz, że cieszysz się, że mnie widzisz, kochanie – zagaił.

Falcó uśmiechnął się. Zerknął w stronę drzwi i uśmiechnął się ponownie.

– Cieszę się, że cię widzę.

Araña również spojrział na drzwi, po czym ściągnął usta.

– Jakież problemy niecierpiące zwłoki?

– Nie tej nocy.

– Tego by tylko brakowało. Żebyś się nie cieszył. Jestem tu, bo prosiłeś, żebym przyjechał.

– Dziękuję ci.

– Teraz możesz mi dziękować, piękniśiu. Ale miałem podróż... W samolocie z workami z pocztą rzucało mną na wszystkie strony, a w samochodzie z Tetuanu nałykałem się kurzu.

Popatrzył na resztki tadżinu, nabił kawałek chleba na widelec i umoczył go w sosie.

– Tanger, to brzmiało nieźle, rozumiesz – dorzucił. – Chłopcy o śniadej skórze z wielkimi czarnymi oczami i te rzeczy. Piękna perspektywa, czyż nie? Nie zmartwiłem się tą misją.

– Nie będziesz miał czasu na życie towarzyskie.

Araña włożył chleb do ust i gryzł powoli w zamyśleniu.

– Nigdy nie wiadomo – orzekł.

– Gdzie mieszkasz?

– W dyskretnym pensjonacie, tu obok. – Wykonał nieokreślony gest widelcem, wskazując na ulicę. – Skromnej kategorii, jak prawie zawsze. Choroba. Dobre hotele są tylko dla gwiazdorów takich jak ty. Pupilków Admirala.

– Co ci powiedział Dzik?

– Dosłownie?

– Tak.

– „Ten alfons nie może żyć bez ciebie”. To powiedział.

– Mam na myśli zadanie.

Araña obejrzał sobie paznokcie, bardzo czyste, różowe, krótko przycięte i równo spiłowane. Miał blade, delikatne ręce, które pielęgnował codziennie Neige des Cévennes i innymi markowymi kosmetykami, bardzo wyrafinowanymi i drogimi. Mając niemal kobiece dłonie i metr sześćdziesiąt w kapeluszu, Paquito Araña rozpoczął jedenaście lat temu swoją karierę zawodowego zabójcy jako *pistolero*, cyngiel Federacji Pracodawców w Barcelonie. Pierwszym związkowcem, jakiego zabił – potem nastąpili inni, zanim jeszcze Admirał zrekrutował go do Grupy Lucero za rekomendacją pewnego katalońskiego przedsiębiorcy – był Chiquet del Raval, ochroniarz przywódcy anarchistów Angela Pestañii: trzy kule 9 mm largo w głowę i jedna w plecy, gdy ów wychodził z potańcówki. Wszystkie strzały oddane z bardzo bliska i śmiertelne, jak brzmiał nagłówek w „La Vanguardii” nad zdjęciem zabitego leżącego na brzuchu na chodniku w otoczeniu gapiów.

– O zadaniu nie powiedział mi szef nic specjalnego. Same ogólniki: statek ze złotem Banku Hiszpanii i tak dalej. Pojedziesz tam i zrobisz to, co ci każe Falcó, podsumował. I oto jestem... Znowu robię za twojego wierne pudelka.

Dokończył tadżin i oparł się o krzesło, wycierając serwetką różowe i okrutne usta.

– A zatem rozkazuj, a ja będę ci posłuszny, panie mój – dorzucił.

Falcó spojrział w stronę kuchni. Stali tam Berberka w chustce zawiązanej na karku i młody kelner. Odmówił ruchem ręki chłopcu, który podchodził z usługowym wyrazem twarzy.

– Szczegóły podam ci potem. Na razie tylko to, co najważniejsze. I najpilniejsze.

– Nadstawiam pilnie uszy wraz z kolczykami, jak w piosence.

– Zapłać i chodźmy. Pogadamy na ulicy.

Wstał. Dopinał w głowie pewien plan – obmyślony na gorąco, może dobry. Pełna improwizacja, ale może właśnie dlatego ma szansę się powieść. Popatrzył na zegarek. Po skutkach kifu i absyntu nie został nawet ślad, a może to właśnie używkom zawdzięczał nagłą jasność umysłu i pobudzenie wyobraźni. Któż to wie.

– Aj, chłopcze – narzekał Araña. – Co za pośpiech... Zamierzałem zamówić herbatkę.

– Nie ma czasu.

– Brutal.

Falcó spojrział jeszcze raz na zegarek, żeby się upewnić. Dopiero za kwadrans dziesiąta. Przeprowadził szybką kalkulację. Noc była młoda i pełna możliwości, jeśli będzie działał szybko. *Audaces fortuna* coś tam, usłyszał kiedyś od Admirala. Śmiałym szczęście sprzyja.

– Idę do hotelu zadzwonić i wracam za dziesięć minut.

Araña pogładził palcem brwi wydepilowane w dwie cieniutkie linijki, wykrzywił usta i skinął z rezygnacją na kelnera.

– Przynieś mi rachunek, skarbie.

Dodzwoniwszy się do Antona Rexacha, który na szczęście odebrał od razu, i udzieliwszy mu szczegółowych instrukcji, Falcó wrócił po Paquita Arañę. Zabójca czekał na ulicy w płaszczu i w kapeluszu opadającym na oczy.

– Umieram z ciekawości, słoneczko – oznajmił.

Falcó pokazał na bastion nieopodal.

– Przestało padać. Przejdźmy się.

Podeszli do fortyfikacji. Mokre od deszczu stare armaty wyglądały w mroku jak błyszczące wieloryby.

– Potem wtajemniczę cię we wszystkie szczegóły sprawy – obiecał Falcó. – Na razie najważniejsze jest to, co właśnie przyszło mi do głowy na twój widok. I nie mamy za wiele czasu, żeby to przygotować.

Wskazał ręką na coś na krańcu muru za la Tannerie.

– Widzisz ten mały budynek na rampie oświetlony latarniami elektrycznymi?

– Widzisz.

– To kasyno. Francuski Kursaal... Za piętnaście minut pójdziemy tam.

– Co takiego? – Zaśmiał się piskliwie Paquito Araña. – Spodobała ci się nagle ruletka?

– Spodobało mi się zagrać w ruletkę z czerwonymi. I wyciąć im pewien numer.

Milczenie i namysł. Araña przetwarzał uzyskane informacje.

– Jakiego rodzaju numer? – zapytał wreszcie.

– To zależy, jak wyjdzie.

Zabójca prychnął z niedowierzaniem, klepiąc się po brzuchu.

– Mam zabijać o tej porze, mokry jak kura?

Falcó wzruszył ramionami.

– Nie wiem – powiedział uczciwie. – Okaże się w praniu. Mówię ci, że to właśnie przyszło mi do głowy.

– Dostaję pietra, kiedy coś ci przychodzi do głowy, chłopcze. – Cyngiel dłubał sobie w zębach paznokciem. – Potem zawsze ja muszę po tobie sprzątać. Jak wtedy na dworcu w Narbonie... Pamiętasz?

– Nic nie pamiętam.

– Kobieta.

– Mam fatalną pamięć.

– Przestań, człowieku. Ta Katalonka z legitymacją republikańskiego rządu...

Falcó wpatrywał się w Kurasaala obojętny na wszystko oprócz własnego planu. Tego, co działo się tu i teraz.

– Nie wiem, o czym ty do mnie rozmawiasz, więc skup się na tym, co mamy zrobić.

Ponownie zabrzmiał cichy śmiech zabójcy.

– Wiesz co, laleczko?

– Nie.

– Z tą buzią amancika, która tak się podoba dziewczynkom i ich mamusiom, kawał skurczybyka z ciebie.

– Przyganiał kocioł garnkowi.

– Dlatego mogę ci to powiedzieć, kochasiu.

Falcó oparł ręce na mokrym, zimnym żelazie armaty.

– Jest komunista, Juan Trejo, komisarz czerwonej floty... Lubi pić, lubi siedzieć do rana w lokalu i lubi zielone sukno. Chodzi tam co wieczór.

– Jest teraz w kasynie?

– Prawdopodobnie. Dlatego poszedłem zatelefonować. Dowiemy się za chwilę.

– To właśnie przyszło ci do głowy? O tej porze?

– Mniej więcej.

– Panno Najświętsza.

Falcó poklepał kolegę po ramieniu i poszli dalej. Araña szedł z rękami w kieszeniach płaszcza i z pochyloną głową. Wyglądał na pogrążonego w myślach.

– A co to za jeden? – zagadnął po kilku krokach. – Silny, wytrenowany? Zawodowiec? Heteroseksualny? Ojciec rodziny?

– Myślę, że to mięczak.

– Ma ochronę?

– Nie.

– Uzbrojony?

– Pojęcia nie mam.

– I co mamy zrobić z tym gagatkiem?

Przeszli raz jeszcze obok Rifa. Kelner zamykał właśnie lokal i pozdrowił ich. Szli po Dar Baroud w dół, w stronę rue de la Marine. Światła było mało i niektóre odcinki promenady tonęły w ciemnościach. Nie spotkali prawie nikogo.

– Interesują nas dwie rzeczy – wyjaśniał Falcó. – Po pierwsze, gość bruździ w tej historii ze statkiem. Może stanowić problem, więc z tego względu pasowałoby nam go zlikwidować.

– Z tym nie będzie kłopotu... A inne względy?

– Wie o rzeczach, o których chcielibyśmy wiedzieć.

Oczy Arañii zalśniły pod rondem z pomarszczonej gabardyny równie przyjacielsko, jak lśniły oczy hieny obdarzonej dobrym węchem.

– Czyli powinien pozostać przy życiu, nie...? Na razie.

– Przez dobrą chwilę.

– Dysponujesz spokojnym lokalem, gdzie można pociągnąć go za język?

– Właśnie mi go szukają.

Araña przystanął, a Falcó usłyszał, jak fuka ze złością.

– Na miłość boską, kochasiu. Ledwie co przyjechałem, a ty wpadasz w połowie kolacji i zapraszasz mnie w tany. – Pomasował brzuch z wyrazem niezadowolenia. – Nawet nie dałeś mi czasu na trawienie.

Antón Rexach czekał na nich przy bramie la Tannerie pod tunelem. Gdy podeszli, zobaczyli potężną plamę jego jasnego prochowca odcinającą się od ciemnego tła.

– Kiedy pan zadzwonił, właśnie się kładłem – powiedział.

Wyglądał na zniecierpliwionego. Albo zdenerwowanego. Falcó zaśmiał się cicho, sarkastycznie.

– Ojczyzna wymaga poświęceń – stwierdził.

Gdy Katalończyk zauważył, że agent nie jest sam, okazał jeszcze większą irytację.

– Kogo pan przyprowadził? – zapytał, widząc, że Falcó nie zamierza przedstawiać swego towarzysza.

– Kolegę. Nie mógł zasnąć.

– Ach... Rozumiem.

Przeszli we trójkę w ciemności wzdłuż muru do miejsca, skąd brała początek rampa prowadząca do dzielnicy europejskiej.

– Jest w środku – poinformował Rexach. – Sprawdziłem osobiście. Raz w barze, raz przy ruletce. Chwilę temu obstawiał *chemin-de-fer*.

– Sam?

– Na to wygląda. Jego hotel jest tuż obok, dwieście kroków stąd. Zazwyczaj schodzi rampą i idzie na piechotę.

Zatrzymali się u podnóża. Nieopodal stał kryty wóz zaprzężony w muła. Falcó spojrzął w stronę Majestica oświetlonego dwiema sąsiednimi latarniami. Kursaal na rampie także był oświetlony. Jednakże cała stroma uliczka łącznie z załomem tonęły w ciemnościach. Sprzyjający teren.

– To dobre miejsce – uznał. – Zorganizował pan samochód?

Rexach wskazał na furgon, a Falcó potrząsnął głową.

– Niech pan mnie nie denerwuje... Nie było nic lepszego?

– O tej porze pewnie, że nie. Niech pan będzie wdzięczny, że w ogóle cokolwiek znalazłem.

– Ma pan auto.

– Nie mogę wykorzystywać go do takich celów. Ryzykuję, że zostanie zidentyfikowane. Pan sobie pojedzie za kilka dni, ale ja mieszkam w Tangerze.

Falcó odwrócił się do Paquita Arañii, ale ów nie odezwał się ani słowem. Obok mięsistego cielska Rexacha zabójca wyglądał jak karzełek.

– Załatwił pan przynajmniej jakiegoś woźnicę?

– Jasne.

Rexach zagwizdał cicho, a z furgonu wynurzył się człowiek w galabii. Nie było zbyt jasno, ale wyglądał na młodego. I silnego.

– A co z lokalem? – zapytał Falcó.

– Maur wie, gdzie to jest. Ma na imię Kassem.

– *Salam*, Kassem – powiedział Falcó.

– *Salam alejkum* – odpowiedział człowiek w galabii.

– Zaufany?

Falcó zadał to pytanie Rexachowi.

– Całkowicie – potwierdził Katalończyk.

– Mówisz po hiszpańsku, Kassem?

– *Misián*... Jestem z Szafszawanu.

– Ma dwóch braci... – uzupełnił Rexach – ... trzech kuzynów i wuja w kompanii regularsów na Półwyspie. Powiedziałem, że otrzyma hojną zapłatę. Zawiezie panów do właściwego miejsca przy plaży.

Falcó przyjrzał mu się uważnie.

– Pan nie jedzie?

– Nie powinien mnie pan mieszać do tej sprawy.

W jego głosie pobrzmiewało niezadowolenie. I wahanie. Było ewidentne, że nie pochwała tego. Falcó uśmiechnął się pogardliwie jak myśliwy.

– Już jest pan wmieszany. Po same uszy.

– Mam na myśli tę część sprawy.

Falcó spojrział na zegarek, lecz w tak skąpym świetle nie widział, która jest godzina. Tak czy owak, nie było czasu na rozwiewanie wątpliwości Rexacha.

– Sprawdźmy po raz ostatni... Widziałem tego człowieka tylko raz, z daleka, przez lornetkę. Nie chcę się pomylić. A on być może widział mnie.

– To możliwe – stwierdził Rexach.

Falcó pokazał na Paquita Arañę, który wciąż milczał jak zakłęty.

– Ale nikt tu nie zna mojego kolegi. Wejdą zatem panowie obaj do kasyna, a pan wskaże mu dyskretnie nasz cel, żeby nie doszło do pomyłki... Zgoda?

Araña pokiwał flegmatycznie głową, lecz Rexach sprawiał wrażenie, że się waha.

– Czy dobrze to panowie przemyśleli? – przemówił z niepokojem w głosie. – Taka rzecz może przyśpieszyć wypadki.

– Owszem – przyznał Falcó z rozbawieniem.

– Ja nie mogę bezpośrednio interweniować, proszę to zrozumieć...

A poza tym nie wiem do końca, co pan zamierza zrobić.

– Proszę się nie martwić. Będę pana informował.

– Na tym polega problem. – Rexach patrzył nieufnie na milczącego Arañę. – Ja nie wiem, czy chcę być poinformowany.

Niecałe dziesięć minut później Falcó upuścił na mokrą ziemię trzymany w palcach papieros. Paquito Araña i Antón Rexach schodzili pośpiesznie z boczem, ryzykując poślizgnięcie i złamanie karku.

– Idzie! – oznajmił zdyszany po szybkim marszu Rexach. – Właśnie wychodził, prawie zderzyliśmy się z nim w drzwiach.

Falcó spojrział w górę. Sylwetka mężczyzny poruszała się w górnej części rampy, czarna na tle kręgu światła z latarni przy wejściu do Kursaal.

– To na pewno on?

Rexach usiłował złapać oddech.

– Na sto procent.

– Niesie zamknięty parasol, jest bez kapelusza – uzupełnił Araña.

Falcó odwrócił się do Kassema palącego jego playersa.

– *Ialah Bismiláh* – powiedział po arabsku.

Uśmiech Maura był widoczny nawet w mroku. Najwyraźniej spodobało mu się, że Falcó wydaje polecenie w imię Boga. Dopalił papierosa i poszedł nieśpiesznie w stronę wozu.

– Ja znikam – oświadczył Rexach zaniepokojony. – Jak już mówiłem, nie sądzę, by było konieczne...

Na tym urwał. Było widać, że śpieszno mu odejść, a Falcó nie powstrzymywał go. To nie była pora na przepychanki. Obaj z Arañą wiedli wzrokiem za jasną plamą płaszcza znikającą szybko w ciemności.

- Tchórzliwy spaśluch – skomentował Araña.
- Każdy pilnuje swojego interesu. Zajmijmy się naszym.
- Najwyższy czas... Idzie.

Mężczyzna schodził lewą stroną rampy. Doszedł właśnie do załomu. Słyszeli jego kroki i metaliczny odgłos okucia parasola stukającego o bruk.

– Jeden z każdej strony – poleciał Falcó. – Ty z góry, ja z dołu... Daj mu podejść.

Araña z niewinną miną ruszył w górę prawą stroną uliczki spokojnym krokiem, podczas gdy Falcó został w miejscu, przywierając do muru. Mężczyzna, a raczej ciemny kształt w mroku szedł przed siebie, nie podejrzewając niczego. Był o kilkanaście kroków od nich. Falcó rozpiął guziki płaszcza i marynarki, by zyskać większą swobodę ruchów. Pomacał browninga, choć nie przewidywał, by miał go użyć. Choć może jednak tak. Cios kolbą w głowę byłby równie dobrym środkiem jak każdy inny. Niezbyt mocny, niezbyt słaby. Taki w sam raz, by uniknąć problemów. Łup. I dobrych snów, towarzyszu komisarzu.

O pięć kroków od Falcó mężczyzna zatrzymał się nagle. Zauważył go i być może nieruchoma postać przyklejona do muru wzbudziła jego podejrzenia. Zerkając w górę, Falcó zauważył, że Araña, który wyprzedził komisarza, zawrócił już i szedł szybko po rampie, podchodząc do niego od tyłu.

Do diabła z ostrożnością, pomyślał. Pora działać.

Ruszył biegiem w górę rampy ku mężczyźnie, który wciąż stał nieruchomo, zdezorientowany. Zamierzał dopaść go, zanim ów zareaguje. Zdążył jeszcze zauważyć za plecami obiektu, że Araña rzuca się na niego od tyłu.

W tym momencie pośliznął się na mokrym bruku.

Ziuuum, zrobiły podeszwy jego butów. A potem bum. Taki dźwięk wydało jego ciało, gdy upadł na plecy. Na bruk.

Grzmotnął, aż zadudniło. Wyrznął jak długi, jak ostatni kretyn, tuż pod stopy planowanej ofiary. Łupnęło mu w kościach.

Coś sobie złamałem, pomyślał. A niech to szlag. Coś sobie złamałem.

Oszołomiony uderzeniem o bruk zobaczył z dołu kilka rzeczy. Po pierwsze, że obiekt reaguje jak zając, wali w niego parasolem, przeskakuje go i zrywa się do biegu. Po drugie, że Araña, który właśnie skoczył na potencjalną ofiarę, zderza się z powietrzem, leci przed siebie bezwładnie, potyka się o leżącego Falcó i przewraca się.

– Ratunku! – krzyknął mężczyzna. – Ratunku!

Krzyczał, nie zwalniając biegu. Był już u wylotu rampy, gdy Falcó podniósł się – w lewym przegubie czuł ostry ból – i popędził za nim.

– Ratunku! Na pomoc! – wrzeszczał komisarz.

Falcó przyspieszył. Za plecami słyszał kroki biegnącego Paquita Arañii.

– Ratunku!

Przez moment Falcó pomyślał o zaniechaniu pościgu. Żalotne. Jeśli nam ucieknie, to spieprzyliśmy, ale trudno. Ale jeśli go złapiemy, a ktoś przybiegnie na pomoc, będzie gorzej. Niech na przykład przypałała się policjant. Wtedy wszystko diabli wezmą. Próbował podjąć w biegu najlepszą decyzję – płuca płonęły mu od wysiłku i od uderzenia – kiedy zobaczył, że gdy uciekinier mijał furgon, oderwał się od wozu szybki cień i przeciął mu drogę.

– Ratu...!

Gdy Falcó dobiegł do nich, mężczyzna leżał na ziemi, wierzgając, a Kassem był na nim. Maur trzymał go w żelaznym uścisku ramieniem za szyję, drugą ręką zatykając mu usta.

Falcó przystanął bez tchu z rękami opartymi na udach, słysząc obok siebie dyszenie Paquita Arañii będącego w podobnym stanie. Po kilku, może kilkunastu sekundach, gdy złapał oddech, wyjął z kabury pistolet, pochylił się nad leżącymi, wymierzył dobrze – nie mógł sobie pozwolić na pomyłkę – i walnął uciekiniera kolbą w głowę. Ów sapnął mocniej w rękach Kassema i znieruchomiał.

– Mam nadzieję, że to faktycznie jest czerwony komisarz – powiedział Falcó, chowając broń.

– To on – potwierdził Araña, wciąż jeszcze dysząc.

Maur wstał, a Falcó poklepał go po plecach.

– Dobra robota, przyjacielu.

Ów błysnął zębami w uśmiechu.

– *Alhamdulillah.*

Falcó rozejrzał się. Jakimś cudem w pobliżu nie było żywej duszy. Na górze rampy też nie. Żadnych niewygodnych świadków. Araña otrzepywał się z deszczu.

– To był numer „kózka i przyjaciele” – skomentował.

– Nie przypominaj mi.

– Zachowaliśmy się jak Flip i Flap.

Falcó rozcierał sobie nerki i przegub, spoglądając na nieruchome ciało.

– Ależ zapieprzał ten gnojek – powiedział z urazą, schylając się, by go obszukać.

– Wcale mu się nie dziwię, słonko.

– Rokowania niepewne?

– Tak.

Falcó wyprostował się z portfelem w ręku. Czerwony nie był uzbrojony, nie licząc małego nożyka. Portfel schował, a nożyk wyrzucił.

– Dobrze, że nie miał broni, szlag by to... Mógłby nam posłać kulkę.
Araña śmiał się cicho i szyderczo. Był zachwycony wydarzeniem.

– Jak to opowiem w Salamance, wszyscy się posikają... Pupilek Admirala, nieulekły agent wygłębia się w czasie akcji. Pychotka. A skurwiel przeskakuje nad tobą, przywala ci parasolem i bierze nogi za pas... Boskie. To było boskie. Tylko po to warto było przyjechać do Tangeru.

– Stul dziób.

W trójkę podnieśli nieprzytomnego i włożyli go do furgonu. Falcó, wciąż jeszcze obolały, usiadł koło Kassema, który odwiązał muła i potrząsnął lejcam.

– Dokąd jedziemy? – zagadnął Maura.

– Ty spokojny – odpowiedział ów. – Ja wiem tu zaraz.

– Dobry chłopak. – Poczęstował go papierosem. – Gdyby nie ty, uciekłyby nam.

Podał mu ogień, a w świetle zapalniczki zobaczył, że Kassem znów się uśmiecha.

– Ty spokojny, ja wiem... Na moje oko ci komuniści nic dobrego. Franco wie, wszyscy *hammad*. Czerwoni. Nie wierzą w Boga.

9. OPERACYJNA KONIECZNOŚĆ

Znów mżyło, kiedy Falcó stanął w drzwiach, by odetchnąć świeżym powietrzem. Miał na sobie koszulę z podwiniętymi rękawami, materiał przyklejał się do spoconej piersi. Dochodziło wpół do piątej rano i był zmęczony.

Zapalił kolejnego papierosa i stał przez chwilę prawie nieruchomo oparty o ścianę, spoglądając na nieliczne światła palące się o tej porze w dalekim mieście. Z pobliskiej plaży dobiegał cichy szmer morza.

Od czasu do czasu z głębi domu – chatki z wypalanej i niewypalanej cegły położonej przy drodze do Tanya-el-Balia za dawnymi zakładami tytoniowymi – dochodziły okrzyki bólu. Były bardzo piskliwe, przeszywające, prawie zawsze kończyły się skowytem i zduszonym charkotem jakby wydawanymi przez człowieka w agonii.

Tortury to niefajna rzecz, pomyślał Falcó, zaciągając się ponownie.

Nie lubił ich. Znał z własnego doświadczenia obie strony medalu, i choć rola ofiary była znacznie bardziej nieprzyjemna niż ta druga, rola kata też nie była komfortowa.

Zaciągnął się jeszcze raz. Dym w nozdrzach pozwalał mu zapomnieć o innym zapachu. Torturowani cuchnęli cierpieniem, kwaskowatym strachem i rozpaczą. Przede wszystkim nie znosił fizjologicznego, zwierzęcego aspektu całej sprawy; bezpośrednich rezultatów: zmltretowanego ciała, łez, dreszczy, błagania i tym podobnych. Krzyków

takich jak te, które rozbrzmiewały teraz wewnątrz domku. Wycia człowieka rozdzierającego gardło aż do ochrypnięcia.

Byli ludzie, którym takie rzeczy sprawiały przyjemność, przykładowo Paquito Araña. On lubił zaprzęgać do tego zajęcia specyficzne poczucie humoru, skuteczne i okrutne. Falcó taki nie był. Nie był człowiekiem okrutnym, choć jego zachowania często takie bywały. Jemu chodziło tylko o środek operacyjny. O technikę, narzędzie. W jego profesji zorientowanej w sporej mierze na przeżycie okrucieństwo było tak praktyczne jak posiadanie pistoletu czy umiejętność zabijania gołymi rękami. Było bronią, neutralną, stosowaną bez wyrzutów sumienia, lecz nie dla przyjemności czy instynktownie. Pozostawało zwykłą koniecznością taktyczną. Jedną z reguł gry obok wielu innych.

Wyrzucił niedopałek i wrócił do środka. Chatka miała jedno pomieszczenie, które przecinała gruba drewniana belka podtrzymująca dach. Postawiona na klepisku lampa naftowa oświetlała je tylko częściowo. Juan Trejo wisiał na belce za związane ręce, stopy znajdowały się o cal na ziemią, tak że ledwie dotykał jej czubkami palców. Był nagi.

– Jak ci idzie? – zapytał Falcó.

– Dobrze – odpowiedział Araña.

Też miał podwinięte rękawy koszuli, rozpiętą kamizelkę, marynarka i płaszcz leżały na ziemi, starannie złożone w kącie. W ręce trzymał pejcz z suszonych jąder byka, purpurowe i fioletowe ślady od razów, w tym porządku chronologicznym – Trejo miał za sobą cztery godziny przesłuchania – przecinały ciało więźnia we wszystkich kierunkach. Widniały na piersi, nogach i plecach, ale także na brzuchu i między udami. Z pół setki pręg.

Zwisający z belki komisarz polityczny przypominał worek bokserski, na którym od kilku godzin trenował pięściarz psychopata.

– Powiedział coś jeszcze, co brzmiałoby interesująco?

– Nic na razie. Zemdlał, zaraz jak wyszedł. Dopiero teraz trochę się ocknął.

Falcó spojrział na Kassema. Maur siedział w kucki w kącie, nieruchomo obserwując. Musiał to być dla niego nowy i ciekawy spektakl, dwóch *nezrani* torturujących trzeciego.

– *La bas*, Kassem? W porządku?

– *La bas*.

Falcó podszedł do komisarza. Ów był chudy, słabo umięśniony. Garbaty nos, policzki zapadnięte i przyciemnione kielkującym zarostem, czarne włosy sklezione potem i zaschniętą krwią na ranie od ciosu pistoletem. W tej pozycji, z rękami wyciągniętymi do góry, wyraźnie rysowały się jego żebra pod zmaltretowaną skórą, tak bladą, że wyglądała na żółtą. Nagi wydawał się jeszcze chudszy i bardziej wynędzniały.

Wszyscy tak wyglądamy w takiej sytuacji, powiedział sobie Falcó. Albo możemy tak wyglądać, gdy przyjdzie nasza kolej. Ja sam tak miałem jeszcze niedawno, a dziś kolej na niego.

– Możesz mówić, towarzyszu komisarzu? – zagadnął Falcó.

Więzień, który miał głowę pochyloną na piersi, podniósł ją lekko i spojrział umęczonymi oczami, ciemnymi z fioletowymi cieniami wokół. W pełgającym świetle lampy jego twarz wydawała się jeszcze chudsza.

– Już chyba wystarczy tego bicia, tak mi się wydaje... Skończmy z tym. Opowiedz nam resztę tego, co wiesz, i chodźmy wszyscy spać.

Jego ton był przyjazny. Przez cały czas Falcó i Araña wymieniali się w miarę skutecznie, jeden w roli dobrego policjanta, drugi złego. Tej nocy Falcó był tym dobrym. Tym, komu torturowany miał albo mógł zaufać. Tym kuszącym szybką ulgą. Hamującym, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie, okrucieństwo tego drugiego.

– Już nie ma sensu opierać się, opowiedziałeś nam wszystko – nalegał. – Zostało tylko kilka szczegółów... Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Trejo pokiwał słabo głową. Po etapie oburzenia tym, że został schwytyany, a następnie po fazie strachu, trzymał się tylko przez trzydzieści minut. Dowód heroizmu z jego strony. Zaczął od aroganckiego tonu, obrzucenia ich wyzwiskami, schronienia się w poglądy polityczne i pewność, a w każdym razie tak się wyraził stanowczym głosem, że sprawa ludu jest słuszna; napaści na Republikę nie można tolerować, a za ten faszystowski zamach na neutralnym terytorium słono zapłacą. Potem, w miarę następowania kolejnych ciosów obelgi i groźby ustąpiły miejsca krzykom z bólu i błaganiom, aż wreszcie zaczął mówić, podawać informacje najpierw błahe, później – gdy Araña podwajał porcję razów, a Falcó, śledząc bacznie sytuację, udawał, że powstrzymuje kolegę, i odwoływał się do zdrowego rozsądku więźnia, zachęcając go do oszczędzenia sobie bólu – coraz bardziej interesujące.

– Powiedziałem... wszystko... co wiem – wyszeptał głosem, który zdawał się dochodzić z głębi trzewi.

Falcó pokręcił głową z cierpliwą miną.

– Nie, towarzyszu. Zostały pewne luki. W którym pokoju hotelowym mieszkasz?

– Trzysta osiem... Trzecie piętro.

– A pozostali? Nie powiedziałaś nam jeszcze nic o swoich kompanach. O mężczyźnie i kobiecie.

To była prawda. W ciągu czterech godzin tortur Trejo podał wiele cennych informacji na temat zabiegów dyplomatycznych rządu Walencji wobec Komitetu Nadzoru, a także na temat Mount Castle – opisał szczegółowo wnętrze, uzbrojenie i załogę – i jego ładunku: pięćset

dwunastu zapieczętowanych i złożonych w ładowni drewnianych skrzyń ze sztabami złota i dawnymi monetami ważących dokładnie 30 649 kilogramów, i jednej dodatkowej skrzyni z klejnotami i pieniędzmi. Wszystko zostało załadowane w Kartagenie przez elitarne jednostki 46 dywizji – Komunistycznej Partii Hiszpanii – pod nadzorem sowieckich agentów. Rola Trejo w całej operacji była skromna: zapewnić formalną obecność wysłannika Republiki i poświadczyć, że złoto zostało przekazane Rosjanom. Opowiedział też o pierwotnie planowanej trasie; mieli dotrzeć na algierskie wody terytorialne i płynąć bardzo blisko wybrzeża północnoafrykańskiego na wschód, przepłynąć Bosfor i zawinąć do Odessy. Kapitan Quirós teoretycznie miał wykonywać rozkazy Treja i sowieckich agentów przebywających na pokładzie, ale w rzeczywistości nic sobie z nich nie robił. To samo cała załoga, oddana mu, choć nie wolna od kilku komunistów i anarchistów. Od momentu, w którym narodowy niszczyciel odkrył ich w pobliżu Alboranu, kapitan podejmował decyzje samodzielnie. Jednakże w Tangerze sprawy przybrały inny obrót. Quirós nie kwestionował rozkazów i zdał się na rozstrzygnięcia dyplomatycznie, zajmując się wyłącznie zapewnieniem gwarancji dla swojego statku i swoich ludzi.

– Garrison mieszka piętro niżej, pokój dwieście jeden. A ona...

Trejo zamilkł; zawahał się albo pokonało go zmęczenie. Cios pejcza Arañii sprawił, że z gardła wyrwał mu się krzyk bólu. Falcó spojrzał na zabójcę, nakazując mu spokój. Byli w fazie przyjaznej. Rządził dobry policjant.

– Mężczyzna i kobieta – powtórzył miękko. – W którym pokoju mieszka kobieta, towarzyszu?

– Dwieście dziesięć... Po drugiej stronie korytarza, z oknem na ulicę. Ale tam nie ma nic, co by was zainteresowało. W pokoju Garrisona też

nie... Są bardzo ostrożni.

– A w twoim?

– Też nie. Trochę dokumentów... I pieniędzy.

– Jakich dokumentów?

– Tych, które mają podpisać Rosjanie, obejmując ładunek. Tam jest wszystko wyszczególnione.

– Bardzo dobrze. A teraz opowiedz nam o swoich kolegach. I skończmy to wreszcie... Kim jest Garrison?

Słabym głosem, mówiąc z długimi pauzami, lecz nie zmuszając Arañii do użycia pejcza, Trejo opowiedział to, co wiedział: William Garrison, Amerykanin z USA, twardogłowy komunista, przyjechał do Hiszpanii w sierpniu ubiegłego roku; podawał się za korespondenta wojennego, lecz w rzeczywistości przysyłał go paryski Komintern. Był blondynem, wysokim, krótkowzrocznym. Często używał szylkretowych okularów. Przez trzy miesiące rozpracowywał brygady międzynarodowe, wskazując trockistów, podejrzanych i słabo zaangażowanych, a potem brał udział w przesłuchaniach i egzekucjach w katowni La Tamarit w Barcelonie. Mało sympatyczny człowiek czynu. Pełen pogardy dla wszystkiego, co hiszpańskie. Jego stosunki z kapitanem Quirosem były poprawne, lecz nie dobre.

Falcó pozwolił mu odetchnąć przez chwilę.

– A kobieta? – zapytał później.

Więzień patrzył na niego otępiałym wzrokiem.

– Kobieta – nalegał Falcó.

Trejo obliznął suche i spękane wargi.

– Jest w dobrych relacjach z Quirosem – odezwał się z wysiłkiem. – Szanuje go, a on szanuje ją... Kiedy pojawił się faszystowski niszczyciel, została na mostku... Ponoć zachowała całkowity spokój.

– Ponoć?

– Mnie tam nie było... Ja miałem coś do zrobienia pod pokładem... Dodawałem ducha załodze.

– Jasne. Dodawałeś ducha załodze.

– To moja praca... Jestem komisarzem floty.

I raczej nie bohaterem, pomyślał Falcó. Bitwa morska nie była tym samym, co mordowanie bezbronnych dowódców i oficerów. Żaloszny wygląd więźnia, jego umęczone ciało nie budziły w nim satysfakcji, ale współczucia też nie. Przypomniawsł sobie, co powiedział mu Antón Rexach: siedem miesięcy temu, będąc drugim mechanikiem i członkiem Gwardii Czerwonej na pancerniku Jaime I, Juan Trejo brał udział w masakrze stu czterdziestu siedmiu dowódców i oficerów marynarki wojennej i armii lądowej więzionych na transporterze España no 3. Jeńcy zostali zmuszeni do wyjścia z ładowni po jednym, na pokładzie strzelano im w kark, a potem wrzucano do morza z żelaznymi sztabami przywiązanyymi do nóg. Wielu z nich żyło jeszcze w tym momencie.

– Opowiedz mi o tej kobiecie.

– Nie wiem o niej zbyt dużo... Wiem tylko, że nazywa się Luisa Gómez.

Powietrze przeszył świst pejcza. Więzień napiął się i zawył. Falcó spojrzawsł z wyrzutem na Paquita Arañę i napotkał jego arogancki uśmiech. Unieruchomił wiszącego, który pod wpływem ciosu obracał się powoli dookoła sznura. Dotykając go, poczuł, że skórę torturowanego pokrył bardzo zimny pot. To dziwne, pomyślał, że w jego ciele został jeszcze jakikolwiek płyn.

– Lepiej będzie dla ciebie, jeśli przypomnisz sobie coś więcej, towarzyszu komisarzu.

Trejo otworzył szeroko usta, jakby zabrakło mu powietrza, po czym wydał z siebie charkot, chrapliwy, suchy. Falcó dał znak Kassemowi, Maur wstał, nalał wody z gąsiora do blaszanego kubka i przyniósł agentowi. Ów przysunął go do popękanych warg, które zaczęły łapczywie pić.

– Nie nazywa się Luisa, tylko Eva – wydusił z siebie Trejo po chwili, odzyskawszy głos. – Nie wiem, jak ma na nazwisko... To nie Hiszpanka. Rosjanka.

Falcó zignorował zdumiony wzrok, jakim obrzucił go Paquito Araña.

– Doświadczona?

– Bardzo. I ma dużo władzy... Garrison podlega jej. To ona podejmuje decyzje.

– Jest nad tobą?

– Ma poparcie z góry... To ona odpowiada za całą operację.

– Kim są jej przełożeni?

Ledwie dosłyszalny szept. Falcó przysunął się do ust więźnia.

– Kto taki?

– Pewien ważny Rosjanin... Mówią do niego Pablo.

Falcó pokiwał głową. To by się zgadzało. Pablo to był pseudonim Pawła Kowalenki, szefa NKWD na Hiszpanię.

– Widziałeś go kiedyś?

– Nadzorował załadunek. Barczysty, łysy, z wąsem... Przez cały czas stali na osobności i rozmawiali... Nawet Garrison nie podchodził do nich.

– Jak się z nim kontaktuje?

– Przez konsulat... Mają rosyjski sprzęt szyfrujący, przywiozła go w walizce... Korzysta też z telegrafu na pocztach francuskiej i angielskiej.

– A Garrison?

– Nie kontaktuje się z nikim, z tego, co wiem... To Luisa, czyli Eva, zajmuje się wszystkim.

– Wie, że jestem w Tangerze? Rozpoznaliście mnie?

Trejo zwlekał z odpowiedzią, Falcó musiał powstrzymać gestem Arañę, by nie chlasnął go pejczem. Ów zrobił rozczarowaną minę za plecami więźnia.

– Wiemy o tym od dwóch dni – wydusił wreszcie Trejo. – Zna nawet twoje prawdziwe imię... Lorenzo Falcó.

– Coś mówiła o mnie?

– Że jesteś frankistowskim agentem... Bardzo niebezpiecznym.

– Tak powiedziała?

– Właśnie tak... Garrison na jej rozkaz ma cię kontrolować, ale nie wiem, do jakiego stopnia i za czyim pośrednictwem.

– Powiedziała coś jeszcze?

– Tak... Że może trzeba będzie cię zabić.

Na zewnątrz wciąż mżyło. Oparty o ścianę obok drzwi Falcó wpatrywał się w noc. Włożył marynarkę, palił kolejnego papierosa. Paquito Araña dołączył do niego.

– Coś takiego, ta Ruska tutaj – zagadnął. – Wiedziałeś?

– Tak.

– Jaki ten świat mały.

Zamilkli.

– Co robimy z tym czerwonym? – zapytał po chwili Araña.

– Zastanawiam się.

– Nie możemy tak go zostawić. Jeśli pójdzie do szpitala albo na policję, trafimy do pudła.

– Wiem.

– Więc?

To nawet nie zabrzmiało jak pytanie. Obaj byli zawodowcami.

– W tej branży nie bierze się jeńców – oznajmił Araña po kilku sekundach.

Falcó zaciągnął się bezgłośnie papierosem.

– Powinniśmy zrobić to tak, żeby pomyśleli, że zwiął – powiedział po chwili. – Zero śladów.

– Ja się tym zajmę – zaproponował Araña.

– Co z ciałem?

– Rozmawiałem z Kassemem, usunie je. Mówi, że niedaleko jest wyschnięta studnia.

Falcó potaknął. Patrzył na żar. Podniósł papierosa do ust, wciągnął dym po raz ostatni i rzucił niedopałek na mokrą ziemię.

– Zdejmij go z belki i niech odpocznie.

– Dobrze.

Araña wrócił do środka, a Falcó wciąż spoglądał na dalekie nieliczne światełka Tangeru. W głębi morza, w zatoce, zauważył inne świetliste punkciki. Rybacy.

Reguły gry, pomyślał.

Wszyscy grali wedle tych samych reguł. Innych nie było. Różnica polegała na tym, że jedni akceptowali je, inni nie, zwłaszcza kiedy nadchodził moment zapłaty. Aż dziw, jak wielu było złych płatników.

Wszedł do chaty. Araña i Kassem zdjęli więźnia z belki. Leżał na klepisku z rękami wciąż związanymi sznurkiem, nagi i blady, pocięty pręgami po uderzeniach pejcza, złamany, opadły z sił. Wydawał cichy, głuchy jęk bólu. Jęk zwierzęcia przyprawzonego na ubój.

Falcó stanął nad nim, a Trejo popatrzył w górę. W szklistych oczach torturowanego błyszczało światło zrozumienia.

– Nie zabijecie mnie, prawda? Powiedziałem wam wszystko, łajdaki.

Wyjąkał to niemal z płaczem. Błagalnie.

– Przemyślcie to, proszę... Bardziej się wam przydam żywy. Miałem wyjechać do Francji... Nie chciałem dłużej brać udziału w tym absurdzie.

Araña pochylił się nad nim od tyłu, wkładając rękę do kieszeni spodni. Uśmiechał się.

– Nie możecie tego zrobić... Mam bliskich... Mam rodzinę...

Wszyscy mają powód, pomyślał Falcó: dzieci, żonę, matkę. Wszyscy mają kogoś, dla kogo żyją. Wszyscy sądzą, że są komuś niezbędni, a to czyni ich jeszcze bardziej kruchymi. W ostatecznym rozrachunku przejść przez życie bez żadnego afektu, bez żadnych więzi, to przywilej. Nie mieć niczego do stracenia. Żyć tak jak ja, spokojnie, do momentu, gdy jakiś Paquito Araña, kimkolwiek będzie, pochyli się nad moimi plecami. Dotrzeć do ciemnego brzegu, nie posiadając nic oprócz tego, co niezbędne, by przeżyć na wrogim terenie. Żadnych dóbr prócz szabli i konia.

Kiedyś, gdy był małym chłopcem, Falcó przeczytał to zdanie w jakiejś powieści przygodowej i spodobało mu się. Nigdy go nie zapomniał. Prócz szabli i konia.

– Zaczekajcie... – błagał Trejo. – Proszę... Proszę...

W prawej dłoni zabójcy błysnął nóż. Nieco z boku Maur z rękami założonymi na piersi przyglądał się scenie z chłodną ciekawością.

Zafascynowany Falcó obserwował wyraz twarzy Arañii. Człowiek podczas zabijania. Żadnego wyraźnego uczucia, ani zadowolenia, ani odrazy. Paquito przestał się uśmiechać. Na jego twarzy malowała się teraz wyłącznie koncentracja. W świetle lampy naftowej widoczna była tylko jej

część, a w zacienionej lśniły oczy ropuchy, bardzo błyszczące, utkwione w ofierze.

I z takim wyrazem oczu Araña chwycił więźnia za włosy, pociągnął jego głowę do tyłu i poderżnął mu gardło trzy centymetry pod podbródkiem jednym czystym i pewnym cięciem z lewej do prawej.

Falcó dał krok do tyłu, żeby strumień krwi nie ochlapał mu butów.

Za dwadzieścia ósma rano wszedł najnaturalniej na świecie do holu hotelu Majestic, uśmiechnął się do nocnego portiera i przeszedł do kącika z gazetami. Zasiadł na sofie, skąd mógł obserwować schody i drzwi wejściowe, i przez dziesięć minut przeglądał czasopisma ilustrowane. Następnie oderwawszy roztargniony wzrok od ostatniego akapitu opowiadania Eduarda Zamacoisa – *Najjaśniejszy pan* – i zerknąwszy w stronę holu, wstał i ruszył ku schodom.

Nie natknął się po drodze na żadną przeszkodę. Dwie pokojówki, śniada i biała, myły podłogę na drugim piętrze, a na trzecim korytarz był pusty i cichy. Przed niektórymi drzwiami stały świeżo wypastowane buty. Pokój trzysta osiem mieścił się w głębi, w części gmachu zwróconej fasadą w stronę morza. Mały wytrych, którym manewrował szybko i zręcznie, wystarczył, by otworzyć zamek. Obejrzał się za siebie, stwierdził, że w korytarzu nikogo nie ma, i wszedł, zamykając za sobą drzwi.

W pokoju czuć było zaduch, zapach brudnej odzieży i papierosów. Balkon z żelazną balustradą wychodził na nadmorski deptak. Obok łóżka znajdowały się popielniczka z kilkoma petami, jedna duża walizka i jedna mała. Łóżko było niepościelone, leżały na nim koszula i brudne skarpetki. W szafie wisiał płaszcz przeciwdeszczowy i Falcó przeszukał dokładnie wszystkie kieszenie. Następnie podszedł do komody i otworzył po kolei każdą szufladę. Znalazł dokumenty z pieczętkami Republiki – w tym

potwierdzenie załadowania złota z Banku Hiszpanii – i włożył je do małej walizki. Dorzucił rzeczy osobiste, przybory toaletowe, czystą koszulę, bieliznę, płaszcz. Wszystko, co komisarz polityczny mógłby chcieć zabrać ze sobą, wyruszając nagle w podróż. Dezerterując.

Podczas przesłuchania Trejo wyjawiał, gdzie schował pieniądze i paszport. Falcó znalazł je bez trudu we wskazanym miejscu: pieniądze pod szafą, dwa paszporty, w tym jeden francuski na fałszywe nazwisko, za lustrem na komodzie. Znalazł też bilet z Tangeru do Marsylii na statek Maréchal Lyautey linii Paquet odpływający za dwa dni. Pieniędzy było nadspodziewanie dużo: dwa grube zwitki franków i funtów szterlingów dawały razem niezłą sumkę. Zabezpieczenie na podróż i na życie.

Upychając pieniądze po kieszeniach, Falcó skrzywił się sarkastycznie. Z wielu rzeczy, które Trejo powiedział im przed śmiercią, ta z pewnością była prawdą. Rzuciło się w oczy, że komisarz polityczny floty republikańskiej nie zamierzał wracać na pokład, by ruszyć na spotkanie z losem czekającym Mount Castle na morzu. Nie miał powołania do męczeństwa za sprawę ludu; historia o planowanej dezercji nie była bajeczką wymyśloną, by wybielić się w oczach katów. Juan Trejo faktycznie szykował się do tego, by wziąć nogi za pas. Już był o krok. Ale miał pecha.

Falcó zamknął walizkę, rozejrzał się, wrzucił kilka papierów do kosza i rozłożył parę rzeczy w pokoju tak, by zwiększyć wrażenie, że lokator opuścił miejsce z własnej woli i dyskretnie. Potem zastanowił się, jak przejść na ulicę, by uniknąć wzroku osób niepowołanych. Pomyślał o tym, co by się stało, gdyby natknął się na schodach na Garrisona i gdyby ów go rozpoznał, albo, czego też nie można było wykluczyć, jeśliby wpadł na samą Evę Neretwę. Oboje mieszkali na drugim piętrze. Na wszelki

wypadek upewnił się, czy w magazynku browninga znajduje się jeden nabój, wziął walizkę do ręki i wyszedł na korytarz.

Szedł napięty w stronę schodów z walizką w lewej ręce. Pokojówki zniknęły. Zszedł po schodach, starając się nie robić hałasu i zatrzymał się na moment, rzucając spojrzenie na pokoje dwieście jeden i dwieście dziesięć. Ona na pewno jest w tym drugim, pomyślał. Jeszcze śpi albo przed chwilą się obudziła.

Poczuł dziwny skurcz, ukłucie wspomnień i wrażeń. A może to były uczucia, choć Admirał mawiał – i to nie całkiem żartem – że to nie jest tak, że Falcó żywi do kogoś dobre albo złe uczucia, bo w rzeczywistości jest ich kompletnie pozbawiony. A jednak korytarz i drzwi pokoju dwieście dziesięć, owa dziwna i niewidzialna bliskość, budziły w nim konsternację. Więcej, zaburzały jasność umysłu, jakże teraz konieczną. Przez jego mięśnie i myśli przebiegł dreszcz niepokoju, bo zrozumiał, że to czyni go bardziej kruchym. Wystawia na niebezpieczeństwo.

Lecz paradoksalnie słowo „niebezpieczeństwo” przywróciło mu spokój. Zimną krew. Przyszło mu nagle na myśl, że gdyby miał ze sobą tłumik Heissefeldta mógłby wykorzystać okazję, by zajrzeć do pokoju Garrisona i go zabić. Puk, puk, wiadomość dla pana. Bang. Jeden problem mniej, jedna sylwetka mniej na horyzoncie. Dwóch przeciwników wykluczonych z gry w przeciągu kilku godzin. Ale coś podpowiadało mu, że z owym typem nie poszłoby mu tak łatwo jak z komisarzem. Choćby nie wiadomo, jak sprzyjała fortuna śmiałym, improwizacje udają się albo się nie udają. Nie należało kusić zbytnio losu w przeciągu niecałych dwunastu godzin.

Zszedł do holu, mając pod ręką w kieszeni stufrankowy banknot – swoją ulubioną broń – na wypadek, gdyby portierowi wpadło do głowy zadać mu kilku pytań. I tak właśnie się stało.

– Przepraszam pana... Czy jest pan naszym gościem?

To nie był ten sam co przedtem. O ósmej portierzy zmienili się, pomyślał. Uzbroił się w swój najbardziej promienny uśmiech i podszedł do recepcji. Niewidzialne napięcie narastało w jego ciele, poczynając od dołu. Tego nie dało się rozwiązać pistoletem.

– Mój bliski przyjaciel, pan Trejo, poprosił mnie, żebym wpadł tu i zabrał kilka rzeczy dla niego. – Pokazał małą walizkę. – Mam je tutaj.

Portier był Francuzem, łysym, chudym, w średnim wieku. W kłapach niezbyt czystego surduta błyszcząły dwa małe złote kluczyki.

– Który pokój?

– Trzysta osiem.

Portier spojrział na szafkę z kluczami. Pod numerem trzysta osiem na haczyku wisiał klucz.

– Pański kolega z nocnej zmiany otworzył mi drzwi – dorzucił z niezmaconym uśmiechem Falcó gwoli wyjaśnienia.

Portier spojrział na walizkę z nieufnością, która rozwiała się jak dym, gdy Falcó umieścił pomiędzy nią a jego oczami stufrankowy banknot.

– Proszę wręczyć to ode mnie pańskiemu koledze, gdy go pan zobaczy... Był bardzo uprzejmy.

Sto franków błyskawicznie zniknęło w kieszeni portiera.

– Bardzo panu dziękuję, proszę pana.

– Ależ bynajmniej. – Uśmiech Falcó stał się jeszcze szerszy. – To ja panom dziękuję.

Pozbył się walizki, wrzucając ją do jednego z kontenerów na śmieci w pobliżu ogrodzenia portu i wrócił do Continentalu. Zaczynała go boleć głowa, więc udał się najpierw do jadalni i zamówił u kelnera dzbanek ciepłego mleka, tosty i oliwę, a oczekując na nie, połknął kopirynę, popijając łykiem wody. Zjadł śniadanie bez pośpiechu, przeglądając gazety.

Republikańskiemu frachtowcowi kończy się czas. Tragedia wydaje się nieunikniona.

Tak brzmiał największy nagłówek na pierwszej stronie „L'Écho de Tanger”, a inne ujmowały rzecz podobnie. „El Porvenir” i „La Dépêche” napomykały jeszcze o naciskach dyplomatycznych na Komitet Nadzoru ze strony władz narodowych i republikańskich. Falcó odłożył dzienniki, a ponieważ środek przeciwbólowy zaczynał działać, zapalił papierosa.

Zastanawiał się nad kolejnymi krokami. Nad najbardziej prawdopodobnymi scenariuszami, najbardziej niebezpiecznymi scenariuszami, nad atakiem i obroną. Musiał wysłać wiadomość Admirałowi, informując go o tym, co się wydarzyło tej nocy, i zorganizować spotkanie z Rexachem i z dowódcą niszczyciela Martín Álvarez, by omówić różne warianty działania z napadem na frachtowiec łącznie, gdyby sprawy skomplikowały się albo załoga próbowała stawiać opór. Wszystko pod warunkiem, rzecz jasna, że kapitan Quirós zgodzi się oddać im statek. Co nie było jeszcze przesądzone.

Powinien też przygotować się, pomyślał później, na reakcję kobiety i Amerykanina. Gdy odkryją, że komisarz polityczny zniknął, przez kilka godzin będą podejrzewać dezercję, lecz prędzej czy później połączą wątki. A portier z Majestica nie omieszka poinformować ich o „przyjacielu” przysłanym przez Treja po jego rzeczy, który wyszedł z hotelu z walizką.

Eva. Obraz zobaczony w lornetce w porcie krążył po jego głowie. Zrelaksowana, pewna siebie, gawędząca z mężczyznami na skrzydle Mount Castle. Jej spojrzenie skierowane w miejsce, z którego ją śledził. Gest jakby spowodowany przecuciem lub pewnością, że jest w pobliżu, że ją obserwuje.

Powiedziała, że być może trzeba będzie go zabić, mówił Trejo. A Falcó wiedział, że to prawda.

Przespał prawie trzy godziny, poprosiwszy najpierw Yussufa, portiera, żeby obudził go o dwunastej. Spał z drzwiami zablokowanymi krzesłem i z pistoletem pod poduszką, bo toczył teraz otwartą wojnę i nie zamierzał ułatwiać sprawy przeciwnikom.

Umył się i przez dobrą chwilę siedział nad podręcznikiem prawa morskiego, szyfrując wiadomość. Potem włożył czystą koszulę i popielaty garnitur – ten jasny pobrudził się podczas upadku na rampie – schował pieniądze Treja za komodą, wsunął pistolet do kabury, sięgnął po płaszcz i kapelusz, i wyszedł z pokoju.

Paquito Araña siedział w holu, piłując paznokcie. Wyglądał świeżo i schludnie, był tak starannie ogolony, jakby właśnie wyszedł od balwierza. Tylko pod oczami pozostały cienie zmęczenia. Tym razem nie pachniał brylantyną ani wodą toaletową. Na widok Falcó wstał i wyszedł mu na spotkanie.

– Załatwione – oznajmił.

– Studnia?

Zabójca uśmiechnął się bezlitośnie.

– Dobry chłopiec z tego Kassema. – Obliznął wargi. – Skuteczny twardziel.

Falcó patrzył na jego podkrążone oczy.

– Odpocząłeś trochę?

Araña wzruszył ramionami.

– Wpadłem na moment do pensjonatu, żeby się odświeżyć. Teraz pójdę się przespać, jeśli mnie nie potrzebujesz.

– Nie dałem ci odetchnąć od chwili przyjazdu.

Zabójca uśmiechnął się.

- Było warto. Historia z tym czerwonym chudzielcem miała swój urok. – Spojrzał na Falcó z ciekawością. – Poinformowałeś Salamankę?
- Za chwilę. Mamy operatora radiowego, nazywa się Villarrubia.
- Powiedziano mi.
- To człowiek Lisarda Queralta.
- Ach. Tego mi nie powiedziano.
- Tak czy owak, to ja przesyłam wiadomości.
- Jasne. – Araña puścił do niego oko. – Ty jesteś szefem, słonko... Dla ciebie chwała albo hańba.
- Myślałem, że idziesz się położyć.
- Ave, pięknisiu.

Rozstali się na ulicy Dar Baroud. Przestało mżyć, lecz niebo miało ponury, popielaty kolor. Falcó spojrzął na zegarek i wszedł do Rifa, gdzie nieśpiesznie zjadł gęstą zupę rybną. Wypalił papierosa, zapłacił, poszedł w kierunku Zoco Chico, a stamtąd przez targ z mięsem i warzywami do dzielnicy europejskiej. Dwukrotnie przystawał, by sprawdzić, czy ktoś za nim nie idzie, a za trzecim razem, nieopodal konsulatu francuskiego, zawrócił i przeszedł ze dwadzieścia metrów, obserwując twarze ludzi stojących na ulicy lub idących w jego stronę. Wreszcie uspokojony przeszedł przez ulicę, przepuścił tramwaj, minął policjanta kierującego ruchem dorożek i aut, po czym wszedł do Café de París, kierując się od razu do kontuaru, jakby chciał zadzwonić.

Villarrubia siedział przy stoliku w pierwszym rzędzie. Był ubrany nieformalnie, w spodnie do golfa i koszulę z kołnierzykiem wyłożonym na klapy marynarki. Wyglądał jak student. Gdy zobaczył Falcó, wstał, a ów poszedł za nim. Szli chodnikiem po lewej stronie boulevard Pasteur, zachowując pewną odległość. Na wysokości numeru dwadzieścia osiem

radiowiec przeszedł przez ulicę, Falcó rozejrzał się dyskretnie na prawo i lewo, i podążył za nim.

Dogonił go na schodach i dotarli razem pod drzwi.

– Wszystko w porządku? – zagadnął młody.

– Tak, wszystko.

Villarrubia przekręcił klucz w zamku i przystanął, przepuszczając grzecznie Falcó.

– Wczoraj wieczorem jadłem w kapitalnym miejscu – powiedział lekkim tonem. – Nazywa się Bretagne, tuż przy plaży... Polecam.

– Zapamiętam.

Młody był rozmowniejszy niż ostatnio. Wyglądał, jakby chciał się przypodobać.

– Super atmosfera jest w tym mieście, co nie? Zupełnie nie jak w Afryce. W porównaniu z nim Tetuan jest smętniejszy niż cmentarne cyprysy. A jakie panienki.

– Tak.

Przeszli do jadalni. Tak jak poprzednio sprzęt radiowy leżał na stole, a kabel anteny przechodził pod sufitem podwieszony do lampy. Villarrubia powiesił marynarkę na oparciu krzesła i podłączył radiostację do sieci.

– Wieczorem demontuję ją i chowam dla bezpieczeństwa. – Popatrzył wyczekująco na Falcó. – Co tu dzisiaj mamy?

Agent podał mu zaszyfrowaną wiadomość, chłopak omiół ją wzrokiem profesjonalisty. Dla niego były to tylko ciągi liter i cyfr, które inni mieli zamienić na słowa, a które on tylko przesyłał, nie wiedząc, czy zawierają raport z rutynowych działań, czy szczegóły dotyczące śmierci człowieka. Nic z tego nie było jego sprawą. A przynajmniej nie powinno być.

– Dwie minuty – oznajmił.

Zdjął z przegubu zegarek. Usiadł przed radiostacją i położył czasomierz przed sobą obok klucza. Potem założył słuchawki.

– Trzydzieści sekund.

Podoba mi się, uznał Falcó. Czuje respekt, jest zdyscyplinowany, kompetentny. Świadomy, co się komu należy. Zastanowił się przelotnie, jakie informacje przekazuje ludziom Lisarda Queralta. Jak wyglądają jego prywatne raporty, których bez wątpienia domagano się od niego. Nie został przecież skierowany do Tangeru tylko po to, by wesprzeć SNIO w operacji odzyskania złota. Miał informować na bieżąco o jej przebiegu, a Falcó nie ludził się, że tego nie robi. Nie żywił cienia nadziei, że wiadomość, którą zamierzał przesłać, nie trafi jednocześnie do rąk Admirala i do rąk jego politycznego rywala. W brudnym świecie szpiegów wszyscy byli umoczeni po same uszy. Ten chłopak był niebezpieczny jak każdy inni.

– Jest łączność – powiedział Villarrubia. – Jedziemy.

Ti. Ti-ti. Ti, ti, ti-ti, ti... Kropka, kreska. Kropka, kropka, kreska, kropka. Młody naciskał szybko klucz, a Falcó śledził w myśli wysyłkę każdego słowa:

Konieczność-operacyjna-podać-kawę-trzeciemu-podróżnikowi-stop-Otrzymano-cenny-materiał-stop-Zmiana-warty-możliwa-stop-Odpowiedź-niebawem-stop-Koordynuję-lokalne-możliwości-siły.

– Coś jeszcze? – zapytał Villarrubia.

– Nic.

Młody wystukał kropkę, kreskę i trzy kropki. Siedzieli w milczeniu, patrząc na radiostację.

– Nie ma odpowiedzi – odezwał się po chwili radiowiec.

Wystukał trzy kropki, kreskę, kropkę, kreskę. Koniec połączenia. Zdjął słuchawki, założył zegarek, wyłączył sprzęt.

Falcó palił kartkę z wiadomością w ogniu z zapalniczki.

– Jutro nie wychodź z Café de París – rozkazał. – Mogę potrzebować cię w każdej chwili.

Chłopak posłał mu na wpół prostoduszny, na wpół podniecony uśmiech.

– Zbliżamy się do końca?

Falcó starannie rozcierał spopielałe skrawki papieru w popielnicze.

– Prawie.

Gdy skończył, wyjął papierośnicę i włożył do ust playersa. Villarrubia wskazał papierosa.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Zależy.

– Dlaczego zapalasz go zawsze od drugiej strony?

– Chcę spalić markę, żeby nie została na niedopałku. Mogą zidentyfikować cię po takich detalach.

Młody patrzył na niego z podziwem.

– O kurna – powiedział.

Gdy wrócił do hotelu, w przegródce z kluczem czekała na niego zamknięta koperta. Nie było nazwiska nadawcy, lecz w środku znajdował się liścik podpisany inicjałami Moiry Nikolaos:

Marynarz skontaktuje się z tobą dziś wieczór między ósmą a dziewiątą. Prosi, żebyś był pod telefonem.

Był kwadrans po siódmej. Falcó wszedł do kabiny telefonicznej hotelu, zadzwonił do biura Rexacha i zachowując wszelkie środki ostrożności, poinformował go o sytuacji. Należało przygotować się i na to, że kapitan Quirós postanowi przyjąć ofertę i oddać statek, i na jego odmowę. Poprosił też Rexacha, by poinformował dowódcę Martina Alvareza i zorganizował na jutrzejszy poranek naradę w sprawie taktyki, jaką powinni obrać. Nie byłoby od rzeczy, dodał po namyśle, żeby wziął w niej udział konsul

narodowy w Tangerze. Rexach zgodził się z nim i zapewnił, że zajmie się wszystkim.

Wyszedłszy z kabiny, Falcó powiedział Yussufowi, że będzie w berberyjskim barze. Poszedł tam, zamówił gin fizz i usiadł na kanapie, przeglądając przedwojenne numery gazet „Voilà” i „Estampa”. *Więści z Hollywood: Claudette Colbert dokłada do filmów historycznych komedię psychologiczną* i tym podobne. Przez chwilę czytał artykuł o męskiej modzie w Londynie poświęcony między innymi obuwiu o wąskim czubie, które szewc – uśmiechnięte zdjęcie – nazywał *à la española*. Odkładając magazyn uznał, że ktoś zdolny do nazwania w roku 1937 męskich butów zakończonych w szpic *à la española* zasługuje na ten sam los, co komisarz polityczny Juan Trejo. Ze studnią Kassema łącznie.

Dziesięć po ósmej w drzwiach baru pojawił się Yussuf. Proszono go do telefonu. Siedział nieruchomo przez moment, opróżniając głowę ze wszystkich zbędnych myśli. Potem wstał i przeszedł do holu. Zanim zamknął przeszklone drzwi, upewnił się, że portier, którego widział z tego miejsca, nie stoi przy centrali telefonicznej.

– Słucham.

– Zastanawiałem się nad pańską ofertą. Szczególnie nad tym, co dotyczy mojej rodziny... Podtrzymuje pan swoje słowa?

Głos kapitana Quirosa był daleki i znużony. To nie były łatwe dni dla nikogo, a tym mniej dla niego, pomyślał Falcó.

– Podtrzymuję wszystko, co powiedziałem – odrzekł.

– Czy również część... finansową umowy?

– Jak najbardziej.

Nastąpiła cisza. Marynarz zwalczał zapewne ostatnie skrupuły.

– Będę chciał gotówkę – powiedział w końcu.

– Oczywiście. – Falcó poczuł ochotę, by zawyć z radości. – Jaką walutę pan sobie życzy?

Rozmówca zawahał się jeszcze.

– Funty szterlingi.

– Jakież problemy na pańskim terenie?

– Nic, czego nie można by rozwiązać, jak na razie.

– Potrzebuje pan pomocy?

Znow cisza, tym razem dłuższa.

– Być może będę potrzebował.

Fala niepokoju. Falcó próbował określić możliwe problemy, ich lista była bardzo długa. Stan ducha załogi, na ten przykład, kiedy się dowie.

– Może pan podać mi szczegóły?

– Nie przez telefon.

Falcó przesunął ręką po czole. Próbował myśleć najszybciej jak umiał. Przede wszystkim nie popełnić błędu. I nie spłoszyć zwierzyny.

– Jutro wieczorem wszystko będzie gotowe... Odpowiada to panu?

– Tak sądzę.

– W porcie?

– Lepiej w mieście. – Tym razem Quirós zastanawiał się dłużej. – W tym samym domu na wzgórzu?

Falcó również się zastanawiał. Na tym etapie wołał nie mieszać w to Moiry Nikolaos. Nie chciał przysporzyć jej większych kłopotów niż te, których już przysporzył.

– Nieopodal Zoco Chico jest sklep z dywanami – zasugerował. – Prawie za rogiem francuskiego urzędu pocztowego. Właściciel nazywa się Abdel...
Odpowiada panu godzina dziesiąta?

– Odpowiada – odrzekł Quirós po chwili.

– Jakieś życzenia?

– Tak... Chciałbym, żeby był obecny pan, z którym rozmawiałem onegdaj.

Komandor Navia, pomyślał Falcó, nie potrafiąc powstrzymać uśmiechu. Powinienem był pomyśleć o tym wcześniej, jasne. Między nami marynarzami. To ułatwi sprawy.

– Załatwione... Czy panu będzie ktoś towarzyszył?

– Być może. Ktoś zaufany.

– Jak pan sobie życzy.

– Nie... Zapewniam pana, że nie ma w tym wszystkim niczego, czego bym sobie życzył.

Zabrzmiał trzask i rozmówca rozłączył się. Falcó stał ze słuchawką w ręce, wpatrując się w nią, po czym odwiesił ją powoli. Uśmiech na jego ustach był pełen pogardy i okrucieństwa. Każdy ma cenę, pomyślał. Wyższą lub niższą, choć nie zawsze chodzi o pieniądze. Mają ją także, bardzo wbrew sobie, starzy marynarze, uparci i zmęczeni.

Było zimno. Postawił przez chwilę na balkonie w koszuli z podwiniętymi rękawami i rozpiętej kamizelce, z rozluźnionym węzłem krawata, patrząc na słabe światła portu i blask latarni na końcu falochronu, Falcó wrócił do pokoju i zamknął przeszklone drzwi. Jego głowa kryła taktyczny labirynt, gdzie krzyżowały się wszystkie możliwe scenariusze na najbliższe dwadzieścia cztery godziny. A także szczegółowe plany każdego wariantu.

Jak mawiał jego rumuński instruktor, zanim wejdiesz do gniazda os, sprawdź, jak z niego wyjdiesz. A tangerskie gniazdo os zaczynało już brzęczeć.

Drżał z zimna. Żeby się rozgrzać, podszedł do komody, gdzie stała butelka fundadora, i nalał sobie trochę do szklanki. Popijał małymi łydkami, bez pośpiechu, czując, jak przenika go ciepło. Smak koniaku połączony z dreszczami budził w nim złe wspomnienia: dwanaście lat temu spędził pięć dni, trzęsąc się w gorączce, w podłym pokoju nędznego hoteliku w Mujtarze we francuskim Libanie z karaluchami biegającymi nocą po łóżku, mając za jedyne lekarstwo i towarzystwo fiolkę kopiryn i butelkę koniaku. Chodziło o sprzedaż pistoletów Astra milicji druzyskiej. Transakcję i tak w końcu diabli wzięli. Pracował wtedy dla Bazylego Zacharowa.

Stary sir Bazyli. Uśmiechnął się na jego wspomnienie. Spiczasta biała bródka, wybitna, twarda inteligencja w oczach za soczewkami okularów. Spotkanie na pokładzie Berengarii podczas rejsu z Gibraltaru do Nowego Jorku zmieniło życie Falcó. Świeżo wydalony z Akademii Morskiej, został wysłany przez rodzinę za ocean z lakonicznym listem polecającym do pewnego nowojorskiego przedsiębiorcy, z którymi utrzymywali kontakty handlowe, a los usadowił go podczas partii pokera w *smoking roomie* transatlantyku naprzeciwko Zacharowa, który mimo siedmiu krzyżyków na karku był jeszcze w pełnej formie. Staremu przemytnikowi spodobał się ten przystojny, arogancki młodzik, który przegrywał z uśmiechem, znał języki, ubierał się z wyszukaną elegancją oraz poruszał się śmiało i naturalnie pod silnym ostrzałem spojrzeń kobiet z pokładu pierwszej klasy. W tej podróży Zacharowowi towarzyszyła jego kochanka, Hiszpanka, Pilar de Muguiro, z którą miał się niebawem ożenić. Jej także przypadł do gustu młody Falcó i zanim statek rzucił cumy przy nowojorskim nabrzeżu, chłopak miał nową pracę. Przez dwanaście lat handlował bronią we wschodniej części basenu Morza Śródziemnego, na Bałkanach, w Afryce Północnej i Ameryce Środkowej, dopóki Admirał nie skaptował go do wywiadu Republiki.

Figury ojcowskie, pomyślał z ironią po kolejnym łyku koniaku. Doktor Freud, ten Austriak, o którym tyle mówiono, miałby może coś do powiedzenia na ten temat. Sir Bazyli i Admirał zastępujący ojca, z którym nie dogadywał się aż do jego śmierci; bojaźliwą, religijną matkę, od której wszystko go dzieliło; siostry, które wyszły za mąż za imbecyli, i starszego brata, dziedzica rodzinnego interesu – sherry Tío Manolo, koniak Emperador – dym z jego ofiar zawsze wzbijał się prosto do nieba w odróżnieniu od dymu Lorenza. Dla rodziny Falcó młodszy syn był od dziecka archetypowym przypadkiem zabłąkanej kuli, którą zdrowy rozsądek nakazywał trzymać jak najdalej od domu. Natomiast Bazyli Zacharow i Admirał, ulepieni z innej gliny, potrafili na pierwszy rzut oka rozpoznać w nim swojego i traktowali z zainteresowaniem i pobłażaniem, jak przenikliwy nauczyciel traktuje błyskotliwego ucznia innego niż wszyscy. Falcó odwdzięczał im się niewzruszoną lojalnością zabarwioną specyficznym stylem – były to respekt i dyscyplina połączone z nonszalancją przechodzącą niekiedy w bezczelność – która ludzi tej klasy bynajmniej nie raziła, wręcz przeciwnie.

Sięgnął po papierosa, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Zaskoczony spojrzął na zegarek. Dochodziła północ.

– Kto tam?

Nie było odpowiedzi.

W mgnieniu oka jego wyszkolony umysł usunął wszystko, co zbędne, koncentrując się na bieżącej sytuacji: noc, drzwi, Tanger, wrogi teren, niebezpieczeństwo.

Gniazdo os, powtórzył w myśli. Słyszał brzęczenie rozjuszonego stada.

Jego puls przyspieszył w ułamku sekundy, więc Falcó nie ruszył się z miejsca, oddychając powoli, aż poczuł, że serce znów bije regularnie. Wówczas bezszelestnie otworzył przeszkłone drzwi na balkon, potencjalną

drogę ucieczki, sięgnął po browninga leżącego na komodzie i odbezpieczył go. Następnie stąpając na palcach, choć dywan tłumił jego kroki, podszedł do progu. Prawą rękę, w której trzymał broń, podniósł prawie na wysokość twarzy, wsunął palec za spust i otworzył drzwi lewą ręką.

Przed nim na tle oświetlonego korytarza, z czołem o cal od lufy jego pistoletu, stała Eva Neretwa.

10. *DIE LETZTE KARTE*

Gdy zamknął drzwi, Eva przeszła przez pokój, przyglądając się meblom i przedmiotom, i stanęła przed uchylonymi drzwiami na balkon. Zrobiła to bardzo powoli. Stała teraz tyłem do niego, spoglądając na port i noc. Żadne z nich nie wymówiło ani słowa.

– Zastanawiałem się... – zaczął po chwili Falcó.

– Ja nie zastanawiałam się nad niczym – przerwała mu.

Znów zamilkli. Potem Eva odwróciła się ku niemu.

– Nad niczym – powtórzyła w zamyśleniu.

W pokoju paliło się tylko jedno światło: kinkiet nad szafką nocną. Na łóżku leżała pomięta kapa, a na niej dokumenty i notatki – część z nich należała do Juana Trejo – które Falcó studiował nieco wcześniej. Kinkiet oświetlał Evę z boku, rysując kontur jej twarzy pod rondem prawie męskiego kapelusza, który miała na głowie. Oczy lekko słowiańskie, bez makijażu, podobnie jak twarz. Przez cztery miesiące jej włosy urosły. Miała na sobie skórzaną kurtkę i popielatą spódnicę. Na szyi jedwabną chustkę, na nogach buty na niskim obcasie.

– To musiało nastąpić – powiedziała.

– Jasne.

– Prędzej czy później.

– Tak.

Spojrzała na pistolet, który Falcó wciąż trzymał w dłoni.

– Nie przyszłam cię zabić.

Jeśli to był żart, powiedziała go bez uśmiechu.

– Jeszcze nie – dodała po chwili.

Była bardzo poważna. Pewna siebie. Zlustrowała go od stóp do głów powoli i uważnie, teraz patrzyła mu w oczy. Podszedł z brownningiem do komody, wyjął magazynek i nabój, i włożył je do szuflady; nie na znak zaufania, lecz dlatego, że nie lubił trzymać naładowanej broni przed cudzymi oczami. Być może zrozumiała, bo na jej ustach pojawił się nikły uśmiech, niemal niewidoczny w tym świetle. Ciekawe, czy jest uzbrojona, pomyślał.

– To ten sam pistolet, którego użyłeś tamtej nocy?

Zawahał się przez moment.

– Ten sam.

– Użyłeś go jeszcze potem?

Nie odpowiedział. Stali twarzą w twarz w odległości trzech kroków, patrząc na siebie.

– Wydarzyły się pewne rzeczy od tamtego razu – powiedziała.

– Byłaś w Hiszpanii przez cały czas?

Teraz ona ociągała się z odpowiedzią. Przechyliła głowę, jakby zastanawiając się, czy powinna mówić. Potem wykonała gest obojętności.

– Prawie cały – potwierdziła.

– Dowiedziałem się różnych rzeczy o tobie: Kowalenko, Wydział do Zadań Specjalnych... Mount Castle i cała reszta.

– Ja też sporo się dowiedziałam o tobie.

Teraz on się uśmiechnął. Po raz pierwszy.

– Jaka ta wojna jest mała.

– Bardzo.

Eva popatrzyła na butelkę koniaku.

– Poczęstuj mnie, proszę.

Falcó wrócił do komody, wziął czystą szklanę i wlał dwa palce trunku.

– Nie mam syfonu.

– Nie szkodzi.

Wręczył jej szklanę, a wówczas ich dłonie musnęły się. Paznokcie miała takie, jak pamiętał: krótkie, zaniedbane, obgryzione. Bez lakieru. Z plamami nikotyny.

Wskazał krzesło.

– Usiądziesz?

– Nie.

Zdjęła kapelusz. Światło kinkietu rzucało złote refleksy na jasne, proste włosy, które zakrywały już niemal uszy i kark. Kurtka opinała szerokie, muskularne ramiona.

Plecy pływaczki, przypomniał sobie.

Ta kobieta nie przypominała tamtej zmaltretowanej, umęczonej, targanej gorączką, którą wioził do Portugalii. Była tą, którą poznał w Kartagenie, kiedy jeszcze żyło rodzeństwo Monterów zdradzone przez niego i przez nią – przez każde z innego powodu – i wysłane na pewną śmierć wraz dwudziestoma innymi. Była Evą Neretwą, Evą Rengel. Agentką, która strzeliła w głowę Juanowi Porteli, by uniknąć zdemaskowania. Która osłaniała go, strzelając do czerwonych, gdy uciekał plażą do łodzi tej nocy, gdy wszystko diabli wzięli i nikt nie był w stanie uwolnić José Antonia Prima de Rivery.

– Po co jedziesz do Rosji?

Spojrzała na niego nieomal ze zdumieniem, jakby wymsknęło mu się coś niestosownego. Jak gdyby okazał brak taktu.

– Dostałam zadanie – powiedziała po chwili. – Tak jak ty dostałeś swoje.

– Wiem co nieco o takich podróżach. I nie mam na myśli złota.

Spojrzała na niego kpiąco. Ręka, którą niosła szklankę do ust, zawisała w powietrzu.

– Naprawdę?

– Tak. Nie wszyscy z nich wracają.

To była prawda i Falcó faktycznie coś o tym wiedział. Jak wyjaśnił mu Admirał, NKWD przeprowadzało czystkę wśród swoich agentów w Hiszpanii i w innych państwach. Chodziło o drobną zmianę kursu politycznego i wewnętrzne porachunki. Ściągano ich do Moskwy, a niektórzy lądowali w lochach Łubianki, podpisując wszystkie papiery, jakie im podsunęto. Z samooskarżeniem o zdradę i pobieranie żołdu od antykomunistów łącznie.

– Ja też wiem co nieco o twoich – powiedziała, wypiwszy łyk koniaku. – O więzieniach, rowach przydrożnych, cmentarzach... O zbrodniach twoich faszystowskich generałów oraz ich przyjaciół z Berlina i Rzymu.

Popatrzył na nią w osłupieniu.

– Niewiarygodne... Ty wciąż wierzysz.

– Jasne, że wierzę. Ale nie przyszłam tu, żeby o tym rozmawiać.

– A po co przyszłaś?

Opuściła wzrok na szklankę. Na moment. Kiedy go podniosła, było w nim wyzwanie.

– Nie jestem pewna, po co przyszłam.

Ponownie podniosła szklankę do warg, lecz zatrzymała ją.

– Coś nas chyba łączy – uzupełniła.

– Dziwnie słyszeć to z twoich ust.

Odstawiła szkło na komodę.

– Myślałam, że nigdy więcej się nie spotkamy.

– Ja też tak myślałem. Na dworcu w Coimbrze, kiedy spojrzałaś na mnie ostatni raz... Dokąd cię stamtąd zabrali?

Przez kilka sekund wydawało się, że się waha, czy odpowiedzieć, czy nie. Potem pokiwała głową, jakby doszła do twierdzącego wniosku.

– Popłynęłam do Francji. Tam doszłam do siebie. Potem wróciłam do Hiszpanii.

– I widzę, że twoja kariera postępuje. Awansujesz. Sprawa Mount Castle to nie bagatelka. Wiem, że rozkazy wydajesz ty.

Obserwowała go teraz nieufnie.

– Skąd masz te informacje?

– Och... Zasłyszałem tu i ówdzie.

Przechyliła głowę i spojrzała na dywan.

– Owszem, jest taka możliwość, że, tak jak insynuowałeś, wysyłają mnie tam, żeby oskarżyć o wypaczenia, odejście od linii partii i postawę kontrrewolucyjną... Nie możemy tego wykluczyć, prawda?

Zdziwienie Falcó było absolutnie szczere.

– Mówisz poważnie?

Milczała, patrząc na niego zarazem ironicznie i nieufnie.

– To naprawdę się dzieje? – dopytywał Falcó. – Stalinowskie czystki i likwidacja bolszewickiej starej gwardii?

– Być może... Nie wiem.

– Za co?

– Może za burżujskie przedkładanie uczuć nad kolektywną wizję człowieka.

Podniósł rękę, prosząc o chwilę czasu na przyswojenie tej myśli.

– A cóż jest w tym złego? – zapytał wreszcie.

– Kto przedkłada uczucia nad idee, jest winny.

– Czego?

– Popęnia błędy, które zagrażają rewolucji międzynarodowej... Działa obiektywnie jak agent faszyzmu.

Falcó nie wierzył własnym uszom.

– Ty popełniłaś takie błędy?

Zobaczył, że śmieje się cicho.

– Pozostawienie cię przy życiu było może jednym z nich.

– Żartujesz.

– Jasne, że żartuję.

Ale ton przeczył jej słowom i śmiechowi. Nadal zdezorientowany Falcó wpatrywał się w nią.

– O jakich błędach mówisz w takim razie?

– O tym zadecyduje partia.

– I mimo tego jedziesz do Moskwy? Oddajesz się w ich ręce?

Patrzyła na niego długo, bardzo uważnie. Wyglądała, jakby zastanawiała się, czy warto kontynuować ten wątek rozmowy.

– Demokracja jest ukrytą formą kapitalizmu, a faszyzm jego jawną formą – oświadczyła wreszcie. – Paradoks polega na tym, że aby walczyć z nimi, trzeba w nich żyć... Rozumiesz?

– Mniej więcej.

– A po pewnym czasie człowiek się zaraza.

– Aha.

– Dawny świat musi odejść. Gdybym się nim zaraziła, byłoby sprawiedliwe, żebym zniknęła wraz z nim.

– Sprawiedliwe, mówisz?

– Tak.

– Mówisz o śmierci.

– To nie jest takie straszne. Ludzie umierają od milionów lat.

– A twoje życie...? Twoje szczęście?

– Życiem przejmują się tylko burżuje. – Patrzyła na niego, jakby ją znieważył. – A szczęście to kwestia inżynierii społecznej.

W tym miejscu zamilkła. Gdy przemówiła ponownie, jej głos brzmiał twardo i arogancko.

– Mówiłeś o wierze... Ja wierzę. A to oznacza świadomość miejsca, jakie zajmuję w całym mechanizmie. I gotowość do przyjmowania rozkazów.

– Wszystkich?

– Wszystkich.

– Oznacza nawet zgodę na to, by zabili cię twoi, choć jesteś niewinna? Zgodę na złożenie się w ofierze?

Eva patrzyła na niego jak na nic nierozumiejące dziecko albo na idiotę.

– Nie chodzi o złożenie się w ofierze, ale o bycie częścią czegoś tak słusznego, nieuchronnego i oczywistego jak aksjomaty Euklidesa.

Rozmawiali w ten sposób, spokojnie, od prawie kwadransa, tonem cierpliwym i znużonym, jakby każde z nich wiedziało, że to drugie nigdy nie zrozumie go do końca. Reprezentowali, uznał Falcó po krótkiej refleksji, dwa przeciwstawne światy, dwa diametralnie różne sposoby rozumienia życia, śmierci i relacji między nimi. Zimna metoda i wiara z jednej strony, spokojny, trzeźwy egoizm z drugiej. Tego nie dało się pogodzić żadną miarą. A jednak wiedział – i był pewien, że ona także wie – że wciąż istniała między nimi więź, dziwna i mocna, utkana z poczucia

wspólnictwa, z pokręconego respektu wobec czegoś niemożliwego do zdefiniowania. Dziwaczna mieszanka wspomnień, seksu, niebezpieczeństwa, czułości. To ostatnie słowo pozornie nie pasowało do lakonicznej, twardej kobiety stojącej teraz przed nim, lecz doskonale wpisywało się w pamięć o nocy, kiedy obejmował jej nagie ciało, podczas gdy bomby z włoskich savoi wybuchwały nad arsenałem w Kartagenie. Być może, doszedł do wniosku, kluczowym słowem była lojalność. Niezwykła lojalność dwojga wrogów gotowych do zabicia przeciwnika, gdy tylko osłabi czujność.

– Masz papierosa? – zapytała.

Sięgnął po papierośnicę, a gdy otworzył ją przed nią, uśmiechnęła się nieznacznie.

– Dalej palisz ten drogi, burżujski tytoń.

– Tak... Nie znoszę tej waszej proletariackiej machorki.

Zapalił zapalniczkę i przysunął płomień do jej papierosa i twarzy. W błysku pomarańczowego światła ciemne oczy spojrzały na niego z bardzo bliska z ciekawością i uwagą.

– Nie zmieniłeś się zbyttnio – oznajmiła.

– Za to ty owszem – teraz Falcó uśmiechnął się, i to szeroko. – Na lepsze od ostatniego razu.

Twarz kobiety spochmurniała i to nie tylko dlatego, że zgasił zapalniczkę. Wypuszczała dym powoli, w zamyśleniu, nie spuszcżając rozmówcy z oka. Po chwili odwróciła się na pięcie i wyszła na balkon. Po krótkim wahaniu podszedł do łóżka, zebrał rozrzucone na nim papiery i włożył pod kołdrę. Patrzyła na niego, gdy to robił i gdy także zapalił papierosa, i dołączył do niej.

– Jesteśmy tym, kim jesteśmy – odezwała się nieobecnyim głosem, jakby nie mówiła do niego.

Potaknął bez słowa. Palili obok siebie w milczeniu, patrząc na noc, błysk latarni na falochronie, nieliczne światła portu i statków kotwiczących w zatoce. Wilgotny chłód był znośny.

– Nie wszystko było obliczone – powiedział nagle.

– Wiem.

Falcó potrząsał głową z rozdrażnieniem. Był zły na samego siebie. Nie podobało mu się to nagłe uczucie, udreka pełznąca od żołądka w stronę serca: dziwna słabość domagająca się, by podniósł rękę i położył łagodnie dwa palce na szyi kobiety, tam, gdzie bił ciepły, spokojny puls życia. Dokładnie w to miejsce na tętnicy szyjnej, gdzie zadałby cios, gdyby musiał ją zabić.

– Długo dochodziłam do siebie.

Przemówiła cichym głosem, a on był wdzięczny za te słowa, które pomogły mu odpędzić niewygodne uczucie i własną słabość.

– Na pewno nie było łatwo – zauważył.

– Nie było.

Opierał się plecami o żelazną balustradę, patrząc na Evę. Jej twarz pozostawała w mroku nieco tylko rozproszonym wąłym, dalekim światłem. Od czasu do czasu czerwonawy koniec papierosa rozjarzał się mocniej.

– Zatopią statek albo go przejmą.

– Być może – przyznała.

– Wypłyniecie na nim będzie szaleństwem.

– Mam rozkazy.

– Do diabła z twoimi rozkazami.

Wciąż słabo widział jej twarz, lecz zauważył, że w oczach zabłysła pogarda rozciągnięta na całą ludzkość. Na cały ludzki gatunek, łącznie

z samą sobą. W ostatecznym rozrachunku, mówił ten błysk, poświęcenie tysięcy mężczyzn i kobiet daje zaledwie kilka wersów w podręcznikach historii.

– Diabeł nie istnieje – usłyszał.

Prychnął z irytacją.

– To podejmij własne decyzje.

– To jest moja decyzja... Do decyzji dochodzi się pod wpływem pozytywnego impulsu albo racjonalnej eliminacji wszystkich innych możliwych postaw. A ja nie działam pod wpływem impulsu.

– Boże mój... – spoglądał na nią ze szczerym zdumieniem. – Tego wszystkiego nauczyłaś się w Moskwie?

Krótką ciszą.

– Znasz niemiecki, prawda? – zapytała po chwili.

– Trochę.

– *Die letzte Karte spielt der Tod.*

– Ostatnią kartą gra Śmierć?

– Tak.

– A przy jakiej karcie jesteśmy?

– To właśnie chciałabym sprawdzić.

Znów zamilkła na chwilę. Potem żar papierosa rozbłysnął po raz ostatni i rzuciła go daleko przed siebie. Zobaczył, jak czerwony punkcik zatacza łuk, po czym znika w ciemności.

– Z Portugalii zabrali mnie do domu wypoczynkowego na południu Francji – odezwała się. – Spędziłam tam trzy tygodnie, nic nie robiąc, nie czytając, nie rozmawiając z nikim... Siadałam w ogrodzie i patrzyłam na wierzby nad stawem. Na ptaki pijące wodę z fontanny... To było wszystko.

Przerwała.

– Wszystko – powtórzyła.

Potem milczała tak długo, że Falcó uznał, że kobieta nie powie już nic więcej.

– Pewnego dnia ktoś do mnie przyszedł – podjęła nagle. – Przełożony.

Napiął mięśnie, zaalarmowany. Zainteresowany. Zwykły odruch wyszkolonego agenta.

– Kowalenko?

– Nazwisko nieważne... Zapytał, czy jestem gotowa, by wrócić do Hiszpanii. Powiedziałam, że tak. Myślałam, że wyśle mnie od razu, ale najpierw musiałam wypełnić pewne zadanie: obcy agent, prowokator, infiltrował kręgi republikańskie we Francji. Podejrzewaliśmy, że pracuje dla was... Wykończył nam już dwóch mężczyzn i kobietę, których wysłaliśmy do strefy narodowej: zostali wykryci i straceni.

Falcó wykrzywił twarz w cynicznym grymasie.

– Ryzyko zawodowe.

– Tak. Dotarłam do waszego człowieka, nawiązałam przyjaźń i przekazałam fałszywą informację o domniemanym spotkaniu w Burgos, które nigdy nie doszło do skutku. Połknął haczyk, zatrzymali wabika, agenta zabraliśmy do naszego lokalu. Sąd doraźny i egzekucja.

– Cóż, taki jest zwyczaj, nie...? Koniec i kropka.

– Nie całkiem. To ja strzeliłam do niego. W skroń.

Falcó wyrzucił swój niedopałek tak jak ona, spoglądając, jak czerwony punkcik znika pod balkonem.

– Jak do tamtego falangisty – przypomniał spokojnie.

– Tak... Mógł to zrobić inny towarzysz, ale poprosiłam, żeby pozwolono mnie.

Chyba zadrzała lekko, jakby przeszył ją nocny chłód.

– Po tym wydarzeniu uznano, że nadają się do powrotu – dorzuciła po chwili.

– I gdzie byłaś?

– Czy to ważne? Tu i ówdzie... Przyglądając się, jak twoi republikańscy rodacy wolą zagryzać się wzajemnie niż walczyć w wojnie.

– Na szczęście mają was, prawda...? Zdyscyplinowanych rosyjskich komunistów.

– Możesz sobie kpić, ale tak jest. Gdyby nie nasza pomoc wojskowa, nasi doradcy i nasza dyscyplina, katastrofa byłaby jeszcze większa... Biorąc pod uwagę tych głupich anarchistów bardziej zainteresowanych robieniem rewolucji niż wygraną wojny oraz tych biurokratów okopanych na ciepłych posadach, domagających się broni, żeby inni walczyli za nich, i więzień, żeby wsadzać tam swoich przeciwników politycznych...

Urwała i zadrżała ponownie.

– Napiłabym się jeszcze trochę tego koniaku.

– Wejźmy do środka – zaproponował Falcó.

Spoglądała w noc.

– Wolę zostać tutaj.

Wszedł sam do pokoju, wziął szklankę, którą Eva odstawiła na komodę, wypił to, co zostało, i wlał z butelki następne dwa palce trunku. Ze szklanką w ręce wrócił na balkon.

– Kiedy podchodziłam waszego agenta, próbował mnie uwieść.

– Ja też bym próbował – skomentował Falcó miękko, podając jej szklankę.

– Nawet mnie nie tknął – ciągnęła, jakby go nie usłyszała. – Nie pozwoliłam... I to nie był problem gustu. Był przystojny.

Znieruchomiała z podniesioną do ust szklanką w ręce.

– Nie mogłam tego znieść. Nawet samej myśli o tym.

Pociągnęła długi łyk. Potem podała szkło Falcó, który też się napił.

– Od czasu Salamanki nie dałam się dotknąć żadnemu mężczyźnie...

Na samą myśl o tym trzęsę się, jakby sypano mi sól na rany.

Tym razem zapanowała naprawdę długa cisza, a on nie potrafił odpędzić od siebie tamtego obrazu, jej nagiej w domu, gdzie zabił trzech mężczyzn i psa, by ją uwolnić, przywiązanej z rozłożonymi nogami, w pozycji zarazem bezbronnej i obscenicznej, do łóżka, na którym ją torturowano i gwałcono. Patrzyła na niego otepiałymi oczami, w których nie było nic oprócz zamętu i grozy. Wzrokiem, który sprawił, że Falcó zawstydził się, że jest mężczyzną, i który został mu na zawsze w pamięci.

– Zimno mi.

Zobaczył, że faktycznie się trzęsie, jakby dzielili to samo wspomnienie. Wziął ją delikatnie za rękę, by zaprowadzić do pokoju, i poczuł, że jest sztywna. Potarł jej obie dłonie, by je rozgrzać, pozwoliła mu. W świetle kinkietu znów zobaczył jej twarz. Patrzyła na niego z uwagą stęszłą jak lód, niemal nieludzką.

– Byłeś ostatnim... Mam na myśli przed tamtymi.

Patrzyła na niego jeszcze przez moment bez słowa, twardo, wzrokiem, który przenikał wewnątrz i docierał do najskrytszych zakamarków duszy. Niewielu mężczyzn zachowałoby szacunek do samych siebie pod takim spojrzeniem, lecz Falcó należał do tego grona. Wyłącznie dzięki temu, że pamiętał, jak szedł przez mroczny dom, z zaschniętym gardłem, z pistoletem w dłoni, zabijając ludzi Lisarda Queralta jednego po drugim.

– Potem były już tylko groza i ciemność – dorzuciła Eva na koniec.

Przysunął twarz, a ona nie odsunęła swojej. I pocałował ją. Był to delikatny pocałunek, zaledwie muśnięcie warg zimnych jak śmierć.

Wcześniej Falcó całował kobiety na prześcieradłach cieplejszych niż ich ciała, ale takiego chłodu nie napotkał nigdy. Podniósł dłoń i położył dwa palce na jej szyi, czując bicie pulsu. To miejsce nie było zimne.

Patrzyła wciąż na niego, nie otwierając ust, beznamiętnie. A wówczas wziął ją ponownie za ręce i poprowadził bardzo powoli do łóżka. Tak naprawdę nie odczuwał pożądania. Nie był nawet fizycznie podniecony, co go dziwiło. Czuł tylko niezwykłą potrzebę bycia czułym.

– Nie zrób mi krzywdy – powiedziała.

Nie zrobił jej krzywdy. A przynajmniej próbował. To było dziwne uczucie, nagie ciało na łóżku, początkowo sztywne, tak spięte, jakby wszystkie mięśnie kobiety były boleśnie skręcone. Wyciągnął się przy niej, także nagi, pieszcząc ją bez pośpiechu. Na początku za każdym razem, gdy kładł dłoń na jej wrażliwej skórze – pachniała czystym kobiecym ciałem – Eva wzdrygała się instynktownie, jakby przebiegł przez nią prąd. Cierpliwie przestał ją dotykać, położył się na plecach i przyciągnął delikatnie do siebie w zagłębienie prawego ramienia. Przytuliła się do niego i zastygła, czuł jej oddech, bardzo słaby, bardzo powolny. Pogłaskał ją po włosach.

– Tak lepiej?

Nie odpowiedziała. Oddychała płytko i wolno, przywierając ustami do jego skóry. Bez słowa, bez ruchu. Przestał gładzić włosy i położył delikatnie rękę na jej plecach. Wciąż miała – znów miała – ciało muskularne i twarde, dobrze zbudowane. Niemal atletyczne.

– To trudne – szepnęła wreszcie niemal niesłyszalnie.

– Pewnie.

– Prawie nie mogę znieść, że mnie dotykasz.

– Przestanę, jeśli nie chcesz.

– Nie. Rób to dalej.

Po każdej kolejnej pieszczocie Falcó czuł, że ciało kobiety ociepla się, a napięcie maleje. Poczul wówczas pierwszy dreszcz pożądania, lecz natychmiast pojął, że to nie zaprowadzi go do nikąd. To nie był moment, to nie były okoliczności. Głaskał ją zatem dalej po plecach i po włosach. Kinkiet był wciąż zapalony, więc widział z bardzo bliska nieco zdeformowane tą bliskością czoło, jasny łuk brwi, nos. Odsunął nieco twarz, by spojrzeć jej w oczy, i zobaczył, że patrzy na niego.

– Przykro mi – powiedział.

Mówił prawdę. Było mu naprawdę przykro i naprawdę chciał jej to powiedzieć. Chciał, żeby zrozumiała. Myślał, że jest w stanie to zrobić, ponieważ znała reguły. Od początku znała, podobnie jak sam Falcó, cenę, jaką trzeba zapłacić za życie wybrane przez nich dawno temu. Cenę za życie na niezdrowym terytorium zamieszkanym przez ludzi, a zatem obfitującym w zło, którego nie byli wyzbyci ani kobieta przytulona do boku Falcó, ani pieszczący ją mężczyzna.

– Tak.

Usłyszał jej głos, gdy utkwiała ciemne, nieruchome oczy w jego oczach. I zrozumiał, że mu wierzy. Że jest pewna, że w tym momencie mówi prawdę.

Wyciągnął rękę, żeby zgasić światło, i zostali w tej pozycji, podczas gdy oddech kobiety stawał się coraz wolniejszy i regularny. Wyglądało na to, że śpi. Nie odważywszy się wysunąć ramienia, by jej nie zbudzić, Falcó leżał bez ruchu przez długą chwilę z oczami otwartymi w ciemności.

Współczucie, czułość, pożądanie rozplływały się powoli w myślach i kalkulacjach taktycznych, które znów zaprzętały jego głowę. Próbował wyodrębnić obecność Ewy w pokoju sto osiem hotelu Continental, oddzielić

ją od tego, co zaszło w ciągu ostatnich godzin, lecz nie udało mu się. Jego metodyczny umysł przywykły do porządkowania hipotez według stopnia ryzyka i zagrożenia nie potrafił umieścić jej w przekonujący sposób w całej układance. A jednak drzenie ciała, które teraz spało u jego boku, było prawdziwe, a także dawny ból, który nosiła w sobie jak otwartą ranę, i napięcie, i opuszczenie.

Nawet śpiąca, naga, bezbronna, krucha jak w tym momencie Eva Neretwa wciąż była zagadką. A Falcó, gdy tylko odzyskał życiowy egoizm, zdrową niepewność osoby świadomej, jak trudno jest utrzymać się przy życiu, zrozumiał bardzo jasno, że cała sytuacja nie zmniejszała niebezpieczeństwa, wręcz przeciwnie. Jego instynkt zawodowy, wyszkolony, znów czujny, domagał się pilnie refleksji i rachunku. Ucięcia dokuczliwej – i bardzo groźnej – interferencji uczuć. Jego nikt nie wezwie do Moskwy za to, że się im poddał, ale było nader prawdopodobne, że z ich powodu rozwałą mu głowę tutaj, w Tangerze.

Wstał bezszelestnie, podszedł do komody i zapalił papierosa. Wypalił go na stojąco, nagi, patrząc na ciemny kształt nieruchomej kobiety. Potem poszedł do łazienki, umył zęby, wypłukał usta płynem Listerine i wrócił do sypialni. Położył się w łóżku, uważając, by nie zbudzić Ewy. Przysunął się ostrożnie, dopasowując swoje ciało do jej ciała, teraz odprężonego i ciepłego. I dopiero wtedy, w takiej pozycji, zasnął.

Śniły mu się dziwne miasta i taksówki, które nigdy się nie zatrzymywały, hotele, które musiał opuszczać w największym pośpiechu, pociągi i statki, które wyruszały bez niego. Takie sny zdarzały mu się często od długiego czasu, sprawiały, że czuł się samotny, wyobcowany, budził się z nich nagle z dojmującym poczuciem frustracji albo porażki. Obojętnie, jaki był scenariusz, zawsze chodziło o podobne miejsca: nieznanne ulice,

gdzie ludzie o nieprzyjaznych albo obojętnych twarzach mijali go, nie patrząc, jakby nie istniał. Ich milczenie potęgowało atmosferę niebezpieczeństwa, od której budził się zlany potem, skulony, z napiętymi mięśniami, z urywanym oddechem. Gotowy do walki.

Tym razem obudziła go Eva. Dygotała na pograniczu snu i jawy, rozbudzona, lecz nie całkiem, jęcząc cicho jak ranne zwierzę. Znów objął ją ramieniem, a ona przywarła do niego. Jej ciało, teraz rozgrzane, jakby miała gorączkę, trzęsło się.

– Co ci jest? – szepnął Falcó.

Nie dostał odpowiedzi. Eva wciąż drżała i tuliła się do niego, jakby bała się, że ich rozdziela, albo jak gdyby ktoś próbował to zrobić w tym momencie. Pogładził jej włosy, by ją uspokoić. Pocałował ją w czoło, a ona podniosła twarz. Pocałował ją jeszcze raz, tym razem w usta, najpierw bardzo delikatnie, czując, że otwierają się przed jego wargami jak szczelina, wilgotna, ciepła. Pożądanie fizyczne napłynęło nagle, gwałtownie, niepowstrzymanie, napięte ciało Falcó naparło na bok kobiety, która wstrzymała na moment oddech, jakby obudziła się na dobre właśnie teraz, a jej ręka ześliznęła się po piersi i brzuchu mężczyzny do jego ud i członka, stwardniałego, nieomal wibrującego od tak gwałtownego pragnienia, że musiał przywołać całą swoją zimną krew, by nie przewrócić jej na plecy i nie wbić się w nią bez żadnych względów, bez żadnych hamulców, wchodząc w ciało, które nagle wydało się miękkie jak gąbka, gotowe na jego przyjęcie. Jednakże nie zrobił tego. Zachował spokój, ucałował jeszcze raz jej usta, potem podbródek i szyję. Zanurzył w niej twarz, czując na wargach lekkie, rytmiczne pulsowanie krwi w tętnicy, której nie przeciął tej nocy i może nie zrobi tego żadnej innej.

– Proszę – powiedziała błagalnie, bardzo cicho. – Zrób to bardzo ostrożnie... Proszę.

I tak się stało. Powoli, bardzo ostrożnie. Zważając na jej odczucia i starając się nie zrobić jej krzywdy. Zagłębiając się cierpliwie z całą czułością, do jakiej był zdolny, w ciało tak bardzo przypominające niezabliźnioną ranę.

– Zatrzymaj się, proszę... Zostaw tak. Jest czas... Zatrzymaj się.

Falcó usłuchał i znieruchomiał. Potem wycofał się powolutku, wciąż bardzo delikatnie. A wreszcie, opuściwszy jej ciało, oparł się na jej napiętym brzuchu i zaspokoił się spokojnie w milczeniu.

Udawał, że śpi, kiedy o brzasku Eva wstała powoli, sięgnęła po ubranie i ubrała się w ołowianym świetle płynącym z przeszklonych drzwi balkonowych. Słyszał, że chodzi po pokoju, wychodzi na chwilę do łazienki, a potem stoi nieruchomo przy łóżku tak długo, że uznał, że już sobie poszła. Nie odważył się unieść głowy i otworzyć oczu z obawy, by nie odkryła, że nie śpi.

Wreszcie poruszyła się, a w chwilę później drzwi zaskrzypiały cicho, zamykając się powoli. Falcó zapalił światło i wstał. Wszystko wydawało się w największym porządku: portfel w kieszeni marynarki, pistolet w szufladzie komody, cała reszta nienaruszona. Eva nie tknęła niczego, za to owszem, zostawiła kartkę z kilkoma słowami nakreślonymi piórem Falcó: lakoniczne pożegnanie, a może zapowiedź ich następnego spotkania. Jedna linijka po niemiecku; gdy ją przeczytał, na jego ustach pojawił się smutny uśmiech.

Die letzte Karte spielt der Tod. Ostatnią kartą gra Śmierć.

11. TO BYŁ NOWY KAPELUSZ

– Eskadra republikańska zawróciła – oznajmił konsul.

Nazywał się Luis Fragela de Soto. Przekroczył pięćdziesiątkę, miał opaloną twarz, nosił się elegancko, nieco z brytyjska. Szpakowate włosy, przycięty wąsik, nerwowe ręce, inteligentne oczy. W życiu cywilnym inżynier, budował zapory i elektrownie wodne za dyktatury Prima de Rivery. Od pięciu miesięcy był nieoficjalnym przedstawicielem frankistowskiej Hiszpanii w Tangerze.

– Zostawili ich samych – dodał.

Falcó skrzyżował nogi i wypił łyk herbaty z miętą, która sparzyła mu wargi. Przytrzymując szklankę dwoma palcami, odstawił ją na stół.

– Doszło do bitwy?

– Nie. Baleares zauważył ich na południe od Malagi. Krążownik i dwa niszczyciele. Kiedy go spostrzegli, wypuścili zasłonę dymną i odpłynęli.

Falcó spojrzął na ulicę. Siedzieli w saloniku mieszkania nad Café Central, Antón Rexach pilnował w korytarzu, żeby nikt im nie przeszkodził. Z balkonu można było dostrzec między doniczkami z paprociami i bazylią poranny ruch na Zoco Chico. Ludzi siedzących naprzeciw w ogródku kawiarni Fuentes. Afisz zapowiadający film *Bengali* i plakat reklamowy oliwy Giralda.

– Nie zawsze Iberia rodziła lwy – zażartował konsul.

Skierował ten komentarz do komandora porucznika Navii. Ów nie wyglądał na rozbawionego. Świadczył o tym jego zbyt uważny wzrok

wbity w konsula. Grzeczna dezaprobata.

– Nie mają dowódców – zwrócił uwagę konsulowi. – Wymordowali wszystkich.

– Tak.

– Teraz eskadrą dowodzą oportuniści i partacze.

– Oczywiście.

– I kryminaliści.

Dowódca niszczyciela Martín Álvarez miał wciąż na sobie cywilny ubiór, którego zaniedbanie zdradzało brak przyzwyczajenia i przywiązanie do munduru. Dzianinowy krawat, zbyt luźny garnitur; prawa kieszeń marynarki nadal była cięższa od lewej. Kapitan też nie zaniedbywał środków ostrożności, zauważył z rozbawieniem Falcó.

– Tak czy owak, to upraszcza sytuację – ocenił konsul. – Mount Castle nie może liczyć na zewnętrzną pomoc... Jest zdany wyłącznie na własne siły.

– Jakże? – zapytał Navia.

– Prawie żadne. Operacyjnie znajduje się w pułapce, jest zablokowany przez pana i pański statek... Dyplomatycznie nie ma odwrotu. Musi opuścić Tanger pojutrze albo zostanie internowany wraz z ładunkiem.

– Co stanie się ze złotem w takim wypadku?

– Pozostanie do końca wojny w depozycie pod pieczęcią Komitetu Nadzoru.

– Który w końcu przekaze je nam – zauważył Falcó.

– Bez wątplenia. – Konsul patrzył na nich z przebiegłym i triumfalnym uśmiechem. – Byłby to propagandowy cios w Związek Sowiecki... Cudowny skandal.

Obracał w dłoniach filiżankę kawy. Potem zaczął bawić się łyżeczką.

– Ale cios byłby silniejszy, gdybyśmy przejęli złoto wcześniej – oświadczył. – Koniec wojny może się opóźnić, bo Franco się nie śpieszy. Stosuje strategię boa dusiciela: zaciska ofiarę powolutku, bez pośpiechu. Widzieliście nad Jaramą. Chociaż te czerwonuchy uciekają, aż się kurzy...

Falcó poczuł ochotę na szczyptę bezczelności. Nie ulec jej, byłoby wbrew jego naturze.

– Czerwoni – poprawił.

– Przepraszam?

– Nie czerwonuchy. A nad Jaramą nie uciekali... Walczyli z odwagą i brawurą, padali setkami tak jak nasi. Pod Madrytem też nie kurzy się za nimi.

Konsul spojrział na Navię z konsternacją, jakby oczekiwał poparcia, ale marynarz nie odezwał się. Komentarz Falcó chyba mu się spodobał.

– Odbiegamy od tematu – powiedział, zbity z tropu.

– A nie powinniśmy.

Konsul potaknął z wahaniem. Podjęcie wątku przyszło mu z pewnym trudem.

– Co do statku... – odezwał się wreszcie – ... Caudillo chce okazać stanowczość i nie sprawiać wrażenia, że złoto jest w tym wszystkim najważniejsze... Jesteśmy wszakże ludźmi honoru.

– Hiszpańskimi hidalgami – uzupełnił Falcó z niewinną miną.

Konsul spojrział na niego niepewnie, wyczuwając ironię. Potem ponownie zakręcił łyżeczką.

– Republika ma nadzieję, że wkrótce w Europie wybuchnie wojna, choć stanie się to dopiero wówczas, gdy zakończy się nasza. Jesteśmy doskonałym aperitifem dla jednych i dla drugich... Potem przejdą do dań głównych.

– Czy udało się przejąć rozmowy radiowe wrogiego kapitana? – zagadnął Navia.

Konsul zaprzeczył. Wiedział za to, że w Walencji trwała dyskusja. Republikański rząd przerażała perspektywa zatopienia Mount Castle. Woleliby nawet, żeby został internowany w Tangerze. Ale Sowieci bardzo naciskali; sprawa mogła kosztować ich reputację i nalegali, by frachtowiec wypłynął w morze. Złoto uznali już za stracone. Zależało im teraz na tym, żeby doszło do jawnego aktu agresji, który można by wykorzystać na arenie międzynarodowej. Ich agenci otrzymali rozkaz wejścia na pokład i utrzymania dyscypliny za wszelką cenę.

– Rozkaz popełnienia samobójstwa – podsumował obiektywnie Navia.

Konsul skrzywił się z pogardą.

– Jeśli wpadną w nasze ręce poza tangerską strefą międzynarodową, obawiam się, że cała trójka zostanie rozstrzelana. – Rzuciło się w oczy, że nie obawia się tego, wręcz przeciwnie. – Nie wyłączając Rosjanki. – Spojrzał na Falcó, jakby ów posiadał jakąś wiedzę w tym zakresie. – Co, do diabła, porabia w tym wszystkim kobieta?

– To czerwonucha, a one są nieprzewidywalne – oświadczył Falcó zimnym tonem. – Może miała dość prania i prasowania.

Konsul otworzył usta, nie spuszczać zeń wzroku, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie. Przemówił teraz Navia:

– Jeśli zatopię statek, być może pójdą na dno razem z nim.

Falcó odczekał trzy sekundy, zanim zadał pytanie:

– A jeśli przeżyją i wyłowi ich pan?

– Mam instrukcje. Załoga do więzienia, potem przed sąd. Agentów rozstrzelać.

– I zrobi pan to, gdyby do tego doszło?

Navia spojrzał na niego twardo.

– To nie pańska sprawa.

Konsul kręcił głową z przesadnym ubolewaniem.

– Nie chciałbym być na miejscu tej trójki... – Zwrócił się do Falcó. – Naprawdę sądzi pan, że podzielią los statku do samego końca?

Falcó zastanowił się przez chwilę. Albo udał, że się zastanawia. Przez otwarte okno dobiegał gwar z ulicy.

– Myślę, że tak – odezwał się wreszcie. – W końcu Amerykanin i Rosjanka to agenci NKWD. Zdyscyplinowani i twardzi. Zastosują się do otrzymanych rozkazów bez względu na konsekwencje.

– Chce pan powiedzieć, że jeśli dzisiejsza akcja nie powiedzie się, będą naciskali na kapitana Quirosa, żeby wypłynął?

– Jestem przekonany.

– A Hiszpan? Ten komisarz floty? Trejo?

Falcó oparł się na krzesło, strzepnął pyłek kurzu ze spodni i spojrzał spokojnie w stronę ulicy. Mrugał powiekami jak sokół, który zostawia za sobą resztki zdobyczy.

– Och, ten niespecjalnie się liczy – powiedział, starannie dobierając słowa. – Z tego, co wiem, mieszka na łądzie i nie kwapi się do powrotu. Nie zdziwiłbym się, gdyby odmówił wejścia na pokład albo zdezerterował, zanim sprawy zajdą zbyt daleko.

– Zdezerterował...? Hm. Tak pan myśli?

– Wszystko jest możliwe.

Łyzeczka tańczyła w palcach konsula.

– Posiada pan jakąś konkretną informację na ten temat?

– Żadnej.

– Jest to zatem tylko pańskie przypuszczenie?

– Tak.

Po krótkim wahaniu konsul zwrócił się do komandora:

– Pańskie rozkazy nie zmieniły się, prawda...? Ani pańskie zamiary?

– Nie – odrzekł marynarz. – Gdy Mount Castle odpłynie trzy mile od brzegu, zasygnalizuję, żeby zatrzymał maszyny. Jeśli nie usłucha, otworzę ogień. Jeśli odpowie ogniem, zatopię go.

Wyliczył wszystkie ewentualności ze spokojem profesjonalisty. Bez zająknięcia. Konsul odłożył łyżeczkę i pochylił się ku niemu z zainteresowaniem.

– A na jakiej to będzie głębokości?

– Między czterdzieści a sześćdziesiąt metrów według mapy. Zostawię go w miejscu, gdzie będą mogli dotrzeć do niego nurkowie, kiedy nadejdzie moment.

Konsulowi błyszczały oczy. Wszystko rozstrzygnęłoby się tak, by nie musiał zbyt wiele ryzykować, mówił jego gest pełen ulgi. Bez względu na to, czy w porcie czy poza portem, to nie on ponosił odpowiedzialność. Będzie mógł nadal chadzać do Country Clubu bez obawy, że naskoczą na niego inni konsulowie.

– Mamy w ręku wszystkie atuty, a czerwony kapitan o tym wie – powiedział z otuchą w głosie. – Tej nocy zagramy naszą najważniejszą kartą. Najbardziej pokojową i najrozsądniejszą.

Falcó wskazał na dowódcę niszczyciela.

– Quirós żąda, żeby komandor Navia także był obecny.

– Oczywiście. – Konsul uśmiechnął się wyrozumiale. – Między marynarzami będzie to łatwiejsze do zniesienia. Czyż nie?

– Być może – odparł Navia.

– Mają panowie moje poparcie, rzecz jasna. Pomogę wam z przyjemnością i zapalem. Proszę jednak zrozumieć, że nie mogę się angażować publicznie... Jeśli coś się nie powiedzie i wybuchnie skandal,

konsulat narodowy nie może być zamieszany. To zadanie dla panów. – Spojrzał na Falcó zarazem z podejrzliwością i nadzieją. – A w szczególności dla pana, prawda? Domyślam się, że pomyśleli panowie o wszystkim.

– O wszystkim.

– Aby upewnić się, że wszystko pójdzie dobrze, przygotowaliśmy grupę abordażową – oznajmił Navia.

Konsul spojrzał na niego, skonsternowany. Podniósł brwi.

– Grupę abordażową?

– Mam na myśli oddział szturmowy.

Konsul dotknął wąsa.

– O mój Boże... Będzie strzelanina?

– Niekoniecznie.

Marynarz wyłuszczył plan. Dwudziestka uzbrojonych ludzi z zaufanym oficerem wejdzie na pokład Mount Castle od strony morza, gdy tylko kapitan Quirós podpisze dokument poświadczający dobrowolne przekazanie statku narodowej marynarce wojennej. Poproszono go o listę najbardziej niebezpiecznych członków załogi, których należałoby zneutralizować. Tym, którzy nie zechcą zostać na pokładzie, zaoferuje się możliwość zejścia na ląd i ewakuacji w dowolne miejsce.

– Tą sprawą, owszem, powinien zająć się konsulat – zaznaczył Falcó.

Konsul potaknął z większym spokojem. Oglądał sobie ręce, jakby sprawdzał, czy nadal są czyste.

– Oczywiście. Na tym etapie mogę zainterweniować otwarcie. To będzie już akcja humanitarna, bez wątpienia.

– Proszę szczególnie uwzględnić kapitana Quirosa.

– Ależ tak. Będę wobec niego tak humanitarny, jak tylko możliwe.

– Czy wydał pan instrukcje w sprawie jego rodziny?

– Pracuję nad tym. Mogą spotkać się w Portugalii albo we Francji, gdzie woli.

Falcó pokiwał głową.

– Powiem mu.

– Szykuję paszport dla niego... A czy pieniądze są gotowe?

– Otrzyma je, gdy podpisze dokument przekazania statku.

Konsul wyglądał, jakby nad czymś medytował. Odłożył łyżeczkę, po czym wziął ją z powrotem. Falcó poczuł pokusę, by mu ją wyrwać i wyrzucić przez okno.

– A jeśli podpisze, co zrobią panowie z komunistycznymi agentami? – zagadnął wreszcie konsul, podkreślając frazę „zrobią panowie”. – Będą na pokładzie dziś w nocy?

– Nie sądzę. Zwykle śpią na łodzi w swoim hotelu.

– Co zamierzają panowie z nimi zrobić?

Falcó wymienił spojrzenie z komandorem, który milczał z nieprzeniknioną miną. Ty się umocz, mówiło to milczenie. Najbrudniejsza część to twoja sprawa. Ja tylko dowodzę okrętem.

– Nie wiem jeszcze. – Falcó udawał, że się zastanawia. – A raczej nie jestem pewien.

– Zabić, podejrzewam – odezwał się konsul po chwili, jakby udało mu się przemóc. – Albo coś w tym stylu.

Powiedział to cicho zażenowanym tonem purytańskiej starej panny zafascynowanej uwodzicielem. Falcó wytrzymał jego spojrzenie, po czym sięgnął po szklankę z herbatą stojącą na stole. Pomyślał o zawodowym opanowaniu Paquita Arañii, o strumieniu krwi Juana Trejo, który o mało nie ochlapał mu butów, o pulsie w tętnicy szyjnej Evy pod jego wargami.

– Jasne – szepnął. – Coś w tym stylu.

Herbata okazała się zimna. I gorzka.

Dzień był letni, na przemian chmury i słońce. Pożegnawszy się z konsulem i z komandorem Navią, ruszył przez kryte wąskie uliczki targu w stronę mieszkania operatora radiowego. O tej porze było tu sporo ludzi: sprzedawców w galabijach zachwalających swój towar, Europejsek w kapeluszach i muzułmanek o zakrytych twarzach, jedne i drugie dźwigały koszyki z zakupami. Pachniało surowym mięsem, rybą, świeżymi warzywami, dojrzałymi daktylami i lokalnymi przyprawami.

Przechodząc obok malutkiej masarni, zobaczył, jak sprzedawca zarzyna kurę dla kupującego, trzymając za łapy machające skrzydłami ciało, podczas gdy krew ściekała do miski. Nie potrzebował bodźców tego typu, ale instynktownie rozejrzał się wokół siebie. Nie robił sobie złudzeń co do celu wizyty Ewy Neretwy w jego pokoju i w kwestii pozostałej części dnia. To będzie trudna doba, a w jego świecie trudne dni bywały zwykle niebezpieczne.

W tej branży, pomyślał, uśmiechając się cynicznie w głębi ducha, jedyny łatwy dzień przypada, kiedy już jesteś martwy.

Dla niego nie było w tym nic złego. Wręcz przeciwnie, lubił takie życie. Przypływ adrenaliny do krwi, suchość w ustach przed każdym nowym wyzwaniem, niepewność, gdy poruszał się po miejscach, gdzie grą rządził rytuał życia albo śmierci, to wszystko dawało mu niezwykłą jasność umysłu, wrażenie dobrostanu podobne do tego, jaki powodowały środki przeciwbólowe, gdy uśmierzając ból i wyrównując bicie pulsu w skroniach, pozwalały mu spoglądać na świat ze spokojnym dystansem.

Paradoksalnie ryzyko, napięcie, strach napełniały Falcó życiem i świadomością samego siebie. Samochody pancerne otwierające ogień

w Budapeszcie, nielegalne dostawy broni na Morzu Czarnym i Morzu Egejskim, obławy policyjne w Sofii, Belgradzie czy Barcelonie, fałszywe tożsamości, nocne granice tej fascynującej Europy w konwulsjach... Wszystko to budziło w nim uczucia podobne do szczęścia, ważniejsze od innych konwencjonalnych przyjemności, takich jak komfort, odpoczynek, jedzenie czy seks. Dla Falcó „niebezpieczeństwo” było słowem o wielu ciekawych synonimach. Nic nie stymulowało go tak jak poczucie pogrążenia w nim zmuszające do wykorzystania w celu przeżycia swych najlepszych cech: charakteru, instynktu i wyszkolenia. Nic nie niosło takiej satysfakcji, takiego pobudzenia, jak świadomość, że chcą go zabić i nie mogą.

W tym stanie ducha, mając napięte wszystkie zmysły – był to jeden z owych automatycznych gestów, które wdrukowały weń lata życia w konspiracji – wychodząc z Zoco Grande zatrzymał się przed kioskiem z gazetami, kupił „La Dépêche” i udając, że ją przegląda, obrzucił wzrokiem konne dorożki i taksówki stojące na przystanku; ludzi zasiadających przy straganach z sardynkami, placuszkami z suszonego dorsza i marokańskimi przekąskami; sprzedawców przykucniętych w cieniu drzew i płóciennych daszków. Szukał ukrytych wrogów, którzy potwierdziliby tę formę życia.

Powiedział mu to ubiegłego lata Admirał, gdy Falcó wrócił z misji infiltracyjnej w czerwonym Madrycie, w której był o włos od śmierci – miał zabić dwóch ludzi i zrobił to, choć ten drugi o mało co nie zabił jego – „Do ciebie idealnie pasuje słowo, które jest obecnie w modzie, notorycznie nadużywane: psychopata. Bo nim właśnie jesteś, chłopcze, bez dwóch zdań. Mówi ci to gość z Betanzos: jesteś pieprzonym psychopata. W innych wojnach też się zabija ludzi, to oczywiste, ale w tej się morduje. Robi się to po jednej stronie i po drugiej, w mgnieniu oka kat może stać się ofiarą. I na

odwrót. Dlatego ta wojna tak bardzo odpowiada nam, Hiszpanom, a zwłaszcza tobie. Jest doskonała dla kryminalistów bez sumienia, bez poczucia przyzwoitości, bez pragnienia chwały”.

Villarrubii nie było w Café de París i Falcó zdziwił się. Operator był zdyscyplinowanym chłopakiem i nigdy wcześniej się nie spóźnił. Agent zdjął kapelusz i usiadł tyłem do ściany przy stoliku, skąd mógł obserwować wejście i ulicę; zamówił szklanekę mleka i czekał, podczas gdy czyścibut glansował mu buty. Dziesięć minut później wstał i wyszedł z kawiarni. Coś tu nie grało.

Szedł powoli chodnikiem po prawej stronie bulwaru jak najdalej od krawężnika i nadjeżdżających samochodów, zastanawiając się nad tym wydarzeniem. Instynkt doradzał mu czujność, a właściwie wprowadzał go w ten stan automatycznie. Doszedł do numeru dwadzieścia osiem z pozorowaną naturalnością; nie wiedział, czy jest obserwowany, ale miał napięte wszystkie zmysły i mięśnie niby jaguar, łowiąc każdy szczegół, każdy trop potencjalnej groźby. W połowie drogi zawrócił, jakby jego uwagę przykuła witryna agencji podróźniczej Cooka – reklama kasyna w Monte Carlo i egipskich piramid – dzięki czemu mógł zlustrować ulicę, którą nadszedł, a także odbity w szybie chodnik po przeciwnej stronie. Nie dostrzegł nic podejrzanego.

Wchodząc do sieni, upewnił się, że w magazynku browninga jest jedna kula, i wsunął broń z powrotem do kabury. Potem wszedł ostrożnie po schodach aż do drzwi, które okazały się zamknięte. Dotarł aż na ostatnie piętro, by sprawdzić, czy nikogo tam nie ma, po czym wrócił pod lokal kontaktowy. Miał klucz, więc wsunął go w zamek, starając się zrobić to bezszelestnie. Otworzył powoli lewą ręką, ściskając pistolet w prawej i przeszedł przez wszystkie pokoje. Nie było nikogo.

Chowając pistolet, zauważył pewną rzecz. Sprzęt radiowy nie leżał na stole jadalni, z lampy nie zwisał kabel anteny. Villarrubia rozkładał aparaturę codziennie przed wyjściem do Café de París, teraz jednak, stwierdził Falcó, zaglądając do szafy, radiostacja tkwiła wciąż w walizce. W sypialni łóżko było pościelone, w kuchni nie zobaczył śladów śniadania. Najwyraźniej młody nie wrócił na noc. Falcó bardzo uważnie przeszukał ponownie całe mieszkanie, rozglądając się za jakimś tropem, lecz niczego nie znalazł. Podeszedł do okna, obserwował przez chwilę ulicę przez szparę w firankach. Tu także nie spostrzegł niczego niepokojącego.

To nie tak, że coś nie gra, powiedział sobie. To wszystkie dzwony biją na alarm. Stał przez moment nieruchomo, analizując chłodno sytuację i kroki, które należało przedsięwziąć. Eva Neretwa spędziła z nim noc w Continentalu. Jednocześnie operator radiowy spędził noc poza domem. Był to dziwny zbieg okoliczności, biorąc pod uwagę, że w jego pracy zbiegi okoliczności nie istniały, a przypadki stanowiły część intrygi. „To przypadek” – tak brzmiało wyjaśnienie, które uspokajało tylko idiotów.

Z tą myślą i z niepokojem w głowie ruszył w stronę drzwi, otworzył je i wyszedł na schody. Wciąż szedł zamyślony i być może dlatego popełnił błąd. Osłabił czujność.

I właśnie wtedy skoczyli na niego.

Było ich dwóch, zorientował się po pierwszym ciosie. I nie zamierzali go zabić, lecz wziąć żywcem. A przynajmniej próbowali. To było jego pierwsze szczęście w nieszczęściu. Drugie, że uświadamiając sobie niebezpieczeństwo na sekundę wcześniej i pragnąc uniknąć uderzenia, uchylił się desperacko, stawiając krok w powietrze zamiast na stopień, przewrócił się i stoczył po schodach. Dało mu to trzy metry dystansu

od napastników, wystarczyło, gdy wstawał obolały, lecz gotowy do walki, by zobaczyć ich obu, jak rzucają się na niego z podestu.

Jeden wyglądał na Berbera, drugi na Europejczyka. Para mieszana. Berber dopadł go pierwszy – był umięśniony, miał kręcone czarne włosy – a Falcó przywitał go ciosem w splot słoneczny tak podręcznikowym, że gość, którego płaski nos i mięśnie zdradzały potencjalnego boksera, być może doceniłby go w innych okolicznościach. Teraz jednak przeciwnik zachłysnął się, zatrzymał i opadł na schody, jakby nagle zabrakło mu powietrza i sił. Falcó chciał wyciągnąć wówczas pistolet, lecz nie zdążył, ponieważ drugi napastnik ominął pierwszego ze zdumiewającą zręcznością i przyskoczył do niego.

Był jasnowłosy, wysoki i szczupły, ale silny. Wyszkolony i zajadły. Przewyższał go niemal o głowę, miał długie ręce zaciśnięte w pięści. Umiał się bić i udowodnił to, posyłając Falcó w twarz prawy sierpowy, który rzucił go na ścianę. Agent odniósł wrażenie, że jego mózg zatrzęsł się w czaszce, i usłyszał echo jakby uderzenia w bęben. W nogach pojawił się ból po upadku ze schodów. Kiepska sprawa.

Jeśli przyłożą mi jeszcze raz tak samo, polecę na ziemię, pomyślał. I nie kiwnę więcej palcem.

Nie miał zatem innego wyjścia, jak uchwycić się wysokiego typu i spróbować walnąć go kolanem w krocze. Ubranie napastnika cuchnęło tytoniem i naftaliną. Czuł tuż przy uchu jego urywany oddech i silne łapska szukające jego gardła. Skurwiel znał dobrze swój fach.

Nie pozwolę się udusić jak imbecyl, przemknęło mu przez myśl.

Z plecami opartymi o ścianę przywarł do napastnika i wciąż próbował kopnąć go kolanem. Raz, drugi, trzeci. Ale ów wymykał się. Kątem oka dostrzegł, że Berber wstaje ciężko, i zrozumiał, że jeśli się nie pośpieszy, ma przerypane.

Tum.

Tym razem powiodło mu się. Trafił w ciało, a to dodało mu wigoru.

Tum, tum, tum.

Po czwartym walnięciu typ puścił zdobycz i zachwiał się. Wypuścił z płuc wielką ilość powietrza i zgiął się wpół, podnosząc ręce do brzucha. Falcó zdążył zobaczyć wreszcie jego oczy – jasne, być może należące do krótkowidza – i bladą skórę twarzy, która nagle pokryła się potem, jakby chluśnięto na nią wodą. A wówczas zapomniał na chwilę o nim i zajął się tym pierwszym.

Berber stał już i coś błyszczało w jego prawej ręce.

Zawsze wobec nagiej stali Falcó czuł dreszcze w pachwinach. Miał tak od dziecka; nie mógł nic na to poradzić i nie było to miłe uczucie. A jednak nie utrudniało czynności defensywnych i ofensywnych, wręcz przeciwnie. Skłaniało do szybkiego działania, obrony albo ataku, w zależności od sytuacji. Krótko mówiąc, do uniknięcia szkodliwych efektów – odradzanych przez każdego lekarza – przyjęcia pół cala stali w ciało takich jak krwotok i tym podobne.

Rutynowe działania mające na celu przeżycie.

Przetrenował to pół tysiąca razy w Tirgo Mures.

Był w odpowiedniej odległości i mógł wybrać sposób rozwiązania tej kwestii, więc przełączył się na tryb działania automatycznego. Napiął mięśnie. Odwrócił się bokiem, by chronić brzuch, podniósł lewą rękę, zamarkował krótki cios, zgiął nieco kolana i prawą dłonią chwycił uzbrojoną rękę tamtego tuż pod pachą. Przez moment słyszał odgłos noża tnącego na nim ubranie, ale nic nie poczuł. Berber pochwycony za ramię i plecy leciał już w dół schodów.

Teraz zrobmy przegląd sytuacji, powiedział sobie, wydając westchnienie ulgi.

Obok niego wysoki i chudy facet podnosił się powoli w połowie schodów. Falcó pomyślał o broni, ale to umniejszyłoby przyjemność. A nadeszła pora nacieszenia się spotkaniem. Przez chwilę przyglądał się uważnie przeciwnikowi, zapamiętując jego rysy. Przystojniak. Twarz nieco końska, choć o regularnych rysach. Słomkowe włosy rozwichrzone walką opadały mu kosmykami na czoło. Miał sportową koszulkę pod marynarką, białe buty do tenisa i modne spodnie typu pumpy. Nie wyglądał na Hiszpana. Raczej na Anglosasa.

To Garrison, uświadomił sobie nagle Falcó. Bolszewicki agent. Amerykański kolega Evy Neretwy.

Napastnik usiłował sięgnąć do kieszeni. Z pewnością był uzbrojony, ale Falcó nie zamierzał pozwolić mu na posługiwanie się narzędziami szkodliwymi dla zdrowia. Wymierzył więc w jego pierś kopniaka, który wbił przeciwnika w ścianę i wydarł z ust przeciągły jęk. Podszedł o krok bliżej, zamierzając kopnąć ponownie – tym razem celowałby w twarz – lecz ku jego zdziwieniu gość zareagował z zimną krwią, zrobił unik i zerwał się z pięściami gotowymi do walki. Twarda sztuka, bez dwóch zdań. Do tego stopnia, że zanim Falcó podjął decyzję w sprawie kolejnego uderzenia, otrzymał cios pięścią tak silny, że w oczach rozbłysły mu kolorowe światełka.

O kurwa, pomyślał. Zaczynamy od nowa.

Przeklinając się w duchu, że nie wydobył pistoletu, póki jeszcze był czas, nabrał powietrza, niemal cudem uchylił się przed drugim ciosem i zamiast wycofać się, na co z pewnością liczył przeciwnik, ponownie przyskoczył do niego. Mocowali się, próbując powalić się na ziemię, a w końcu stoczyli się obaj, wciąż zwarci, kilka stopni niżej i upadli obok Berbera, który na szczęście leżał tam nadal bez ruchu. Falcó udało się wreszcie opasać lewym ramieniem kark blondyna, naciskając mocno,

uwolnił prawą rękę i zaczął okładać go pięścią po twarzy, celując przede wszystkim w nasadę nosa i w oczy.

Głuche pomruki i krew płynąca z nosa.

Klok, kloki.

Potem jęki i więcej krwi.

Klok, kloki, kloki, rozbrzmiewały uderzenia w kości twarzy.

Szło mu nieźle. Falcó zaczynał odczuwać obezwładniające zmęczenie, ale szło mu nieźle.

Kloki.

Garrison, czy jak się tam nazywał, wypluł zęba. Uścisk jego rąk wokół ciała Falcó słabł. Twarz, początkowo twarda i napięta, miękła z każdym ciosem.

Kloki, kloki.

Falcó walił jak młot, systematycznie. A wówczas nieoczekiwanie tamten wydał z siebie nieludzki skowyt i jakby zebrał wszystkie siły, jakie mu zostały, by przeżyć, wygiął gwałtownie ciało, rąbnął Falcó głową w czoło – trysnęła kolejna fontanna kolorowych iskier – i przetoczył się na bok, próbując wstać.

To by było na tyle, pomyślał Falcó. Kończymy zabawę.

Sięgnął ręką do pasa i wydobył pistolet. Jednakże gdy wycelował, tamtego już nie było. Trójkąt światła w korytarzu zamknął się za nim niby kurtyna.

Co za poranek, podsumował Falcó.

Wstał z trudem, nie śpiesząc się. Bolało go całe ciało od włosów po paznokcie u stóp. Berber leżał wciąż na plecach koło schodów. Poruszał się teraz słabo, odzyskując pomалу przytomność. Wydawał cichy, chrapliwy jęk.

Jego nóż leżał na ziemi kilka kroków dalej. Falcó poszedł po niego. Miał dobrą klingę, cal albo i więcej. Podwójne ostrze. Ten widok przypomniał mu o dźwięku rozdieranego płótna, więc pomacał swój lewy bok pod marynarką i wyjął rękę poplamioną własną krwią. Nie bolało go, nie szczypało, nic. Nie wyglądało na głęboką ranę. Raczej na draśnięcie.

Jego kapelusz także stoczył się pod schody. Berber upadł nań i go przygniótł. Falcó zepchnął ciało ze swojego nakrycia głowy... Stetson za osiemdziesiąt siedem i pół franka był całkowicie zdefasonowany i wyglądał żałośnie.

Berber wciąż jęczał. Miał na wpół otwarte oczy i wygląd znokautowanego boksera. Falcó pochylił się nad nim, pokazując mu kapelusz. Spoglądał z bliska twardymi, szarymi oczami.

– Był nowy, gnoju.

Po czym chlasnął go nożem w twarz, przecinając ją na ukos.

Po doprowadzeniu ubrania do porządku i zwieńczonej umiarkowanym sukcesem próbie przywrócenia kapeluszu poprzedniego kształtu Falcó nałożył stetsona na głowę i wyszedł na ulicę. Nieopodal znajdował się *bar-tabac*. Wszedł do toalety i spojrzał w lustro.

Mogło być gorzej, uznał.

Nie licząc bólu w całym ciele – ale to nie rzucało się w oczy – po potyczce zostały mu krwiał pod okiem i kilka pręg na szyi. Poza tym miał otarte knykcie poplamione krwią własną i cudzą oraz krople krwi na mankietach koszuli. Nic spektakularnego. Do tego czerwonawe wybroczyny w białkach oczu, twarz wciąż jeszcze ściągniętą napięciem. Obmył ją zimną wodą i przygładził do tyłu włosy, nabierając bardziej cywilizowanego wyglądu. Potem zdjął marynarkę, krawat i koszulę, by obejrzeć kontuzjowane ciało i ranę. Miał kilka siniaków, ale nóż tylko

drasnął go w lewy bok. Krew już zaschła, piekło go odrobinę, to wszystko. Dziura w marynarce też nie była wielka. Usunął krople krwi, pocierając je zmoczoną chusteczką, założył koszulę i marynarkę, zawiązał krawat. Przed wyjściem z toalety wyjął z kieszeni fiolkę i połknął dwie kopiryny, podstawiając usta pod strumień wody z kranu.

Za kasą siedziała Francuzka, energiczna, dojrzała i tleniona po same brwi. Gdy Falcó poprosił o żeton do telefonu, popatrzyła podejrzliwie na jego obitą twarz, lecz promienny uśmiech rozwiął jej nieufność.

– Zazdrosna narzeczona – rzucił, puszczając do niej oko.

– Ja też bym tak się zachowała – skomentowała.

– Przy pani nie miałbym powodu, żeby patrzeć na inne.

Mile połączona kasjerka przyglądała się, gdy szedł do kabiny, wkładał żeton i wykręcał numer Antona Rexacha.

– Gdzie pan jest? – zapytał ów, gdy tylko zorientował się, kto dzwoni.

W jego głosie pobrzmiwał niepokój i Falcó zrozumiał, że u niego też coś nie gra.

– Niedaleko domu kolegi, którego odwiedzam zwykle o tej porze – odpowiedział.

Rexach milczał przez chwilę. To było milczenie pełne napięcia. Niepokojące.

– Miał pan jakiś problem? – zagadnął w końcu Rexach.

To nie był optymistyczny sposób prowadzenia rozmowy. Próbując zapalić papierosa włożonego do ust, Falcó poczuł, że na najbliższą przyszłość pada cień. Pomyślał o domniemanym Garrisonie i Berberze o przeciętej twarzy.

– Jakiś problem wystąpił, w rzeczy samej... Dlaczego pan pyta?

– Bo pański kolega także miał problemy.

Język przywarł mu nagle do podniebienia, suchy, jakby posypany piaskiem. Poruszył się niespokojnie. Tak mocno ścisnął słuchawkę, że pobieląły mu knykcie.

– Ma pan na myśli poważne problemy? – zapytał, obawiając się odpowiedzi.

– Dość poważne.

Starał się myśleć jak najszybciej, wyobrażając sobie możliwe warianty. I nie podobało mu się to, co sobie wyobrażał. Nie podobało mu się ani trochę. Zastanawiał się, czy komunistyczni agenci działali z własnej inicjatywy, czy ich atak miał coś wspólnego ze spotkaniem z kapitanem Mount Castle zaplanowanym na dzisiejszą noc. W pierwszym przypadku groził mu tylko problem. W drugim katastrofa.

– Musimy natychmiast się spotkać – powiedział.

Rexach wydał chyba westchnienie ulgi.

– Właśnie to chciałem zaproponować.

– Proszę mi powiedzieć gdzie.

– Pod konsulatem Francji za dziesięć minut.

Falcó odwiesił słuchawkę, wyszedł z kabiny i znalazł w sobie na tyle siły, by posłać jeszcze jeden szeroki uśmiech kasjerce. Jednakże gdy znalazł się na ulicy, poczuł głębokie znużenie. Przystanął na moment z pomiętym rondem kapelusza nad oczami, z wciąż niezapalonym papierosem zwisającym z koniuszka ust. Oby kopiryny szybko zadziałały, pomyślał. Podejrzewam, że to nie ostatnie, jakich będę dziś potrzebował.

12. OKO ZA OKO

Korytarz był długi i zimny, wyłożony białymi kafelkami, a echo kroków trzech mężczyzn zdawało się nieść aż do najdalszych zakątków, niewidzialnych i mrocznych.

– Co za nieszczęście – szepnął Rexach.

Policjant i konsul przepuścili Falcó w drzwiach. W sali znajdowało się sześć marmurowych stołów, na czterech leżały ciała okryte prześcieradłami. Nieduży człowieczek w szarym fartuchu, który czytał na ławce w głębi, wstał i wyszedł im naprzeciw. Policjant pokazał na jedno z ciał.

– Ten – powiedział.

Miał kręcone szpakowate włosy, insygnia hiszpańskiego podoficera na mundurze. Stary sierżant żandarmerii międzynarodowej. Pod pachą trzymał pałkę, palił papierosa w połączanym ustniku. Został z tyłu, opierając się o drzwi, podczas gdy Rexach i Falcó szli za szarym człowieczkiem.

– Jest pan jedynym, który może go zidentyfikować – powiedział Rexach przepraszającym szeptem.

– A policjant? – zapytał Falcó także szeptem.

– Nie ma problemu... Znam go dobrze, a smaruję mu łapę jeszcze lepiej. Zachowaj dyskrecję.

– Mam nadzieję.

– Mówię panu. Proszę się nie martwić.

Człowieczek w szarym fartuchu odsunął prześcieradło.

– Matko najświętsza – szepnął Rexach.

Falcó nie był człowiekiem ulegającym sentymentom, ale poczuł ukłucie współczucia, prawie wzruszenia. Albo nie prawie. Villarrubia spędził kilka przykrych chwil, zanim umarł. A te przykre chwile trwały dość długo, bez dwóch zdań. Nie śpieszyli się. Ani trochę.

– Niech pan popatrzy, co mu zrobili – powiedział Rexach drżącym głosem.

Falcó patrzył. Na ślady oparzeń papierosem na udach, torsie i genitaliach, na krwiaki i cięcia na piersi. Skóra, bardzo blada, żółtawa, otwierała się na wysokości serca, tkwiły tam bardzo blisko siebie trzy szpary koloru fioletowego. Trzy ciosy nożem położyły kres temu, co dla młodego operatora radiowego musiało być długim piekłem.

– To on? – zapytał Rexach.

– Tak, to on.

Rexach dał znak policjantowi, ów podszedł do nich.

– Ten pan nie rozpoznał trupa... Jest mu całkowicie nieznany.

Podoficer omiótł beznamiętnym wzrokiem twarz Falcó.

– Czy to prawda, proszę pana? Nie zna go pan?

– Nie widziałem go nigdy w życiu.

Policjant spojrział na niego jeszcze raz, nie mrugając powiekami. Potem podniósł do ust papierosa, zaciągnął się głęboko i wypuścił powoli chmurę dymu.

– Rozumiem.

– Tak – zakończył rozmowę Rexach. – Przykro nam.

– Jasne. – Policjant odwrócił się do szarego człowieczka. – Zapisz: mężczyzna rasy białej, niezidentyfikowany.

Ów potaknął, wracając do ławki. Policjant popatrzył jeszcze raz na Falcó.

– W takim razie to koniec formalności – powiedział.

– Dziękuję panu.

– Nie ma za co. Poczekam, aż panowie będą gotowi do wyjścia.

Wrócił do drzwi i oparł się o nie tak jak poprzednio. Było oczywiste, że Rexach potrafił kupować współpracę i dyskrecję. Mieszkam w Tangerze, powiedział kilka dni temu. To był widomy dowód.

Falcó spojrzał na frankistowskiego agenta.

– Gdzie go znaleziono?

Rexach zerknął na policjanta i szarego człowieczka, upewniając się, że nie podsłuchują.

– Pod murem żydowskiego cmentarza – odrzekł bardzo cicho. – Na wpół owiniętego w parciany worek. Najwyraźniej zabili go o świcie, a przedtem torturowali przez całą noc... Nawet nie pofatygowali się, żeby go w coś ubrać.

Falcó pochylił się nad trupem. Pachniał jakimiś substancjami chemicznymi. W jasnych oczach o matowych źrenicach pod nieruchomymi powiekami malował się dziwny spokój. Obojętność. Nieboszczyk wydawał się mniejszy i młodszy. Ludzie zawsze wydają się mniejsi i delikatniejsi, kiedy są martwi.

– Obawiam się, że to odpowiedź na Treja – odezwał się Rexach tonem typu „ostrzegałem pana”. – Oko za oko.

To coś więcej niż odwet, pomyślał Falcó. To wiadomość osobista. Kiedy Eva Neretwa przysłała do niego do hotelu, jej kolega już porwał Villarrubię. Ona wiedziała o tym. Może nawet zrobiono to na jej rozkaz. A kiedy spędzała noc z Falcó, Garrison zajmował się młodym, zapewne korzystając z pomocy zbira o wyglądzie boksera. Te trzy sztychy w serce kojarzyły się z nożem, którym Falcó po walce pociął Berberowi twarz.

– Domyślałam się, że sporo im wyśpiewał przed śmiercią – powiedział Rexach.

Wyjął chusteczkę i dotykał nią sobie brwi, jakby się spocił. Falcó spojrział na niego jak na idiotę.

– Na pewno. – Pokazał ręką ślady na ciele. – Każdy by wyśpiewał.

– Posiadał ważne informacje?

– Kilka.

– Cóż... Dużo?

– Niedużo.

Rexach spojrział na policjanta przy drzwiach, a potem na pracownika kostnicy. Zniżył głos jeszcze bardziej.

– A o operacji planowanej na dzisiejszą noc?

– Nie. – Falcó zastanawiał się przez chwilę, analizując ewentualne przeoczenia w systemie bezpieczeństwa, po czym pokręcił głową. – O tym nie wiedział nic.

– Jest pan pewien?

– Całkowicie.

– Na szczęście. – Rexach wydał cichy świst ulgi. – Bo inaczej wszystko by diabli wzięli, tak?

– On tylko przekazywał zaszyfrowane wiadomości, których treści nie rozumiał.

– To dobrze. Bardzo dobrze. Nie wie pan, jak bardzo uspokoiły mnie pańskie słowa. To znaczy, że nie wyciągnęli z niego zbyt wiele.

Falcó ponownie pokazał na cięcia i ślady po oparzeniach.

– Obawiam się, że to był jego główny problem. Nie wiedział zbyt wiele, ale tamci sądzili, że wie... Przekonanie się o tym zajęło im całą noc.

– Biedaczysko.

Falcó patrzył na wpółotwarte oczy młodego. Na ten dziwny wyraz spokoju.

– To był dobry chłopak – szepnął.

– Tak, oczywiście – Rexach potwierdził uroczystym tonem. – Dobry chłopak.

I to było całe epitafium operatora radiowego.

Następne półtorej godziny Falcó spędził w ciągłym ruchu, nie zatrzymując się ani na minutę. Było zbyt wiele rzeczy do zrobienia, a czas naglił.

Pozbawiony łączności radiowej, nie ufając telefonom i centralom, które ktoś mógł podsłuchiwać, nie miał innego środka komunikacji oprócz urzędów telegraficznych. Odrzucając z oczywistych względów hiszpański i mając ograniczone zaufanie do francuskiego, postanowił posłużyć się brytyjskim. Udał się tam i spędził długi czas przy stoliku w głębi, maczając pióro w kałamarzu i redagując telegramy przeznaczone dla Admirala. Używał półszyfru, raczej niedomówień i aluzji niż liter i cyfr.

Pracował nad brudnopisami dość długo i przepisał treść na czysto dopiero wtedy, gdy był całkowicie zadowolony. Informował Admirala przede wszystkim o śmierci Villarrubii i rychłej operacji przekupienia kapitana Quirosa. Nie oczekiwał odpowiedzi, więc oddawszy druczki w okienku – obsługiwał go brytyjski urzędnik, oschły i kompetentny, który nawet nie podniósł na niego wzroku – uiścił opłatę i wyszedł.

Było mało prawdopodobne, by po potyczce przy boulevard Pasteur czerwoni znów próbowali go dopaść, w każdym razie nie od razu. Jednakże, jako że przezorny zawsze ubezpieczony, siedł w napięciu, czujny, stosując wszystkie znane sobie zasady bezpieczeństwa, wykorzystując topografię miasta, by zmylić trop, zabezpieczyć tyły,

zwracał uwagę na skomplikowaną geometrię kątów i linii, ewentualnych pól ostrzału, właściwych i niewłaściwych stron ulicy, dróg ucieczki, szukając wzrokiem czegoś groźnego, punktów krytycznych, gdzie łatwo było o cios nożem, o strzał z daleka czy z bliska.

Żołądek miał pusty, ale odsunął myśl o tym, by zatrzymać się i coś gdzieś przegryźć. Nie zamierzał stać się nieruchomym celem. Wolał poruszać się powoli, by w razie konieczności dysponować zapasem energii. Na pozór rozluźniony, omiatał otoczenie doświadczonym wzrokiem. Szedł z rękami w kieszeniach i w kapeluszu nasuniętym na oczy poruszające się szybko niby gałki oczne drapieżnego ptaka, studiując twarze, sytuacje, postawy, szczegóły, wszystko, co mogło stanowić o różnicy między człowiekiem, który oddycha, a kawałkiem bladego ciała na marmurze kostnicy.

Miasto zawsze jest neutralne, przypominał sobie. Podobnie jak noc czy dżungla. Powiedział mu to Rudi Kreiser, jeden z jego instruktorów z Gestapo, podczas kursu nowoczesnych technik bezpieczeństwa, który Falcó odbył w Berlinie. Na czyją stronę się przechyli, twierdził Kreiser, zależy od ciebie. Falcó wiedział, że to prawda. Ludne miasto takie jak Tanger stanowiło zawsze neutralną scenę. Terytorium mogące stać się sojusznikiem albo wrogiem w zależności od wykszolenia i zamiarów osoby, która się po nim przemieszczała.

Nieopodal hotelu zatrzymał się i zawrócił, podwajając czujność. Nikt go nie śledził. Poszedł później wąską uliczką krytą starym łukiem mauretańskim i dotknął kolby pistoletu, kiedy Berber w płaszczu z kapturem i w fezie przeszedł bardzo blisko niego. W tym momencie przyszło mu do głowy przysłowie zasłyszane na Bałkanach: „Kiedy pali ci się grunt pod nogami, trzymaj się diabła, dopóki nie przejdziesz przez most”.

Wiedział, że najbezpieczniejszym sposobem przejścia przez most jest samemu zostać diabłem.

Paquito Araña, punktualny jak zawsze, myszkował po bazarze marokańskim hotelu Continental. Falcó zobaczył go, kiedy ów przyglądał się bamboszm. Miał żółtą muszkę i dwukolorowe buty w szpic, w rękach trzymał elegancką panamę z szerokim rondem. Towarzyszący mu zapach brylantyny i wody różanej dominował nad zapachem sklepu, starego mosiądzu i źle wyprawionej skóry.

– Załatwili mojego radiowca – powiedział mu Falcó.

Zabójca uniósł wydepilowane brwi.

– Co ty powiesz.

– To, co mówię.

– Podaj szczegóły.

Zaczął szczegółowo opowiadać, gdy wychodzili na ulicę. Araña słuchał bez słowa aż do końca opowieści.

– Tak bywa – skomentował beznamiętnie.

– Tak.

Doszli do bastionu z armatami. Zatrzymali się, by popatrzeć na port pod niebem w plamy błękitu i w niskie, perłowe chmury. Widać stąd było doskonale stojące przy kei wśród żurawi i szop Mount Castle i narodowego niszczyciela.

– Dziś w nocy przechodzi na naszą stronę kapitan Quirós – oznajmił Falcó. – A w każdym razie taką mam nadzieję.

– Ze statkiem?

– Oczywiście.

– Ta historia twojego radiowca nic nie zmienia?

– Niewiele, jeśli chodzi o dzisiejszą noc.

– A jaka jest moja rola w tym spektaklu?
– Chronić mnie. Będę prznosił dużą sumę pieniędzy.
– W gotówce?
– Tak. A kiedy już tam będziemy, masz pilnować, żeby nie wycięli nam numeru w stylu Fu-Manchú.

– A jeśli wytną?

– Chcemy wyjść cało.

– Szanse?

Falcó zastanowił się szybko.

– Przynajmniej pół na pół.

– Jak zwykle, co...? Orzełek albo reszka.

– Tym razem rokowania są niezłe, powiedziałbym.

– A jak zamierzasz zakończyć sprawę, piękniśiu? Kiedy załoga dowie się, co zrobił kapitan, nie sądzę, żeby wszyscy siedzieli z założonymi rękami.

– Jak wejdą na pokład ludzie z niszczyciela, nikt nawet nie piśnie.

– Myślisz?

– Jestem prawie pewien.

– Tylko prawie?

– Właśnie tak. Tylko prawie.

– To opowiedz mi, jak sprawy stoją, żebym miał ogląd całości. Na operację i to, co ją poprzedziło.

Więc Falcó opowiedział mu wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Oprócz nocnej wizyty Ewy Neretwy, którą zachował dla siebie. Wszystko, co wiedział i co zamierzał. Także zasadzkę przy boulevard Pasteur.

– Odpłacili ci się za Treja – uznał cyngiel.

– Na sto procent.

Araña potarł paznokcie o marynarę i sprawdził efekt. Wydawał się rozbawiony faktem, że Falcó był o włos od zajęcia drugiego stołu w tangerskiej kostnicy.

– I to był ten Garrison, powiadasz? Jankeski komunista?

– Jestem pewien.

– I wyszedł z tego żywy? Skrobnąłeś tylko Berbera? – Araña wyduł wargi i spojrzał na niego szyderczo. – Myślę, że tracisz moc, synku.

– Być może.

– To wygodne życie tak cię rozpieściło. Zbyt dużo relaksu.

– Z ust mi to wyjąłeś.

Zabójca śmiał się cicho, nieprzyjemnie i groźnie.

– A skoro już mówimy o relaksie, jak tam kobieta? Co słyhać u twojej bolszewickiej koleżanki?

– Nic szczególnego. Tak jak ci mówiłem, to ona tu dowodzi.

Araña przyglądał mu się z ciekawością.

– To ona kazała zabić twojego radiowca, co?

– Tak myślę.

– Nieźle ci się odpłaciła za przysługę w Salamance, suka jedna...
Czerwona dziwka.

Falcó nie odpowiedział. Patrzył na port i zatokę. Araña zdjął kapelusz, przyglądał farbowane włosy i kokieteryjnym gestem założył ponownie nakrycie głowy.

– Czasami za bardzo się wymądrzasz – skomentował, wzdychając.

– Być może.

– Pewnego dnia przyjdą po ciebie o świcie i aniołek poleci do nieba.

Falcó zapalał papierosa, osłaniając płomyk złożonymi dłońmi.

– Pieprz się.

Araña spojrzął na zegarek, jakby na serio rozważał tę propozycję.

– Nie o tej porze, kochasiu. Za wcześnie... Nie o tej porze.

Od wieków mężczyźni szykowali się do walki, pomyślał Falcó. Wykonywali rytualne czynności poprzedzające starcie: polerowali krzemienne ostrza siekier, nakładali zbroje, ostrzyli miecze. Kiedyś przeczytał, pewnie w jakiejś powieści kupionej na dworcu albo w czasopiśmie ilustrowanym – a może było to dużo dawniej, w czasach szkolnych – że u progu śmierci w Termopilach o świcie swojego ostatniego dnia, stojąc naprzeciw perskiej armii, trzystu spartańskich hoplitów uczesało włosy i brody i wyczyściło zbroje, po czym powoli i metodycznie ubrało się w pancerze i wyruszyło w bój.

Obraz ten został mu w głowie i wracał zawsze wtedy, gdy Falcó znajdował się w podobnym położeniu, szykując się do akcji. Nie było w tym nic patetycznego ani dramatycznego i był pewien, że tych trzystu wojowników nie robiło tego z transcendentnymi myślami. Ludzie pewnej kategorii nie przybierali heroicznych póz i nie wypowiadali fraz dla potomności. Dlatego właśnie chętnie wyobrażał sobie Spartan o świcie tego ostatniego dnia, tak jak wielu innych mężczyzn, których widział, gdy z obowiązku albo z urzędu patrolowali nocą ciemny brzeg. Wiedział, jak się czuli: spokojni, pogodzeni z losem, gotowi. W przyszłości, która była jeszcze przed nimi zakryta, w życiu lub śmierci ich wszystkich – to dotyczyło także Falcó – żyć albo umrzeć pozostawało czystą formalnością. Prostą konsekwencją reguł gry.

O tym myślał, szykując się do akcji w pokoju numer sto osiem.

Wziął gorącą kąpiel, ogolił się bardzo starannie, powoli uczesał się przed lustrem, włosy zaczesał do tyłu brylantyną i zrobił wysoki i bardzo równy przedziałek po lewej stronie. Draśnięcie na boku szczypało go lekko,

lecz nic nie wskazywało na zakażenie. Przyłożył doń gazę i przykleił plastrem. Włożył bawełnianą, szaroniebieską koszulę z miękkim kołnierzykiem, drelichowe spodnie, buty Keds, angielskie, sportowe, z gumową podeszwą, pas z brązowej skóry z kaburą, krawat w czerwone i niebieskie paski, który w tym momencie wiązał wolno i metodycznie, sprawdzając co do milimetra odległość między rąbkiem krawata a sprzączką pasa.

Spojrzał na zegarek. Pora iść.

Z radia kryształowego Emerson dobiegała piosenka Édith Piaf *Mon légionnaire*. Podśpiewując ją, Falcó włożył marynarkę i zaczął umieszczać w kieszeni niezbędne przedmioty: fiolkę z kopirynami, zapalniczkę, papierośnicę z dwudziestoma papierosami, pióro, notes, portfel, czystą chusteczkę i poświadczający oficjalne przekazanie statku dokument, który miał podpisać kapitan Quirós.

*Et me laissant à mon destin,
il est parti dans le matin...*

...śpiewała Piaf. Gdy już włożył wszystko do kieszeni, sięgnął po browninga leżącego na komodzie. Przytrzymał go w dłoni, sprawdzając, czy nie nosi śladów oliwy – czyścił go chwilę temu – odbezpieczył, podszedł do łóżka i przeładował siedem razy, wyrzucając sześć nabojów na pościel. Następnie wyjął magazynek, włożył do niego naboje, wsunął na miejsce z cichym metalicznym trzaskiem, załadował jeden nabój, wyjął magazynek i wprowadził dodatkową kulę. W pistolecie przeznaczonym pierwotnie dla sześciu kul było ich teraz siedem.

*Mais je n'ai rien osé lui dire.
J'avais peur de le voir sourire...*

Zabezpieczył broń i wsunął ją do kabury. Potem otworzył szafę, wyjął torbę z czarnej skóry przypominającą torbę lekarską, zawierającą osiem tysięcy funtów szterlingów w banknotach brytyjskiej Królewskiej Mości oraz paszport dla kapitana Quirosa. Zdjął zegarek z lewego przegubu, przełożył na prawy i przymocował torbę do lewego nadgarstka kajdankami policyjnymi. Usłyszał podwójne kliknięcie zamka, włożył kluczyk od kajdanek do kieszeni, wziął kapelusz, sprawdził, czy ostrze brzytwy jest ukryte za taśmą, i omiótł pokój wzrokiem po raz ostatni.

Był człowiekiem pedantycznym z natury, lecz gdy wyruszał na akcję, dbał o porządek jeszcze bardziej niż zwykle. Zostawiał wszystko w nieskazitelnym stanie: łóżko pościelone, ubranie złożone i schowane w szufladach i w szafie, brudy w worku do prania, przybory toaletowe we włoskim skórzanym neseserze, tłumik, pozostałe pieniądze i dokumenty ukryte za komodą, niepotrzebne papiery spalone w łazience. Niewiele tropów, by ułatwić zadanie temu, kto, gdyby sprawy się skomplikowały, miałyby przejść jego rzeczy. Taka była idea.

Lubił bezosobowy charakter hoteli, zarówno luksusowych, jak i skromnych czy nędznych. Wszystko zaczynało się i kończyło wraz z jego obecnością. Istniało przez kilka dni, a potem znikało bez śladu przeniesione w niepamięć przez przybycie innych żywotów, które zacierały ślady jego żywota.

*Nie śmiałam mu powiedzieć ani słowa
w obawie, że zobaczę jego uśmiech...*

Nucił, zamykając drzwi i idąc korytarzem. I w taki sposób, spokojny o to, co zostawiał za sobą, lekki, bo wyzuty z wszystkiego, co zbędne, mając przy sobie jedynie to, czego potrzebował do niepewności i walki, Lorenzo Falcó wyszedł z hotelu i kroczył przez pogrążone w mroku miasto.

Obserwował czujnie noc twardymi, spokojnymi oczami stworzonymi do patrzenia spod krawędzi brązowego lub stalowego hełmu.

Zobaczył Paquita Arañę obok meczetu przy rue de la Marine. Rewolwerowiec stał przed witryną sklepu ze srebrem, udając, że przygląda się wystawionym na niej przedmiotom.

Falcó przeszedł obok niego i nie musiał oglądać się, by wiedzieć, że zabójca idzie kilka kroków za nim, ochraniając mu plecy. Obaj byli biegli w czynnościach tego typu. Zastanowił się przelotnie, czy Araña ma przy sobie tylko nóż, którym posługiwał się ze śmiertelną biegłością, czy też na tę okazję uzbroił się w coś solidniejszego. Być może miał jeszcze astrę 9 mm largo, broń, do której czuł szczególne przywiązanie od czasów walki ze związkowcami w Barcelonie. Broń zdolną do powalenia byka.

Zapadł już zmrok, w sklepach zapalono świece, kaganki i lampy naftowe. Oświetlenie publiczne nie działało, ulice stanowiły szereg cieni, półcieni i punktów słabego światła rysującego ich kontury, aż do szerszego odcinka rozjaśnionego przez ogródki kawiarni Central i Fuentes, gdzie o tej porze siedziało niewielu klientów. Falcó doszedł do Zoco Chico, skręcił w lewo i dotarł do wąskiej uliczki przy francuskim urzędzie pocztowym, która pięła się stromo do sklepu z dywanami, gdzie byli umówieni.

W połowie zbocza przystanął, by rozejrzeć się i posłuchać. Upewnił się, że w pobliżu nie czai się żadne niebezpieczeństwo i może iść dalej. Wszystko wyglądało normalnie, więc rozpiął guzik marynarki, dotknął łokciem kolby pistoletu i przeszedł bez pośpiechu ostatni kawałek.

W przedsionku sklepu paliła się lampa naftowa. Zatrzymał się tu i spojrzał do wnętrza. Na jasnym tle zarysowała się sylwetka właściciela, który wyszedł na spotkanie Falcó.

– *Salam alejkum* – powiedział agent.

– *Masaljir.*

Berber usunął się i Falcó wszedł. U wylotu korytarza zastawionego stertami dywanów, za zasłoną pod oknem o szybach oprawnych w ołów, w świetle kandelabra, w którym paliły się trzy świece, siedziało na skórzanych pufach dwóch mężczyzn. Wstali na jego widok.

Jednym z nich był kapitan Quirós. Tym razem nie ubrał się całkiem po cywilnemu, miał na sobie granatową marynarkę z pięcioma galonami na naramiennikach. W jego towarzyszu, wysokim, barczystym, o ogorzałej od słońca twarzy i kędzierzawych włosach, Falcó rozpoznał bosmana, którego załoganci Mount Castle nazywali Negusem.

– Nie spodziewałem się, że nie będzie pan sam – powiedział zaskoczony.

– To mój zaufany człowiek – odrzekł spokojnie Quirós. – To Fornos, jest wtajemniczony we wszystko. Mój bosman.

Falcó spojrzał na niego. Niejaki Fornos alias Negus. Twarde rysy, oczy obserwujące go bez nadmiaru sympatii. Raczej chłodno. Z błyskiem wrogości.

– Do jakiego stopnia zaufany?

– Całkowicie.

– A pański zastępca? Starszy oficer? Domyślam się, że ma pan takiego.

– Proszę się o niego nie martwić. To moja sprawa.

Wszyscy trzej lustrowali się podejrzliwie, wciąż jeszcze stojąc. Oczy niebieskie i oczy jasne, stalowe od nieufności, powiedział sobie Falcó. W tym momencie wszedł Berber z trzema szklankami parującej herbaty na tacy, postawił ją na stoliku i zniknął za zasłoną.

Falcó spojrzał na skórzane puffy, ale nie usiadł. Znalazłby się tym samym w gorszym położeniu, gdyby ktoś z nich chciał się na niego rzucić. Quirós odgadł być może jego myśli, ponieważ wymienił spojrzenie

z towarzyszem i usiedli pierwsi. Falcó poszedł za ich przykładem, starając się nie przysiąść poły marynarki po stronie, gdzie miał pistolet.

Oczy marynarzy były teraz utkwione w torbie i kajdankach przykuwających tobołek do jego lewego przegubu.

– Gdzie jest dowódca Martina Alvareza? – zapytał Quirós.

Drapał się po szpakowatej brodzie. Falcó odniósł wrażenie, że dostrzega u niego gest niepokoju, lecz ów nie powtórzył się. Kapitan frachtowca miał niewzruszoną twarz.

Falcó sięgnął po swoją szklankę, umoczył usta w gorącym napoju i odstawił go na stół.

– Komandor Navia zaraz tu będzie.

Kątem oka obserwował bosmana. Robocze spodnie, espadryle, czarna rozpięta kurtka, niezbyt czysty podkoszulek. Falcó pomyślał, że w kurtce może być broń, więc przez moment przyglądał się kieszeniom, próbując ustalić, czy któraś z nich jest wybrzuszona bardziej niż normalnie.

– Przyniósł pan dokument? – zapytał Quirós.

Jego ton był obcesowy, niemal opryskliwy. Brzmiało w nim dziwne, nagłe zniecierpliwienie. Patrzył na zasłonę i mimo pozornego spokoju było jasne, że spóźnienie nacjonalistycznego kapitana niepokoi go. Spotykali się już po raz trzeci, a Falcó nigdy wcześniej nie widział, by ów wyglądał na przejętego. Jego kamienny spokój był tej nocy nieco mniej twardy niż zwykle.

Falcó wyjął bez słowa z wewnętrznej kieszonki marynarki kartkę z tekstem napisanym na maszynie, rozłożył ją i podał kapitanowi. Ów włożył okulary do czytania i przyjrzał się uważnie karcie.

Fernando Quirós Galán, kapitan Mount Castle, oświadcza, że z własnej woli przekazuje statek pływający pod jego komendą Narodowej Marynarce

Hiszpańskiej na warunkach określonych poniżej...

Czytał powoli, poruszając nieco wargami, jakby odczytywał pismo dla siebie samego. Negus u jego boku nie zwracał uwagi na dokument. Wpatrywał się w Falcó przenikliwym wzrokiem.

– Wygląda, że jest w porządku – ocenił Quirós, odkładając kartkę na stolik.

– Nie podpisze pan?

– Poczekamy na dowódcę Martina Alvareza.

Spóźnienie było zaplanowane. Falcó poprosił kapitana niszczyciela, żeby przyszedł kilka minut później, by on sam mógł ocenić sytuację.

– Naturalnie – powiedział.

Wyjął papierośnicę i podsunął ją otwartą obu mężczyznom, lecz żaden nie skorzystał z zaproszenia. Włożył sobie papierosa do ust, zapalił i zaciągnął się, trzymając torbę na kolanach i dbając o to, by jego prawa ręka stale pozostawała wolna.

– A co z paszportem dla mnie i dla mojej rodziny? – zapytał nagle Quirós.

Falcó poklepał lekko torbę.

– Tu jest wszystko. Pieniądze i paszport. – Spojrzał na Negusa i odwrócił się do kapitana z przeproszającą miną. – Nie powiedział mi pan, że mam zająć się jeszcze jedną osobą.

– Proszę się tym nie przejmować. Powiedziałem już panu, że moja załoga to moja sprawa.

Falcó wskazał na Negusa.

– On też?

Nie otrzymał odpowiedzi. Quirós zamknął usta. Wraz z bosmanem patrzyli na Falcó w milczeniu.

Coś nie gra, pomyślał ów nagle. Coś nie jest dokładnie tam, gdzie powinno być.

Miał się głębiej zastanowić nad tą sprawą, gdy do pokoju wszedł Navia, odsuwając zasłonę, i cała trójka powstała.

Kapitan niszczyciela był po cywilnemu, bez kapelusza, w tej samej zbyt luźnej marynarce co poprzednio. On także wydawał się zaskoczony, widząc Quirosa w towarzystwie drugiej osoby, i jego prawa dłoń powędrowała ku kieszeni po tej samej stronie marynarki. Wszyscy stali przez chwilę bez ruchu, obserwując się nawzajem. Potem Negus spojrział na swojego kapitana oczami wiernego psa, który czeka na rozkaz do ataku, niebieskie oczy wikinga zamrugały, a w Falcó obudziły się jakby poruszone sprężyną instynkty życia i profesji.

– To pułapka – powiedział zimno.

W ciągu dwóch sekund zobaczył, jak nowo przybyły daje krok w tył, a Quirós wyciąga z kieszeni gwizdek.

– Oczywiście – oznajmił. – Panowie pomylili się co do mnie.

Podniósł gwizdek do ust, podczas gdy Negus skakał na Falcó, usiłując wyrwać mu torbę, lecz nie osiągając nic poza tym, że gwałtowne szarpnięcie nadwyrężyło nadgarstek agenta.

Wszystko stało się bardzo nagle i bardzo szybko.

Falcó zatrzymał napastnika ciosem pięści w twarz, spojrział przelotnie na Quirosa, który wydobywał z gwizdka przenikliwy, długi dźwięk, i odwrócił się w stronę Navii.

– Niech pan ucieka! Natychmiast!

Potem zadbał o siebie, bo była najwyższa pora. Negus otrząsnął się po ciosie i wracał do gry, odcinając mu drogę do zasłony, sklepu i ulicy. Rozległ się tupot biegnących ludzi i Falcó uznał, że kilku załogantów

Mount Castle ukrytych w pobliżu aż do tego momentu nadbiega na pomoc swojemu kapitanowi i swojemu bosmanowi. A może to była policja.

Nie mam tu już nic do roboty, uznał. Zmywamy się.

Popatrzył na oprawne w ołów okno wychodzące na ulicę, podniósł rękę, by osłonić twarz, i skoczył w szybę.

Upadł, starając się od razu poturlać po bruku, by zamortyzować uderzenie, lecz i tak odczuł je we wszystkich kościach. Obmacał się obolały z nadzieją, że nie skaleczyły go odłamki szkła i nie uszkodził sobie niczego, co niezbędne do biegu i ucieczki.

Uliczka była ciemną pułapką pełną poruszających się szybko cieni. Z dołu dochodziły głosy, okrzyki i tupot biegnących. Po drugiej stronie rozbitego okna świst nagle ustał. Przez moment Falcó pomyślał o kapitanie Navii z nadzieją, że udało mu się uciec. Ale to już nie był jego interes. On musiał teraz myśleć o ratowaniu własnej skóry. A to nie wyglądało na łatwe.

W oknie zarysowała się jakaś sylwetka.

– Gońcie go...! Ucieka!

To nie był głos kapitana Quirosa, więc Falcó uznał, że to Negus szczuje na niego swoje psy. Napuszcza sforę, która zwęszyła świeży trop. Jak na rozkaz z dolnej części uliczki ruszyły w jego stronę szybkie kroki. Ogarów było sporo. Oczywiście nie tracił czasu na liczenie.

– Łapcie tego faszystowskiego skurwiela!

Falcó zerwał się na nogi i po ciemku pobiegł w górę ulicy, zastanawiając się, gdzie, u diabła, podział się Paquito Araña. I jakby w odpowiedzi na to pytanie zobaczył czarny kształt, który wyrósł przed nim w ciemności.

– Kryj się, piękniśiu!

Niemal w tym samym momencie w rękach cienia wybuchł ogień, huk wystrzału odbił się echem od murów uliczki, a powietrze przeszyła ze świstem kula, tuż nad głową Falcó, który zdążył jeszcze rzucić się na ziemię.

– Biegiem! – krzyknął Araña, zanim przebrzmiał huk. – Zasuważ!

Falcó nie kazał sobie powtarzać dwa razy. Zerwał się na równe nogi, przemknął obok zabójcy, który właśnie strzelał ponownie. Odwracając głowę, zobaczył, że w dole u wylotu ulicy rozbłyskują i rozbrzmiewają wystrzały. Ziuuuuum. Ołowiany komar przemknął mu obok ucha, a w mur uderzyły dwie kule. Bang, bang. Za blisko. Araña wystrzelił jeszcze raz, tym razem w kierunku rozbitego okna, i sylwetka wychylająca się przez nie znikła.

Falcó pędził pod górę, czując, że pękają mu płuca. Jedną ręką przyciskał do piersi torbę, drugą szukał kabury i browninga. Słyszał teraz za sobą prędkie kroki cyngla, który biegł za nim. Nic nie widział w ciemności, ale sprawdził starannie teren w świetle dziennym, przewidując konieczność ucieczki. Wiedział, że za kilka metrów jest rozwidlenie i powinien skręcić w lewo.

– W lewo! – krzyknął do zabójcy resztką tchu.

Zatrzymał się, przepuszczając go, przyłakł jednym kolaniem na ziemi i strzelił cztery razy w dół ulicy. Pum ba, pum ba, pum ba, pum ba, rozbrzmiało echo, rozrywając mu bębenki. Ale ci w dole przestali strzelać i poszukali kryjówki. Wówczas poderwał się i znów rzucił do biegu.

Docierając do rogu, zobaczył, że ciemny kształt Arañii przybrał pozycję do strzału.

– W twoje ręce – rzucił, przebiegając obok.

Skręcił w prawo, słysząc dwa strzały za plecami. Zuch chłopak z tego Arañii, pomyślał. Pedał po same uszy, ale niebezpieczny jak grzechotnik.

Był szczęśliwy, że ma go po swojej stronie.

Ulica biegła teraz w dół i mógł przyspieszyć, ale zatrzymał się we wnęce bramy, by poczekać na zabójcę, mierząc z browninga w stronę rogu, zza którego przybiegł. Czarny kształt nadbiegł po kilku sekundach. Krótkie, szybkie kroki, zapach perfum i brylantyny zmieszany z zapachem świeżego prochu.

Cały Araña.

– Myślę, że już nie idą za nami – oznajmił.

On też miał świszczący, urywany oddech. Tak czy owak, nie starali się sprawdzić, czy ktoś ich ściga. Zerwali się znów do biegu, tym razem obok siebie. Zatrzymali się dopiero po wielu zakrętach, na małym tarasie też pograżonym w ciemnościach, wciśniętym między dwa łuki, zajętych przez rozwieszony pranie; wąskie schodki prowadziły stąd do nielicznych światełek portu i do plaży. Stali bez ruchu przez chwilę, nasłuchując, łowiąc każdy podejrzaną dźwięk, lecz dobiegał ich tylko daleki szum morza.

– O mały włos – powiedział Falcó, chowając pistolet.

– Masz jeszcze kasę czy już oddałeś?

Falcó zadzwęczał kajdankami.

– Jak słyszysz.

– Na szczęście.

Po tej krótkiej wymianie zdań zamilkli, łapiąc oddech. Pranie wokół nich wyglądało jak białe całuny. Blade duchy poruszane wiatrem.

– Opowiedz – poprosił Araña.

Falcó wyjął papierosa. Zauważył przy tym, że między palcami ma krew. Pomacał się po lewym nadgarstku i odkrył, że jest rozcięty.

– Szlag by to.

– Co jest?

Zdjął marynarkę i podwinął rękaw koszuli. Ciepłe krople płynęły mu po dłoni.

– Skaleczyłem się, skacząc przez okno.

– Bardzo?

– Nie wygląda.

– Pokaż. – Araña zbadał mu po omacku przegub. – Powierzchowne, ale mogłeś przeciąć ścięgno albo żyłę... Masz czystą chusteczkę?

Falcó wyjął tę, którą nosił w górnej kieszeni marynarki. W tej chwili przypomniał sobie, że jego kapelusz został w sklepie z dywanami. Nie poczuł żalu. To był pechowy kapelusz.

– Do wesela się zagoi. – Araña owijał mu dłoń, przyciskając węzeł chusteczki. – Potem zobaczysz sam i oczyścisz ranę porządnie... Jeszcze nie opowiedziałeś mi, co tam się stało.

– Nie ma co opowiadać. – Westchnął z rezygnacją. – Quirós nas wystawił. Nie zamierzał oddać nam statku.

– Nie możesz mieć mu za złe. Każdy pilnuje swojego podwórka.

– Nie mam mu za złe. Ale te jego gnojki o mało mnie nie załatwiły. Bosman i inni.

– Myślisz, że to pomysł Ruskiej?

W głosie cyngla pobrzmiwała kpina. Falcó dotknął opatrunku i wzruszył ramionami. Ten gest sprawił, że zaboląły go kark i plecy, którymi walnął o bruk.

– Możliwe, że ona to wymyśliła – przyznał.

Usłyszał, że kolega poświstuje przez zęby.

– Zrobili cię w trąbę, wielki agencie.

Falcó nie odpowiedział. Patrzył na światła portu, planując kolejne ruchy. Potrzebował czasu na uspokojenie i do namysłu.

– A co z kapitanem niszczyciela? – zagadnął po chwili Araña. – Udało mu się uciec?

– Pojęcia nie mam.

– On też wpadł jak śliwka w kompot, nie...? Strzelanina i cała reszta. Będzie musiał tłumaczyć się z tego przed władzami.

– To jego problem – powiedział oschle Falcó. – Ja mam dość swoich.

– Święte słowa, skarbie. Twój cały plan poszedł w pizdu.

Falcó włożył do ust papierosa.

– Na to wygląda.

– Ciekawe, co na to Salamanka.

– Bardzo.

Kryjąc się między rozwieszoną pościelą, osłaniając płomyk zapalniczki złożonymi rękami, Falcó zapalił papierosa. Gdy dym przeniknął w jego podrażnione płuca, rozkaszał się.

– Uważaj na siebie! – Araña chichotał w ciemności. – Mówią, że palenie zabija.

13. MIĘDZY PSEM A WILKIEM

Falcó spędził noc w domu Moiry Nikolaos, ponieważ nie odważył się wrócić do hotelu: mogli go tam dopaść zarówno czerwoni, jak i policja. A i tak w pokoju, który mu odstąpiła, odkaziwszy najpierw jodyną ranę na przegubie i zostawiwszy go samego, dłużej czuwał, niż spał. Palił jednego papierosa za drugim z pistoletem i torbą w zasięgu ręki, w towarzystwie butelki koniaku, której kapitan Quirós i komandor Navia nie ruszyli podczas rozmowy dwa dni wcześniej.

Świt w kolorze popiołu oświetlił jego twarz w oknie, zmęczoną, nieogoloną, wpatrzoną w szarą płachtę morza, za którą rysowała się coraz wyraźniej ciemna linia hiszpańskiego wybrzeża. Ta pora nie przynosiła najlepszych wspomnień: ciemne pomosty, stacje kolejowe, stukot kół pociągu na zamglonych peronach, drogi w strugach deszczu, granice przekraczane pieszo w śniegu, kolby karabinów uderzające o ziemię, gdy celnicy sprawdzali fałszywe paszporty. Momenty niepewności i niebezpieczeństwa. A nawet strachu.

A porażka tylko pogarsza sprawę, podsumował.

Myślał o Admirale. A kiedy to robił, wstający dzień wydawał się jeszcze bardziej mroczny i szary.

Wreszcie, gdy pierwsze promienie słońca ozłociły kontur dalekiego łądu, Falcó oderwał się od okna i poszedł do łazienki dla gości. Pani domu trzymała tu przybory toaletowe zmarłego męża, więc mógł umyć się i ogolić kwadratowy podbródek, na którym już pojawiła się niebieskawa

warstwa zarostu. Zaczesał do tyłu lśniące czarne włosy i przyjrzał się cieniom pod oczami. Żadna kobieta nie nazwałaby mnie przystojniakiem tego ranka, pomyślał. Miewał lepsze poranki. Zmienił opatrunek na lewym przegubie, włożył wczorajszą koszulę i zawiązał krawat. W chwilę później był gotów do wyjścia.

Kiedy wyszedł na korytarz, zapach świeżo zaparzonej kawy zaprowadził go do salonu, gdzie Moira jadła śniadanie. Była bez makijażu, siedziała przed zastawionym stołem. Na głowie miała biały turban, spod kimona wyłaniały się nagie, opalone nogi. Falcó usiadł naprzeciwko niej bez słowa i nalał sobie szklanekę ciepłego mleka.

– Co teraz zrobisz? – zagadnęła kobieta.

Zwlekał z odpowiedzią, wyjmując z kieszeni fiolkę z kopirynami. Tak naprawdę nie miał jasnej odpowiedzi.

– Nie wiem. – Włożył tabletkę do ust, poczuł gorzki smak, połknął, popijając łykiem mleka. – Misja zakończyła się porażką.

– Całkowitą?

Falcó ugryzł tost.

– Prawie.

Moira patrzyła na walizkę, którą wciąż miał przykutą do obandażowanego nadgarstka.

– Jest coś, co mógłbyś mi powiedzieć?

– Niewiele. – Wypił następny łyk mleka. – Tylko tyle, że źle oceniłem nieodpowiedniego człowieka.

– Masz na myśli tego brodatego marynarza, który przyszedł tu schodami z plaży?

– Między innymi... Tak.

– No cóż. Przykro mi.

– Przechytrzył mnie.

Moira obserwowała go z zaintrygowaniem z nad brzegu swojej filiżanki z kawą.

– Zawsze znajdzie się ktoś chytrzejszy od nas – powiedziała po chwili.

– Zawsze.

– Przeżyjesz... Jesteś przyzwyczajony.

– Myślę, że tak.

– Mam ci oddać pieniądze, które mi dałeś?

– Nie pleć głupstw.

Odstawiła filiżankę i swoją jedyną ręką podała mu zaklejoną kopertę.

– Ten okropny człowieczek, z którym przyszedłeś wczoraj, był tu przed chwilą... Zostawił to dla ciebie.

Falcó rozciął kopertę nożem. Wiadomość była krótka, nakreślona pochylonym, wyraźnym, niemal kobiecym pismem Paquita Arañii:

Ciekawe nowiny. Czekam na ciebie w moim pensjonacie. Nie zwlekaj.

Moira patrzyła na twarz Falcó. Gdy chował kartkę do kieszeni, uśmiechnęła się lekko.

– Znam tę minę, kochany.

Teraz on się uśmiechnął. Po raz pierwszy tego poranka.

– I co ci mówi teraz moja mina?

– Że tak naprawdę wygrana czy przegrana, wszystko ci jedno. Zawsze tak było... W rzeczywistości liczy się dla ciebie to, żeby nigdy nie zabrakło koperty, którą można otworzyć.

– Wejdz – powiedział Paquito Araña. – Drzwi są otwarte.

Zabójca mieszkał w pensjonacie o hiszpańskiej nazwie Carmencita, który mieścił się przy rue de la Tannerie nieopodal tunelu łączącego port z mediną, kilka kroków od hotelu Falcó. Gdy gość zamknął za sobą drzwi,

Araña siedział na łóżku nad otwartą puszką herbatników Crawford. Marynarkę zamienił na szlafrok w kolorze bordowym z guzikami z masy perłowej i jedwabnym kołnierzykiem. Obok niego na kołdrze błyszczała oksydowana stal astry 9 mm largo. Malował sobie paznokcie lakierem.

– Rexach – powiedział.

– Co Rexach?

Araña postawił ostrożnie flakonik z lakierem obok pistoletu.

– Ma za uszami.

Zaintrygowany Falcó oparł się o parapet. Okno było otwarte, widać żeń było mur wznoszący się naprzeciwko, skrawek nieba i kawałek portu. Araña zerknął na jego lewy nadgarstek, przy którym nie było już torby.

– Co zrobiłeś z pieniędzmi?

– Przed przyjściem tutaj oddałem je Seruyi, bankierowi. Nie mogę spacerować z nimi po Tangerangze.

– Bardzo słusznie.

– Co z Rexachem?

Araña podniósł palce wskazujący i serdeczny.

– Grubas gra na dwa fronty.

– Na co najmniej dwa, podejrzewam. To jego praca.

– Tak, skarbie. Ale jeśli chodzi o nasze sprawy, dziwnie to wszystko pachnie.

Falcó, który wyjął już papierośnicę, zastygł, jeszcze bardziej zaniepokojony.

– W jakim sensie dziwnie?

– Bardzo dziwnie.

– Podaj konkrety.

I Araña to zrobił. Po historii z Juanem Trejo – pewne rzeczy bardzo łączą ludzi, podkreślił – utrzymał kontakt z Kassemem, młodym Berberem: posmarował kontaktowi dostateczną kwotą pieniędzy, by zaskarbić sobie czasową lojalność. Kassem był chłopakiem bystrym i zdolnym, więc Araña powierzył mu obserwację pewnych osób i miejsc. Ponadto zadał mu sporo pytań, na które otrzymał interesujące odpowiedzi.

– Wiedziałeś, że Rexach jest w dobrych stosunkach z przedstawicielem czerwonego SIM w Tangerze?

Falcó potaknął. Z lekarzem o nazwisku Istúriz. Sam Rexach powiedział mu o tym. Przekazywali sobie pewne informacje na zasadzie żyj i daj żyć innym. Dobrze się dogadywali.

– Zbyt dobrze – sprecyzował Araña.

Falcó obrzucił go zaniepokojonym spojrzeniem, zapalając papierosa.

– Co masz na myśli?

– Kassem opowiadał mi ciekawe rzeczy o żyj i daj żyć innym tej pary. Więc wczoraj, kiedy ty i ja przygotowywaliśmy spotkanie z kapitanem Quirosem, powiedziałem mu, żeby nie spuszczał grubasa z oka.

Falcó wypuścił dym z ust. Bardzo powoli.

– Mogłeś mi powiedzieć.

– Nie chciałem ci dokładać zmartwień. Ale byłem ciekaw... Pamiętasz, jak Rexach powiedział, że chce się trzymać z dala od całej akcji, żeby się nie spalić? Że będzie siedział zamknięty w domu przez cały dzień i całą noc, czekając na wieści?

– Doskonale.

Cyngiel uśmiechnął się mefistofelicznie. Wyjął z puszkii herbatnika, uważając, by nie zniszczyć świeżego lakieru na paznokciach, i uśmiechnął się jeszcze raz.

– Otóż nie zrobił tego, chłopcze. Nie siedział w domku. Wręcz przeciwnie, był nad podziw aktywny. Wyszedł i zobaczył się dwa razy z owym Isturizem.

– Jesteś pewien?

– Kassem jest pewien. – Araña ugryzł herbatnika i oblizał wargi. – A ja mu ufam, jak na razie... Płacę mu wystarczająco, żeby mu ufać.

Falcó zastanowił się przelotnie nad naturą owych opłat i rekompensat. Tak czy owak, to nie była jego sprawa. Natomiast niewątpliwie jego sprawą była uzyskana informacja. Araña nie należał do osób, które by dały się łatwo nabrać, czy to krzepkiemu Berberowi, czy to jego mamusi.

– Mógł spotkać się z Isturizem, żeby pogadać o innych rzeczach – zasugerował.

– Jasne. Ale też żeby pogadać o naszych. I żeby wymienić się naklejkami.

– To niekoniecznie może mieć związek z zasadzką... Mam wrażenie, że Isturiza zostawili trochę z boku tej całej historii.

Żabie oczy zabójcy zamrugały.

– Mówisz o twojej komunistycznej kurewce i tym drugim?

– Tak.

Araña zastanawiał się przez chwilę.

– Myślisz, że Ruska i Jankes byli wczoraj z ludźmi Quirosa i próbowali cię dopaść?

– Pojęcia nie mam. Być może.

– Ten, kto strzelał, robił to nieźle.

Falcó wykonał obojętny gest.

– To mógł być Amerykanin.

– Jasne... Albo ona.

Araña wstał z zamyślonym wzrokiem, wziął pistolet i schował go do kabury wiszącej na wieszaku. Potem podszedł do okna, stanął obok Falcó i stanął lekko na palcach, żeby lepiej widzieć port.

– Sprawdziłem, co się stało później – powiedział. – Komandor Navia wrócił na niszczyciela bez problemów. Do niego nic nie mieli.

– A policja?

– Kiedy przyjechali żandarmi, nikogo już nie było.

Stali bez słowa, patrząc na siebie. Znali się dobrze i myśleli tak samo.

– To możliwe, że Rexach coś wie – przyznał Falcó. – Albo przynajmniej pogrywa z Isturizem na swój rachunek i pewne informacje przepływają tym kanałem.

Araña przytaknął.

– Bez dwóch zdań – powiedział. – W sumie kiedy ty i ja pojedziemy sobie, Rexach tu zostanie. A tę wojnę wygrają jedni albo drudzy. Musi dbać o swoje podwórko i o zwierzątka podwórzowe.

Zamilkli znowu.

– Sądysz, że maczał w tym palce? – zagadnął po chwili Falcó. – Że wiedział o wczorajszej zasadzce?

Właściwie nie było to pytanie, tylko refleksja wypowiedziana na głos. Zabójca z rękami w kieszeniach szlafroka uśmiechnął się okrutnie.

– Ja nic nie sędzę. Ale możemy go zapytać.

Falcó myślał intensywnie, mrużąc oczy od dymu papierosa trzymanego w ustach. I przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

– Możemy zapytać i nie tylko – powiedział.

Po krótkiej obserwacji okien biura Antona Rexacha Falcó oderwał się od fasady hotelu Minzah i przeszedł przez rue du Statut. Kątem oka dostrzegł, że chodnikiem nadchodzi Paquito Araña z miną przypadkowego

przechodnia, lecz kiedy Falcó wszedł do sieni, usłyszał kroki towarzysza, krótkie i szybkie. Weszli razem po schodach, nie odzywając się ani słowem. Wszystko zostało już omówione.

Galaretowate oczy Rexacha lustrowały ich przez moment, zdezorientowane, gdy otworzył drzwi. Wizyta obu agentów w jego biurze i o tej porze naruszała reguły bezpieczeństwa. Po kilku sekundach odsunął się i pozwolił im wejść. W palcach trzymał dymiącą hawanę.

– Katastrofa, z tego, co do mnie doszło – powiedział z ubolewaniem.

– Tak.

Spojrzał na Arañę nieufnie i zwrócił się do Falcó.

– Oczekiwałem, że poda mi pan szczegóły, ale nie spodziewałem się, że przyjdą panowie obaj do mojego biura.

– Jest pewna pilna sprawa.

– Ach.

Biuro wciąż cuchnęło starymi niedopałkami cygar, jakby jego właściciel nie otwierał okien od ostatniego spotkania. Falcó obrzucił wzrokiem zdjęcie lotnicze Tangeru, kalendarz linii Trasmediterránea i zegar z kukułką, po czym usiadł na krześle, które mu wskazał Rexach. Araña stał oparty o framugę drzwi.

– Co dokładnie stało się wczoraj? Zastawili na pana zasadzkę?

– Skąd pan wie?

Po krótkim wahaniu, rzucając kolejne zaniepokojone spojrzenie na Arañę, Rexach usiadł za stołem. Miał na sobie spodnie z szelkami i podwinięte rękawy koszuli. Tłusty podbródek wylewał się nad sztywnego kołnierzyka i zasłaniał połowę węzła krawata.

– Żandarmeria. Mam swoje kontakty, mówiłem panu. Tak czy owak, wie już całe miasto.

– A co wie?

– Że wczoraj w nocy doszło do strzelaniny w pobliżu Zoco Chico między agentami republikańskimi a nacjonalistycznymi.

– Wiążą to z Mount Castle?

– Oficjalnie nie, o ile mi wiadomo. Czerwoni też nie rozdmuchiwali sprawy. Nie są zainteresowani dalszymi komplikacjami.

– Kapitan Quirós grał z nami w kotka i myszkę – powiedział Falcó. – Ze mną, ściślej rzecz ujmując... Nigdy nie miał zamiaru oddać nam statku.

Rexach zapytał, co właściwie się wydarzyło, i Falcó opowiedział mu. Od spotkania w sklepie z dywanami po wymianę ognia i ucieczkę.

– Mogło skończyć się gorzej – ocenił Rexach. – Gdyby poinformowali policję międzynarodową o próbie przekupstwa, byłby pan teraz w areszcie. Komandor Navia także. Ale woleli rozegrać to prywatnie.

– I odebrać mi kasę.

– To też.

– Co pan wie o Navii?

– Nie dręczyli go zbyt... Nikt nie będzie robił problemów dowódcy okrętu wojennego, nawet wrogiemu, w neutralnym porcie takim jak Tanger. Quirós potraktował go z dużą atencją, na tyle, na ile pozwoliła sytuacja. Pozwolił mu odejść po kilku cierpkich słowach sam na sam... To pana chcieli dopaść, i pańskie pieniądze.

– Skąd pan wie to wszystko?

– Widziałem się z komandorem Navią wcześniej rano. Był z naszym konsulem, próbując zatuszować wydarzenia wczorajszej nocy... Pytali o pana, bardzo zaniepokojeni. Powiedziałem, że nie mam wieści, ale że to jest dobra wieść. Że udało się panu uciec i ukrywa się pan.

Zakończywszy wyjaśnienia, spoglądał przez chwilę na agenta, oczekując na jakiś komentarz. Ale ani Falcó, ani Araña nie odezwali się. Rexach palił cygaro, zerkając niepewnie na Arañę. Ów z niewzruszoną miną, oparty o framugę, oglądał sobie ręce.

– Navia chce się z panem spotkać – odezwał się Rexach po chwili, zwracając się do Falcó. – Termin dla Mount Castle upływa jutro o ósmej, a komandor wypłynie nieco wcześniej, żeby czekać na niego na morzu.

– Coś nowego słysząc na statku?

Rexach wykonał wieloznaczny gest.

– Nic godnego uwagi... Miałem właśnie przejść się do portu i rzucić okiem. Dowiedziałem się, że dziś ładują węgiel i ostatnie zapasy.

– Wyjdą w morze? Spróbują przebić się przez blokadę?

– Na to wygląda. Zapowiada się na mgłę nad cieśniną, może będą chcieli ją wykorzystać. Quirós jest uparty, a rząd republikański rozkazał nie dopuścić do internowania w Tangerze... Nie pozostaje mu nic innego jak wypełnić rozkaz.

– A co z agentami komunistycznymi? Z Rosjanką i tym drugim?

– O nich nie wiem nic.

Po tych słowach bacznie przyjrzał się Falcó, jakby próbował rozszyfrować jego minę i milczenie. Ów umyślnie milczał jeszcze przez chwilę. Przygotowywał następny etap spotkania.

– Proszę nam teraz opowiedzieć o pańskim przyjacielu Isturizie – zachęcił po chwili.

Grubas zamrugnął z zaskoczeniem. Ręka z hawaną znieruchomiała w powietrzu.

– To nie jest mój przyjaciel. To...

– Doskonale wiem, kim jest – przerwał mu Falcó z dwuznaczną łagodnością w głosie. – Proszę mi powiedzieć, o czym gawędziliście wczoraj. O czym rozmawialiście przez ostatnie dwa dni.

– To śmieszne. Ja...

Urwał, kiedy Falcó wstał i usiadł tuż przy nim na brzegu stołu. Popiół z cygara opadł Rexachowi na brzuch.

– Wie pan, Rexach, ja jestem wyrozumiałym człowiekiem. – Pokazał na Paquita Arañę: – I mój kolega też potrafi taki być, jeśli jest w dobrym humorze... Możemy zrozumieć, że chce pan zabezpieczyć swoją pozycję w Tangerze. Każdy pilnuje własnego podwórka, to jasne. Ale pewne rzeczy na pańskim podwórku wpływają niekorzystnie na nas obu, a przede wszystkim na mnie.

Rexach odchylił się na krześle, blednąc. Ponownie zamrugał powiekami. Rzuciło się w oczy, że miewał w życiu szczęśliwsze momenty.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Mówię o tym, że nie potrafił pan utrzymać języka za zębami. I podejrzewam, że wymusnęło się panu zbyt wiele.

Grubas otworzył szeroko oczy.

– To niedorzeczne. Nigdy...

Plaf. Uderzenie rozbrzmiało sucho, przekręcając gwałtownie jego głowę. Hawana wypadła mu z palców i potoczyła się po podłodze. A kiedy podniósł na Falcó przerażone oczy, ów strzelił go w twarz jeszcze raz. Plaf, zabrzmiało. Potem przeszedł na ty.

– Słuchaj, durniu... Mojego operatora radiowego, o którego istnieniu i adresie wiedzieliśmy tylko ty i ja, porwano, torturowano i zamordowano. W chwilę później w lokalu kontaktowym przy boulevard Pasteur zastawiono na mnie zasadzkę, w której o mało nie postradałem życia. Nie mówiąc o historii z wczorajszej nocy.

Przerażony Rexach z purpurowymi policzkami spojrział na szufladę biurka. Falcó rzucił mu mordercze spojrzenie, podnosząc połę marynarki, by pokazać browninga.

– Jeśli dotkniesz tej szuflady... – szepnął lodowato – ... zabiję cię.

Zobaczył, że grubas kuli się jak żywy małż, którego polano sokiem z cytryny.

– Z tą nocną historią nie mam nic wspólnego – wyjąkał. – Przysięgam panu.

– W to mogę uwierzyć, mniej albo więcej. Opowiedz mi o tym, w co nie mogę uwierzyć.

Nastąpiło milczenie, kiedy wzrok Falcó spotkał się przelotnie z rozbawionym spojrzeniem Arañii. Przejście na ty wywierało silniejszy efekt niż przywalenie w pysk, wiedzieli o tym obaj. Ton. Sposób patrzenia, gdy przybliżało się twarz do twarzy człowieka siedzącego niżej i upokorzonego.

– Istúriz i ja rozmawiamy czasem – powiedział cicho Rexach.

– Powiedz mi coś, czego bym nie wiedział.

Rozmówca pochylił głowę i popatrzył na cygaro, które dymiło jeszcze na podłodze, nadpalając linoleum.

– Możliwe, że coś mi się wymyśliło... Jemu też. Niektóre informacje o czerwonych przydały się nam.

– Nie ulega wątpliwości. Mów dalej.

– Możliwe, że popełniłem jakiś błąd. Ale to jest Tanger.

– Rozumiem. – Grymasu Falcó z pewnością nie można było nazwać wyrozumiałym. – Co jeszcze?

– Nic więcej. – Rexachowi drżał lekko podbródek. – Komentarze, błaha informacje... To wszystko.

– Które on przekazał komunistycznym agentom i które kosztowały Villarrubię życie.

Grubas podskoczył.

– Nie mogłem o tym wiedzieć – zaoponował. – Istúriz też nie jest za to odpowiedzialny. On pewnie tylko o czymś napomknął. Nie jest z tych, co komplikują sobie życie.

– Lubisz pieniądze.

– Jak wszyscy. Ale nie o to chodzi.

– Ile ci zapłacił twój czerwony kum?

– Nic mi nie płaci... Ja jemu też nie. Przysięgam.

– Za dużo przysięgasz.

Plasnęło kolejne uderzenie, Rexach wydał z siebie jęk bólu i trwogi. Wilgotne oczy biegały w orbitach jak oczy osaczonego zwierzęcia. Falcó znów wymienił spojrzenie z Arañą. Nie łże, mówiło milczenie zabójcy, Falcó zgadzał się z nim. Agent zsunął się ze stołu, podszedł do okna i popatrzył na ulicę, zapalając papierosa.

– Jeśli o tym wszystkim dowie się Salamanka, nie żyjesz... Wiesz o tym, co?

Rexach nie odpowiedział. Opierał o stół pulchne łapska, miał spuszczoną głowę. Jego policzki płonęły, choć czoło było blade, a twarz pokryła się potem.

– I jeszcze jeden szczegół – dorzucił Falcó. – Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy sami zajęli się tą sprawą. Mam na to licencję.

Grubas podniósł głowę. Wydawało się, że strach dodał mu nagle sił.

– Nie wierzę – oświadczył dość stanowczo. – Wciąż jestem tu niezbędny, tym bardziej teraz. Panowie nie mogą...

Falcó ponownie zbliżył swoją twarz do twarzy Rexacha.

– Popatrz na mnie, no już. – Wskazał na Arañę ręką, w której trzymał papierosa. – I popatrz na tego dżentelmena. Naprawdę nie wierzysz, że za moment możesz gryźć ziemię?

Podbródek trzął się coraz mocniej. Plama potu zmoczyła brzeg koszuli i węzeł krawata. W tym momencie szwajcarski zegar wydał cichy trzask, a z drzwiczek wyskoczył ptaszek i powiedział „kuku”.

– Czego panowie ode mnie chcą?

Jego głos zdawał się dobiegać z jaskini. Z daleka. Drżał ze strachu. Falcó uśmiechnął się złowieszczo.

– Twój kum Istúriz.

– Co... z nim?

– Przekażesz jeszcze jedną poufną informację temu czerwonemu sukinsynowi.

Rexach patrzył na nich z otwartymi ustami.

– Jaką informację?

– Prostą receptę na to, żeby jego towarzyszczi złapali mnie dziś w nocy.

To była pora między dwoma rodzajami światła, zmierzch, kiedy pierwsze cienie sprawiają, że rzeczy blisko nas zdają się oddalać. Godzina, którą Francuzi nazywają *entre chien et loup*. Między psem a wilkiem. Kiedy, jak mówi Koran, podczas modlitwy ledwie można odróżnić białą nitkę od czarnej.

Falcó stał tyłem do podstawy muru pod fortem Dar Baroud, w potęgującej się szarości widział po drugiej stronie zatoki za portem dalekie błyski latarni morskiej na przylądku Malabata. Nie było wiatru, w powietrzu wyczuwało się wilgoć. Mgłę zapowiadała rozmyta otoczka wokół błysków latarni i halo wokół księżyca, który wschodził już na niebie niby przymrużone, bursztynowe oko.

Albo gęba, pomyślał. Groźnie uśmiechnięta.

O kilka metrów od niego u wylotu stromej uliczki biegnącej z portu człowiek sprzedający koreczki i sardynki w budzie skleconej z desek i zakrętek kanistrów zbierał swoje sprzęty w brudnym świetle naftowej lampy i wycierał stoły przykryte zatłuszczoną ceratą. Był to bezzębny i stary Berber w galabii, przesuwając po Falcó obojętnym wzrokiem od chwili, gdy ów pokręcił odmownie głową na propozycję przegryzienia czegoś. Teraz skończył sprzątać, przykrył zgaszone palenisko i wreszcie odszedł w dół zbocza, w stronę portu.

Falcó rozgniółł podeszwą buta rzuconego na ziemię papierosa, rozpiął marynarkę, by mieć swobodę ruchów, i zdjął krawat. Następnie wysikał się pod murem. Zawsze tak robił przed akcją, bo strzał albo cios nożem w brzuch z pełnym pęcherzem byłby o wiele bardziej niefajny. Infekcje i tym podobne. Wolał sobie tego oszczędzić.

Rozejrzał się: ciemne plamy bugenwilli uczepionych starych kamieni muru, opuncje ledwie widoczne w tym ostatnim świetle dnia, smukłe pnie pobliskich palm, czarniejsze niż jeszcze granatowe niebo. Wszystko stało nieruchomo, zero wiatru. Znad morza dobiegał przytłumiony szum fal.

W górze między jeszcze białymi pudełkami domów nad murem rozbrzmiało szczeknięcie psa. Potem nastąpiła cisza i słychać było tylko daleki oddech morza.

Falcó zmrużył oczy, omiatając wzrokiem okolicę w poszukiwaniu oznak niebezpieczeństwa. Nie zobaczył nic, ale wiedział, że jedni i drudzy tu są, oczekując na właściwy moment. Przestrzegają reguł zawodu i życia, wypełniają obowiązek i los. Wyjął z kabury browninga, a z kieszeni marynarki niemiecki tłumik dźwięku i zaczął iść w górę wzgórze, przykręcając tłumik do lufy trzema obrotami. Potem zdjął marynarkę i położył ją złożoną na przedramieniu, ukrywając broń. Ledwie było widać

pistolet w gęstniejącym mroku, ale lepiej unikać niepotrzebnego ryzyka. Nie chciał spłoszyć czających się w mroku.

W połowie zbrocza dyskretnie odbezpieczył pistolet, trzymając palec w pewnej odległości od spustu. Ten ciężar w ręce, napięcie mięśni całego ciała, zmysły czujne do granic możliwości wywoływały w nim uczucie podobne do spokojnej szczęśliwości. Pogodną, świadomą harmonię. Wrażenie, że nie zostawia niczego za sobą i nie oczekuje niczego na końcu drogi.

Szedł sam przez pusty świat.

Upłynęła minuta ciszy podobna minucie odroczonej śmierci. Tylko jego kroki i słaby szum fal na brzegu.

Furtka do schodów prowadzących do domu Moiry Nikolaos znajdowała się jakieś trzydzieści metrów dalej, niemal na szczycie wzgórza. Dało się jeszcze rozróżnić poszczególne obiekty. Falcó przyglądał się uważnie kątem oka krzakom i skałom po swojej prawej ręce, coraz bardziej niewyraźnym cieniom między murem a morzem. Na pewno prędzej czy później wyłonią się z ciemności.

Będą próbowali złapać mnie żywego, pomyślał. W każdym razie na to liczę.

Zapalił kolejnego papierosa wolną ręką. Nie miał nań ochoty, ale chciał wyglądać na zrelaksowanego. Przystanął, pozwalając, by płomyk zapalniczki oświetlił jego z pozoru odprężoną twarz. Potem ruszył przed siebie.

Aby oszukać przeciwnika, przypomniał sobie, nie należało zapominać o tym, co ów już wie. Przez co najmniej kilka godzin dla Evy Neretwy i Garrisona będzie wart więcej żywy niż martwy. Miał zbyt wiele do wyśpiewania, gdyby udało się im zmusić go do śpiewki, i nikt o zdrowych zmysłach, nikt, kogo nie oślepiąaby furia albo żądza zemsty, nie pominąłby

okazji do długiej pogawędki przed poderżnięciem mu gardła albo wpakowaniem kulki w łeb. To była podstawa jego działań tego wieczoru. Polisa na życie. Siatka, która ośmielała go do akrobacji, bo miał nadzieję, że kiedy puści trapez, bo nie wytrzymają ręce, zabezpieczenie będzie czekać na niego w dole.

Jeśli się pomylił, po prostu strzelą mu w łeb. Bang. Koniec opowieści i problemów. Pora na długi sen.

Nie zrób mi krzywdy, powiedziała. Uśmiechnął się lekko w duchu, po czym wymazał z pamięci tamtą kobietę i skoncentrował się na innej. Na tej, która w tym momencie mogła odebrać mu życie.

Był o dziesięć kroków od furtki, kiedy zaatakowali.

I owszem. Najwyraźniej próbowali wziąć go żywcem. Żadnych strzałów, które by kogoś zaalarmowały, sprowadziły niewygodnych gapiów. To były prywatne porachunki.

Odrzucił papierosa, widząc, jak wyrastają nagle sylwetki oświetlone księżycową poświatą i jej odbiciem w dalekim morzu, kształty szybkie i bezgłośnie w mroku z szarości i niebieskości, gdzie wciąż jeszcze można było odróżnić poszczególne obiekty.

Na zachodzie umierało słabnące światło dnia. Naliczył pół tuzina wrogów zbliżających się wśród kamieni i krzaków, a dwie sekundy później usłyszał szmer ich kroków, gdyż nadal zachowywali ostrożność.

Jeden z nich, ten w galabii, szepnął „*Yalla*”, jakby dodając animuszu pozostałym. Co najmniej jeden Berber, uznał Falcó. Jeszcze dwóch albo trzech, zauważył. Siła robocza łatwa do pozyskania i tania jak tamten bokser, któremu rozciął twarz przy boulevard Pasteur. Ci wszyscy ludzie, podsumował, którzy nie wiedzą, że mają umrzeć za dwadzieścia peset dziennie. I którzy nagle umierają.

Upuścił marynarę, podniósł browninga i wypalił w pierwszego w galabii, niemal prosto w nos. Pistolet podskoczył w jego prawej ręce jak atakujący grzechotnik, wypluwając coś podobnego do korka szampana, gdy się zbyt mocno wstrząsnie butelką. Huk wystrzału został wyciszony przez tłumik, łuska zadźwięczała metalicznie, uderzając o kamienie ścieżki, i Falcó zobaczył, jak Berber pada na ziemię bez słowa w matowym świetle księżyca. Celował w następnych – zostało ich pięciu, jak zauważył – kiedy za plecami usłyszał krótkie, szybkie kroki i zrozumiał, że do akcji wchodzi Paquito Araña.

Kassem też powinien być niedaleko. To była ostatnia rzecz, jaką pomyślał, zanim przestał myśleć. Instynktownie, trzymając pistolet w górze, szukał drugiego celu. Berber, Berber, wysoki Europejczyk, Berber, kobieta. Tak, ostatnia była bez wątplenia kobieta, choć w męskim ubraniu. Zmuszając się do oderwania od niej oczu, Falcó wybrał wysokiego Europejczyka, który w rzeczywistości nie był Europejczykiem, tylko Amerykaninem i nazywał się Garrison. Zanim nacisnął na spust, celując w pierś, dostrzegł podwójny refleks szkieł na twarzy, która w półmroku wydawała się chudsza i bardziej koścista niż na schodach pod numerem dwadzieścia osiem przy boulevard Pasteur, i na której wciąż widniały sińce i ślady walki. Tym razem nie zdjął okularów. Może słabo widział w kiepskim świetle.

W tym momencie na linii ognia stanął drugi Berber. Falcó zdążył tylko zobaczyć, że ma na sobie europejski strój, a w jego ręce błyszczy nóż, po czym wpakował mu w brzuch pocisk przeznaczony dla Garrisona. Berber ugiął kolana i upadł do przodu, upuszczając nóż i zawadzając o nogi Falcó. A to pozwoliło Amerykaninowi skoczyć na agenta. Pomimo obitej twarzy wciąż był silny i w formie, zadawał ciosy jak dobrze naoliwiona maszyna,

przeklęty gnój. Ale Falcó też był w formie. Upadli na ziemię i potoczyli się, wokół nich walczyli pozostali.

Nikt nie strzelał. Tylko uderzenia, ciosy nożem i jęki. Wszyscy byli zbyt zajęci, by tracić czas na mielenie językiem. Falcó zastanowił się przelotnie, jak idzie innym. Jego kolegom.

Z tej odległości, wczepiony w Garrisona, miał z pistoletu taki pożytek, jakby browning był z drewna. Wypuścił go i chwycił przeciwnika za włosy. Ów wydał pomruk i zaczął się wyrywać, próbując ugryźć go w nadgarstek. Falcó nie zamierzał dać się sponiewierać jak poprzednim razem, więc zebrał siły, by zadać cios, który by załatwił sprawę. Okulary typa zniknęły, a szkoda, bo warto by mu wbić do oczu odłamki szkła. Mimo wszystko postarał się zrobić, co w jego mocy. Uwalniając rękę, wysunął kłykiec serdecznego palca z zaciśniętej pięści i posłał Garrisonowi masakrujący cios w oko.

Krótką chwilą walki, powiedział kiedyś Admirał, ujawnia więcej na temat natury człowieka niż wieki kultury, wykształcenia i pokoju.

Być może miał rację.

Garrison zawył, jakby w głębi gardła uruchomiła mu się syrena fabryczna, i podniósł dłoń do twarzy. To wystarczyło, by Falcó przewrócił go na brzuch, przygniół kolanem kręgosłup i choć tamten szamotał się i walił rękami w ziemię, agent chwycił mocno obiema rękami jego szczękę i głowę i szarpnął je gwałtownie na bok.

Chrup, usłyszał.

Zabrzmiało to jak suchy, raptowny, złowieszczy trzask, jakby złamał się gruby konar. A wówczas Amerykanin wydał z siebie krótki jęk i zeszywniał nieruchomy jak grzeczny chłopczyk. Falcó odetchnął trzy razy, by odzyskać dech w piersiach i wstał, odpychając się od trupa i rozglądając. Poszukał pistoletu, lecz nie znalazł go.

– Czerwona dziwka – usłyszał głos Paquita Arañii.

Prawie wszystko tonęło już w mroku, ale halo wokół księżyca, bursztynowego i nieruchomego jak martwe oko, rozpostarło się na niebie i dawało dostateczną jasność, by mógł dostrzec ciała leżące na ziemi. Pomiedzy nimi drobna sylwetka unosiła się na rękach, a naprzeciwko niej stała druga.

– Suka – ciągnął Araña tonem pozbawionym emocji.

Druga sylwetka, ta stojąca, podniosła bez słowa rękę, w której błysnął ogień wystrzału i huk – z małego kalibru, może 6,35 mm – odbił się głośnym echem. I to był hałaśliwy finał dyskretnego, eleganckiego człowieka. Paquito Araña upadł do tyłu albo przewrócił się. Nie wiadomo. Nie było czasu, by to sprawdzić, gdyż stojąca sylwetka odwróciła się ku Falcó, który poczuł na karku zimny, znajomy oddech Parki. W życiu zdarzały się momenty nieuniknione, zaczynało się i kończyło, ale niekiedy Parka napotykała pewien problem: zainteresowany bardzo chciał żyć. W tym konkretnym momencie to właśnie był jego casus. Zatem nim Eva Neretwa nacisnęła na spust po raz drugi, rzucił się na nią.

Poczuł drugi wystrzał i usłyszał huk, gdy broń była już przy jego ciele, pod prawą pachą. Pocisk pomknął w noc, muskając mu koszulę z nieprzyjemnym wrażeniem ciepła i bliskości, podczas gdy jego ciało uderzało w ciało kobiety.

Oboje upadli na ziemię.

Było to mocne uderzenie w muskularne i naprężone ciało. Dość solidne. Miała na sobie męskie spodnie i kanadyjkę. Bary pływaczki, przypomniał sobie. Ta bryła nie miała nic wspólnego z nagim, miękkim ciałem, które Falcó tulił dwie noce temu w pokoju sto osiem hotelu Continental. Teraz chodziło o twardą, wyszkoloną maszynę. Gotową do walki.

I do zabicia go, pojął natychmiast.

Pierwszy cios otrzymał, wstając, obolały od upadku na kamienie. Bolały go ręka i kolano, i stracił kilka cennych sekund, sięgając doń, by je rozetrzeć, ale jego dłoń zawisła w powietrzu. Coś chlasnęło go w twarz niby uderzenie pejczem, poczynając od lewej skroni, i mrok wypełnił się szalonymi ognikami. Zdążył jeszcze zobaczyć oczy kobiety, bardzo wytrzeszczone i bardzo błyszczące w bladej poświacie księżycy, po czym otrzymał drugi cios, tym razem w gardło. Był tak silny, że gdyby trafił go nieco bardziej w prawo, zmiażdżyłby mu grdykę. Zamachał rękami, dusząc się, usiłując złapać oddech.

Załatwi mnie, pomyślał przelotnie z konsternacją. Załatwi mnie.

Dyszał rozpaczliwie jak ryba wyciągnięta z wody. Bezsilny albo prawie bezsilny. Klęcząc, zobaczył, jak Eva wznosi się nad nim, spokojna, mocarna. Z oszołomieniem zastanowił się, czemu kobieta nie strzela, i nagle zrozumiał, że upuściła broń podczas szamotaniny. Miała nagie ręce. A jedna z nich, zwinięta w pięść, dosięgła go właśnie po raz trzeci, znów w skroń. Zachwiał się – brak powietrza odbierał mu siły – ale zdołał zebrać się i powstać. Wówczas udało mu się wreszcie posłać jej w twarz cios, który wyrwał z jej ust jęk wściekłości i sprawił, że cofnęła się o trzy kroki, słaniając się na nogach.

Teraz ja, powiedział sobie, skacząc na nią. Jest moja.

Nie było to do końca prawdą. Cień w mglistej księżycowej poświacie powitał go uderzeniem kolana w krocze, które zatrzymało go w locie. Zgiął się wpół z bólu i zdumienia, próbując mimo wszystko wciągnąć w płuca choćby odrobinę powietrza, i zobaczył, że kobieta okrąża go powoli, metodycznie, szukając konkretnego punktu w jego ciele, by zadać cios. Zdecydowała się chyba, bo wydała krótki, ochrypły okrzyk, wzięła rozpęd i Falcó otrzymał kopniaka w nerki, który sprawił, że zassał nocne

powietrze, jakby zasysał gęsty atrament. Ból nadbiegł natychmiast, paralizujący, nie do zniesienia. Setki igieł wbiły się mu w szpik i mózg, kiedy padał bezwładnie na plecy na kamienie. A wtedy poczuł na sobie jej ciało próbujące go unieruchomić.

Nieźle sobie radzi, zauważył obiektywnie pomimo otępienia. Miał zamknięte oczy i ogarniało go niezwykle, niebezpieczne znużenie. Ta skurwielka nieźle sobie radzi.

Nigdy nie czuł się tak podczas walki. Taki nagle zrezygnowany i zobojętniały. Tak znużony. Miał ochotę przestać się ruszać i odpocząć na wieki.

Tak właśnie się umiera, pomyślał.

Ręce kobiety, skurczone i twarde jak szpony, zamykały się wokół jego gardła, naciskając nieubłaganie. Mężczyzna i kobieta mieli twarze bardzo blisko siebie i jej falujące nozdrza, pomruki wściekłości, oddech urywany z wysiłku, by zabić, były zaledwie o kilka milimetrów od ust Falcó.

W tym momencie dostał wzvodu.

Niewiarygodne, ale tak właśnie było. Pod ciałem kobiety, która próbowała go udusić, dokładnie w punkcie, gdzie jej uda rozwarłe na jego udach przyciskały go do ziemi, ciało Falcó, gotowe do podróży na tamten brzeg, obudziło się sztywne i jednoznaczne.

Chyba jednak umrę kiedy indziej, powiedział sobie z nagłą jasnością umysłu.

Wybuchnąłby śmiechem, gdyby miał na to czas i powietrze. Zamiast tego przypomniał sobie, że wrażliwy punkt kobiecego ciała to piersi. Cycki, mówiąc bardziej kolokwialnie.

Eva, jak wszystkie kobiety, miała dwa.

Wybrał prawy, który miał bardziej pod ręką, i zbierając wszystkie siły, zaczął walić weń pięścią, najmocniej jak był w stanie, raz za razem, aż

poczuł, że ucisk jej palców na jego gardle słabnie. Rąbnął wówczas głową w jej twarz, celując w nos, lecz trafiając w podbródek. Coś chrupnęło i usłyszał krzyk bólu. Puściła go wreszcie. Zrzucił ją z siebie uderzeniem kolana w miednicę, przeturlał się na bok i wstał. Gotowa do dalszej walki napinała się bardzo blisko jak niebezpieczna sprężyna, ale teraz Falcó odzyskał panowanie nad sobą i kontrolę nad choreografią tego spotkania.

– Daj już spokój – powiedział ze znużeniem, niemal pojednawczo.

Nie widział jej twarzy. Tylko błysk oczu. Zamarła nagle, jakby chciała wpuścić te słowa do swojej głowy, zastanowić się nad nimi. A moment później jej cień wydał ochryply pomruk i ponownie rzucił się do ataku.

Falcó grzmotnął ją w twarz, potem w splot słoneczny, później znowu w twarz. Upadła na kolana, a kiedy przesunął ręką po swojej twarzy, chcąc nieco ochłonać przed dalszą walką, poczuł, że oblicze jest lepkie od krwi. Jego albo jej. Przy tak słabym świetle nie był w stanie tego ustalić.

– Skończmy z tym – zaproponował.

Eva wypuściła powietrze z głuchym pomrukiem wściekłości, próbując się podnieść. A wtedy posłał jej w głowę kopniaka, który ją unieruchomił i rozciągnął na ziemi.

14. POPATRZ MI W OCZY

Trzeba stąd spływać, pomyślał Falcó, rozglądając się dookoła. Zbyt wiele strzałów, zbyt wiele hałasu. Zbyt dużo zwróciliśmy na siebie uwagę. W każdym momencie mogła pojawić się policja międzynarodowa, a panorama świadczyła na jego niekorzyść. Zapadła już noc, ale w zamglonym świetle księżycy dało się zobaczyć co nieco. Latarnia morska na przylądku Malabata wciąż mrugała w oddali, a za murem i fortem błyszczało kilka świateł portu.

Naliczył sześć czy siedem ciał, nieruchomych albo prawie nieruchomych. Jedno z nich wlokło się powoli po ziemi, wydając przeciągły, głuchy jęk. Podeszedł doń i zobaczył, że to typ w europejskim ubraniu, o kręconych włosach, wychudzony, wyglądający na Berbera: jeden z najemników ściągniętych przez Evę i Garrisona. Matowe, blade światło rzucało blask na krew, którą był zalany. Falcó pomyślał o nożu Paquita Arañii albo Kassema. Dobrzy żołnierze chcieli uniknąć hałasu, walczyli białą bronią tak jak tamci. Tylko Eva na koniec zerwała pakt. Kobiety zawsze to robiły.

– *Matklachi* – powiedział do rannego Berbera. – Leż spokojnie... Szybko wyleczą cię z tego.

Głos wydobywał się z niego z trudnością, bo jeszcze go bolały gardło i nerki. Odszukał wśród trupów Kassema. Leżał na plecach, na nim martwy przeciwnik. Przyłożył mu palce do szyi, nie wyczuł tętna. Ciało zaczynało stygnąć. Nieco dalej leżał trup Garrisona. Obszukał go, zabrał portfel

i złożone papiery, które miał w kieszeni. Badając teren nieopodal, znalazł browninga z tłumikiem. Wstał, zerknął na Evę, która wciąż była nieprzytomna, podszedł do rannego Berbera i dobił go strzałem w głowę.

– Mnie tego nie rób, kotku – usłyszał głos Paquita.

Brzmiał bardzo słabo. Boleśnie. Falcó znalazł kolegę kilka metrów dalej, opartego o kamień.

– Ale jatka – szepnął rewolwerowiec.

– Jak się czujesz?

– Chujowo. Jak niby mam się czuć? Ta dziwka mnie załatwiła.

– Dostałeś?

– Pewnie, że tak.

Falcó kucnął obok niego, obmacując go delikatnie. Pod marynarką w kaburze miał swoją astrę 9 mm largo, której nie użył zgodnie z rozkazem. Otwarty nóż leżał nieopodal na ziemi. Falcó zamknął go i włożył do kieszeni.

– Gdzie cię trafiła?

– W pierś, po tej stronie. Tuż nad pistoletem... Dobre wieści są takie, że nie bardzo boli. Oddycham normalnie i nawet nie mocno krwawię.

– Mały kaliber. Miałeś szczęście.

– Można to tak nazwać. – Araña patrzył na nieruchome niewyraźne postaci na ziemi. – Co z Kassemem?

– Martwy.

– Na pewno?

– Tak. Całkowicie martwy.

– Szkoda... To był poczciwy chłopak.

Falcó podniósł go nieco, próbując wymacać ranę. Araña jęknął cicho.

– Wyszła tyłem, nad pachą – oznajmił Falcó. – Chyba przebiła tylko ciało, nie drasnęła płuc ani żeber. Bolać cię kości?

– Nie wiem, słonko. Sądzę, że nie, ale nie potrafię powiedzieć.

– Odkasznij.

– Ekhm, ekhm.

– Boli cię bardziej, kiedy kaszlesz?

– Nie.

– Płuco w porządku. Jeśli nie wda się zakażenie, to od tego nie umrzesz.

– Nie wiesz nawet, ekhm, jak się cieszę.

Założył zaimprovizowany opatrunek z chusteczek swojej i Arañii, po czym wstał.

– Spadamy... Możesz iść?

– Myślę, że tak. Pomożesz?

– Tylko wstać. – Falcó machnął w stronę nieruchomych ciał: – Muszę ponieść ją.

– Nie zabiłeś tej komunistki?

– Nie.

– To ją dobij, człowieku. Na co czekasz?

– Nic z tego. Zabieramy ją.

Araña dźwignął się. Przyciskał chusteczki do rany na piersi.

– Dokąd? – zapytał zdumiony.

– Na górę. – Falcó wskazał na ścieżkę prowadzącą do furtki. – Do domu Moiry.

– Idiota.

– Być może.

– W naszych wojenkach nie bierzemy jeńców, skarbie.

– Tej nocy owszem.

Odszukał marynarkę i włożył ją. Potem podszedł do Ewy, która zaczynała się poruszać na ziemi. Pochylił się nad nią, nasłuchując. Jęczała cicho, ale oddychała w miarę normalnie, ocenił z ulgą, a puls był powolny, ale stały. Obmacał jej głowę i znalazł pod włosami sporego guza. Zauważył też, że krwawi z nosa.

Araña podszedł, żeby popatrzeć. Dotknął ciała stopą, nie podchodząc zbyt blisko.

– Przyglądałem się wam, kiedy się czubiliście. Ale dożarte bydlę z tej bolszewiczki.

– O mało mnie nie zabiła.

– Tak.

– Pomóż mi ją podnieść – poprosił Falcó.

– Mowy nie ma. Spływajmy i niech zdycha... Powinniśmy zlikwidować tę sukę.

– Pomóż mi, mówię.

Fukając i uskarżając się na własną ranę, zabójca pomógł Falcó dźwignąć kobietę na ramiona. Była bardzo ciężka.

– Co jej zrobiłeś? – zagadnął Araña, gdy wspinali się mozolnie na zbocze w bladym świetle księżyca.

– Przywaliłem jej w głowę.

– Powinieneś był przywalić w pizdę.

– Tam też przywaliłem.

Moira Nikolaos nie była zachwycona nocną wizytą. To rzucało się w oczy. Nawet gdy chodziło o Falcó wykończonego długim podejściem stopień po stopniu z nieprzytomną kobietą na barkach i w towarzystwie rannego, o całą trójkę brudną i wysmarowaną krwią własną i cudzą. Mimo wszystko nie wyrzuciła ich za drzwi. Nie mogła tego zrobić. Stara miłość

nie rdzewieje, mówiło przysłowie, a Falcó je znał. Zawsze działało na jego korzyść. Poprzedniego wieczoru przezornie uprzedził Moirę, nie owijając w bawełnę. Jego przyпіływy wyrachowanej szczerości zawsze odnosiły skutek, zarówno wobec mężczyzn, jak i kobiet; szczególnie wobec kobiet. A szlifował tę umiejętność przez całe życie. Z pewnością będę cię potrzebował, powiedział, siedząc przy niej w trakcie krótkiej wizyty, gdy palili na tarasie ze szklanką pernoda w ręce. Miał minę grzecznego chłopczyka. Jeśli sprawy pójdą źle, twój dom będzie jedynym miejscem w Tangerze, gdzie będę mógł się schronić. Nie mam innego. Moją jedyną drogą ucieczki jesteś ty. I tak dalej.

– Nie powiedziałeś mi, że chodzi o to – odezwała się teraz na ich widok.

Brzmiało to mniej jak wyrzut, bardziej jak wyraz zdziwienia. Logicznego, skądinąd. Wyszła do nich, gdy tylko zastukali w drzwi od strony schodów na plażę, w haftowanym kaftanie, z bosymi stopami ze srebrnymi bransoletami na kostkach. Na stoliku leżała popielniczka pełna niedopałków i do połowy pełna szklanka z żółtawozielonkawym płynem. Z gramofonu płynęła Édith Piaf. Moira była tu przez cały czas, oczekując na wieści, uznał Falcó. Dobra, wierna przyjaciółka. Zmysłowo macierzyńska albo na odwrót. Przez wzgląd na Smyrnę, Ateny, stare czasy i tym podobne.

– Nie mogłem wiedzieć – odparł. – Nie wiedziałem, jak to się skończy.

Moira przyglądała się im z najwyższym zdziwieniem.

– Kto to?

– Rosjanka... Agentka republikańska.

– Oszalałeś.

– Tak. Tylko na kilka dni.

– Ma coś wspólnego ze sprawą statku?

– Owszem. I jeszcze jedno. – Falcó wciąż trzymał na plecach Evę, której głowa zwisała przy jego głowie. – Potrzebuję pokoju, gdzie ją zamkniemy i gdzie będzie pilnował jej mój kolega.

– Tu, w moim domu?

– Nie przychodzi mi do głowy żadne inne miejsce.

Zdziwienie przeszło w osłupienie. Usta Moiry otworzyły się prawie na pół piędzi.

– Porwaliście ją?

– Mniej więcej. Kiedy próbowała porwać mnie.

Obok jego prawego ucha z ust Evy dobył się znowu słabiutki jęk. Ważyła wściekle dużo i Falcó marzył o tym, żeby się jej pozbyć, ponieważ zaczynało brakować mu sił. Rozejrzał się i zwałił ją bez ceregieli na otomanę: miała zamknięte oczy, ogromnego guza na lewej skroni pod jasnymi włosami pobrudzonymi ziemią, a zaschnięta krew z nosa fastrygowała jej wargi i podbródek. Jęczała wciąż, ledwie słyszalnie, nie odzyskawszy przytomności.

Moira podeszła, by się jej przyjrzeć, i przyłożyła dłoń do jej czoła. Potem odwróciła się do Falcó.

– Oszalałeś, chłopcze – powtórzyła.

Rozcierał sobie obolały kark i nerki.

– Tak – przytaknął uprzejmie po raz drugi.

– Powinien ją obejrzyć lekarz.

– Nas wszystkich powinien obejrzyć lekarz. – Wziął ze stolika szklanę i opróżnił ją jednym haustem, czując, jak pernod parzy mu gardło. – Ale to nie jest dobry moment.

– Uderzono ją w głowę...? Kto to zrobił?

– Ja. – Falcó pokazał na Paquita Arañę – Po tym, jak strzeliła do niego.

Moira krytycznie przyglądała się zabójcy. Araña nie odzywał się, a wylupiaste, zaczerwienione oczy omiatały wzrokiem pokój. Po jego zwykłych elegancji i schludności nie zostało ani śladu. Wyglądał jak ostatni łachudra: drobny, utyłany ziemią, przyciskając zakrwawione chusteczki do rany pod marynarką rozdartą na łokciu, z przekrzywioną muszką, a rozczochrane farbowane włosy odsłaniały połowę czaszki. Taki zmalretowany przypominał filmowego bohatera ukaranego za zdradę na kilka sekund przed napisem *Koniec*. Skrzyżowanie Adolphe’a Menjou z Peterem Lorre.

– A ten?

Moira pokazała na niego kikutem i pustym rękawem. Falcó uśmiechnął się ze znużeniem, wyjmując z kieszeni fiolkę kopiryn.

– To mój kolega i też nie wybiera się na bal.

Sikał krwią, opierając się o kafelki łazienki nad muszlą klozetową: różowawy strumień pochodził z jego obolałych nerek. To chyba nic poważnego, pomyślał, chociaż trochę potrwa, zanim wróci do normy. Taką miał przynajmniej nadzieję. Poza tym wciąż jeszcze miał trudności z przełykaniem śliny. Nie ulegało wątpliwości, że Eva przywaliła mu mocno i celnie. Była prawie śmiertelnie skuteczna. A to „prawie” w tym przypadku oznaczało, że był o krok od przekroczenia granicy. Ludzie często nie domyślają się, jak mała odległość dzieli człowieka żywego od człowieka nieżywego. Zaledwie kilka milimetrów.

Lustro pokazało mu obraz zmęczonej, zmalretowanej twarzy z kroplami wody, którą właśnie zmył brud. Stał tak przez chwilę, oddychając wolno, próbując rozpoznać się w tym obrazie, odnaleźć w rysach, które powoli wracały do normalnego wyglądu. Linia warg wciąż pozostawała wąska, a źrenice przypominały opiłki żelaza, były twarde jak

one. Jego twarz miała oschły, odległy wyraz człowieka, który zobaczył diabła z bardzo bliska, wręcz zajrzał mu w oczy, pomagając mu przy okazji w jego dziele.

Przyglądał się sobie, stojąc nieruchomo, jeszcze przez chwilę. Po kilku sekundach potrząsnął głową, jakby budził się z koszmaru i wytarł do sucha twarz. Potem wyszedł na korytarz i ruszył do salonu, powłócząc nogami. Moira była tam, leżała na otomanie z butelką pod ręką, paliła kif. Falcó usiadł obok, podała mu papierosa. Zaciągnął się tylko raz i oddał jej. Dym podrażnił mu obolałe gardło i sprawił, że rozkaszał się.

– Nie możesz zostawić jej tutaj – powiedziała Moira.

Dopiero po kilku sekundach zrozumiał, kogo ma na myśli. I to z trudem. Bardzo powoli powracał z odległego, niebezpiecznego miejsca.

– Potrzebuję tylko kilku godzin – odezwał się wreszcie.

Zachrypnięty głos Moiry zabrzmiał bardziej oschle niż zwykle.

– To nie więzienie, to mój dom... Nie mogę narażać się w ten sposób.

– To będzie ostatni raz. Przyrzekam.

Próbował osłonić się uśmiechem grzecznego chłopczyka, ale Moira rzuciła mu sceptyczne spojrzenie.

– Zmuszasz mnie do spłacenia wszystkich długów w tę jedną noc.

– Wiem.

– Mieszkam w Tangerze.

– Wynagrodzę ci to.

Patrzyła teraz na niego z pogardą.

– Idź do diabła.

– Byłem niedaleko, zapewniam cię.

– Nie czaruj mnie pięknymi frazami, chłopcze... Nie czaruj mnie.

– Powiedziałem, że ci to wynagrodzę.

– Nie chcę żadnego wynagrodzenia. – W pustym rękawie kikut poruszył się niecierpliwie. – Chcę, żebyś zabrał stąd tę twoją bandę. Jak najszybciej.

– Pracuję nad tym.

– Za długo.

Moira wypila ostatni łyk pernoda. Po chwili jeszcze raz podała mu dzointa, ale odmówił ruchem głowy.

– Co zrobisz z tą kobietą?

Falcó wzruszył ramionami.

– Nic, tak naprawdę. A właściwie jeszcze nie wiem. – Zamilkł. – Pewnie porozmawiam z nią.

Moira wybuchnęła śmiechem, w którym nie było rozbawienia.

– Najwyraźniej nie rozmawialiście za wiele do tej pory.

Śmiała się jeszcze przez moment, szorstko, domyślnie. Tylko kobieta, pomyślał Falcó, może tak się śmiać, mówiąc o innej kobiecie. W tym względzie pewien rodzaj lojalności sięgał kresu.

– Naprawdę tak was urządziła, ciebie i tego kurdupła o żabich ślepiach?

Falcó nie odpowiedział. Przypomniawszy sobie błysk oczu Ewy w półmroku, gdy walczyli pod murem. Jej urywany oddech blisko jego oddechu, kiedy próbowała go udusić, dysząc jak zwierzę.

– Twarda sztuka, z tego, co widzę – dorzuciła Moira po chwili. – Chociaż chyba jest niezła, czysta i ubrana po ludzku.

Tego też nie skomentował. Z dymiącym papierosem w ręce patrzyła na niego przenikliwie, z ciekawością.

– Znałeś ją wcześniej?

Milczał. Moira w zamyśleniu zaciągnęła się po raz ostatni i odłożyła miniaturowy niedopałek do popielniczki.

– Ciekawe, czemu mnie to nie dziwi, kochany...? Wszystkie kobiety, które spotkały się w twoim życiu, znałeś chyba wcześniej.

Falcó wstał.

– Porozmawiam z nią – powiedział.

Nie patrząc na niego, Moira sięgnęła po butelkę i napełniła szklankę po raz kolejny.

– Tak, idź... Porozmawiaj i zabierz ją stąd, zanim zapuka policja.

Eva Neretwa leżała na łóżku w gościnnym pokoju na brzuchu z rękami związanymi na plecach drutem owiniętym trzy razy. To nie Falcó związał ją w ten sposób, więc odwrócił się w stronę Paquita Arañii. Cyngiel siedział na krześle z marynarką narzuconą na ramiona, półnagim torsem, świeżym opatrunkiem na piersi i astrą na kolanach.

– Nie ufam jej – oznajmił w odpowiedzi na nieme pytanie.

Falcó miał polecić mu, by rozwiązał jej ręce, ale zmienił zdanie. Ufność to pierwszy stopień na cmentarz, a w Hiszpanii do rowu przydrożnego. Podszedł bez słowa do łóżka.

Eva miała jeszcze na sobie kanadyjkę, pomięte spodnie były powalane ziemią i poplamione krwią, podobnie jak płócienne buty. Włosy, brudne, zmierzwione, kleiły się do spoconego czoła i oczu. Obrócił ją na bok. Była przytomna, spoglądała na Falcó przez krótkie, jasne kosmyki.

– Zostaw nas samych – powiedział Arañii.

– Na pewno?

– Tak.

– Będę za drzwiami. Krzyknij, jakbyś mnie potrzebował. – Rewolwerowiec zatrzymał się na moment z ręką na klamce. – I nie ufaj tej szczerwanej dziwce.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Falcó przysiadł na skraju łóżka i obserwował ślady walki na twarzy kobiety: guz na skroni wciąż był nabrzmiały, fioletowawe krwiaki zniekształcały jej policzki i lewą stronę szczęki, jedna powieka opadała bardziej niż druga, a ścieg zaschniętej, brązowej krwi biegł od nosa po podbródek. Ale oczy nadal rzucały niepokojąco mordercze błyski.

– Jak się czujesz? – zapytał.

Nie odpowiedziała. Spoglądała na niego wrogo i twardo. Przybliżył rękę, żeby odgarnąć jej włosy z twarzy, ale cofnęła głowę. Słyszał jej głęboki, powolny oddech.

– Prawie ci się udało – powiedział.

Patrzyła na niego jeszcze przez moment bardzo uważnie, nie otwierając ust. Potem zamrugła powiekami.

– Gdzie jest reszta? – szepnęła w końcu.

Miała ochryply, obolały głos. Falcó wzruszył ramionami.

– Nie żyją – powiedział naturalnym tonem.

– Garrison też?

– Też. Wszyscy nie żyją.

Widział, jak jej wzrok ucieka na moment w głąb siebie albo gdzieś daleko. Ponownie spróbował odsunąć włosy z jej twarzy, a tym razem nie usunęła się, pozwoliła mu na to. Opuszkami palców Falcó delikatnie dotknął guza.

– Nic poważnego – ocenił.

– Boli mnie szczęka.

Przypomniał sobie, że walnął ją głową. Obmacał ostrożnie jej podbródek. Chyba niczego nie złamał.

– Nieźle mi przyłożyłeś – powiedziała Eva.

– Oboje nieźle sobie przyłożyliśmy... Umiemy to robić.

Pochylił się nad nią, żeby obejrzeć ręce. Były zsiniałe od zaciśniętego drutu. Araña zrobił to specjalnie. Rozluźnił nieco więzy, by poprawić przepływ krwi.

Eva nie spuszczała z niego wzroku.

– Co ze mną zrobisz?

– Jeszcze nie wiem.

– Muszę wracać na Mount Castle.

– Nawet o tym nie myśl.

– Mam rozkazy.

– Do diabła z twoimi rozkazami.

Zaśmiała się pogardliwie.

– Nie wyszło wam przekupienie Quirosa – powiedziała z triumfem w głosie.

– To prawda – przyznał. – Maczaliście w tym palce?

– Nie. Powiedział, że to jego sprawa, między wami a nim. Że poradzi sobie przy pomocy swoich ludzi. Bosmana i kilku innych.

– A kto do mnie strzelał, kiedy uciekałem? Ty?

– Mój kolega.

– Garrison?

– Tak. Byliśmy oboje na końcu ulicy na wypadek, gdyby coś nie wyszło. Quirós bardzo się wkurzył. To mój statek, powiedział. A moim statkiem zajmuję się ja... Zamierzał schwytać cię i przekazać policji za próbę przekupstwa.

– Tylko tyle? – Teraz Falcó zaśmiał się metalicznie. – Jaki delikatny, z tymi swoimi burżujskimi przesadami... Podejrzewam, że Quirós to jeden z tych pożytecznych durni, których rozstrzeliwujecie w drugiej fazie

rewolucji, kiedy przestają być potrzebni. Torturujecie ich i zabijacie, gdy rozkaże wam ojczulek Stalin. Kiedy nie wytrzymują.

– Tak samo robicie wy. – Jej słowa zabrzmiały jak splunięcie.

– My...? Ta liczba mnoga jest niestosowna. Ja nie jestem oddany sprawie tak jak ty, nie mam towarzyszy walki, nie wierzę w uwolnienie proletariatu...

– Jasne. Ty wierzysz w faszystowskich generałów i peletony egzekucyjne pokropione wodą święconą... W morderców w mundurach requetesów, w Afrykanów, którzy gwałcą kobiety, w nazistów, we Włochów.

Falcó popatrzył na nią z pogardą.

– A powinienem wierzyć w wasze katownie na tyłach...? W rosyjskich pilotów i czołgistów? W tę idylliczną Republikę, gdzie wy, komuniści, pakujecie więcej kul w trockistów i anarchistów niż w żołnierzy Franco? Nie serwuj mi banałów. Ja poluję sam i tak jest mi dobrze.

– Jesteś podłym zbirzem.

– Tak.

– Nigdy nie byłbyś dobrym komunistą.

– Ani nawet złym.

Zamilkli. Eva próbowała ułożyć się lepiej, było jej niewygodnie. Falcó patrzył na nią, nie reagując.

– Mount Castle wyjdzie w morze, prawda? – zapytał.

Popatrzyła na niego ze zdwojoną wrogością. Oderwała wzrok, przygryzła wargi pokryte zaschniętą krwią i spojrzała znowu.

– Na sto procent – odezwała się wreszcie. – Dlatego muszę tam być.

– To będzie samobójstwo. Niszczyciel pośle go na dno. Nie mają żadnych szans.

– Quirós jest uparty, jak mogłeś zauważyć. Poza tym dostał rozkazy, by nie dopuścić do internowania.

– A jego ludzie?

– Pójdą za nim do piekła, jeśli im rozkaże. I zrobi to.

– Wszyscy? Cała załoga bohaterów...? Bardzo by mnie to zdziwiło.

– Nie znasz Quirosa – odparła po chwili. – Ani jego relacji z ludźmi. Na pokładzie Mount Castle Republika najmniej się liczy. Nawet komuniści i anarchiści, bo tacy też są w załodze, słuchają go ślepo, od bosmana po ostatniego palacza. Przez ten cały czas, podczas tych wszystkich rejsów i niebezpieczeństw, powstały między nimi specyficzne więzi. Nie chodzi o poglądy, ale o lojalność. Są ludzie zdolni do zbudowania czegoś takiego wokół siebie, a kapitan Quirós należy do nich. – Poza tym... – dorzuciła – ... pozwoli zejść na ląd tym, którzy chcą zostać w Tangerze.

– Ilu?

– Nie wiem. Ale dwudziestu ludzi na pokładzie wystarczy.

Falcó słuchał uważnie. Kalkulując. Oceniając szanse.

– A co ty robisz w tej całej historii? – zapytał po chwili. – Przecież wiesz, że Mount Castle nigdy nie dotrze do Morza Czarnego.

– Powiedziałam ci już. Rozkazano mi płynąć.

– Kto...? Komintern? NKWD? Paweł Kowalenko?

Popatrzyła na niego z zaciśniętymi ustami. Mrocznie. Albo bardziej niż mrocznie.

Falcó kręcił głową z dezaprobatą. Myślał o fali procesów zainicjowanej w Moskwie w ubiegłym roku, którą Stalin utwierdzał swoją władzę. Ogromna część starej leninowskiej gwardii została osądzona i skazana za wypaczenia i poglądy kontrewolucyjne. Związek Radziecki i jego służby specjalne zamieniały się w piekło, aresztowania i tortury, każdy wydawał każdego, żeby przeżyć. A kiedy ktoś popadał w niełaskę, pociągał za sobą

podwładnych, rodzinę i znajomych. W Łubiance brakowało już miejsca na ten kolektywny terror.

– Nie nasz pojęcia, co cię czeka w Rosji, jeśli w ogóle tam dotrzesz – powiedział. – A może nie chcesz wiedzieć... Czystki dosięgają też agentów działających za granicą. Wzywają ich pod byle pretekstem i niewielu wychodzi cało, nawet wy stąd, z Hiszpanii.

– Nie wiesz, co mówisz.

– Mylisz się. Wiem doskonale. Poza partią nie istnieje nic, prawda...? To wasza rodzina, ognisko duchowe dla was wierzących w wyzwolenie wyklętego ludu ziemi i tych, których dręczy głód. Powiedz mi, czy się myłę. No powiedz.

– Nic nie rozumiesz... Jak śmiesz?

– Odrzucenie tej pewności wydaje się wam niewyobrażalne – ciągnął, jakby nie słyszał jej słów. – Odebrałoby sens temu, co działaliście i co przecierpieliście. Teraz więc, pamiętając o tym, jak nadstawialiście karku, o tym, że poznaliście każde więzienie i każdą granicę, przyznajecie się do wyimaginowanych zbrodni zdyscyplinowani jak automaty, a tchórze i dekownicy, którzy nigdy nie ryzykowali własnego życia, składają was w ofierze.

– To absurdalne.

– Wręcz przeciwnie. To odrażająco logiczne i ta logika sprawia, że ty także jesteś gotowa odegrać swoją rolę zupełnie jak pierwsi chrześcijanie, którzy zgadzali się na cyrk i lwy... Zaakceptowałybyś nawet strzał w kark, gdyby było trzeba, tak jak godzisz się pójść na dno z Mount Castle. Wszystko, byle nie stawić czoła rzeczywistości, nie jest tak?

– Nie masz bladego pojęcia, o czym mówisz.

– Mylisz się. Może jestem bydlakiem i nie wierzę w nic, ale dotarłem w głąb ciebie... I nie mówię tylko o cipie.

– Skurwysyn.

Zamilkli, patrząc na siebie. Ona wyzywająco. On z pewnym podziwem. Wbrew sobie.

– Nigdy nie widziałem tak heroicznego tchórzostwa – szepnął.

Nie odpowiedziała. Milczeli jeszcze przez chwilę, nie spuszczać się z oczu. Potem Falcó pokręcił głową.

– Nie popłyniesz na tym statku.

– Zabijesz mnie?

Nie wyczuł ironii w tym pytaniu. Eva patrzyła na niego z powagą, jakby spytała całkiem serio.

– Jeszcze nie wiem – odparł. – Są wyjścia pośrednie.

Próbowała podnieść się na łóżku. Nie przeszkadzał jej ani nie pomagał.

– Powiedz mi jedną rzecz – poprosił. – Kiedy spałaś u mnie w pokoju, wiedziałaś, że mojego radiowca torturują twoi ludzie?

Nie otrzymał odpowiedzi. Udało się jej usiąść z twarzą blisko jego twarzy. Patrzyła na niego twardo.

– Rozumiem – powiedział. – Rozkaz wydałaś ty.

– Wątpię, czy cokolwiek rozumiesz.

Zobaczył, że porusza rękami i że to wywołuje grymas bólu na jej twarzy.

– Rozwiąż mi ręce – poprosiła. – Bola.

– Nie rozwiążę cię.

Uderzenie głową zaskoczyło go całkowicie. Trafiło go w czoło, nieco niżej złamałoby mu nos. Zachwiał się, siedząc na skraju łóżka, a ona popchnęła go całym ciężarem ciała i zrzuciła na ziemię. Mimo rąk związanych na plecach rzuciła się na niego, usiłując walnąć kolaniem w jądra albo głowę. Dyszała wściekle jak zwierzę walczące o życie. Falcó

posłał jej cios, który sprawił, że upadła na niego, a wówczas spróbowała ugryźć go w twarz.

Dobra, pomyślał Falcó. Skończmy to.

Chwyił ją za włosy i szarpnął mocno do tyłu, wywołując pomruk bólu, a drugą ręką zwiniętą w pięść rąbnął ją tak, że podrzuciło ją o dwie piędy w górę. Wyturlał się spod niej i sekundę później był na górze, na kobiecie, która szamotała się, próbując się podnieść. Uderzył ją jeszcze raz, tak że upadła na plecy na związane ręce.

Wierzgała i rzucała się, nieposkromiona. Dzika.

Patrzył przez moment na nią, na oczy sypiące iskry spod sklejonych, rozczochranych włosów, na brązowy ścieg na ustach i podbródka. Na nogi, którymi wciąż usiłowała go kopnąć.

Mój Boże, pomyślał z podziwem. Gdyby ta kobieta była jałówką, płodziłaby najgroźniejsze byki.

Pochylił się nad nią ostrożnie i wymierzył jej głośny policzek, który obrócił ją na bok. A wówczas ukląkł nad nią, położył kciuki po obu stronach jej szyi i przycisnął bardzo mocno w miejscu, które jego instruktor w Tirgo Mures nazywał *glomus caroticum*: rozwidlenie tętnicy szyjnej – piętnaście sekund: omdlenie, pamiętajcie; minuta: śmierć. Policzył do piętnastu, nie zwalniając ucisku, a kiedy odsunął ręce, Eva była nieprzytomna.

Usłyszał, że za jego plecami otwierają się drzwi. Paquito Araña stanął w progu z pistoletem w ręce.

– Nie można cię zostawić samego ani na minutę – powiedział zaskoczony i z sarkazmem. – Straszny mięczak się z ciebie zrobił.

Falcó wstał, rozcierając bolące czoło.

– Zostań z nią... Ożłop się kawą, jeśli będzie trzeba, ale nie spuszczaaj jej z oka, dopóki nie wrócę. Mam kilka rzeczy do zrobienia.

– To ostatnia głupota – zaprotestował tamten, kręcąc głową. – Powinniśmy zlikwidować ją raz na zawsze... Jeśli ty masz jakieś obiekcje, mogę się tym zająć. Zrobię to z największą przyjemnością.

Falcó podszedł do niego. Zrobił to powoli i równie powoli przemówił. Bardzo oschle i bardzo powoli.

– Zabiję cię, jeśli coś jej się stanie. Rozumiesz...? Popatrz mi w oczy. Zabiję cię.

15. KAŻDY ROBI, CO MOŻE

Coraz gęstsza mgła otulała dolną część miasta, potęgując mrok, kiedy Falcó zostawił za sobą ulicę Dar Baroud i przeszedł pod łukiem w murze łączącym medinę z portem.

Wylegitymował się wartownikom z policji międzynarodowej i poszedł w stronę kei. Wilgoć panująca w powietrzu osadzała mu mikroskopijne kropelki wody na włosach i twarzy. W bursztynowym świetle nielicznych latarni błyszczał mokry bruk, na tle rozmytych, mglistych pierścieni odcinały się kontury magazynów i dźwigów oraz niewyraźne sylwetki statków przycumowanych do polerów.

Dwóch następnych żandarmów wyszło mu naprzeciw, a snop światła z latarki rozjaśnił mu twarz.

– *Où allez-vous?*

– Na Martina Alvareza. – Ponownie okazał dokumenty. – Mam pozwolenie, żeby wejść na pokład.

Niszczyciel stał na końcu kei i aby dojść do niego, Falcó przeszedł obok burty Mount Castle. Republikański frachtowiec był przycumowany lewą burtą, chroniły go zasieki z kozłów hiszpańskich i drutu kolczastego. Wejście oświetlała postawiona na ziemi lampa naftowa, wokół której poruszały się cienie trzech lub czterech policjantów uzbrojonych w karabiny.

Natomiast nikt nie strzegł od strony lądu nacjonalistycznego niszczyciela. Stał nieco dalej przy tej samej kei, we mgle, o jakieś

trzydzieści kroków od dziobu frachtowca, też przycumowany lewą burzą. Kilka świateł na pokładzie pozwalało dostrzec mostek, nadbudówkę i groźne działa 120 mm. Z komina wychodził czarny dym, który łączył się z nocą i mgłą.

Zaledwie Falcó wszedł na trap, z góry padł na niego snop światła z latarki, a w powietrzu rozległ się niemożliwy do pomylenia z niczym innym szcęk odbezpieczanego mauzera.

– Stój...! Kto idzie?

– *Arriba España* – odpowiedział.

W chwilę później stał oparty o gródź, mocne ręce sprawdzały jego dokumenty, inne obszukiwały go.

– Ma pistolet – odezwał się głos w ciemności.

– Zabierz mu – rozkazał inny. – Oficer dyżurny!

Na pokładzie rozbrzmiały kroki, a w kręgu światła rzucanego przez żarówkę brudną od soli Falcó zobaczył białą czapkę i ciemny mundur z podwójnym rzędem złożonych guzików na marynarce.

– Jestem upoważniony do wejścia na pokład przez waszego dowódcę – powiedział Falcó. – Nazywam się Pedro Ramos i muszę się z nim zobaczyć... To pilne.

W świetle latarki oficer obejrzał dokumenty podane przez marynarzy. Był to chorąży marynarki, młody, chudy, o melancholijnych oczach, które zmierzyły gościa wzrokiem od stóp do głów.

– Proszę za mną.

– Zabrano mi pistolet.

– Zwróć go panu przy wyjściu.

Falcó szedł za dyżurnym przez wnętrze okrętu, czując charakterystyczny zapach farby oraz lekkie drżenie podłogi i grodzi.

Niekiedy mijali odzianego w szary roboczy kombinezon marynarza, który stawał na baczność, gdy przechodzili. Wszystko tchnęło czystością i dyscypliną.

Komandor Navia był w kabinie z dwoma oficerami. Wpuścił ich pilnujący drzwi umundurowany kapral w butach ze sztylpami i maczetą za pasem. W środku wszyscy byli w mundurach. Rozmawiali, siedząc wokół stołu z rozłożoną mapą nawigacyjną otoczoną popielniczkami, filiżankami z kawą i kieliszkami z anyżówką. Powietrze było gęste od dymu z papierosów. Na głównej grodzi zdjęcie Caudilla i obrazek Matki Boskiej z Carmen, a pomiędzy nimi jarzmo ze strzałami z malowanego drewna nad żółto-czerwoną banderą z nazwą niszczyciela i dewizą *Oto moja bandera*.

– Pan Ramos – zaanonsował go chorąży.

Navia i inni powstali. Nie doszło do prezentacji. W odpowiedzi na milczące spojrzenie kapitana, oficerowie, jeden o siwych włosach, drugi łyсы i gruby, nieco młodszy, opuścili kabinę bez słowa. Falcó i Navia zostali sami.

– Oddajemy cumy za dwie godziny – powiedział ten drugi.

Falcó spojrział na zegar przykręcony do grodzi. Dochodziła pierwsza w nocy.

– A Mount Castle?

– Jego termin upływa o ósmej. Najpóźniej o tej godzinie także powinien wypłynąć.

– Przygotowali się?

– Wczoraj załadowali węgiel, mają zapalone kotły tak jak my.

– Będzie pan czekał na nich na morzu?

Navia spojrział na niego jak na idiotę.

– Oczywiście.

Przecięgnął ręką po znużonej twarzy. Na końcu mankietu naszyto trzy galony komandora porucznika, w tym górny z pętelką. Podwójny rząd guzików, biała koszula, czarny krawat. Pod oczami miał cienie i Falcó uznał, że nie tylko ze zmęczenia. Na barkach tego człowieka ciążyła ogromna odpowiedzialność: za swój okręt i za statek wroga. Za rozkaz wyjścia w morze, który zapewne zakończy się walką. Za zwycięstwo nieokrywające chwałą.

– Co pan wie o czerwonym kapitanie? – zapytał Falcó.

Navia spojrział na niego dziwnie. Z uwagą i w zamyśleniu. Potem wykonał ręką gest w kierunku butelki z anyżówką. Falcó odmówił ruchem głowy.

– Pójdę do niego za chwilę – przemówił w końcu marynarz.

Falcó osłupiał.

– Do Quirosa?

– Tak.

– Po co?

– Nie wiem. To on chciał tego spotkania.

– Na jego statku?

– Nie, na Boga. – Navia machnął ręką ku grodzi od strony lądu. – Tam, w jakimś biurze portowym... Na neutralnym gruncie.

– Sklep z dywanami też był na neutralnym gruncie i sam pan widział. Wycięli nam numer.

– Mam wrażenie, że tym razem będzie inaczej.

Falcó odetchnął głęboko.

– Teraz, owszem, chętnie się napiję.

Navia sięgnął po butelkę, nalał do czystego kieliszka i podał mu. Falcó umoczył wargi w przezroczystym, słodkim płynie.

- Myśli pan, że zmienił decyzję...? Że da się internować w Tangerze?
- To by mnie bardzo zdziwiło, biorąc pod uwagę, jak daleko zaszły sprawy.
- Czego oczekuje w takim razie?
- Nie mam bladego pojęcia. Dostałem wiadomość od niego pół godziny temu. – Wyjął z kieszeni złożoną kartkę i podał Falcó. – Niech pan sam przeczyta.

Panie komandorze, ubolewam nad tym, że nasze ostatnie spotkanie zakończyło się tak, jak się zakończyło, ale ufam, że zrozumie pan moje położenie. To chwytły właściwe wojnie, której ani pan, jak myślę, ani ja sam nie pragnęliśmy, ale którą jesteśmy zmuszeni toczyć. Byłbym panu bardzo wdzięczny, gdyby przyszedł pan na rozmowę ze mną po raz ostatni. Za godzinę będę w biurze mojego ajenta w porcie, naprzeciwko naszych statków. Ma pan moje słowo honoru, że wszystko odbędzie się z należyty szacunkiem z mojej strony, i oczekuję podobnego traktowania z pańskiej. Podpisano: Fernando Quirós Galán, kapitan Mount Castle.

Falcó oddał kartkę i zapalił papierosa.

– Między nami dżentelmenami – skomentował z sarkazmem.

– Na to wygląda.

– Brzmi przekonująco.

Navia czytał wiadomość po raz kolejny, marszcząc brwi.

– Tak. – Złożył papier i schował do kieszeni. – Dlatego pójdę tam.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Falcó wypił łyk anyżówki. Kapitan przeniósł wzrok na mapę i dotknął punktu na niej. Falcó uznał, że to w tym miejscu zamierza przechwycić frachtowiec.

– Mgła może pomóc Mount Castle? – zagadnął.

– Podniesie się późno, może nawet utrzyma się przez cały dzień... To utrudni jego lokalizację, bo widoczność nie przekroczy dwustu, może trzystu metrów.

– I?

– Ale oni też nie zobaczą więcej niż my. Tak że będziemy czekać cichutko, wpatrując się w mgłę, i nasłuchiwać dźwięku ich maszyn.

Znowu nastała cisza. Navia nie odrywał wzroku od mapy. Po chwili postukał paznokciem w ten sam punkt.

– Mają pewną szansę – dorzucił. – I będą próbowali ją wykorzystać.

Zwinął mapę i włożył ją pod pachę. Potem spojrzął na Falcó niemal z ciekawością.

– Chce pan mi towarzyszyć?

Ów przekrzywił głowę, zaskoczony.

– Podczas rozmowy z Quirosesem...? Myśli pan, że się zgodzi?

– Nie sądzę, żeby zgłaszał obiekcje, a to może być dla pana interesujące. Dla niego zresztą też... Być może nam, kapitanom, przyda się obecność świadka.

– To prawdopodobne – przyznał Falcó. – Obojętnie, jak to się skończy, trzeba będzie udzielić wielu wyjaśnień.

Navia spojrzął na zegarek i sięgnął po czapkę.

– To chodźmy.

Wyszli na korytarz, gdzie dowódca przekazał mapę kapralowi w sztylpach i z maczetą. Potem zeszli na pokład po metalowej drabince dźwięczącej pod ich stopami.

– Nie wiem za to, co zrobią marksistowscy agenci, których Quirós ma na pokładzie – odezwał się nagle Navia. – Są dla mnie całkowitą niewiadomą.

– Tym proszę się nie przejmować. Problem został rozwiązany.

Mijali jedną z żarówek pokrytych solą, które oświetlały pokład. Kapitan zatrzymał się i spojrzał pytająco na Falcó.

– Rozwiązany – powtórzył ów beznamiętnie.

Marynarz patrzył na niego jeszcze przez moment. Potem podniósł brew.

– Nie przesadzili, mówiąc mi o panu.

Falcó zaciągnął się po raz ostatni i wyrzucił papierosa za burtę.

– Każdy robi, co może.

– Przed wszystkim... – powiedział kapitan Quirós, jakby podsumowywał długą, wewnętrzną refleksję – ...przed wszystkim jestem marynarzem.

Stwierdzenie to wydawało się niestosowne albo niepotrzebne. Wygłosił je, patrząc na kapitana Navię, i Falcó zobaczył, jak ów potakuje. Wspólny kodeks, pomyślał. I uznał, że stanie się niewidzialny. A może już taki był, skonkludował.

Kapitanowie siedzieli naprzeciw siebie na fotelach w biurze ajenta, trzymając czapki na kolanach. Obaj mieli na sobie granatowe marynarki z galonami na rękawach; narodowiec był w koszuli i krawacie, republikanin w golfie. Za oknem rozpościerały się noc i mgła. Światło naftowego kaganka rozjaśniało ich twarze i pozostawiało w mroku kąt, w którym Falcó stał oparty o ścianę. Od dziesięciu minut był świadkiem, milczącym i nieruchomym, dialogu między dwoma mężczyznami, którzy za kilka godzin mieli zmierzyć się ze sobą na morzu.

– Przed wszystkim – powtórzył Quirós.

Niebieskie oczy wpatrywały się w przeciwnika z niezwykłą prostotą. Można by rzec, że oczekiwał na wyraźne potwierdzenie albo uniewinnienie. Navia poruszył się na fotelu i oparł ręce na kolanach.

– Sądzę... – odezwał się w końcu – ...że nie może pan zrobić nic innego.

Quirós kiwnął energicznie głową, jeden raz, pochylając łysą czaszkę ogorzałą od słońca. Pomiedzy rudymi i siwymi kępkami brody zarysował się grymas smutku.

– Wiem, że pan to rozumie – powiedział.

Navia odpowiedział nieokreślonym gestem.

– To jedyne, co mogę zrobić dla pana i pańskiego statku... Rozumieć.

– Jasne.

To ostatnie słowo wyrzekł Quirós z prostotą, fatalistycznie i spokojnie, przyglądając się swoim rękóm pokrytym piegami, gładzącym daszek czapki. Po chwili podniósł głowę.

– Wciąż jest pan gotów wyjść w morze przed Mount Castle?

– Oczywiście.

– Wie pan, że łamie pan konwencję międzynarodową z 1907 roku... – Podniósł rękę, jakby trzymał w niej tekst. – Statek handlowy szukający schronienia w porcie neutralnym ma prawo do wypłynięcia na dwadzieścia cztery godziny przed okrętem wojennym.

– Mój rząd nie uznaje stosowania tej konwencji do floty republikańskiej.

– Pański rząd, powiada pan.

– Tak jest.

– W takim razie wypłynie pan wcześniej niż ja?

Navia spojrzał na zegarek.

– Za godzinę i osiemnaście minut – oświadczył chłodno. Potem lekko odwrócił twarz do okna w stronę nabrzeża i kei. – Część załogi zejdzie na ląd czy wypłyną wszyscy?

– Wysadzam kilku – sprecyzował Quirós po krótkim wahaniu. – Ale zabieram wystarczającą liczbę ludzi.

– Do obsługi maszyn i do manewrów, jak sądzę.

– Właśnie.

– I do obsługi działa.

– Też.

– Pańskiego jedynego działa.

Quirós nic na to nie powiedział, a Navia pozwolił, żeby przez kilka sekund panowała cisza.

– Ma pan niewielką szansę ucieczki – odezwał się potem. – I wie pan o tym.

Quirós dotknął swojej brody w zamyśleniu. Następnie poruszył głową, jakby otrząsał się z własnych myśli.

– Co zrobiłby pan na moim miejscu? – zapytał nagle.

Navia oparł głowę o oparcie fotela. Tym gestem wskazywał, że chce nabrać dystansu. Uchylić się od odpowiedzi.

– Nie jestem na pańskim miejscu – powiedział oschle.

– A gdyby pan był?

Milczenie. Quirós przemówił ponownie:

– Mount Castle to dobry statek.

Navia wyglądał, jakby miał się uśmiechnąć, ale nie zrobił tego.

– Każdy statek, którym człowiek dowodzi, jest dobry – powiedział tylko.

– Będzie pan próbował wykorzystać mgłę – skomentował Quirós – podobnie jak ja.

– Kotek i myszka, po raz kolejny.

– Tak.

– Mgła nie będzie trwać wiecznie, droga na Morze Czarne jest długa... Krążą tam włoskie okręty, a ja mam na pokładzie dobre radio. Tym razem kotek ma długie pazury.

– Wiem.

Znowu zamilkli, Quirós ponownie spojrzął na swoje ręce w zamyśleniu. A może, powiedział sobie Falcó, nie myśli o niczym szczególnym. Tylko o prędkości w węzłach, o mapie, kursie i tym podobnych. Wydawał się tak spokojny, jakby rozmawiali o jakimś najzwyczajniejszym na świecie manewrze.

– To po to chciał pan spotkać się ze mną? – zapytał Navia z cierpką nutą w głosie. – Żeby zapytać mnie, co bym zrobił, gdybym dowodził pańskim statkiem?

– Nie. – Rozmówca wyglądał na obrażonego tym pytaniem. – Zawsze wiedziałem, co by pan zrobił.

Patrzył teraz w stronę Falcó, który stał w swoim kącie nieruchomo i milcząco. Agent poruszył się nagle, jakby coś sobie przypomniał.

– Mam nadzieję, że nie żywią panowie do mnie urazy za tamtą noc. Moim obowiązkiem...

– Proszę się o to nie martwić – uspokoił go Navia. – Każdy prowadzi swoją wojnę najlepiej, jak umie.

Quirós wstał, odkładając czapkę na fotel. Dowódca niszczyciela patrzył na niego z uwagą ze swojego miejsca.

– Mam do pana prośbę, panie komandorze... A właściwie dwie prośby. – Wyjął z kieszeni marynarki zaklejoną kopertę i patrzył na nią. – Mam żonę i dwie córki w strefie narodowej. Mieszkają w Luarce, z tego, co wiem. I chciałbym, żeby... To znaczy... Jeśli szczęście dopisze panu, a nie mnie, żeby pan dostarczył im ten list.

Po chwili ciszy, jakby się wahał, komandor wyciągnął rękę.

– Zrobię, co będę mógł.

– Dziękuję panu. Druga prośba dotyczy moich ludzi... Załogi Mount Castle.

Podszedł do Navii, by wręczyć mu kopertę. Stał teraz tuż przed nim.

– Jeśli znajdzie nas pan, nie zamierzam się poddać. Staniemy do walki.

Navia kręcił głową z widoczną przykrością.

– Jest pan zdecydowany?

– Całkowicie.

– Będę zmuszony...

– Wiem, do czego będzie pan zmuszony. I o to właśnie chodzi. Bardzo możliwe, że dla nas sprawy zakończą się na tym etapie, ale że ktoś przeżyje... Zakładam, że będzie pan na tyle przyzwoity, by uratować rozbitków zgodnie z prawem morskim.

– Niech pan o tym nie wątpi. Jeśli do tego dojdzie, uczynię dla nich wszystko, co w mojej mocy.

– Nawet we mgle? Będzie pan ich szukał do skutku?

– O ile tylko nie narazi to mojego okrętu na niebezpieczeństwo.

Republikański kapitan włożył ręce do kieszeni. Wyglądał, jakby go przykręcono do tego miejsca, pomyślał Falcó. Miał lekko rozstawione nogi na wypadek, gdyby ziemia zakołysała się pod jego stopami, był mały, zwarty i krzepki jak uparta cegła.

– Czy może pan odpowiedzieć mi z całkowitą szczerością na pewne pytanie, panie komandorze?

– Proszę je postawić, a wówczas się okaże.

– Otrzymał pan rozkaz rozstrzelania ludzi, których wyłowi pan z morza?

– Nie pańskich załogantów.

Dowódca niszczyciela nawet nie mrugnął. Quirós nieco pochylił głowę ku niemu.

– Mam pańskie słowo honoru?

– Ma pan... Moje rozkazy mają charakter ogólny i dotyczą zwykłego trybu postępowania z jeńcami. Powinienem wysadzić ich na ląd w strefie narodowej i przekazać lokalnym władzom, które zadecydują o ich losie.

– Postawią ich pod ścianą.

– W tym przypadku byłoby to coś zwyczajnego... Tak się postępuje, podobnie robicie wy z naszymi ludźmi. Ale to już nie będzie moja sprawa.

Quirós postąpił trzy kroki w stronę okna. Spoglądając w noc, wyjął z kieszeni paczkę papierosów i włożył jednego do ust.

– To dobrzy ludzie, wie pan...? Zwykli marynarze, których życie rzuciło na pokład Mount Castle, tak jak mogło rzucić na pańskiego niszczyciela. Kilku z nich ma radykalne poglądy polityczne, reszta jest po prostu wierna swojemu statkowi, swojemu kapitanowi i Republice. Służą jej, wykonując swoją pracę najlepiej, jak mogą... To wszystko.

– Czego pan ode mnie oczekuje? – zapytał Navia.

Quirós odwrócił się do niego.

– Żeby pan okazał szlachetność i nie wysadził rozbitków na ląd w strefie narodowej.

– Niemożliwe.

Quirós zapalił zapałkę. Gdy przysuwał płomień do papierosa, ogień oświetlił jego oczy spokojnego wikinga wyblakłe przez wieki sztormów, katastrof morskich i rejsów po wodach najeżonych rafami.

– Może pan posłużyć się różnymi pretekstami – powiedział cierpliwie. – Że ich stan wymaga natychmiastowej pomocy medycznej na lądzie albo co tylko przyjdzie panu na myśl. Że pan i pański okręt muszą tu wrócić z jakiegoś powodu... Ale proszę pana, żeby przywiózł ich pan do Tangeru.

– Nie mogę tego zrobić.

– Oczywiście, że pan może.

Navia wykonał gest konsternacji.

– A dlaczego miałbym to zrobić?

– Bo to żeglarze tak jak pan i ja. Bo to odważni ludzie, którzy nigdy nie splamili sobie rąk krwią.

– Tego nie wiem.

– To panu gwarantuję. – Quirós przeszedł kilka kroków po pokoku i zatrzymał się przy swoim fotelu, lecz nie usiadł. – Widziałem, jak wypełniali obowiązki w milczeniu, karnie, kiedy przełamywaliśmy blokadę albo szliśmy w sztormie, bo mi ufali. Bez słowa protestu. Patrzyli na mnie w trudnych chwilach, jak się patrzy na Boga...

Zamilkł nagle, jakby wahał się, czy ma mówić dalej. Potem podniósł do ust papierosa i powoli wypuścił dym. Światło niedalekiego kaganka otoczyło go szarawą otoczką.

– Odważni ludzie nie zasługują na to, żeby umrzeć pod ścianą – zakończył posępnie.

– A pan? – zagadnął Navia. – Co mam zrobić, jeśli uratuję pana?

Za całą odpowiedź otrzymał milczenie i wymowny, bardzo wolny, bardzo smutny uśmiech. Westchnął. Pokręcił głową ze zniechęceniem i westchnął po raz drugi.

– Ma pan moje słowo – odezwał się w końcu. – Zrobię dla nich, co tylko będę mógł.

Wstał, jakby tknięty jakąś myślą, Quirós zwrócił się po raz pierwszy do Falcó.

– Nie mam wieści o kilku pasażerach. O dwóch mężczyznach i kobiecie... Może pan coś wie.

– Owszem. Coś wiem.

– Domyślam się, że nie muszę czekać, aż wrócą na statek.

Falcó patrzył na niego bez słowa, nie odpowiadając. Quirós pokiwał głową.

– Rozumiem.

Sięgnął po czapkę i założył ją. Jasne oczy pod daszkiem nabrały wyrazu dalekiej obojętności. Tak naprawdę, pomyślał Falcó, w tym momencie kapitan Mount Castle zostawia za sobą ląd.

– Sądzę, że wszystko zostało powiedziane – szepnął jakby do samego siebie.

Potem zgasił papierosa w popielniczce i wyprostował się. Stał przed drugim kapitanem, który górował nad nim o głowę. Falcó zauważył, że obaj wahają się. Wreszcie niemal nieśmiało Quirós wyciągnął rękę, a dowódca niszczyciela uścisnął ją. Patrzyli sobie w oczy.

– Powodzenia, kapitanie – powiedział Navia. – Zobaczymy się na morzu.

Quirós potaknął w zamyśleniu. Pochłonięty był już drogą przez morze i noc.

– Tak. Prawdopodobnie.

Mgła otaczała mętnym pierścieniem nieliczne światła portu, których rozmazane plamy odbijały się na mokrej nawierzchni. Reszta najbliższego otoczenia była spowita szarym półmrokiem, a nieco dalej krąg mgły pochłonał wszystko.

Falcó z rękami w kieszeniach płaszczka, z podniesionym kołnierzem, z wilgotną twarzą i włosami stał przy jednym z dźwigów, patrząc, jak Martín Álvarez oddaje cumy. Okręt miał zapalone światła nawigacyjne, słychać było miarową pracę silników. Ołowiana sylwetka powoli odrywała

się od kei pod pióropuszem czarnego dymu, który przez brak wiatru i wilgoć utrzymywał się nad kominami, stapiając się z ciemnością nocy. Oglądany z lądu od skrzydła na lewej burcie niszczyciel ukazywał działo rufowe i drzewce z mokrą i oklapniętą banderą, której kolorów można się było tylko domyślać.

Sporo osób przyszło oglądać, jak Martín Álvarez wypływa. Żandarmi z posterunku podeszli do polerów i obserwowali go z drugiej strony zasieków otaczających miejsce, gdzie cumował Mount Castle. Obok nich zebrało się kilku członków załogi frachtowca, którzy zeszli na ląd, żeby popatrzeć, pozostali zgromadzeni wokół kabestanów przyglądali się z dziobu statku. Wszyscy stali bez ruchu; milczące sylwetki w świetle latarni rozmytych we mgle, wpatrzone w ołowianą bryłę, z papierosem w ręce lub w ustach, w beretach lub czapkach, w grubych swetrach i ciemnych kurtkach, ponure. Przyglądały się, jak wypływa wrogi okręt, który miał wykonać na nich wyrok za kilka godzin, gdy znajdą się na otwartym morzu.

Nieco wcześniej Falcó asystował przy ostatniej wymianie spojrzeń między narodowcami a republikanami. Ci pierwsi byli zajęci manewrem odejścia od kei, ci drudzy gromadnie podeszli przyjrzeć się, jak podnoszą trap i wciągają na pokład ociekające wodą cumy, podczas gdy na pokładzie rozbrzmiewały rozkazy i świst gwizdka. Ani jedni, ani drudzy nie zamienili ani słowa, wymienili tylko spojrzenia i gesty, które z miejsca, gdzie stał Falcó, mogły być tak zarówno gestami wrogości, jak pożegnania. Aczkolwiek – to zobaczył bardzo wyraźnie – kilku marynarzy z niszczyciela zwróconych w stronę frachtowca, podniosło jakby mimochodem palce do czapki; jednakże nikt nie odpowiedział na ich salut.

Gdy mieli rozpocząć odejście, Falcó zobaczył też komandora Navie, który przeszedł wzdłuż burty od strony lądu do nadbudówki i spojrzał stamtąd na mostek frachtowca, gdzie rysowała się sylwetka kapitana

Quirosa oparta o skrzydło na prawej burcie. Przez chwilę Navia stał nieruchomo, patrząc w tamtą stronę. Potem podszedł do niego jakiś oficer, powiedział coś, a dowódca odwrócił się tyłem do republikańskiego statku i wrócił na dziób.

Zabuczała syrena niszczyciela, przeciągły dźwięk przeszył mgłą niczym pożegnanie, przestroga i groźba. A wreszcie, gdy zakończono manewr, turkot maszyn stał się głośniejszy, śruby zakręciły czarną wodą, a czerwone światełko przy lewej burcie zaczęło się oddalać coraz bardziej i coraz szybciej. Po chwili widać było już tylko rozmyte światła z masztu padające na mostek i białe na rufie. Gdy widmowy cień niszczyciela zniknął w ciemności i mgle, marynarze republikańscy zeszli z dziobu Mount Castle, a ich koledzy z kei powoli wrócili na pokład.

– Nasza kolej – odezwał się jeden głos, który Falcó uznał, choć bez pewności, za należący do bosmana zwanego Negusem.

Falcó też odszedł. Gdy mijał frachtowiec, idąc keją w stronę miasta, zobaczył, że kapitan Quirós wciąż stoi oparty na skrzydle, zwrócony ku ciemności, która pochłonęła niszczyciela, i że załoganci wchodzący po trapie patrzą w górę w jego kierunku z milczącym szacunkiem.

Odważni ludzie, powiedział niedawno Quirós. W trudnych chwilach patrzą na mnie, jak się patrzy na Boga.

Mgliste światło latarni za plecami Falcó zniekształcało jego cień na mokrej nawierzchni. Patrząc nań, czyli patrząc na siebie, wykrzywił usta w sarkastycznym grymasie. Być może okrutnym. Marynarzowi na pokładzie statku, pomyślał, podobnie jak żołnierzowi podczas walki czy wiernemu klęczącemu przed kapłanem ogrom własnej błahości wydaje się tak oczywisty, że jedyną pociechą jest wyobrażenie sobie, że rządzą nim ludzie, którzy posiadali pewność, a nie pytania bez odpowiedzi. Albo coś w tym stylu. To by wyjaśniało, dlaczego zawsze znalazł się ktoś gotowy do

okazania skruchy za grzechy, do walki pod jakąś flagą, do wejścia na pokład statku wypływającego w swój ostatni rejs.

16. OSTATNIA KARTA ŚMIERCI

Paquito Araña wypełnił rozkaz jak grzeczny chłopiec. Siedział naprzeciwko łóżka, na którym leżała Eva Neretwa, miał koc na ramionach, kawiarkę na stoliku przed sobą i pistolet pod ręką. Czytał stary numer „Marie Claire”. Kiedy Falcó wszedł do pokoju, senne oczy rewolwerowca skierowały się na kobietę, która leżała wciąż na boku z rękami spętanymi na plecach drutem, z kosmykami jasnych, brudnych włosów zakrywającymi połowę twarzy.

– Jak się sprawowała? – zapytał Falcó.

– Cudownie... Musiałeś jej niezłe przyłoić, bo nie ruszyła się i nie pisnęła ani słówka.

Falcó wskazał na kawiarkę.

– Poczęstowałeś ją?

– Poczęstować ją...? Poczęstowałbym ją nożem w szyję, gdybyś mi pozwolił.

Falcó roześmiał się.

– Stara pamiętliwa baba z ciebie.

– A z ciebie nieodpowiedzialny piękniś, który o mało co nie wpędził mnie do grobu. Jak biednego Kassema.

Falcó dotknął jego torsu, opatrunku pod kocem. Nie było śladów krwi ani na piersi, ani na plecach, co dobrze rokowało. Kula była małego kalibru, nie naruszyła ważnych naczyń krwionośnych, rana zaschnęła. Dostał, ale miał szczęście.

– Bardzo cię boli?

– Niespecjalnie. Twoja przyjaciółka Moira dała mi jakiś zastrzyk.

– Idź odpocząć. Zawołam cię, jak będziesz mi potrzebny.

Zabójca ziewnął, przeciągając się ostrożnie. Wziął do ręki broń i wstał.

– Najwyższa pora, słonko. Pilnowanie komunistycznych kurew średnio mnie rajcuje. – Popatrzył na kobietę z mieszanką urazy i ciekawości. – Jakie masz plany wobec niej?

– Zabieram ją.

Cyngiel uniósł wydepilowane brwi.

– Dokąd?

– Potem ci powiem.

Oczy płaza patrzyły na Falcó z niepokojem i podejrzliwością.

– Naprawdę nie jestem ci potrzebny?

– Naprawdę.

– Słuchaj, synku, to mi się coraz bardziej przestaje podobać... Lubisz się bawić, ale ta dziwka jest niebezpieczna. Uważaj na nią.

– Spokojna głowa.

– Nie byłoby lepiej ją zabić?

– Nie.

– Przemyśl to, skarbie. Ona umiera za sprawę, a my oszczędzamy sobie problemów.

– Daj spokój. – Falcó uśmiechał się uspokajająco. – Idź, odpocznij. Prześpij się.

Araña wyszedł wreszcie, choć bez przekonania. Falcó podszedł do łóżka. Spomiędzy jasnych kosmyków oczy Ewy Neretwy wpatrywały się w niego z furią. Odzyskała przytomność. Odgarnął jej włosy z twarzy, nie zdążyła cofnąć oblicza. Wydzielała cierpki zapach brudu i potu, także

moczu: na spodniach w kroku widniała jeszcze wilgotna plama. Siniaki pokrywały jej policzki, czoło, szczękę. Na wardze i brodzie została zaschnięta krew, pod lewym okiem, spuchniętym i z opadłą powieką, rysował się brzydki, fioletowawy cień. Z pewnością nie można było określić jej mianem schludnej i ładnej dziewczynki.

– Niszczyciel narodowy właśnie wypłynął z portu – powiedział Falcó. – Za trzy godziny zrobi to Mount Castle.

Wciąż wpatrywała się w niego bez słowa morderczym wzrokiem, nie rozumiejąc, co mówi. Dopiero po chwili zamrugła powiekami i wydała ochrypy jęk. Zwierzęcy i rozpaczliwy.

Falcó podszedł do stolika z kawiarką, zobaczył, że jest tam jeszcze trochę kawy i wlał ją do filiżanki, z której pił Araña. Wyjął fiolkę z kopirynami, wysypał dwie i wrócił do dziewczyny.

– Weź to. – Nalegał, gdy odwróciła twarz. – Dobrze ci robi.

W końcu po długich naleganiach Eva zgodziła się. Pozwoliła, żeby Falcó włożył jej tabletki do ust – podał je na otwartej dłoni, uważając, by nie ugryzła go w palce – i wypła spory łyk kawy. Wyszedł na moment i wrócił z dzbankiem pełnym wody i ręcznikiem, po czym usiadł na skraju łóżka.

– Pozwól się umyć. Wyglądasz okropnie.

Delikatnie obmył jej twarz z zaschniętej krwi i brudu. Potem przyłożył mokry ręcznik do siniaków.

– Mogło skończyć się gorzej – oświadczył.

Eva nadal nie otwierała ust. Milczeli przez długą chwilę. Falcó odstawił dzbanek na podłogę.

– Papierosa?

Odmówiła ruchem głowy. Oddychała powoli, w napięciu, nie odrywając od niego oczu.

– Co ze mną zrobisz?

Jej głos był ochrypły, jak wcześniej jęk. Zdławiony bólem i zmęczeniem. Falcó wykonał nieokreślony gest.

– Nic specjalnego – powiedział.

Patrzył na nią w zamyśleniu. On też był zmęczony.

– Wszystko już zostało zrobione – dorzucił. – I nic nie zmieni biegu rzeczy.

Wyciągnął rękę, by odgarnąć jej sklezione, brudne włosy. Tym razem nie cofnęła głowy.

– A ja? – zapytała głucho.

Falcó wciąż patrzył na nią, trzymając palce w jej włosach.

– Nie wiem.

Milczał przez moment, po czym powtórzył: nie wiem. Dziewczyna przekręciła się na łóżku, leżała twarzą do góry, związanymi rękami w dół. Patrzyła w sufit.

– Quirós pytał o ciebie – powiedział. – O was.

– Rozmawialiście?

– Przed godziną.

– Powiedziałaś mu, co się stało?

– Nic mu nie powiedziałem. Ale zrozumiał wszystko.

Wciąż wpatrywała się w sufit.

– Przynajmniej wie, że nie zdezerterowałam.

– Przypuszczam, że zawsze wiedział. Ty nie jesteś z tych, co dezertują.

– Żałuję, że nie udało mi się zabić cię tej nocy.

– Tak... Wiem, że żałujesz.

Wstał. Miał jeszcze na sobie płaszcz i było mu gorąco. I nagle zrozumiał, co robi, a ta świadomość sprawiła, że nieomal uśmiechnął się w duchu. Ponownie pochylił się nad Evą, obracając ją na brzuch i rozwiązał drut oplatający jej przeguby. Patrzyła na niego ze zdumieniem.

– Może będziesz chciała pójść ze mną – powiedział.

– Dokąd?

– Do portu.

Podniosła się powoli, z trudem. Rozcierała sobie posiniaczone ręce i przeguby z głębokimi pręgami po drucie.

– Wolna? – zapytała z niedowierzaniem.

– Nie potrafię powiedzieć.

Cofnął się o krok, podczas gdy ona próbowała wstać, choć wydawało się to zbyt trudne dla jej zeszywniałych i osłabionych nóg. Po chwili podszedł, by jej pomóc. Nie stawiała oporu.

– Możesz chodzić?

– Tak.

Jej spodnie i kanadyjka były brudne i podarte. Falcó przełożył pistolet do prawej kieszeni marynarki, zdjął płaszcz i zarzucił go na nią. Patrzyła na niego zdezorientowana.

Dolna część medyny była wciąż pogrążona we mgle. Szli obok siebie bez słowa, słysząc podwójne echo swoich kroków, aż do tunelu la Marina pod fragmentem muru na wysokości portu. Niekiedy ocierali się o siebie, przechodząc wąskimi uliczkami, wówczas Eva odsuwała się natychmiast, sztywna, nieprzyjazna. Miała na sobie zapięty pod samą szyję płaszcz z podwiniętymi rękawami, jej włosy przykrywała jedwabna chustka zawiązana pod brodą.

W bramie gmachu Urzędu Celnego paliła się latarnia, w jej świetle kobieta odwróciła się, żeby popatrzeć na Falcó.

– Co zamierzasz?

Zwolniła kroku, potem stanęła. Falcó miał podniesiony kołnierz marynarki i ręce w kieszeniach. Było mu zimno.

– Jestem ciekaw – powiedział lakonicznie.

Patrzyła na niego wyczekująco. Odpowiedział wymijającym gestem.

– Po prostu jestem ciekaw – powtórzył.

– Ciekaw czego?

– Ciebie.

Na jej twarzy znów pojawił się wyraz konsternacji. To uczucie nie opuściło jej chyba od momentu, gdy zdjął więzy z jej rąk.

– Pozwolisz mi wejść na pokład?

Wypowiedziała te słowa oszołomiona, jakby właśnie zdała sobie sprawę z jego zamiarów. I jakby to była ostatnia rzecz na świecie, której się spodziewała. Falcó popatrzył na nią, nie odpowiadając.

– Czemu to robisz? – dociekała.

A wówczas przywołał na twarz jeden ze swoich charakterystycznych uśmiechów skomponowanych z sympatii, szelmstwa i bezczelnego okrucieństwa. Uśmiech wypracowany przez lata doświadczeń. Jeden z tych, za jakie paru mężczyzn, a nawet wielu mężczyzn dawało się zabić, i jakimi parę kobiet, a nawet wiele kobiet dawało się uwieść w ułamku sekundy.

– *Die letzte Karte* – powiedział. – Pamiętasz...? Bo ostatnią kartą gra Śmierć.

W porcie mgła wciąż przemieniała światło latarń w widmowe kręgi, od których szarzała noc. Szli powoli po kei polakierowanej wilgocią w kierunku Mount Castle, którego ciemna sylwetka z kilkoma punkcikami

światła na pokładzie odcinała się od mgły. Przystanęli przy zasiekach zagrządzających wejście na pokład. Dwadzieścia kroków dalej obok drewnianej budki obserwowali ich owinięci w peleryny żandarmi z karabinem na ramieniu z policji międzynarodowej.

– Oto twój statek – powiedział Falcó.

Patrzyła na niego w półmroku. A ściślej rzecz biorąc, taksowała go uważnym wzrokiem, jakby widziała go po raz pierwszy.

– Naprawdę pozwalasz mi wrócić na pokład? – zapytała ze zdumieniem.

– Pozwalam, żebyś zrobiła to, co zechcesz. Cóż innego mógłbym z tobą zrobić?

Zrobiła minę, jakby rozważała to pytanie.

– Mogłeś mnie zabić, jak proponował twój kumpel.

Falcó zaśmiał się cierpko, nieomal z rozbawieniem.

– Nic na tym nie zyskam.

– A na tym...? Puszczasz wolno wroga. Nie bierz mnie za jedną z tych burżujskich dziewczynek zabłąkanych w szeregach robotników. Jestem sowiecką agentką i twoi szefowie, ci faszystowscy bandyci, mogą zażądać od ciebie rachunku.

– Z moimi szefami, tymi faszystowskimi bandytami, poradzę sobie sam. Dobrze o tym wiesz.

Pochyliła głowę, nieprzekonana. Nieprzenikniona. Po chwili podniosła wzrok.

– Czemu to robisz?

– Powiedziałem ci. Twoja śmierć nie przyda się na nic.

– Kto nie umarł dzisiaj, może walczyć jutro.

– Owszem, istnieje pewne ryzyko, ale niewielkie... Jeśli wejdiesz na pokład tego statku, wątpię, czy dożyjesz jutra.

Dziewczyna pograżyła się w nieprzyjaznym milczeniu.

– Nie jesteś taki zły w porównaniu z całym tym światem – odezwała się nagle.

Falcó zaśmiał się cicho, prawie sam do siebie. Po chwili otrząsnęła się, jakby coś ją gryzło.

– Mam rozkazy – powiedziała.

– Wiem. Płynąć do Rosji... Ale na Mount Castle nie dopłyniesz donikąd. Twoja podróż zakończy się kilka mil stąd.

Znowu zamilkła, tym razem to on przemówił pierwszy.

– Zostań.

Patrzyła na niego z napięciem. Wyglądało na to, że stara się doszukać w jego słowach szczególnej nuty, jakiegoś szczególnego znaczenia. W tym, co powiedział wcześniej. W tym, co mówił teraz.

– A co ze mną zrobisz, jeśli zostanę?

Zaśmiał się ponownie. Z rezygnacją. Posępnie.

– Nic nie zrobię. Moje zadanie kończy się w tym miejscu. Przegrałem.

– Ja też. – Teraz ona zaśmiała się głucho i gorzko. – To nawet zabawne, nie sądzisz...? Dwoje przegranych o kilka kroków od trzydziestu ton złota, które za chwilę wylądują na dnie morza.

– Ten, kto wygra tę wojnę, będzie mógł je wyłowić, kiedy to wszystko się skończy.

– Tak czy owak, zwycięzcą nie będziesz ani ty, ani nie będę ja.

– Twój proletariacki raj – sprecyzował z ironią.

– Pewnego dnia z całą pewnością. Tak – odpowiedziała bardzo poważnie. Patrzyła na moką nawierzchnię błyszczącą od mgły i odbicia

dalekiego światła. – Inni postawią stopę w miejscu, gdzie odcisnę ostatni ślad – dorzuciła spokojnie. Przeszła kilka kroków i przystanęła. – Myślisz, że się kochamy...? To znaczy ty i ja.

Falcó wzruszył ramionami. Wciąż miał postawiony kołnierz marynarki i ręce w kieszeniach. Zbyt dużo mgły, pomyślał, rozglądając się. Zbyt dużo w tych rozmytych pierścieniach brudnego światła szarości zawieszonych w milionach miniaturowych kropelek nasycających powietrze. Odetchnął, wciągając do płuc łyk mgły.

– Zostań na lądzie – powiedział miękko. – Niech statek odpłynie bez ciebie. Jest paru członków załogi, którzy zejną ze statku, a może już zeszli... Quirós zabierze tylko tylu, ilu potrzeba do żeglugi i walki.

Milczała przez chwilę.

– Ja mogę walczyć – szepnęła w końcu.

– Nie będzie żadnej walki. Niszczyciel ma pięć dział dużego kalibru, a Mount Castle vickersa... Kiedy was zlokalizuje dziś albo za kilka dni nie utrzymacie się na powierzchni nawet dziesięciu minut.

– Jest pewna szansa...

– Nie. Oczywiście, że nie ma. I Quirós o tym wie.

Eva zdawała się nie słuchać, stała odwrócona do czarnej sylwetki statku.

– Muszę wejść na pokład. Porozmawiać z nim.

Falcó westchnął ze zniechęceniem.

– Domyślam się, że tak. Że musisz to zrobić.

Popatrzyła nieufnie na prawą rękę, którą trzymał w kieszeni marynarki.

– Pozwolisz mi odejść?

– Tak.

Patrzyli na siebie. Potem Eva ruszyła zdecydowanym krokiem w stronę budki żandarmów, a on po chwili wahania poszedł za nią. Doszli razem do wartowników, którym dziewczyna pokazała przepustkę. W tym momencie zauważyła, że stoi przy niej.

– On jest ze mną – powiedziała oschle.

Poszli dalej obok siebie bez słowa w kierunku trapu. Ciemna bryła frachtowca wznosiła się tuż przy kei, cumy przy polerach były jeszcze napięte. Maszyny pracowały, z komina wydobywała się ciemna para, na pokładzie krzątało się kilku członków załogi. Przy furcie u wylotu trapu dwóch marynarzy uzbrojonych w pistolety spoglądało na nich z ciekawością.

Eva zdjęła chustkę, odchyliła głowę, przyglądając włosy, i ponownie zawiązała chustkę pod brodą.

– Mogę zatrzymać twój płaszcz?

– Jasne, że możesz.

– Jestem brudna, wyglądam koszmarnie. Nie chcę, żeby mnie oglądali w takim stanie.

– No pewnie.

Stali naprzeciw siebie w wilgotnym świetle żarówek zapalonych w górze na statku. Ta szarawa jasność nadawała oczom Ewy szczególny blask, który gasł. Jakby patrzyła w dal przez ciemność i mgłę ku nieistniejącej przyszłości.

– Poczekam tutaj – powiedział.

Przekrzywiła głowę, by spojrzeć na burzę.

– Myślę, że zostanę na pokładzie.

– Może zmienisz zdanie.

Nie odpowiedziała. Odwróciła się, by wejść na trap, który zadźwięczał pod jej stopami. Jasna plama płaszcza oddalała się na tle lewej burty, aż wreszcie znikła.

Ostatnia karta, powiedział do siebie Falcó. Potem zapalił papierosa.

Świtało, a światło brzasku z trudem torowało sobie drogę. Najpierw pojawiła się rozmyta, jasna smuga na wschodzie, potem gama światła i ołowianych cieni zarysowała dźwigi i szopy, które mgła otulała widmowym całunem. Ciszę przerywał jedynie skrzek mew szybujących nad keją.

Falcó czekał, siedząc na drewnianych skrzyniach. Trząśł się z zimna, ale nie mógł się przemóc, by odejść. Ciemna bryła Mount Castle wznosiła się nieopodal, coraz wyraźniejsza, w miarę jak wstawał dzień; dwa maszty, komin i wysokie szyby wentylacyjne. Na pokładzie panował ruch: szykowano się do odejścia od kei.

Po drugiej stronie zasieków zaczęli się zbierać powstrzymywani przez żandarmów gapie: robotnicy portowi i mieszkańcy, którzy chcieli zobaczyć wypłynięcie statku. Były wśród nich także kobiety. Od strony Urzędu Celnego nadjechały dorożki i jakiś samochód. Całe miasto wiedziało, co ma nastąpić, i ranne ptaszki chciały być przy tym, żeby móc zdać relację o tym z pierwszej ręki. Sporo ludzi podeszło falochronem aż do końca, skąd roztaczał się najlepszy widok, choć mgła nie ułatwiała sprawy: widoczność nie przekraczała dwustu metrów.

Falcó roztarł zeszywniałe ręce. Wilgoć osiadła na jego marynarce, włosach i twarzy. Miał ochotę zapalić, ale bolała go głowa: po lewej stronie narastał znajomy łomot. Znał te objawy od dziecka. Jeśli nic nie zrobi, za chwilę czaszka będzie mu pękać, a on sam dostanie mdłości. Wstał

i rozejrzał się. Żandarmi w budce na pewno będą mieć wodę, żeby mógł popić kopirynę. Ruszył w ich stronę.

Patrol składał się z tubylców i Europejczyków, dowodził wąsaty, sztywny kapral. Był Hiszpanem. Nie miał wody, za to, owszem, bukłak z winem, który dobrodusznie podał Falcó. Ów przegryzł tabletkę, odchylił głowę i strumieniem cierpkiego wina opłukał usta i gardło. Oddał bukłak, wyjął papierośnicę, kapral chętnie przyjął papierosa. Gdy Falcó podawał mu ogień, pochylając głowę nad zapalniczką, żandarm wskazał na ludzi za zasiekami.

– Nie chcą przegapić widowiska... To lepsze niż seans kinowy.

– Cudze tragedie są zawsze bardzo ciekawe – skomentował Falcó.

– Święta prawda... – Żandarm zaciągnął się głęboko i spojrzał na papierosa z zadowoleniem, potem machnął ręką w stronę Mount Castle. – Biedaki, nie...? Czeka ich marny los.

– Na to wygląda.

– Trzeba mieć jaja, żeby zrobić to, na co oni się szykują, he...? Żeby wypłynąć prosto w łapy tamtych.

– Może mgła będzie im sprzyjać – powiedział Falcó.

Kapral potaknął.

– Oby. – Zerknął na swoich ludzi i zniżył głos. – Ja tam jestem apolityczny, wie pan...? Tu mi dobrze i tu chcę zostać. Ale wolę Republikę od zbuntowanych wojskowych. Byłem z nimi w Melilli, rozumie pan...? Byli moimi szefami. I nie powiem nic więcej.

Falcó pokiwał głową, doceniając fart tego żołnierza, któremu udało się uniknąć espadryli, dziurawego koca na ramieniu, wielodniowego zarostu, strzałów, krzyków ludzi, którzy zabijali i umierali kilkadziesiąt kilometrów na północ stąd. Rodaków, którzy wycieńczeni, zwyciężeni, gdy kończyła się im amunicja, podnosili ręce do góry i pozwalali się poprowadzić

z fatalizmem swojej prastarej rasy nad rów, gdzie pakowano im kulę w łeb, podczas gdy oni dopalali papierosa, którego zawsze mieli w ustach Hiszpanie, kiedy prowadzono ich na śmierć albo gdy wychodzili w morze, by umrzeć pewnego mglistego poranka. Jakby cierpki smak tytoniu był posmakiem ich gorzkiego życia.

– Tak – potwierdził. – Tanger to co innego.

– Żeby pan wiedział. Tu się żyje i daje żyć innym... Ale zobaczymy, ile to jeszcze potrwa.

Falcó pożegnał się i wrócił do sterty skrzynek nieopodał statku. Miał usiąść, kiedy zauważył na pokładzie niezwykły ruch. Pojawiła się grupa ludzi z walizkami i workami marynarskimi. Było ich może tuzin. Zebrali się przy furcie, a potem jeden po drugim zeszli po trapie na keję, gdzie stanęli wszyscy razem, poważni, milczący, posępni, z opuszczonymi głowami. Niektórzy wyglądali na zawstydzonych. Znad relingu obserwowali ich w milczeniu inni marynarze.

Falcó domyślił się, kim są. Kapitan Quirós pozwalał zejść na ląd tym, którzy o to poprosili. Nie wszyscy na pokładzie chcieli zostać bohaterami.

Wśród patrzących z góry rozpoznał bosmana nazywanego Negusem. Miał na sobie ciemny płaszcz, a na głowie wełnianą czapkę. Opierał się rękami o reling, spoglądając na tych, którzy zeszli. Nikt ani z jednych, ani z drugich nie wymówił ani słowa. Nagle Negus pochylił tułów i głowę, i splunął do wody pomiędzy kadłubem a keją, a może chciał splunąć na ląd, ale ślina nie doleciała tak daleko. I jakby na dany znak, rozkaz albo obelgę marynarze na kei podnieśli swoje worki i walizki i odeszli powoli.

Zabuczała syrena tuż koło wysokiego komina: przeszywający, krótki dźwięk, który spłoszył pobliskie mewy. Świt rozgościł się na dobre, przemieniając mgłę w szare powietrze, które gęstniało wraz z odległością,

cieniując przedmioty i nadając im wygląd sztuczny, popielisty, smutny. Na dziobie i na rufie Mount Castle, załoganci wspomagani przez ludzi na kei szykowali się do oddania cum. Hałas kotłów na pełnej parze wprawiał w wibrację kadłub statku, nad którym unosił się niski pióropusz czarnego dymu.

Sporo osób stało za zasiekami i na końcu falochronu. Falcó postąpił kilka kroków w stronę statku. Trap był wciąż jeszcze spuszczone, łącząc pokład z keją. Marynarze szykowali się do podniesienia trapu, więc podszedł jak najbliżej, spoglądając w górę ze ściśniętym sercem. Szukał wzrokiem kobiety, lecz widział tylko załogę zajętą manewrem i Negusa, który szedł po pokładzie w stronę rufy z kolorowym pakunkiem pod pachą. Gdy bosman dotarł pod puste drzewce, przyczepił banderę republikańską, czerwono-żółto-fioletową, i wciągnął ją na top. Nie wiała nawet najłżejsza bryza i bandera zwisała smętnie, nieruchomo. Nie przeszkodziło to kilku pomocnikom, Hiszpanom, Francuzom i Berberom, którzy szykowali się do zrzucenia cum z polerów, wznieść na jej cześć okrzyku, okrzyku solidarności.

A wówczas Falcó spojrzał ponownie w kierunku trapu. Podnoszono go właśnie, a na kei tuż obok niego stała Eva.

Ruszył ku niej powoli, zmuszając się, by nie przyspieszyć kroku, i stanął u jej boku, przepełniony ulgą. Wciąż miała na sobie jego płaszcz z podwiniętymi rękawami, ręce trzymała w kieszeniach. Jasne włosy skrywały się pod chustką zawiązaną pod brodą. Wydawała się bardzo samotna i zmęczona, krucha w tym smutnym świetle, nieruchoma na mokrej kei. Patrzyła na mostek i nie oderwała wzroku, gdy stanął przy niej.

– Nie pozwolił mi zostać – powiedziała, wpatrując się w mostek.

Falcó nie odezwał się. Stał nieruchomo bez słowa. Muskali się ramionami. Kątem oka spojrzał na znużony profil dziewczyny. Na worki pod jej oczami.

– Prawie biłam się, żeby nie zmusili mnie do zejścia na ląd.

– Nie mogłaś tam zostać.

Pomocnicy rzucili cumy Mount Castle, które wpadły z pluskiem do wody, a potem zostały wyciągnięte na pokład. Został tylko szpring rufowy, gruba lina przytrzymująca rufę opartą na odbijaczach pomostowych.

– Prawie biłam się, mówię ci... Dosłownie.

Zabuczała syrena, trzy razy, krótko. Nad burtą oddalającą się powoli od lądu kilka twarzy załogantów patrzyło na ludzi tłoczących się za zasiekami i na falochronie, którzy przyszli obejrzeć, jak wypływają. Rozbrzmiało kilka pojedynczych okrzyków otuchy, jakiś wiwat na cześć Republiki, lecz większość zachowywała milczenie. Było coś bardzo uroczystego w postawie tych ludzi, uznał Falcó. W tym wszystkim.

– Chwycił mnie za rękę – ciągnęła Eva. – Mam rozkazy, powiedziałam mu wcześniej. Muszę płynąć z panem do Odessy... On patrzył na mapę, podniósł wzrok i popatrzył na mnie beznamietnie bez słowa, jakby myślał o czymś innym i nie słyszał mnie... „Odessa”, powtórzył cicho, jakby nieobecny. Było jasne, że w tym momencie wydawała mu się równie daleka jak księżyc... Nagle chwycił mnie mocno za rękę. Był spokojny i stanowczy... „Na moim statku dowodzę ja”, powiedział. „Niech więc pani zejdzie z niego”. Zaciągnął mnie do furty prawie siłą, ignorując mój protest.

– Uratował ci życie – ocenił Falcó.

Nie odpowiedziała od razu.

– Być może.

– Chciałaś, żeby to zrobił?

Spojrzał na nią badawczo, a ona zawahała się przez chwilę.

– Nie wiem. – Skrzyżowała ramiona na piersi, jakby nagle poczuła chłód. – Nie wiem.

– Powinnaś być mu za to wdzięczna.

– Tak czy owak, nikt go o to nie prosił.

Syrena Mount Castle jeszcze raz przeszła zamglone powietrze. Ostatni sygnał, krótki, urwany. Statek ruszył do przodu dziobem do ujścia zatoki. Mimo mgły na pokładzie nie paliło się żadne światło.

– Tam jest... – powiedziała kobieta. – Na górze... Popatrz.

Falcó spojrział tam, gdzie mu pokazywała. Człowiek o szerokich barach w granatowej marynarce i białej marynarskiej czapce wyjrzał na skrzydło mostku. Poznali go bez trudu po rudawej brodzie.

– Beznamiętny jak głaz – szepnęła.

Kapitan Quirós pozostał przez moment nieruchomo zwrócony ku miastu i ludziom obserwującym, jak odpływa. Potem tak jakby przesunął wzrok na miejsce, w którym stali Eva Neretwa i Falcó. Kobieta podniosła rękę na znak pożegnania.

– Wspaniały szaleniec – powiedziała.

Zafascynowany Falcó patrzył na chłodny profil Ewy, zaciśnięte wargi, oczy utkwione w człowieku w marynarskiej czapce. I zobaczył ze zdumieniem, jak po jej twarzy spływa łza, a palce podniesionej ręki zaciskają się w pięść: międzynarodowy i proletariacki salut, którego dopełniła, unosząc pięść do głowy, podczas gdy kapitan Mount Castle wracał do wnętrza statku, a Mount Castle niknął we mgle.

– Chodźmy – powiedziała Eva.

Odeszli, nie odzywając się więcej, zostawiając za sobą port i gapiów. Nieco dalej pod łukiem bramy de la Marine Falcó wyjął papierosnicę i zapalił dwa papierosy. Zostali tam w półmroku, paląc i patrząc na siebie

bez słowa. Już to kiedyś przeżyliśmy, pomyślał Falcó. Nasza historia jest smutna, powtarzalna, niekończąca się.

– Co teraz zrobisz? – zapytał.

Tak naprawdę chodziło mu tylko o przerwanie ciszy. Eva zaciągnęła się i wypuściła powoli dym nosem i ustami.

– Poproszę o nowe rozkazy.

Nie powiedziała nic więcej, bo oboje wiedzieli, że to niepotrzebne. Falcó potaknął w duchu. Oczywiście. Wróci do Moskwy, do Walencji, dokądkolwiek pošłą ją jej szefowie i jej własna wiara, racjonalna, zimna, nietolerancyjna. Wspomagani tą wiarą mężczyźni i kobiety tacy jak ona nie trwonili ostatnich minut, wypytując Ojca, dlaczego ich opuścił. Sieroty pod niebem bez bogów zaciskali zęby, patrząc w ziemię, i podnosili pięść tak jak ona na kei, zanim wydali ostatnie tchnienie na sznurze kata albo przed peletonem egzekucyjnym. Wiece w tawernach dusznych od dymu i potu, robotnicy biegnący pod ogniem z karabinów maszynowych, towarzysze torturowani, umarli za życia albo umarli naprawdę, żeby bydlaki w koszulach czarnych, niebieskich albo szarych wiedziały, że ludzkość nie została pokonana, że bój nie ustanie, bo jest to bój ostatni. Tak postrzegala to Eva Neretwa i nikt nie był w stanie jej przekonać. Nigdy. Będzie wlokła ze sobą tę walkę jak starą, pękata i nieodłączną walizkę aż do spotkania ze swoją ostatnią godziną. Z ostatnią kartą Śmierci.

– Powinnaś się wykąpać. Ogarnąć, opatrzyć rany... Wyglądasz koszmarne.

Na jej ustach pojawił się zarys uśmiechu. Ulotny.

– Ty też nie wyglądasz najlepiej.

– O mało mnie nie zabiłaś – przypomniał.

– Oboje o mało się nie zabiliśmy.

– Zaskoczyłaś mnie, wiesz...? Byłaś bardzo odważna, czujna, spokojna, czekałaś na każdy cios, gotowa odpowiedzieć kolejnym ciosem.

Nie odezwała się. Palili. Patrzyli na siebie z wahaniem, jakby odwlekając rozstanie.

– Mój hotel jest niedaleko – powiedział Falcó.

– Mój też.

I znowu zamilkli.

– Czyli każdy w swoją stronę – podsumował Falcó.

– Tak.

Rzucili papierosy na ziemię z udawaną obojętnością i ruszyli w górę zbocza. Dochodząc do medyny, przystanęli pod murem po raz ostatni. Za portem i falochronem mgła przysłaniała horyzont, zamykając go w wielkim, niskim, ołowianym obłoku.

– Nie sądzę, żeby było prawdą, że się kochamy – szepnęła Eva.

Zastanowił się przez moment. Albo udał, że się zastanawia.

– Ja też nie sądzę.

Patrzył na zmęczoną twarz kobiety, lekko słowiańskie oczy, kosmyk jasnych włosów, który wymknął się spod chustki. Poczł pragnienie pogłaskania go, ale zatrzymał ręce w kieszeniach.

– Słuchaj! – powiedziała nagle, wzdrygając się.

Odwróciła się ku morzu i nadstawiała ucha, wstrzymując oddech. A wówczas Falcó usłyszał wystrzały z dział. Niosły się echem, monotonnym, złowrogim, jakby ktoś walił w bęben o membranę wykonanej z ludzkiej skóry. A na pełnym morzu, ledwie przebijając się przez szarą mgłę, błyskały dalekie smugi ognia.

17. EPILOG

Lorenzo Falcó przekroczył próg Gran Hotelu w Salamance, pozdrowił po imieniu portiera i recepcjonistę, i ruszył do baru, mijając niebieskie koszule oraz oficerów w mundurach i wysokich, lśniących butach.

Na ulicy szykowano się do defilady wojskowej. Franco przyjechał jakiś czas temu, z trudem torując sobie drogę w tłumie, który gotów do podniesienia ręki w faszystowskim pozdrowieniu albo w każdym innym wymaganym przez okoliczności oczekiwał na przejście wojska do Plaza Mayor pod balkonami przystrojonymi flagami narodowymi, karlistowskimi i falangistowskimi. Na ten poranek zaplanowano przemówienie Caudilla z balkonu ratusza. Świątowano zwycięstwo – relatywne – nad Jaramą, by zatuszować klęskę – absolutną – wojsk włoskich pod Guadalajarą. Wojna trwała już ósmy miesiąc i zanosilo się na to, że będzie długa.

Przystanął w drzwiach do baru amerykańskiego obok witryny z lokalnymi przekąskami, na której stały flagi nazistowska, włoska i portugalska. Z włosami zaczesanymi do tyłu przy pomocy brylantyny, pachnący płynem do golenia – dziesięć minut temu wyszedł od fryzjera – bez trudu znalazłby miejsce w dowolnym brytyjskim żurnalu z męską modą czy w katalogu hollywoodzkich amantów. W ręku trzymał popielaty kapelusz, a na sobie miał popielaty garnitur z kamizelką, perłowoszary krawat o ton jaśniejszy od garnituru, skarpetki i zamszowe buty, z kieszeni marynarki wyglądały koniuszki chusteczki. Cały był w eleganckiej gamie szarości.

Omiatając wzrokiem ludzi zajmujących fotele, wyjął papierośnicę, wysunął papierosa, postukał nim delikatnie o tarczę zegarka, po czym włożył go sobie do ust. Admirał wezwał go gestem z drugiego końca kontuaru.

– Jaki jest twój stosunek do Biarritz? – zapytał, gdy Falcó zajął miejsce obok niego.

Pykał wygasłą fajkę. Był po cywilnemu, na sąsiednim stołku leżał jego kapelusz Homburg, a pod nim bardzo sfatygowana skórzana teczka. Falcó spojrział na niego zaintrygowany.

– Znam gorsze miejsca.

– Taa... Czego się napijesz?

Barman podszedł już i czekał na zamówienie. Falcó zapalił papierosa.

– Wciąż nie mamy wódki, Leandro?

Ospowata twarz barmana pozostała niewzruszona, choć zdradzał go rozbawiony błysk w oku.

– Tylko galicyjskie orujo, don Lorenzo. – Podsunął mu popielniczkę. – Wie pan. Patriotyczny napój.

– Przekłęci marksiści.

Barman spoglądał spod oka na Admirala.

– Tak, proszę pana. W rzeczy samej.

– To zrób mi *hupa-hupa* po hiszpańsku. I drugi raz dla tego dżentelmena.

– Mówiłem ci tysiąc razy, że nie pijam tych pedalskich drinków – zaprotestował Admirał.

– No dobrze.... Woli pan szkocką czy koniak?

– Koniak.

– W takim razie jakiś francuski, Leandro. O ile to możliwe.

– Armaniak, proszę pana? – zapytał barman.

– Na przykład.

– Z wodą sodową – wtrącił się Admirał.

– Wlewanie wody sodowej do armaniaka to zbrodnia – zaproponował Falcó.

– Z wodą sodową, powiedziałem. Do diabła.

Kiedy barman oddalił się, Falcó spojrział pytająco na przełożonego. Jedyne oko szefa lustrowało go krytycznie.

– O co chodzi z Biarritz, panie Admirale?

– Masz tam coś do zrobienia. Jest pewien typek, nacjonalista, Bask, powiązany z PNV. Tasio Sologastúa. Sukinkot... Coś ci mówi to nazwisko?

– Milionerek?

Admirał zerknął na barmana potrząsającego shakerem i zniżył głos.

– Właśnie. Nie każdy, kto śpi na pieniądzach, jest za Franco.

– Jesteśmy za Franco także my, którzy na nich nie śpimy. Ja, na przykład.

– Ty jesteś za Franco tak samo jak za Gretą Garbo.

– Za kilka marnych groszy, chciałbym przy okazji zaznaczyć.

– Płacę ci cztery tysiące peset miesięcznie plus wydatki. – Admirał marszczył brew jak surowy profesor. – Nawet generał tyle nie zarabia.

– To był żart.

– Żartuj sobie ze swoją mamuszką.

Zamilkli, gdy Leandro stawiał przed Admiralem kieliszek koniaku i syfon, i wlewał zawartość shakera do kieliszka Falcó.

– Sologastúa... – kontynuował Admirał, gdy barman odszedł – ... mieszał w najlepsze w baskijskim separatystycznym gównie, a kiedy zaczęło śmierdzieć, zwał do Francji z całą rodziną, oglądać korridę z za

barierki... Jego żonę szofer wozi na zakupy, córki popijają drinki i balują w Miramarze, a on żyje jak wielki pan. Bruździ z drugiej strony granicy, niczego nie ryzykując, podczas gdy jego bohaterscy *gudaris* rozdzierają sobie pierś... A raczej my im rozdzieramy.

– Na czym polega zadanie?

Admirał spojrzął na fajkę, obracając ją w palcach. Następnie schował ją do kieszeni, sięgnął po syfon i ku ubolewaniu Falcó wpuścił strumień wody do koniaku.

– Masz go złapać i dostarczyć na tę stronę granicy. Chcemy z nim porozmawiać.

– Porwać?

– Dobór czasownika należy do ciebie.

Zabłyśły wilgotne od *hupa-hupa* kły.

– Kiedy wyjeżdżam?

– Wczoraj.

– Jestem w Salamance dopiero dwa dni.

– O dwa za dużo. – Admirał skosztował zawartość kieliszka i zrobił zadowoloną minę. – Po twojej porażce w Tangerze nie rozumiem, jak masz czelność w ogóle pokazywać się tutaj.

– Nie poszło tak źle, proszę pana. Zrobiłem, co w mojej mocy.

– No to miałeś bardzo malutką moc.

– To ruletka życia. – Postukał delikatnie palcem w papierosa nad popielniczką. – Jak mówi tango... Czasem się przegrywa, a czasem się przestaje wygrywać.

– Tango?

– Tak. To Gardela, wie pan.

Zanucił kilka taktów. Zdrowe oko Admirala przeszło go zabójczym wzrokiem.

– Tango to ja ci zagram któregoś dnia. Zatańczysz go w okopach miasteczka studenckiego w zawsonym kocu z mauzerem w ręku. Wtedy zobaczymy, czy będziesz umiał odróżnić tango od wojny.

– Ależ panie Admirale. Wszakże Gardel...

– Stul dziób, do jasnej.

– Na rozkaz waszej miłości.

– Nie inaczej.

Admirał odłożył kapelusz i otworzył teczkę. Wyjął kartkę papieru zapisaną na maszynie przez kalkę.

– Mam tu raport na temat Mount Castle sporządzony przez Tamba Navię. Dotarł wczoraj wieczorem. – Położył go na ladzie przed Falcó. – Pomyślałem, że chciałbyś go zobaczyć... A przynajmniej tę część.

Falcó przeczytał.

Po zlokalizowaniu czerwonego frachtowca o dwie mile na WNW od przylądka Malabata i gdy nie odpowiedział na rozkaz zatrzymania maszyn, otworzono ogień, nawiązując walkę na małą odległość ze względu na słabą widoczność. Na strzały z naszych największych dział wróg odpowiedział silnym i nieprzerwanym ogniem pochodzącym z jedyne dział średniego kalibru usytuowanego na rufie, próbując jednocześnie uciec w kierunku NE pod osłoną mgły. Dosięło go co najmniej dwanaście naszych pocisków, co spowodowało natychmiastowy pożar na pokładzie, mimo tego nie zaprzestał ostrzeliwania nas z dużą zaciekłością do momentu, gdy jego dział zostało trafione z naszych, a statek stanął w płomieniach, zaczął dryfować i nie opuściwszy bandery, szybko zatonął w pozycji 6°47'W – 35°50'N. Przystąpiono następnie do podjęcia z wody rozbitków, co

utrudniała słaba widoczność. Uratowano jedenaście osób, w tym kilku poważnie rannych. Kapitan czerwonego frachtowca nie znajdował się pomiędzy nimi, a według zeznań rozbitków był widziany po raz ostatni na mostku, gdy wydawał rozkaz opuszczenia statku. Ze względu na poważny stan niektórych rannych podjąłem decyzję powrotu do portu w Tangerang, by udzielono pomocy medycznej zarówno rozbitkom, jak i pięciu marynarzom, którzy odnieśli różnego rodzaju rany podczas wybuchu trzech pocisków z wrogiego statku na pokładzie mojej jednostki. Po zawinięciu do portu na wezwanie władz lokalnych i biorąc pod uwagę fakt, że znajdowałem się w strefie międzynarodowej, zostałem zmuszony do wypuszczenia jeńców.

Falcó podniósł wzrok.

– A jaka jest głębokość w miejscu, gdzie zatonął frachtowiec?

Admirał wykonał gest satysfakcji.

– Jakies sześćdziesiąt metrów... Będą tam mogli zejść nasi nurkowie, kiedy wszystko się skończy.

– Czyli koniec i bomba.

– O ile tylko wygramy tę wojnę, rzecz jasna.

– Jasna.

Falcó odłożył kartkę na kontuar i sięgnął po swój kieliszek.

– Co jeszcze pan wie o Navii?

Admirał zwlekał z odpowiedzią przez kilka sekund. Popatrzył na fotosy aktorów kinowych dekorujące ściany baru i wydał dźwięk pomiędzy westchnieniem a fuknięciem.

– Odebrano mu dowództwo okrętu – odezwał się wreszcie. – Chyba wysyłają go do biura w Ferrol... W kwaterze głównej marynarki wojennej nie spodobało się, że wysadził czerwonych jeńców w Tangerang.

Falcó umoczył usta w napoju. Drink był doskonały. Admirał patrzył na podopiecznego oschle, cierpliwie, oczekując na nieuniknione pytanie. Falcó

zaciągnął się papierosem po raz ostatni i zgasił go w popielniczce.

– A ona?

Szef zabrał raport i schował go do teczki.

– Wiemy, że weszła na pokład Maréchal Lyautey płynącego do Marsylii. Tu trop się urywa. Mogła wrócić lądem do strefy republikańskiej albo morzem do Barcelony czy Walencji... Nie wiem. Mogła też pojechać do Moskwy.

– To prawda, że są czystki agentów działających w Hiszpanii?

– Tak. Wzywają wielu z nich. Nawet Pawła Kowalenkę, szefa misji sowieckiej, ściągnięto ponoć do Moskwy, żeby się wytłumaczył. Procesy zmieniły tamtejszy pejzaż. Wiele osób denerwuje się...

– No i?

– No i nic. Jedni wracają po przesłuchaniach, inni znikają w podziemiach Łubianki. Wiesz, jak działa ten motłoch.

Falcó pomyślał o Evie Neretwie stojącej przed swoimi przełożonymi, tłumaczącej się w atmosferze wewnętrznych porachunków NKWD prowadzonych w stylu właściwym dla tej organizacji. I pomyślał o Evie wolnej, jeśli dopisało jej szczęście, dostającej nowe zadanie w Hiszpanii albo gdziekolwiek. O Evie działającej.

Nie sądzę, żeby było prawdą, że się kochamy, powiedziała.

– Powie mi pan, jeśli dowie się pan czegoś, Admirale?

Szklane oko i zdrowe oko zbiegły się w podejrzliwym, karcącym spojrzeniu.

– Nic ci nie powiem – zabrzmiała zirytowana odpowiedź. – Ta kobieta to już nie twoja broszka.

Admirał dał znak barmanowi i wyjął portfel, by zapłacić rachunek, lecz zawahał się. Po chwili namysłu schował pieniądze do kieszeni.

- Ty płacisz.
- Jak zwykle.
- Mówi się: „wedle rozkazu”.
- Wedle rozkazu.

Admirał w zamyśleniu przesunął palcem po siwym wąsie.

– Tak czy owak, wątpię, żebyśmy usłyszeli jeszcze o niej – dodał po chwili. – W Tangerze poniosła jeszcze większą porażkę niż ty. Jeśli pojechała do Moskwy...

Urwał. Na ulicy rozbrzmiała wojskowa muzyka. Wiele osób zaczęło wychodzić z baru. Od wejścia dochodziły oklaski.

– Przyjechał Caudillo. – Admirał spojrział w stronę drzwi. – Muszę być na trybunie. Dyskretnie, rzecz jasna, ale żeby zobaczył mnie ten, kto powinien mnie zobaczyć... Ty nie wybierasz się na defiladę?

Falcó popatrzył na niego drwiąco, nie odpowiadając. Admirał włożył teczkę pod ramię i sięgnął po kapelusz.

- Biarritz, pamiętaj. Jesteś tam za dwa dni.
- Na pańskie rozkazy.
- Tak właśnie mi się podoba. Na moje rozkazy.

Falcó został sam naprzeciwko barmana w opustoszałym barze, pijąc drinka. W drzwiach stanęła kobieta w żałobie, atrakcyjna, za nią siedł gruby mężczyzna, zajęli miejsce na kanapach w głębi. Miała sugestywną figurę i ładne nogi w ciemnych pończochach pod spódnicą, która sięgała całą piędź poniżej kolan.

– Ty też nie idziesz na defiladę, Leandro? – zagadnął Falcó.

– Nie, don Lorenzo. – W melancholijnej twarzy barmana oczy wciąż skrzyły się kpiąco. – Każdy ma swoje stanowisko. Ja służę ojczyźnie tutaj.

– Ojczyźnie i mnie... Także shakerem można walczyć z marksistowską hydrą i z jej kubkami proletariackiego wina.

– Z ust mi pan to wyjął.

– Zrób mi jeszcze jedno *hupa-hupa*.

– Z orujo?

Falcó spojrział na kobietę, która wytrzymała jego wzrok pięć sekund dłużej, niż wymagały konwenanse. Poprawił węzeł krawata i przeciągnął dłonią po głowie, by wygładzić włosy. Uśmiechał się jak przebiegły wilk, który w świetle księżyca zauważył pełną zagrodę.

– A cóż na to poradzę, ja biedny... Niech będzie z orujo.

Tanger, maj 2017 roku

KSIĄŻKI ARTURA PEREZA-REVERTE W
ZNAKU

Mężczyzna, który tańczył tango

Batalista

Cierpliwy snajper

Dzień gniewu

Huzar

Misja: Encyklopedia

Falcó

Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

1. Norddeutscher Lloyd Bremen

2. Złoto Republiki

3. Popołudniowa herbatka

4. Białe miasto

5. Oczy jak filiżanki kawy

6. U starej Hamruch

7. Dwaj kapitanowie

8. Tam nigdy nie będzie tu

9. Operacyjna konieczność

10. Die letzte Karte

11. To był nowy kapelusz

12. Oko za oko

13. Między psem a wilkiem

14. Popatrz mi w oczy

15. Każdy robi, co może

16. Ostatnia karta Śmierci

17. Epilog

Książki artura Pereza-Reverte w Znak

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału

Eva

© 2017, Arturo Pérez-Reverte

Projekt okładki

Michał Pawłowski

www.kreskaikropka.pl

Fotografia na okładce

iStock by Getty Images, Casarsa

Opieka redakcyjna

Dorota Gruszka

Adiustacja

Monika Skowron

Korekta

Jadwiga Grelłowa

Weronika Jakubczyk

Copyright © for the translation by Marzena Chrobak

© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2019

ISBN 978-83-240-5875-4

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków
Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek